

PATRICIA CORNWELL

DZIWNNA ZARAZA



Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL

DZIWNA ZARAZA

(UNNATURAL EXPOSURE)

Przełożyła: Magdalena Jakóbczyk-Rakowska



Prószyński i S-ka

2000

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

-1-

-2-

-3-

-4-

-5-

-6-

-7-

-8-

-9-

-10-

-11-

-12-

-13-

-14-

-15-

-EPILOG-

DLA ESTHER NEWBERG

Wyobraźnia, nie strach.

*I przyszedł jeden z siedmiu aniołów,
co trzymają siedem czas,
pełnych siedmiu plag ostatecznych...*

Apokalipsa św. Jana, 21:9

Nad Dublinem zapadła czysta i chłodna noc, a wiatr jęczał za moimi oknami, jakby w powietrzu grały miliony piszczalek. Stare szyby okienne drżały od silnych podmuchów i wydawało się, że zaraz zaczną się przez nie wciskać duchy. Kolejny raz poprawiłam sobie poduszki, aż wreszcie ułożyłam się na wznak w skotłowanej irlandzkiej pościeli. Jednak sen nie nadchodził i powracały obrazy minionego dnia. Zobaczyłam ciała bez kończyn i głów, i usiadłam spocona.

Zapaliłam lampy i zaraz hotel Shelbourne otoczył mnie ciepłem starego drewna i ciemnoczerwonych tkanin. Włożyłam szlafrok, spoglądając tęsknie na telefon przy łóżku z wymiętoszoną pościelą. Dochodziła druga rano. W Richmondzie, w stanie Wirginia, było pięć godzin wcześniej i Pete Marino, szef Wydziału Zabójstw w policji miejskiej, na pewno nie spał. Być może oglądał telewizję, palił albo jadł coś niezdrowego, jeżeli nie był na ulicy.

Nakręciłam jego numer, a on odebrał natychmiast, jakby siedział tuż przy telefonie.

– Dowcip albo poczęstunek – odezwał się, używając formułki dzieci bawiących się na Halloween. Był już wyraźnie zaprawiony.

– Pośpieszyłeś się – odpowiedziałam, żałując już, że zadzwoniłam. – O dwa tygodnie.

– Pani doktor? – przerwał zmieszany. – Już jesteś z powrotem w Richmondzie?

– Nie, jeszcze w Dublinie. Co tam za hałasy?

– A, jest nas tu paru facetów z takimi wstrętnymi gębami, że nie potrzebujemy masek. Więc codziennie mamy Halloween. Hej, Bubba blefuje – wrzasnął.

– Zawsze uważasz, że wszyscy blefują – odkrzyknął mu czyjś głos. – To przez to, że za długo jesteś detektywem.

– Co ty gadasz? Marino nie potrafi wykryć zapachu własnego ciała. – Rozległy się głośnie śmiechy i niewybredne pijackie komentarze.

– Gramy w pokera – wyjaśnił Marino. – Która tam, do diabła, jest godzina?

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odpowiedziałam. – Mam niedobre wiadomości, ale chyba nie pora, żebym teraz wyjaśniała.

– Nie, nie, chwileczkę. Tylko przeniosę telefon. Cholera, znowu się ten kabel zaplątał. – Usłyszałam jego ciężkie kroki i przesuwanie krzesła. – Dobra, pani doktor. Więc co się tam, do licha, dzieje?

– Prawie cały dzisiejszy dzień spędziłam na omawianiu spraw z wysypisk śmieci z tutejszym naczelnym lekarzem sądowym. Marino, coraz bardziej podejrzewam, że te seryjne rozczłonkowania zwłok w Irlandii są dziełem tego samego osobnika, z którym mamy do czynienia w Wirginii.

Podniósł głos:

– Hej, chłopaki, przymknijcie się na chwilę!

Usłyszałam, jak odsuwał się jeszcze dalej od hałasujących koleśków. Otuliłam się szczelniej puchową kołdrą i sięgnęłam po szklaneczkę z resztką Black Bush, którą przyniosłam do łóżka.

– Doktor Foley pracowała nad tymi pięcioma przypadkami w Dublinie – mówiłam dalej. – Sprawdziłam wszystkie. Korpusy. Grzbiety przecięte na wysokości piątego kręgu szyjnego. Ręce i nogi odcięte w stawach, jak zwykle, o czym już mówiłam. Ofiary są różnych ras, w wieku od osiemnastu do trzydziestu pięciu lat. Wszystkie niezidentyfikowane i oznaczone jako zabójstwa bez określenia sposobu i narzędzia. W żadnym przypadku nie odnaleziono głów ani kończyn, a szczątki odkryto na prywatnych wysypiskach śmieci.

- No, to skądś znamy – powiedział.
- Są i inne szczegóły, ale rzeczywiście podobieństwa są uderzające.
- Więc może ten ptaszek jest teraz w Stanach. Chyba to był jednak dobry pomysł, że tam pojechałaś.

Na pewno przedtem tak nie uważał. Nikt tak nie uważał. Byłam głównym koronerem Wirginii, ale kiedy Królewskie Stowarzyszenie Chirurgów zaprosiło mnie na wykłady, nie mogłam pominąć okazji, żeby zbadać zabójstwa w Dublinie. Marino uważał, że to strata czasu, a FBI uznało, że badanie będzie miało głównie wartość statystyczną. Wątpliwości były zrozumiałe. Zabójstwa w Irlandii miały miejsce co najmniej dziesięć lat temu i podobnie jak w przypadkach z Wirginii, nie było na czym się oprzeć. Nie mieliśmy odcisków palców, uzębienia, rozmieszczenia zatok ani świadków do identyfikacji. Nie mieliśmy żadnych próbek od osób zaginionych, aby porównać z DNA ofiar. Nie wiedzieliśmy, jak zadano śmierć. Trudno więc było coś powiedzieć o zabójcy poza tym, że moim zdaniem umiał się posługiwać piłą do mięsa i prawdopodobnie używał jej kiedyś zawodowo.

– Ostatni tego typu przypadek w Irlandii zanotowano ponad dziesięć lat temu – ciągnęłam dalej przez telefon. – W ciągu ostatnich dwóch lat mieliśmy cztery takie w Wirginii.

– Więc myślisz, że przerwał na osiem lat? – spytał. – Dlaczego? Może był w więzieniu za inne przestępstwa?

– Nie wiem. Może zabijał gdzie indziej i nie skojarzono tych przypadków – odpowiedziałam. Wiatr wył nieziemsko.

– Są jakieś seryjne zabójstwa w Afryce Południowej – myślał głośno. – We Florencji, w Niemczech, Rosji, Australii. Cholera, jak się tak pomyśli, to są wszędzie. Hej! – zasłonił dłonią słuchawkę. – Palcie swoje własne pieprzone pety! Co to, do diabła, jest, jakaś akcja charytatywna?

W tle rozległy się jakieś hałaśliwe męskie głosy i ktoś nastawił Randy Trávisa.

– Chyba się dobrze bawicie – zauważyłam oschle. – W przyszłym roku też mnie nie zapraszaj.

– Banda zwierzaków – mruknął. – Nie pytaj, dlaczego to robię. Za każdym razem wypijają mi kompletnie wszystko, oszukują w kartach.

– Lekarz wojskowy wypowiedział się wyraźnie o tych przypadkach. – Miałam zamiar go otrzeźwić, mówiąc tym tonem.

– Dobra – powiedział. – Więc jeżeli ten facet zaczął w Dublinie, może powinniśmy szukać Irlandczyka. Trzeba, abyś szybko wracała do domu. – Czknął. – Wygląda na to, że musimy jechać do Quantico i wziąć się do tego. Mówiłaś już Bentonowi?

Benton Wesley był szefem jednostki FBI, zajmującej się seryjnymi uprowadzeniami i zabójstwami dzieci, w skrócie CASKU, w której Marino i ja byliśmy konsultantami.

– Nie miałam jeszcze okazji, żeby z nim porozmawiać – odpowiedziałam z wahaniem. – Może ty go wprowadzisz w sprawę. Wróć najwcześniej, jak będę mogła.

– Byłoby dobrze jutro.

– Nie skończyłam jeszcze tych wykładów.

– Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie by nie chcieli twoich wykładów. Pewnie mogłabyś tylko tym się zajmować – powiedział i wiedziałam już, że zacznie mi wiercić dziurę w brzuchu.

– Eksportujemy swoją przestępczość do innych krajów – odpowiedziałam. – Jedyne, co możemy zrobić, to nauczyć ich tego, czegośmy się sami dowiedzieli, walcząc z nią...

– To nie przez wykłady siedzisz w tym kraju irlandzkich krasnoludków – przerwał mi i usłyszałam odskakujący kapsel. – Nie przez to, i wiesz

dlaczego.

– Marino – ostrzegłam. – Nie rób tego.

Ale on mówił dalej.

– Od czasu rozvodu Wesleya ciągle masz jakieś powody, żeby uciekać, to tu, to tam. A teraz też nie chcesz przyjechać i z tego, co słyszę, po prostu boisz się jakiegoś działania i decyzji. Ale pamiętaj, że przyjdzie taki moment i będziesz musiała postanowić, w tę czy w tę.

– Zrozumiałam. – Staralam się łagodnie przerwać ten płynący z dobrego serca monolog. – Marino, nie siedź całą noc.



Urząd koronera mieścił się pod numerem 3 przy Store Street, naprzeciwko Custom House i dworca autobusowego, niedaleko doków i rzeki Liffey. Mały, stary budynek zbudowany był z cegły, a uliczkę prowadzącą na jego tyły zagradała ciężka, czarna brama z napisem PROSEKTORIUM, wymalowanym białymi literami. Weszłam po schodkach, naciśnęłam dzwonek i czekałam we mgle. Wtorkowy poranek był chłodny, a drzewa zaczynały już wyglądać jesiennie. Czułam teraz niewyspanie. Piekły mnie oczy, w głowie miałam pustkę i niepokoiło mnie tylko to, co powiedział Marino, zanim się wyłączyłam.

– Dzień dobry, doktor Scarpetta – powiedział radośnie administrator, który mnie wpuścił. – Jak się pani dziś miewa?

Nazywał się Jimmy Shaw, był bardzo młodym Irlandczykiem, z burzą miedzianych włosów i oczami błękitnymi jak niebo.

– Bywało lepiej – przyznałam.

– Właśnie gotuję wodę na herbatę – powiedział, zamykając drzwi. Znaleźliśmy się w wąskim, słabo oświetlonym korytarzu, prowadzącym do jego pokoju. – Chyba się pani napije.

– Z rozkoszą, Jimmy.

– Jeśli idzie o naszą panią doktor, powinna zaraz skończyć oficjalne przesłuchanie. – Spojrzał na zegarek, gdy wchodziliśmy do zagraconego pomieszczenia. – Będzie lada moment.

Poczesne miejsce na jego biurku zajmowała olbrzymia księga Rozprawy Koronera, oprawna w czarną skórę. Tuż przed moim przyjściem Jimmy czytał zapewne biografię Steve’a McQueena i jadł grzanki. Natychmiast ustawił przede mną kubek z herbatą, nie pytając, z czym piję, bo już wiedział.

– Może grzankę z dżemem? – spytał, jak codziennie.

– Nie, dziękuję, jadłam w hotelu – odpowiedziałam jak zwykle, gdy siadał już za biurkiem.

– Mnie by to nie przeszkadzało zjeść. – Uśmiechnął się, nakładając okulary. – Sprawdźmy jeszcze pani program. Wykład o jedenastej, a później następny o trzynastej. Oba w college’u, w starym budynku patologii. Spodziewamy się około siedemdziesięciu pięciu studentów na każdym, ale może być i więcej. Nie wiem. Jest pani tu szalenie popularna, doktor Kay Scarpetta – oznajmił radośnie. – A może amerykańska przestępczość jest dla nas taka egzotyczna.

– To raczej jakąś zarazę można nazwać egzotyczną – powiedziałam.

– Trudno, wciąż nas fascynuje to, co pani widzi.

– A mnie to trochę martwi – powiedziałam tonem przyjacielskim, ale poważnym. – Nie fascynujcie się za bardzo.

Przerwał nam dźwięk telefonu. Złapał za słuchawkę z niecierpliwością człowieka, który musi to robić zbyt często. Słuchał przez moment, w końcu

odpowiedział szorstko: – Dobrze, dobrze. Nie możemy takiego zamówienia złożyć tak od ręki. Oddzwonię za jakiś czas. – Odłożył słuchawkę. – Upominałem się o komputery od lat – poskarżył się. – Ciągłe brak tych cholernych pieniędzy, jak się jest pieskiem, którym macha socjalistyczny ogon.

– Nigdy nie będzie dosyć pieniędzy. Umarli nie głosują.

– Święta racja. Więc jaki jest dzisiejszy temat? – dopytywał się.

– Zabójstwa na tle seksualnym – odpowiedziałam. – Zwłaszcza rola, jaką tu odgrywa DNA.

– A te rozczłonkowania zwłok, którymi się pani interesowała – łyknął herbaty. – Uważa pani, że są na tle seksualnym? To znaczy, taka była motywacja tego, kto to zrobił? – spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Z pewnością jest pewien element – odpowiedziałam.

– Ale skąd może to pani wiedzieć, jeśli żadna z ofiar nie została zidentyfikowana? Czy nie może być to ktoś, kto zabija dla sportu? Jak na przykład ten pani Syn Sama?

– To, co robił Syn Sama, miało element seksualny – wyjaśniłam, rozglądając się za swą przyjaciółką. – Nie wie pan, jak długo to jeszcze może potrwać? Trochę się śpieszę.

Shaw znów spojrzał na zegarek.

– Może pani sprawdzić. A może poszła wprost do prosektorium. Mieli tam przywieźć przypadek. Młody mężczyzna, podejrzenie o samobójstwo.

– Spróbuję ją znaleźć.

Wstałam. Za załomkiem korytarza mieściła się sala rozpraw koronera, gdzie prowadzono przed sędziami przysięgłymi sprawy nienaturalnych zgonów. Chodziło o wypadki drogowe i przemysłowe, zabójstwa i samobójstwa, postępowania prowadzono za zamkniętymi drzwiami, gdyż prasa w Irlandii nie mogła publikować wszystkich szczegółów. Zajrzałam

do ponurego, chłodnego pokoju z polakierowanymi ławkami i gołymi ścianami, i znalazłam tam kilku panów, pakujących do teczek dokumenty.

– Szukam koronera – powiedziałam.

– Wyszła ze dwadzieścia minut temu. Chyba miała jakiś przypadek do obejrzenia – odparł jeden z nich.

Opuściłam budynek tylnym wyjściem. Przeszłam przez mały parking i skierowałam się do prosektorium, z którego właśnie wyszedł jakiś staruszek. Wydawał się zagubiony, oszołomiony, gdy tak rozglądał się niepewnie dookoła. Spojrzał na mnie, jakby szukając odpowiedzi, a ja poczułam wielki żal. Cokolwiek go tu sprowadziło, z pewnością nie było miłe. Popatrzyłam, jak spieszy się w stronę bramy, a w tym momencie pojawiła się za nim doktor Margaret Foley, z rozwianymi siwymi włosami.

– O Boże! – Omal na mnie nie wpadła. – Odwróciłam się na minutę, a jego już nie było.

Mężczyzna otworzył bramę i wybiegł, zostawiając ją otwartą. Margaret potruchtała przez parking, żeby zamknąć bramę, a kiedy szła ku mnie, była zdyszana i potknęła się, omal się nie przewracając.

– Kay, wcześniej jesteś na nogach – powiedziała.

– Rodzina? – spytałam.

– Ojciec. Wyszedł bez zidentyfikowania go, nim zdążyłam z powrotem naciągnąć prześcieradło. To mi zepsuje resztę dnia.

Wprowadziła mnie do małej, ceglanej kostnicy, z białymi, porcelanowymi stołami sekcyjnymi, których miejsce dawno było w muzeum medycyny, i starym żelaznym piecem, który od dawna niczego już nie ogrzewał. W pomieszczeniu było bardzo zimno i brakowało tu jakichkolwiek współczesnych urządzeń, poza elektrycznymi piłami do sekcji. Przez matowe świetliki sączyło się wątle, szare światło, padając na

białe papierowe prześcieradło, okrywające ciało, którego ojciec nie był w stanie obejrzeć.

– To jest zawsze najtrudniejsze – powiedziała. – Nikt nie powinien tu nikogo oglądać.

Poszłam za nią do małego magazynku i pomogłam jej wyciągnąć pudełka z nowymi strzykawkami, maskami i rękawiczkami.

– Powiesił się na belkach w stodole – opowiadała podczas pracy. – Był leczony z powodu problemów alkoholowych i depresji. Ciągłe to samo. Bezrobocie, kobiety, narkotyki. Wieszają się albo skaczą z mostu. – Spojrzała na mnie. – Dzięki Bogu, nie mam do czynienia z bronią, zwłaszcza że nie ma tu rentgena.

Foley była drobną kobietą w staromodnych okularach o grubych szklach, mającą upodobanie do tweedów. Poznałyśmy się wiele lat temu na międzynarodowej konferencji medycyny sądowej w Wiedniu, kiedy kobiety były jeszcze rzadkością w tym zawodzie, zwłaszcza w Europie. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy.

– Margaret, będę musiała wracać do Stanów szybciej, niż planowałam – powiedziałam, biorąc głęboki oddech i patrząc na nią trochę nieprzytomnie. – Prawie nie spałam dzisiaj.

Zapaliła papierosa, przyglądając mi się dokładnie.

– Mogę ci dać kopie wszystkich dokumentów, jakie chcesz. Zdjęcia będą za kilka dni, ale mogę je przesłać.

– Zawsze trzeba się śpieszyć, jak ktoś taki jest na wolności – powiedziałam.

– Wcale się nie cieszę, że teraz to twój problem. A już myślałam, że po tylu latach się wycofał, cholernik. – Strzepnęła popiół ze złością i zaciągnęła się głęboko mocnym angielskim papierosem. – Siądźmy sobie

na chwilę. Już mi nogi opuchły. Strasznie ciężko się starzeć na tych piekielnie zimnych, twardych posadzkach.

Miejszem wypoczynku były dwa drewniane stołki w kącie, gdzie Margaret trzymała popielniczkę. Ułożyła nogi na skrzynce, oddając się swemu nałogowi.

– Nigdy nie zapomnę tych biednych ludzi. – Znów mówiła o seryjnych zabójstwach. – Kiedy przywieziono pierwszych, myślałam, że to IRA. Nigdy nie widziałam tak poszarpanych ciał, chyba że od bomby.

Przypomniało mi to Marka i to nie tak, jakbym chciała. Przypomniałam sobie czasy, kiedy żył i byliśmy zakochani. Zobaczyłam go uśmiechniętego, z tym łobuzerskim błyskiem w oczach, które elektryzowały, gdy się śmiał i żartował. Było tego sporo na studiach prawniczych w Georgetown – zabaw, sprzeczek i nieprzespanych nocy, bo nie mogliśmy się sobą nasycić. Później poślubiliśmy inne osoby, porozwodziliśmy się i próbowaliśmy znowu. Był moim motywem przewodnim: pojawiał się i znikał, telefonicznie albo przed moimi drzwiami, łamiąc mi serce i niszcząc łóżko.

Nie potrafiłam go przepędzić. Wciąż nie mogę uwierzyć, że wybuch bomby na stacji kolejowej w Londynie zakończył nasz burzliwy związek. Nie wyobrażałam go sobie martwego. Nie mogłam sobie tego uświadomić, bo nie pozostał mi żaden ostatni obraz, który zapewniłby spokój. Nie widziałam jego ciała, uciekłam od takiej możliwości, podobnie jak ten stary dublińczyk, który nie chciał oglądać swego syna. Zorientowałam się, że Margaret coś do mnie mówi.

– Przepraszam – powtórzyła, patrząc smutno, gdyż znała moją historię. – Nie chciałam ci przypominać bolesnych spraw. I tak jesteś wystarczająco sina dziś rano.

– Zwróciłaś mi uwagę na coś ważnego – starałam się być dzielna. – Podejrzewam, że zabójca, którego szukamy, wygląda na jakiegoś

„bombiarza”. Nie obchodzi go, kogo zabija. Jego ofiary to ludzie bez twarzy i bez nazwisk. Są tylko symbolami jego przekonań, jego prywatnego zła.

– Czy bardzo byłoby ci przykro, gdybym chciała się dowiedzieć czegoś na temat Marka? – zapytała.

– Pytaj, o co chcesz – uśmiechnęłam się. – I tak byś to zrobiła.

– Czy byłaś tam kiedykolwiek, odwiedziłaś miejsce, gdzie zginął?

– Nie wiem, gdzie się to stało – odpowiedziałam szybko.

Patrzyła na mnie, wciąż paląc.

– Chodzi o to, że nie wiem dokładnie, w którym miejscu na dworcu – odpowiadałam wykrętnie, omal się nie jękając. Dalej nic nie mówiła, przygasiła tylko papierosa podeszwą. – Właściwie – ciągnęłam – nie pamiętam, czy w ogóle byłam od jego śmierci na stacji Victoria. Chyba nie przyjeżdżałam ani nie odjeżdżałam żadnym pociągiem stamtąd. Ostatnio byłam na stacji Waterloo.

– Jedyne miejsce zbrodni, jakiego nie odwiedzi słynna doktor Kay Scarpetta. – Wyjęła następnego papierosa z paczki consulate’ów. – Chcesz także?

– Boże, jak bym chciała. Ale nie mogę.

Westchnęła.

– Pamiętam Wiedeń. Ci wszyscy faceci i my dwie, palące więcej niż oni.

– Pewnie tyle paliłyśmy właśnie z powodu tych facetów – powiedziałam.

– Może to i racja, ale dla mnie już nie ma lekarstwa. To tylko dowodzi, że to, co robimy, nie ma związku z tym, co wiemy, a w naszych uczuciach brak rozsądku. – Pomachała zapalką. – Widziałam płuca palaczy i widziałam marskie wątroby.

– Moje płuca są lepsze, odkąd rzuciłam palenie, ale za wątrobę nie ręczę
– powiedziałam. – Whisky jeszcze nie rzuciłam.

– Nie rób tego, na miłość boską. Co z ciebie będzie za towarzystwo. –
Przerwała, dodając: – Ale uczuciami można kierować, kształcić je, żeby nie
działały przeciwko nam.

– Chyba jutro wyjadę – wróciłam do tematu.

– Będziesz musiała najpierw polecieć do Londynu, żeby tam przesiąść
się na inny samolot. – Spojrzała mi w oczy. – Zatrzymaj się. Na jeden
dzień.

– Słucham?

– To niezakończona sprawa, Kay. Czułam to od dawna. Musisz
pogrzebać Marka Jamesa.

– Margaret, co ci nagle przyszło do głowy? – znów z trudem
wymawiałam słowa.

– Wiem, kiedy ktoś ucieka. A ty wciąż uciekasz, tak samo jak ten
zabójca.

– Bardzo pocieszające – odpowiedziałam i chciałam zakończyć tę
rozmowę.

Ale tym razem nie dała za wygraną.

– Z bardzo różnych powodów, ale i z podobnych. On jest złem, ty nie.
Ale żadne z was nie chce się dać złapać.

Wiedziała, że nareszcie mnie przyszpiliła.

– A kto albo co, twoim zdaniem, próbuje mnie złapać? – powiedziałam
to lekko, ale czułam, że mogę się rozplakać.

– Na obecnym etapie to chyba Benton Wesley.

Popatrzyłam gdzieś w bok, poza zwój, z którego wystawała blada stopa
z przywieszoną tabliczką. Słońce sączyło się z góry pasmami, oddzielanymi

przez płynące po niebie chmury. Z kafelków i posadzki dochodziła mnie stuletnia woń śmierci.

– Kay, co chcesz zrobić? – usłyszałam jej łagodny głos, gdy ocierałam oczy.

– On chce się ze mną ożenić – odpowiedziałam.



Poleciałam do Richmondu, do domu, a dni przechodziły w tygodnie i stawały się coraz chłodniejsze. Poranki bywały mroźne, wieczory spędzałam przed kominkiem, rozmyślając i martwiąc się. Było tyle spraw nierozwiązanych i niedomówionych, a ja pogrążałam się coraz bardziej w labiryncie swych działań zawodowych i nie potrafiłam znaleźć wyjścia. Moja sekretarka się wściekała.

– Jest doktor Scarpetta? – usłyszałam, że woła moje nazwisko, idąc głośno i zamaszyście po wyłożonej płytkami podłodze w części prosektoryjnej.

– Jestem tutaj – odkrzyknęłam poprzez szumiącą z kranu wodę.

Był 30 października. Myłam się mydłem antybakteryjnym w szatni prosektorium.

– Gdzie się pani podziewała? – spytała Rose, wchodząc.

– Pracowałam nad mózgiem. Ta nagła śmierć, z wczoraj.

Trzymała mój kalendarz i przewracała strony. Miała siwe włosy, starannie upięte z tyłu, i była ubrana w ciemnoczerwony kostium, co chyba doskonale oddawało jej obecny nastrój. Rose była na mnie ciężko obrażona od czasu, gdy wyjechałam do Dublina bez pożegnania. A po powrocie zapomniałam o jej urodzinach. Zakręciłam wodę i osuszyłam ręce.

– Opuchlizna, z poszerzeniem zwojów mózgu, zwężenie rowków, wszystko odpowiada niedokrwiennej encefalopatii, spowodowanej poważnym obniżeniem ciśnienia tętniczego – wyrecytowałam.

– Staralam się panią odnaleźć – powiedziała, usiłując zachować cierpliwość.

– Co przeskrobałam tym razem? – podniosłam rękę.

– Miała pani być na obiedzie z Jonem w „Czaszce i Kościach”.

– O Boże! – jęknęłam, myśląc o nim i o innych konsultantach szkół medycznych, z którymi tak rzadko miałam czas się spotykać.

– Przypominałam pani dziś rano. W zeszłym tygodniu też pani o nim zapomniała. Chce tylko porozmawiać o swoim stażu i o klinice w Cleveland.

– Wiem, wiem. – Było mi strasznie głupio, gdy spojrzałam na zegarek. – Jest wpół do drugiej. Może mógłby przyjść do mojego gabinetu na kawę?

– Składa pani zeznanie o drugiej, o trzeciej konferencja na temat sprawy z południowego Norfolku. Wykład w Akademii Nauk Sądowych na temat ran postrzałowych o czwartej, a o piątej spotkanie z detektywem Ringiem z policji stanowej. – Rose dojechała do końca listy.

Nie lubiłam Ringa ani jego agresywnego sposobu przejmowania spraw. Kiedy odnaleziono drugi tułów, wepchnął się w śledztwo i wydawało mu się, że wie więcej niż FBI.

– Obejdę się bez Ringa – powiedziałam krótko.

Sekretarka patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę. W pomieszczeniu obok słychać było kapiącą wodę.

– Odwołam go, a zamiast niego może się pani spotkać z Jonem. – Spojrzała na mnie znad okularów jak surowa dyrektorka szkoły. – Następnie odpoczynek. I to jest rozkaz. Jutro, pani doktor. Niech pani nie przychodzi. Niech pani nie śmie nawet mi się pokazać w drzwiach.

Zacząłam protestować, ale mi przerwała.

– Niech pani nie próbuje się spierać – ciągnęła twardo. – Potrzebuje pani dnia dla zdrowia psychicznego. Długiego weekendu. Nie mówiłabym tak, gdybym nie uważała tego za konieczne.

Miała rację i kiedy pomyślałam o całym dniu dla siebie, zrobiło mi się lżej.

– Nie ma tu niczego, czego nie mogłabym przełożyć – dodała. – Poza tym – uśmiechnęła się – mamy mieć trochę babiego lata, ma być pięknie, temperatura powyżej dwudziestu stopni, i słonecznie. Liście są akurat najpiękniejsze, topole idealnie żółte. Klony wyglądają jak w ogniu. Nie mówiąc o tym, że jest Halloween. Może pani powycinać dynię.

Wyjęłam z szafki zakiet od kostiumu i buty.

– Powinnaś zostać adwokatem – powiedziałam.

Następnego dnia pogoda była dokładnie taka, jak przepowiadała Rose, i wstałam z radością. Ponieważ otwierali już sklepy, pojechałam kupić zapasy na kolację i poczęstunki dla dzieci, chodzących po domach w Halloween, a potem dalej, na Hull Street, do mojego ulubionego centrum ogrodniczego. Letnie rośliny koło domu dawno już uschły i nie mogłam znieść widoku suchych badyli w doniczkach. Po obiedzie wyniosłam na ganek worki z ziemią, skrzynki z roślinami i polewaczkę.

Otworzyłam drzwi, żeby słyszeć dochodzące z domu dźwięki muzyki Mozarta, i sadiłam bratki w świeżej ziemi. Chleb rósł przed pieczeniem, na kuchence bulgotał gulasz, rozchodziła się woń czosnku, wina i gliniastej ziemi. Marino miał przyjść na kolację i mieliśmy rozdawać czekoladki moim małym sąsiadom. Świat wydawał się piękny aż do piętnastej trzydziści pięć, kiedy poczułam drgania pagera, który miałam przy pasie.

– Cholera – zakląłam, gdy ukazał się na nim numer mojej centrali.

Weszłam do domu, umyłam ręce i odebrałam telefon. Podano mi numer detektywa Grigga z Departamentu Szeryfa hrabstwa Sussex. Zadzwoiłam natychmiast.

– Grigg – odezwał się głęboki męski głos.

– Mówi doktor Scarpetta – powiedziałam, patrząc z żalem na duże donice na tarasie, a w nich zwiędłe hibiscusy.

– Och, dziękuję, że pani tak szybko oddzwoniła. Dzwonię tu z komórkowego i nie chcę za dużo mówić. – Mówił w rytmie starego południowca, nie śpiesząc się zbytnio.

– A gdzie to jest tutaj? – spytałam.

– Wysypisko śmieci Atlantic przy Reeves Road, od 460 Wschodniej. Znaleźli coś, co pani pewnie będzie chciała zobaczyć.

– Czy to jest takie samo, jak pojawiło się w innych takich miejscach? – spytałam tajemniczo, a dzień od razu wydał mi się bardziej ponury.

– Obawiam się, że tak właśnie wygląda – odpowiedział.

– Proszę mi podać namiary i zaraz ruszam.

Byłam w brudnych spodniach khaki i koszulce FBI, którą dostałam od mojej siostrzenicy, Lucy, ale nie miałam czasu na przebieranie. Jeśli nie zobaczę ciała, zanim się ściemni, będzie musiało tam leżeć do rana, a to byłoby niedopuszczalne. Złapałam swoją torbę lekarską i wybiegłam, pozostawiając ziemię i sadzonki rozsypane na ganku. Oczywiście w moim czarnym mercedesie kończyła się benzyna, więc musiałam zatrzymać się w Amoco, żeby zatankować, i pojechałam dalej. Droga powinna była zabrać mi godzinę, ale bardzo się śpieszyłam. Przygasające słońce oświetlało na biało spody liści. Na farmach i w ogrodach widać było rzędy brązowej kukurydzy. Na polach falowało zielone morze soi, a kozy pasły się swobodnie w ogródkach starych domków. Z każdego wzniesienia i zakątka wystawały ozdobne piorunochrony z kolorowymi kulkami i zastanawiałam się, jakiemu to handlarzowi udało się wzbudzić w ludziach taki strach i namówić ich na kupno takiej ilości.

Wkrótce zobaczyłam elewatory zbożowe, o których mówił mi Grigg. Skręciłam w Reeves Road, minęłam domki z cegły i osiedle przyczep kempingowych, pełne półciężarówek i psów bez obroży. Na olbrzymich tablicach reklamowano Mountain Dew i Virginia Diner. Nagłe wjechałam na szyny kolejowe i spod opon jak dym wzbił się czerwony pył. Przedemną, na drodze, mysołowy łapały stworzonka, które nie zdołały im uciec, i wyglądało to na dosyć ponury omen. Przy wjeździe do wysypiska śmieci Atlantic zwolniłam i zatrzymałam się, patrząc na księżycowy krajobraz jałowej ziemi, nad którą zachodziło słońce jak płonąca planeta. Białe i lśniące wypolerowanym chromem śmieciary przesuwwały się z trudem

wśród rosnących gór śmieci. Żółte gąsienice atakowały je jak skorpiony. Od strony wysypiska zbliżała się w moją stronę chmura kurzu, w której dopiero z bliska rozpoznałam czerwonego forda explorera, kierowanego przez młodego człowieka, który wyraźnie czuł się tu jak u siebie.

– Czy mogę pani pomóc? – spytał, zaciągając jak południowiec. Wydawał się podenerwowany.

– Jestem doktor Kay Scarpetta – odpowiedziałam, wyjmując z torebki mosiężną odznakę, którą zawsze okazywałam w miejscach, gdzie nikogo nie znałam. Popatrzył na moje identyfikatory, po czym spojrzał na mnie swymi ciemnymi oczami. Pocił się pod drelichową koszulą, miał też wilgotne włosy, szyję i skronie.

– Mówili, że ma przyjechać koroner i mam na niego czekać.

– No, to chodziło o mnie – powiedziałam słodko.

– Ach, oczywiście, proszę pani... Nie chciałem... – umilkł i spojrzał na mojego mercedesa, tak zakurzonego, iż wydawało się, że nic go już nie oczyści. – Proponuję, aby pani tu zostawiła samochód i pojechała ze mną – dodał.

Popatrzyłam na wysypisko, na olbrzymie koparki na gąsienicach, z ostrymi łopatkami i pustymi łyżkami, stojące nieruchomo na szczycie. W miejscu gdzie czekała na mnie robota, stały już dwa nieoznakowane wozy policyjne i karetka. Policjanci, zebrani wokół ciężarówki, mniejszej niż pozostałe, wyglądali stąd jak małe figurki. W pobliżu ktoś grzebał patykiem w ziemi i nagle ogarnęło mnie zniecierpliwienie, aby już jak najprędzej znaleźć się obok ciała.

– Dobra – powiedziałam. – Zróbmy tak.

Zaparkowałam samochód i wyjęłam z niego torbę lekarską i ubranie robocze. Młody człowiek patrzył w milczeniu, zdumiony, kiedy siadłam w swoim samochodzie, przy otwartych drzwiach, i zaczęłam wciągać stare

gumiaki, zniszczone po tylu latach brodzenia po lasach i rzekach, do ludzi zamordowanych lub utopionych. Okryłam się dużą, dżinsową koszulą, jaką odziedziczyłam po moim byłym mężu, Tonym, w małżeństwie, które teraz już wydawało się nierealne. Wsiadłam do explorera i osłoniłam ręce dwiema warstwami rękawic. Maską chirurgiczną wisiała na razie na szyi.

– Nie dziwię się pani – powiedział mój kierowca. – Śmierdzi tam strasznie.

– Nie chodzi o to – odpowiedziałam. – Chodzi o drobnoustroje.

– O rany – zdenerwował się. – To może ja też powinienem coś takiego włożyć.

– Pan nie powinien tak blisko podchodzić, żeby mieć problemy.

Nie odpowiedział, a ja byłam pewna, że już podchodził za blisko. Dla większości ludzi takie widoki stanowiły zbyt wielką pokusę, żeby się jej oprzeć. A im okropniejszy widok, tym ciekawszy.

– Przepraszam za ten kurz – powiedział, gdy przejeżdżaliśmy przez gęsto rosnące dziewanny wokół małego zbiornika przeciwpożarowego, zamieszkanego przez kaczki. – Jak pani widzi, wyłożyliśmy wszystko szczątkami opon, a polewaczka to często polewa wodą, ale niewiele pomaga. – Przerwał na chwilę, po czym ciągnął nerwowo. – Mamy tu dziennie trzy tysiące ton śmieci.

– Skąd? – spytałam.

– Z Littleton, Północnej Karoliny, aż do Chicago.

– A z Bostonu? – Zapytałam o to, bo pierwsze cztery przypadki były podobno stamtąd.

– Nie, proszę pani. – Potrząsnął głową. – Może kiedyś. Bierzymy tu o wiele mniej za tonę. Dwadzieścia pięć dolarów, podczas gdy w New Jersey sześćdziesiąt dziewięć, a w Nowym Jorku osiemdziesiąt. Poza tym

utylizujemy, robimy testy na szkodliwe odpadki, zbieramy metan z rozkładających się śmieci.

– A w jakich godzinach?

– Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu – odpowiedział z dumą.

– A macie jakąś możliwość, żeby dojść do tego, która śmieciara skąd przyjeżdża?

– System satelitarny, monitorujący wysypisko. Możemy pani powiedzieć, które śmieciary wyrzuciły śmieci w określonym czasie na teren, gdzie zostało znalezione ciało. – Rozjechaliśmy głęboką kałużę koło Porta-Johns, gdzie obmywano wężem ciężarówkę, wyjeżdżającą z wysypiska na prawdziwe drogi i szosy. – Nigdy jeszcze czegoś takiego nie mieliśmy – dodał. – Owszem, znajdowali części ciała na wysypisku Shoosmith, a w każdym razie ludzie tak mówią.

Popatrzył na mnie, sądząc, że zweryfikuję te pogłoski. Ale nie zrobiłam tego, a nasz explorer wjechał właśnie w błoto, leżące na nawierzchni ze skrawków opon, i do środka wdarł się kwaśny odór rozkładających się śmieci. Zwróciłam uwagę na małą ciężarówkę, którą obserwowałam od przyjazdu tutaj, a myśli moje wędrowały wokół tysiąca różnych spraw.

– Aha, nazywam się Keith Pleasants – otarł rękę o spodnie i wyciągnął ją do mnie. – Miło panią poznać.

Podaliśmy mu dziwnie wygiętą rękę w rękawicy. Zatrzymaliśmy się, obserwowani przez ludzi, trzymających przy nosach chusteczki i jakieś szmatki. Było ich czterech, zebranych wokół hydraulicznej pakowaczki, która opróżniała śmieciary i zginała śmieci. Na drzwiach widniał napis: Cole's Trucking Inc.

– Ten facet, który grzebie patykiem w śmieciach, to detektyw dla Sussex – wyjaśnił Pleasants.

Był starszy, bez marynarki, z rewolwerem na biodrach. Wydało mi się, że gdzieś go już widziałam.

– Grigg? – zgałam, przypominając sobie detektywa, z którym rozmawiałam przez telefon.

– Tak. – Po twarzy Pleasantsa spływał pot i denerwował się coraz bardziej. – Wie pani, nigdy nie miałem nic wspólnego z urzędem szeryfa, nawet nigdy mandatu nie płaciłem.

Prawie nic nie widziałam przez unoszący się pył. Pleasants chwycił za klamkę.

– Niech pan chwilkę zaczeka – powiedziałam.

Czekałam, aż pył opadnie, patrząc przez szybę, jak zwykle, gdy zbliżałam się do miejsca zbrodni. Łopata ładowarki zamarła w powietrzu nad pełną skrzynią. Wszędzie dookoła na wysypisku wrzała praca i warczały dieslowskie silniki. Patrzyłam na ogromne białe pojazdy, wspinające się na zwały śmieci, jak kociska chwytając je pazurami, by następnie zgnieść i rozdrobnić specjalnymi kołami.

Sanitariusze, siedzący w klimatyzowanej karetce, patrzyli na mnie przez zakurzoną szybę, czekając, co zrobię. Kiedy zobaczyli, że zakładam maskę chirurgiczną na nos i usta i wychodzę, wyszli również. Zatrzasnęli drzwiczki. Detektyw natychmiast do mnie podszedł.

– Detektyw Grigg, Urząd Szeryfa, Sussex – powiedział. – To ja do pani dzwoniłem.

– Czy pan był tu cały czas? – spytałam.

– Tak, proszę pani, odkąd nas o tym zawiadomiono, około godziny trzynastej. Byłem tu dopilnować, żeby niczego nie ruszano.

– Przepraszam – zapytał jeden z sanitariuszy – czy pani nas będzie teraz potrzebowała?

– Za jakieś piętnaście minut. Ktoś po was przyjdzie. – Natychmiast ruszyli z powrotem do karetki. – Potrzebuję tu trochę miejsca – powiedziałam do pozostałych obecnych.

Ludzie się rozsunęli, odsłaniając to, czego pilnowali i na co się gapili. W zachodzącym świetle jesiennego popołudnia ciało było nienaturalnie blade. Korpus stanowił ohydny kikut, wygrzebany ze śmieci i odwrócony na plecy. Wyglądał na rasę kaukaską, ale nie byłam pewna, a z powodu robaków kłębiących się w okolicy genitaliów nie mogłam na pierwszy rzut oka określić płci ani nawet powiedzieć z pewnością, czy był przed okresem dojrzewania, czy po. Poziom tkanki tłuszczowej zdecydowanie poniżej normy, żebra wystawały poniżej płaskich piersi, o których trudno było powiedzieć, czy należały do mężczyzny, czy kobiety.

Przykucnęłam i otworzyłam torbę lekarską. Pęsetą zebrałam robaki do słoika, żeby dać do zbadania entomologowi, i po przyjrzeniu się stwierdziłam, że ofiarą była kobieta. Głowa została odcięta nisko, przy kręgosłupie szyjnym, obcięte ręce i nogi. Kikuty były suche i ciemne ze starości i wiedziałam od razu, że ten przypadek różni się od pozostałych. Kończyny tej kobiety zostały odłączone przez przecięcie kości ramiennych i kości udowych, poniżej stawów. Kiedy wyjmowałam skalpel, czułam na sobie spojrzenia ludzi. Zrobiłam małe nacięcie na ciele i wsunęłam w nie długi, chemiczny termometr. Drugi termometr umieściłam na torbie.

– Co pani robi? – zapytał człowiek w koszuli w kratę i czapce bejsbolówce, który wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Muszę zmierzyć temperaturę ciała, żeby określić czas zgonu. Najdokładniejsza jest temperatura wewnątrz wątroby – wyjaśniałam cierpliwie. – I muszę też znać temperaturę panującą tutaj.

– Wysoka, to na pewno – powiedział inny. – Więc to kobieta?

– Za wcześnie, żeby o tym mówić – odpowiedziałam. – Czy to pana śmieciara?

– Taa. – Był młody, z ciemnymi oczami i bardzo białymi zębami, a na palcach miał tatuaże, co kojarzy mi się zwykle z ludźmi, którzy byli w więzieniu. Wokół głowy miał przewiazaną przepoconą bandanę. Nie mógł patrzeć dłużej na korpus, nie odwracając głowy. – W nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze – dodał, kręcąc głową ze złością.

– Dlaczego? – Grigg spojrział na niego.

– To nie z mojej. Wiem to – stwierdził kierowca, jakby to było najważniejsze oświadczenie w jego życiu. – Kopara to wykopała, kiedy ja wyrzucałem swoje.

– A więc nie wiemy, kiedy to zostało tu rzucone? – spojrzałam po twarzach wokół siebie.

Odpowiedział mi Pleasants: – Dwadzieścia trzy ciężarówki wyładowano w tym miejscu od dziesiątej rano, nie licząc tej. – Spojrział na kierowcę.

– Dlaczego akurat od dziesiątej? – zapytałam, gdyż wydało mi się, że godzinę określono dość arbitralnie, aby od tego momentu zacząć liczyć ciężarówki.

– Bo wtedy ułożyliśmy ostatnią warstwę ze skrawków opon, więc nie mogło być wyrzucone wcześniej – tłumaczył Pleasants, patrząc na ciało. – Moim zdaniem nie mogło tu długo leżeć. Nie wygląda na to, żeby przejechała po nim pięćdziesięcotonowa prasowaczka z ostrymi łopatkami ani nawet ciężarówki czy spychacze.

Spojrzał na teren wysypiska, gdzie olbrzymie maszyny zgniatały i spychały tony śmieci. Kierowca ciężarówki denerwował się coraz bardziej.

– Te maszyny – dodał Pleasants – prawie nigdy nie przestają pracować.

Popatrzyłam na jaskrawożółtą ładowarkę z pustą kabiną. Z uniesionego czerpaka powiewały strzępy czarnej torby na śmieci.

– A gdzie jest kierowca tej ładowarki? – spytałam.

Pleasants zawahał się, nim odpowiedział.

– To chyba ja. Ktoś nam zachorował i poproszono mnie, żebym go zastąpił.

Grigg podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się resztkom torby, powiewającym w gorącym powietrzu.

– Proszę mi powiedzieć, co pan zobaczył – zwróciłam się do Pleasantsa.

– Niewiele. Rozładowywałem go – wskazał głową na kierowcę – i mój czerpak złapał czarną torbę, tę, którą tam widać. Rozerwała się i ciało wypadło tam, gdzie teraz leży. – Przerwał, ocierając twarz rękawem i opędzając się od much.

– Ale nie wie pan na pewno, skąd pochodziło? – próbowałam dalej, a Grigg się przysłuchiwał, chociaż prawdopodobnie miał już ich zeznania.

– Mogłem je wykopać – zastanawiał się Pleasants. – Nie jest to niemożliwe, ale po prostu uważam, że tak nie było.

– To dlatego że chcesz, żeby tak nie było – włączył się kierowca.

– Wiem, co uważam – Pleasants nie dał się zdenerwować. – Czerpak złapał ją z twojej skrzyni, kiedy ją wyładowywałem.

– Człowieku, ale nie wiesz na pewno, że to z mojej skrzyni – kierowca nie dawał za wygraną.

– Nie wiem na pewno, ale to się wydaje sensowne.

– Może tobie – twarz kierowcy przybrała groźny wyraz.

– Dobra, chłopaki, to by było na tyle – Grigg przysunął się do nich, przypominając swą obecnością, że to on jest duży i ma broń.

– Ma pan rację. Dostyc mam tego gówna – powiedział kierowca. – Kiedy mogę stąd wyjechać? Już jestem spóźniony.

– Takie sprawy są dla wszystkich kłopotliwe – Grigg spojrzał na niego ostro.

Przewracając oczami, kierowca zaklął pod nosem i odszedł, zapalając papierosa.

Wyjęłam termometr z ciała i przyjrzałam się. Temperatura wnętrza wynosiła dwadzieścia osiem stopni, podobnie jak temperatura otoczenia. Odwróciłam korpus na drugą stronę, żeby zobaczyć, co jeszcze tam jest, i wtedy zauważyłam na dolnej części pośladków tajemnicze, wypełnione płynem pęcherzyki. Kiedy zbadałam dokładniej, okazało się, że podobne znajdują się na ramionach i przy udach, na skraju odcięcia.

– Zawińcie ją podwójnie – poleciłam. – Potrzebuję też torby, w której była, wraz ze wszystkim, co było przy niej, i śmieci wokół ciała. Przyślijcie mi to wszystko.

Grigg rozwinął wielki worek na śmieci, włożył wyjęte z kieszeni rękawiczki. Przykucnął i zaczął zgarniać śmieci do torby, podczas gdy sanitariusze otwierali tylne drzwi karetki. Kierowca śmieciary stał oparty o szoferkę i czułam, jak wzbiera w nim wściekłość.

- Skąd przyjechał pana wóz? – spytałam.
- Niech pani zobaczy na tabliczkę – powiedział, skrzywiony.
- Ale gdzie w Wirginii? – nie dawałam się zbyć.
- Okolice Tidewater, proszę pani – pośpieszył z wyjaśnieniem Pleasants.
- Samochód należy do nas. Wiele z nich wynajmujemy.



Biuro wysypiska mieściło się nad zbiornikiem przeciwpożarowym i dziwnie nie pasowało do głośnego, zakurzonego otoczenia. Budynek pokryty był jasnobrzoskwiniowym stiukiem, w skrzynkach na oknach rosły kwiaty, okiennice pomalowano na kremowo, a na drzwiach błyszcząca

mosiężna kołatka w kształcie ananasa. Wewnątrz powitał mnie powiew czystego, chłodnego powietrza, co stanowiło cudowną zmianę i zrozumiałam zaraz, dlaczego detektyw Percy Ring postanowił tu przeprowadzać swoje przesłuchania. Założę się, że nawet nie był w miejscu odnalezienia ciała.

Siedział w pokoju rekreacyjnym, rozmawiając z jakimś starszym mężczyzną, pijąc dietetyczną colę i przeglądając komputerowe diagramy.

– To jest doktor Scarpetta – powiedział Pleasants do Ringa. – Przepraszam, ale nie wiem, jak pani na imię.

Ring uśmiechnął się szeroko i mrugnął: – Pani doktor i ja znamy się od dawna.

Blondyn, w świeżym błękitnym garniturku, sprawiał wrażenie chodzącej niewinności. Ale mnie nigdy na to nie nabrał. Był mocnym w gębie czarusem, z gruntu leniwym, a poza tym zauważyłam, że od chwili gdy on włączył się w sprawę tych przypadków, zaczęły się przecieki do prasy.

– A to pan Kitchen – ciągnął Pleasants – właściciel wysypiska.

Kitchen był prostym człowiekiem, ubranym w dżinsy i wysokie buty, a gdy podawał mi dużą, szorstką dłoń, zauważyłam, że ma smutne, szare oczy.

– Proszę, niech pani siada – powiedział, wysuwając krzesło. – To bardzo, bardzo zły dzień. Zwłaszcza dla tego kogoś, kogo tam znaleźli.

– Zły dzień tej osoby zdarzył się znacznie wcześniej – wtrącił się Ring. – Teraz już nic nie czuje.

– Byłeś już tam? – spytałam.

– Przyjechałem dopiero godzinę temu. A to nie jest miejsce zbrodni, tylko miejsce, gdzie znaleziono ciało – odpowiedział. – Numer pięć. – Otworzył owocowego loda na patyku. – Nie czeka już tak długo, zaledwie dwa miesiące od ostatniego razu.

Jak zwykle poczułam zniecierpliwienie. Ring uwielbiał pochopnie wyciągać wnioski i wypowiadać je z pewnością, jaką może mieć tylko ignorant. Częściowo dlatego, że chciał mieć wyniki bez pracy.

– Jeszcze nie zbadałam ciała i nie ustaliłam płci – powiedziałam w nadziei, że przypomni sobie o obecności innych osób w pokoju. – To nie jest jeszcze pora na formułowanie jakichś założeń.

– Ja państwa zostawiam – powiedział nerwowo Pleasants, zbliżając się do drzwi.

– Potrzebuję pana za godzinę, żeby złożyć oświadczenie – przypomniał mu głośno Ring.

Kitchen milczał, patrząc na diagramy. Wszedł Grigg, skinął nam głową i przysunął sobie krzesło.

– Nie sądzę, żeby to było tylko założenie, jeśli powiem, że mamy tu do czynienia z zabójstwem – powiedział Ring.

– To możemy powiedzieć spokojnie – wytrzymałam jego wzrok.

– I że jest ono takie jak poprzednie.

– A tego nie możemy powiedzieć spokojnie. Nie zbadałam jeszcze ciała – odpowiedziałam.

Kitchen poruszył się nerwowo na krześle.

– Ktoś chce jakiś zimny napój? A może kawy? – spytał. – Toalety są w holu.

– To samo – powiedział Ring, jakby wiedział na pewno. – Kolejny korpus na wysypisku śmieci.

Grigg przyglądał się, pukając nerwowo w notatnik. Pstryknął dwa razy długopisem i powiedział do Ringa: – Zgadzam się z panią doktor. Chyba nie powinniśmy na razie z niczym wiązać tego przypadku. W każdym razie nie publicznie.

– Uchowaj Boże. Niepotrzebna mi taka reklama – odezwał się Kitchen, wzdychając. – Wiecie państwo, w tym interesie człowiek liczy się z tym, że coś takiego może się wydarzyć, zwłaszcza jak przyjmuje się śmieci z Nowego Jorku, New Jersey, Chicago. Ale nigdy nie na twoim podwórku. – Spojrzał na Grigga. – Chciałbym zaoferować nagrodę za pomoc w złapaniu tego, co zrobił taką okropną rzecz. Dziesięć tysięcy dolarów za informację, która doprowadzi do aresztowania.

– To bardzo hojna oferta – Grigg był pod wrażeniem.

– Czy dotyczy też detektywów? – rozpromienił się Ring.

– Wszystko mi jedno, kto to rozwiąże. – Kitchen nie uśmiechał się, zwracając się do mnie. – A teraz proszę mi powiedzieć, co mogę zrobić, żeby pani pomóc.

– Rozumiem, że używacie satelitarnego systemu śledzenia transportów. Czy to oznaczają te diagramy? – spytałam.

– Właśnie je objaśniałem.

Podał mi kilka. Falujące linie wyglądały jak przekroje geologiczne, na których zaznaczono współrzędne.

– To jest obraz wysypiska – wyjaśniał Kitchen. – Możemy robić diagramy co godzinę, co dzień, co tydzień, jeżeli chcemy się zorientować, skąd śmieci się wzięły i gdzie je złożono. Miejsca na mapie można wskazać, używając współrzędnych. – Popukał w papier. – Trochę podobnie jak rysuje się wykresy na geometrii czy algebrze. – Spojrzawszy na mnie, dodał. – Chyba coś z tego pani przecierpiała w szkole?

– Przecierpiała to właściwe słowo – uśmiechnęłam się do niego. – A więc chodzi o to, że może pan zaobserwować, jak wysypisko się zmienia od ładunku do ładunku.

Skinął głową.

– Tak, proszę pani. Do tego się wszystko sprowadza.

– I co pan określił?

Ułożył obok siebie osiem map. Faliste linie były na każdej z nich inne, jak różne zmarszczki na twarzy tej samej osoby.

– Mówiąc z grubsza, każda linia oznacza głębokość – powiedział. – Więc możemy w dużym przybliżeniu określić, który samochód spowodował zmianę linii.

Ring skończył colę i cisnął puszkę do śmieci. Zaczął przerzucać notes, jakby czegoś szukał.

– To ciało nie mogło być zagrzebane głęboko – powiedziałam. – Jest bardzo czyste, biorąc pod uwagę okoliczności. Nie ma obrażeń pośmiertnych, a jak zauważyłam, ładowarki wybierają zawartość ciężarówek, otwierają czerpaki, wyrzucają. Potem rozrzucają śmieci na ziemi i przejeżdża po nich pojazd z ostrzem, żeby je rozdrobnić i zgnieść.

– Prawie tak. – Kitchen spojrział na mnie z zainteresowaniem. – Chce pani robotę?

Miałam przed oczami obrazy maszyn o wyglądzie dinozaurów-robotów, których szpony wbijały się w osłonięte plastikiem paki na ciężarówkach. Znałam dokładnie obrażenia w poprzednich przypadkach, w których szczątki ludzkie były zgniecione i poduczone. Ta ofiara, prócz tego, co zrobił jej morderca, była nietknięta.

– Trudno teraz o dobre kobiety – ciągnął Kitchen.

– Masz rację, bracie – powiedział Ring, a Grigg spojrział na niego z rosnącą niechęcią.

– To chyba słuszna uwaga – powiedział Grigg. – Gdyby ciało leżało tu choćby krótko, byłoby pokiereszowane.

– Pierwsze cztery były – przypomniał Ring. – Sprasowane w kostkę jak stek. – Wbił we mnie wzrok. – A to jest wymagane?

– Ciało nie wygląda na zgniecione – odpowiedziałam urzędowo.

– A to ciekawe – zastanowił się. – Dlaczego nie?

– Nie znalazło się na początku przy stacji transferowej, gdzie śmieci są zgniatane w bele – tłumaczył Kitchen. – Ruszyło w miejscu, które opróżniał spychacz.

– A spychacz nie spycha? – zapytał dramatycznie Ring. – Myślałem, że dlatego one nazywają się spychacze. – Wzruszył ramionami i zaśmiał się do mnie.

– Zależy od tego, gdzie znajdowało się ciało w stosunku do innych śmieci, kiedy je zgniatano – powiedziałam. – Zależy od wielu rzeczy.

– I czy w ogóle było zgniatane, zależy od tego, jak bardzo była wypełniona ciężarówka – znów włączył się Kitchen. – Albo była to ta ostatnia, albo najwyższej jedna z dwóch przed nią, jeśli brać pod uwagę dokładne współrzędne miejsca, gdzie znaleziono ciało.

– Chyba będę chciał się dowiedzieć, jak się nazywają te ciężarówki i skąd są – powiedział Ring. – Musimy przesłuchać kierowców.

– Więc uważasz kierowców za podejrzanych – odpowiedział chłodno Grigg. – Muszę przyznać, że to wyjątkowo oryginalne. Moim zdaniem śmieci nie pochodzą od nich, tylko od ludzi, którzy je wyrzucili. I to wśród nich jest ten, którego szukamy.

Ring patrzył na niego, wcale nie zmieszany.

– Chciałbym usłyszeć, co kierowcy mają do powiedzenia. Nigdy nie wiadomo. To mógłby być dobry sposób, żeby coś ukartować. Rzucasz ciało w miejsce na trasie, a potem ładujesz na swoją ciężarówkę. I nikt cię nie podejrzewa, no?

Grigg odsunął krzesło i rozluźnił kołnierzyk. Wykrzywił szczękę, jakby go bolała. W końcu rzucił notesem o stół i spojrzał z wściekłością na Ringa.

– Pozwolisz, że ja będę się tym zajmował? – powiedział do młodego detektywa. – Nie znoszę wymigiwać się od tego, za co mi płacą w naszym

hrabstwie. A wydaje mi się, że jest to moja sprawa, nie twoja.

– Jestem tu tylko, żeby pomóc – powiedział Ring i znów wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, że potrzebuję pomocy – odparł Grigg.

– Policja stanowa utworzyła wielokompetencyjną jednostkę do sprawy tych zabójstw, kiedy drugi korpus pojawił się w innym hrabstwie niż pierwszy – powiedział Ring. – Późno wszedłeś do tej gry, koleś. Może ci się przyda trochę informacji od kogoś, kto był wcześniej.

Ale Grigg go zlekceważył i zwrócił się do Kitchena: – Ja też chciałbym informację o tych pojazdach.

– To nam bardzo pomoże – powiedziałam, wstając od stołu. – Im prędzej pan to może zrobić, tym lepiej.

– O której będziesz jutro się tym zajmować? – spytał mnie Ring, dalej siedząc, jakby w życiu było niewiele do zrobienia i bardzo dużo czasu.

– Czy chodzi ci o sekcję?

– No pewnie.

– Może nie otworzę tego jeszcze przez kilka dni.

– A dlaczego?

– Najważniejsze jest badanie zewnętrzne. Zajmie mi to bardzo dużo czasu. – Zauważyłam, jak jego zainteresowanie maleje. – Muszę przejrzeć śmieci, poszukać jakichś śladów, odtłuścić kości, skontaktować się z entomologiem i sprawdzić wiek tych larw, żeby się zorientować, kiedy ciało mogło być wyrzucone, i tak dalej.

– Może po prostu dasz mi znać, jak już coś znajdziesz – zdecydował.

Grigg wyszedł ze mną aż za drzwi. Potrząsając głową, powiedział powoli tym swoim cichym głosem: – Kiedy wyszedłem z wojska, dawno temu, chciałem służyć w policji stanowej. Nie mogę uwierzyć, że przyjęli takiego buca.

– Na szczęście nie wszyscy są tacy jak on.

Wyszliśmy na słońce i zobaczyliśmy karetkę powoli posuwającą się w chmurach pyłu. Ciężarówki stały w kolejce do mycia, a na górę śmieci przybywały następne warstwy rozdrobnionej współczesnej Ameryki. Ściemniało się już, gdy doszliśmy do swoich samochodów. Grigg zatrzymał się, patrząc na mój.

– Zastanawiałem się, czyj on jest? – powiedział z podziwem. – Któregoś dnia będę taki prowadził. Chociaż raz.

Uśmiechnęłam się do niego, otwierając drzwiczki.

– Nie mam takich ważnych rzeczy, jak syrena i światła.

Zaśmiał się.

– Marino i ja gramy w tej samej lidze kręglarskiej. Jego drużyna nazywa się Ogniste Kule, a moja Szczęśliwe Uderzenie. Ten facet to najgorszy zawodnik, jakiego znam. Pije piwo, objada się. Poza tym uważa, że wszyscy oszukują. Ostatnio przyprowadził dziewczynę. – Pokręcił głową. – Grała w kręgle jak ci cholerni Flintstonowie, i nawet tak była ubrana. Jak w lamparcią skórę. Brakowało jej tylko kości we włosach. Niech pani mu powtórzy, że pogadamy.

Odszedł, dzwoniąc kluczykami.

– Detektywie Grigg, dziękuję panu za pomoc – zawołałam.

Skinął głową i wszedł do swojego caprice.



Zaprojektowałam swój dom tak, żeby pralnia była obok garażu. Po pracy w takich miejscach, jak dzisiejsze, nie chciałam wlec śladów śmierci do swego prywatnego życia. W ciągu kilku minut od wyjścia z samochodu

miałam już ubrania w pralce, a buty i gumowce w zlewie, gdzie je szorowałam detergentami ostrą szczotką.

Owinięta w szlafrok, który tam zawsze trzymałam, przeszłam do sypialni, a z niej do łazienki. Wzięłam długi, gorący prysznic. Byłam wykończona i zniechęcona. Nie miałam sił, żeby ją sobie wyobrazić, zastanawiać się, jak się nazywała i kim była, i starałam się odsunąć od siebie obrazy i zapachy. Zrobiłam sobie drinka i sałatkę, a spoglądając melancholijnie na wielką miskę słodyczy na Halloween, pomyślałam o roślinach, czekających na werandzie, aby je przesadzić. Potem zadzwoniłam do Marina.

– Słuchaj – powiedziałam, kiedy podniósł słuchawkę. – Myślę, że Benton powinien być przy tej sprawie jutro rano.

Milczał długo.

– Dobra – powiedział w końcu. – To znaczy mam mu powiedzieć, żeby ruszył tyłek tu, do Richmondu. Zamiast żebyś ty mu powiedziała.

– Gdybyś zechciał. Jestem wykończona.

– Nie ma sprawy. O której?

– Wszystko jedno. Ja tam będę cały dzień.

Poszłam do swojego gabinetu, żeby sprawdzić, nim pójdę spać, czy nie ma jakiejś poczty elektronicznej. Lucy rzadko dzwoniła, kiedy tylko mogła, wołała używać komputera, żeby mi powiedzieć, jak się czuje i gdzie jest. Moja siostrzenica była agentką FBI, specjalistą technicznym w HRT, czyli drużynie ratowania zakładników. W każdej chwili mogła zostać wysłana w dowolny zakątek świata.

Jak trzęsąca się nad nią mamuśka wciąż sprawdzałam, czy nie ma od niej wiadomości, bojąc się, że któregoś dnia jej przywoływacz się nie odezwie, co może oznaczać, że jest z chłopakami w bazie lotniczej Andrews, żeby polecieć dokądś jakimś C-141. Obchodząc dookoła stosy

nieprzeczytanych gazet i opasłe tomy książek medycznych, które kupiłam, ale nie miałam czasu ułożyć na półkach, dotarłam do biurka. Mój gabinet był najbardziej zamieszkanym pokojem w całym domu, miał kominek i olbrzymie okna, wychodzące na skaliste zakole James River.

Kiedy włączyłam się do America on-line, AOL, powitał mnie mechaniczny, męski głos, informując, że jest dla mnie poczta elektroniczna. Były tam informacje na temat różnych dochodzeń, procesów, fachowych zebrań, artykuły prasowe i jedna przesyłka od kogoś, kogo nie znałam. Używał skrótu: *dokum*. Poczulałam się dziwnie, bo nie było informacji, co mi przesyła, a kiedy otworzyłam przesyłkę, widniało tam jedno słowo: *dziesięć*. Do tego dołączony był plik graficzny. Załadowałam go, zdekompresowałam i na ekranie zaczął się pojawiać kolorowy obraz. Patrzyłam na zdjęcie ściany w kolorze kitu i skraju stołu, pokrytego czymś jasnyniebieskim, a na tym plamy czegoś ciemnoczerwonego. Potem na ekranie pojawiła się poszarpana, krwawa rana, a następnie zakrwawione kikuty i sutki.

Patrzyłam w przerażeniu na ten horror, a kiedy obraz był gotowy, złapałam za telefon.

– Marino, chyba powinieneś tu przyjechać – powiedziałam przestraszona.

– Co się stało? – spytał.

– Jest tu coś, co musisz zobaczyć.

– Dobrze się czujesz?

– Nie wiem.

– Siedź spokojnie – natychmiast przejął dowodzenie. – Już jadę.

Wydrukowałam ten plik i zapisałam, obawiając się, że jakimś sposobem zniknie mi z oczu. Czekaając na Marina, przygasiłam światła w pokoju, żeby kolory na ekranie były wyraźniejsze. Moje myśli krążyły w kółko, gdy

patrzyłam na tę rzeźnię, chociaż obraz krwi na ekranie nie był dla mnie rzadkością. Lekarze, różnej specjalności naukowcy, prawnicy i pracownicy organów ścigania często przesyłali mi tego rodzaju zdjęcia przez Internet. Często proszono mnie pocztą elektroniczną o zbadanie miejsca zbrodni, ran, części ciała, a nawet o animowane rekonstrukcje wypadków, z którymi występowało do sądów.

To zdjęcie mógł mi oczywiście przesłać jakiś kolega lub detektyw. Ale jedno było absolutnie podejrzane. Dotychczas nie znaleźliśmy miejsca popełnienia tej zbrodni, było tylko wysypisko, gdzie wyrzucono ofiarę, podarta torba i śmieci dookoła. Tylko zabójca, lub ktoś inny związany z tym morderstwem, mógł mi przesłać ten plik.

Po piętnastu minutach zadzwonił dzwonek i zerwałam się, żeby wpuścić Marina.

– Co, do diabła, tym razem? – spytał od razu.

Pocił się w szarej koszulce policji Richmondu, która opinała jego potężne ciało, w workowatych szortach, długich skarpetkach i adidasach. Czulałam woń starego potu i papierosów.

– Chodź – powiedziałam tylko.

Poszedł za mną do mojego gabinetu, a kiedy zobaczył, co było na ekranie komputera, usiadł w moim fotelu, patrząc spode łba.

– Cholera, czy to jest to, co myślę?

– Wydaje się, że zdjęcie zrobiono w miejscu, gdzie ciało zostało rozcłonkowane.

Nie byłam przyzwyczajona do tego, żeby ktoś przebywał w moim prywatnym miejscu pracy, i czulałam, że denerwuję się jeszcze bardziej.

– Dzisiaj to znalazłaś.

– To zdjęcie, które widzisz, zostało zrobione krótko po śmierci – wyjaśniłam. – Ale masz rację, to jest korpus z wysypiska.

– Skąd wiesz? – spytał Marino.

Miał wzrok wbity w ekran. Ustawił sobie inaczej mój fotel, a potem przesunął leżące na podłodze książki, żeby mu było wygodniej wyciągnąć nogi. Kiedy wziął plik dokumentów i przesunął je w drugi koniec biurka, nie wytrzymałam.

– Trzymam rzeczy tam, gdzie mi się podoba – powiedziałam dobitnie, przesuając papiery na poprzednie miejsce.

– Hej, spokojnie, pani doktor – powiedział, jakby nic się nie stało. – Skąd wiemy, że to nie jest jakaś podróba?

Znów przesunął papiery i teraz byłam już naprawdę wściekła.

– Marino, będziesz musiał wstać. Nie pozwalam nikomu siadać przy moim biurku. To mnie rozwściecza.

Spojrzał na mnie ze złością i wstał z fotela.

– Zrób mi tę grzeczność i następnym razem, jak będziesz miała problemy, zadzwoń po kogoś innego.

– Staraj się wczuć...

Przerwał mi, straciwszy cierpliwość.

– Nie, to ty się staraj wczuć i przestań być taką wredną marudą. Nic dziwnego, że macie z Wesleyem kłopoty.

– Marino – ostrzegłam – przekroczyłeś już pewien punkt i zatrzymaj się.

Milczał, pocąc się i rozglądając dookoła.

– Wracajmy do tego. – Przystawiłam swój fotel i usiadłam w nim. – Nie sądzę, żeby to był jakiś trik, i uważam, że to jest korpus, który znaleźliśmy na wysypisku.

– Dlaczego?

Nie patrzył na mnie i trzymał ręce w kieszeniach.

– Ręce i nogi odpilowane są w poprzek kości, a nie w stawach. – Dotknęłam ekranu. – Są też inne podobieństwa. To jest ona, chyba że zabito

jeszcze inną ofiarę o tej samej budowie i odcięto kończyny w ten sam sposób, a myśmy jeszcze tego nie odnaleźli. I nie wiem, jak ktoś mógłby to spreparować, nie wiedząc, w jaki sposób ofiara została pozbawiona kończyn. Nie mówiąc o tym, że sprawa jeszcze nie trafiła do mediów.

– Cholera. – Twarz miał zupełnie czerwoną. – A czy jest tam coś takiego jak adres zwrotny?

– Tak. Ktoś w AOL o nazwie *dokum*.

– To może być skrót od „doktor umarłych”. – Był tak przejęty, że zapomniał o swym nastroju.

– Można tak przypuszczać. Wiadomość zawierała tylko jedno słowo: dziesięć.

– Tylko tyle?

– Małymi literami.

Spojrzał na mnie, zastanawiając się.

– Licząc te w Irlandii, to był numer dziesiąty. Masz wydruk tego?

– Tak. A przypadki z Dublina i ich ewentualny związek z pierwszymi czterema tutaj był w wiadomościach. – Podałam mu wydruk. – Każdy mógł się o tym dowiedzieć.

– Mniejsza z tym. Jeżeli to ten sam morderca i jeszcze raz uderzył, to już on, cholera, wie, ile zabił. Jedno, czego nie rozumiem, to skąd wiedział, na jaki adres ci to przysłać?

– Mój adres e-mailowy nie jest trudny do odgadnięcia. To moje nazwisko.

– Jezu, nie wierzę, że to zrobiłaś. – Znów się uniósł. – To tak jak data urodzenia w kodzie urządzenia alarmowego.

– Używam poczty elektronicznej prawie wyłącznie do komunikowania się z lekarzami sądowymi, ludźmi z Departamentu Zdrowia, policją. Muszą

mieć coś prostego do zapamiętania. Poza tym nigdy nie miałam z tym problemów.

– No, za to teraz masz – powiedział, patrząc na wydruk. – Jedno dobre, że może znajdziemy coś, co nam pomoże. Może zostawił ślad w komputerze.

– W sieci – poprawiłam.

– Dobra, wszystko jedno. Może powinnaś zadzwonić do Lucy?

– Benton powinien to zrobić. Nie mogę jej prosić o pomoc w sprawie tylko dlatego, że jestem jej ciotką.

– No, to pewnie i z tym będę musiał do niego zadzwonić. – Przecisnął się przez mój bałagan do drzwi. – Mam nadzieję, że masz jakieś piwo w tym lokalu. Wiesz co, pani doktor. To nie mój interes, ale musisz z nim w końcu pogadać.

– Masz rację – powiedziałam. – To nie twój interes.

Następnego ranka obudziło mnie przytłumione bębnienie ulewy o dach i uparte piszczanie budzika. Jak na dzień, który miałam mieć wolny, pora była bardzo wczesna. Zdałam sobie sprawę z tego, że w ciągu nocy październik przeszedł w listopad. Niedługo będzie zima i kolejny rok minie. Otwierając okiennice, wyrzesałam na dwór. Wszystkie płatki z moich róż leżały na ziemi, a wezbrana rzeka opływała skały, które wydawały się czarne.

Było mi głupio z powodu Marina. Byłam bardzo niecierpliwa, odsyłając go do domu bez piwa wczoraj wieczorem. Ale nie chciałam z nim omawiać spraw, których nie rozumie. Dla niego wszystko było proste. Ja byłam rozwiedziona, żona Bentona Wesleya zostawiła go dla innego. Mieliśmy romans, więc równie dobrze mogliśmy się pobrać. Przez jakiś czas odpowiadał mi ten plan. Poprzedniej jesieni i zimy Wesley i ja jeździliśmy razem na narty, nurkowaliśmy, robiliśmy zakupy, gotowaliśmy, a nawet pracowaliśmy w moim ogródku. Za diabła nam to nie wychodziło.

Prawdę mówiąc, nie chciałam go w swoim domu, tak samo jak nie chciałam, żeby Marino siedział w moim fotelu. Kiedy Wesley przesunął jakiś mebel albo nawet schował porcelanę lub sztukę do niewłaściwej szafki czy szuflady, czułam dziwną złość, która mnie zdumiewała i przerażała. Nie uważałam, że nasz związek był właściwy, kiedy Wesley był jeszcze żonaty, chociaż dawał nam wtedy dużo radości, zwłaszcza w łóżku. Obawiałam się, że skoro nie czuję tego, co powinnam, ujawniają się we mnie cechy, których nie znoszę.

Gdy jechałam do pracy, o dach samochodu waliła ulewa, a wycieraczki walczyły z nią bezustannie. Ruch był niewielki, bo dopiero dochodziła siódma, i panorama śródmieścia Richmondu odsłaniała się stopniowo

poprzez mgłę deszczu. Znów pomyślałam o zdjęciu. Przypomniałam sobie, jak się powoli ukazywało na moim ekranie, i przeszedł mnie dreszcz. Poczułam się nieswojo, bo po raz pierwszy ogarnęło mnie niewyraźne przeczucie, że mógł to przysłać ktoś, kogo znam.

Wyjechałam z autostrady w kierunku Seventh Street i przejechałam Shockoe Slip, z eleganckimi restauracjami, ciemnymi o tej porze. Minęłam zapelniające się dopiero powoli parkingi i wjechałam na swój. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy na swoim oznakowanym miejscu parkingowym zobaczyłam wóz telewizyjny. Jego ekipa przewidziała, że jeśli będą cierpliwie czekać, zostaną wynagrodzeni.

Podjechałam blisko i dałam znak ręką, żeby się wycofali. Z samochodu wyskoczył kamerzysta w przeciwdeszczowym ubraniu, a za nim reporter z mikrofonem. Opuściłam szybę kilkanaście centymetrów.

– Posuńcie się – powiedziałam zdecydowanie niesympatycznym tonem.
– Stoicie na moim miejscu parkingowym.

Nie zwrócili na to uwagi, a nawet doszedł jeszcze jeden, z oświetleniem. Siedziałam przez chwilę, patrząc na nich, i kipiałam od złości. Reporterka blokowałam moje drzwi i wpychała mikrofon przez szparę w oknie.

– Doktor Scarpetta, czy może pani potwierdzić, że Rzeźnik znów zaatakował? – spytała głośno, podczas gdy kamera pracowała, światła płonęły.

– Odsuńcie samochód – powiedziałam z lodowatym spokojem, patrząc wprost na nią i kamerę.

– Czy rzeczywiście znaleziono korpus? – Z kaptura reporterki kapłała woda, gdy podsuwała mikrofon coraz bliżej.

– Proszę ostatni raz o zabranie samochodu z mojego miejsca parkingowego – powiedziałam tonem sędziego, oskarżającego o obrazę sądu.

Kamerzysta znalazł nowe ujęcie i poczułam znów silne światło, świecące mi w oczy.

– Czy był rozczłonkowany podobnie jak inne?

Uchyliła mikrofon w ostatniej chwili, kiedy szyba szła w górę. Włączyłam wsteczny bieg i ruszyłam. Zespół telewizyjny rozbiegł się w popłochu, a ja wykonałam z piskiem opon obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni i ustawiłam się tuż za telewizyjną furgonetką. Była teraz uwięziona między moim mercedesem a budynkiem.

– Chwileczkę!

– Hej, nie może pani tego zrobić!

Gdy wysiadałam, na ich twarzach malowało się niedowierzanie. Nie bawiąc się w rozkładanie parasola, podbiegłam do drzwi i otworzyłam.

– Hej! – słyszałam dalsze protesty. – Nie możemy stąd wyjechać!

W zatoczce pod dachem stał wielki kombi, z którego spływała woda na cementową podłogę. Otworzyłam kluczem następne drzwi i weszłam w korytarz. Zaczęłam się rozglądać, kto już jest. Białe kafelki lśniły czystością, a powietrze było ciężkie od woni środka odkażającego. Kiedy wchodziłam do biura prosektorium, otworzyły się ciężkie, stalowe drzwi jak od lodówki.

– Dzień dobry! – powiedział Wingo ze zdziwionym uśmiechem. – Wcześniej pani jest.

– Dziękuję za schowanie tego samochodu przed deszczem – powiedziałam.

– Dzisiaj nie będą przywozić już żadnych przypadków, więc pomyślałem, że nie zaszkodzi go schować.

– Czy widziałeś tam kogoś, kiedy go wprowadzałeś?

– Nie – zdziwił się. – Ale to było godzinę temu.

Wingo był jedynym moim pracownikiem, który z zasady był w pracy wcześniej ode mnie. Był smukły, o ładnych rysach, z burzą ciemnych włosów. Był chorobliwie czysty, prasował kombinezon, szorował samochody do przewożenia zwłok kilka razy tygodniowo, a części ze stali nierdzewnej polerował, aż błyszcząły jak lustro. Jego zadaniem była opieka nad prosektorium i wykonywał je z dumą i precyzją dowódcy wojskowego. Nieostrożność i gruboskórność były tu niedopuszczalne i żadne z nas nie śmiało wyrzucać szkodliwych odpadków ani opowiadać studenckich dowcipów o trupach.

– Przypadek z wysypiska jest jeszcze w chłodni – powiedział Wingo. – Czy mam go wyjąć?

– Może po zebraniu personelu – powiedziałam. – Im dłużej się chłodzi, tym lepiej i nie chcę, żeby ktokolwiek się tu kręcił i oglądał.

– To się nie zdarzy – zapewnił, jakbym go co najmniej podejrzewała o niedopełnienie obowiązków służbowych.

– Nie chcę nawet, żeby któryś z pracowników przychodził tu z ciekawości.

– Och – zaciętrzewił się. – Po prostu nie rozumiem ludzi.

Nigdy nie zrozumie, bo nie był taki jak oni.

– Zawiadom ochronę – powiedziałam. – Media już są na parkingu.

– Żartuje pani. Tak wcześnie?

– Program ósmy czekał na mnie, gdy przyjechałam. – Podałam mu kluczyki do mojego samochodu. – Daj im jeszcze parę minut, a potem ich wypuść.

– Jak to, wypuść? – zdziwił się, patrząc na kluczyk od zdalnego sterowania w rękę.

– Są na moim miejscu do parkowania. – Ruszyłam w stronę windy.

– Gdzie są?

– Zobaczysz – weszłam do windy. – Jeśli tylko dotknęli mego samochodu, oskarżę ich o naruszenie i umyślne uszkodzenie mienia. Potem doprowadzę do tego, że z biura prokuratora stanowego zawiadomią ich głównego dyrektora. Może nawet złożę pozew. – Uśmiechnęłam się do niego spoza zamykających się drzwi.

Moje biuro mieściło się na pierwszym piętrze Budynku Laboratoryjnego, wzniesionego w latach siedemdziesiątych, z którego wkrótce my i naukowcy z wyższych pięter będziemy musieli się wynieść. Mieliśmy w końcu dostać przestronne pomieszczenia w centrum miasta, w Parku Biotechnicznym, niedaleko Marriotta i Koloseum. Budowa była już w toku, a ja spędzałam stanowczo za dużo czasu nad szczegółami, planami i budżetem. Miejsce, w którym kiedyś czułam się jak w domu, było w rozsypce, korytarze zawałone były stosami pudeł, a urzędniczki nie chciały niczego układać, bo i tak trzeba będzie wszystko pakować. Starając się omijać wzrokiem pudła, przeszłam do swego gabinetu. Z mojego biurka, jak zwykle, staczała się lawina.

Znów sprawdziłam pocztę elektroniczną, jakbym spodziewała się kolejnego anonimowego pliku, ale było wszystko to, co w domu, więc przejrzałam je szybko i krótko odpisałam. Adres *dokum* znajdował się w mojej skrzynce i nie mogłam się oprzeć, żeby ponownie nie otworzyć pliku ze zdjęciem. Byłam tym tak pochłonięta, że nie zauważyłam, gdy weszła Rose.

– Chyba Noe powinien znów zbudować arkę – powiedziała.

Przestraszona patrzyłam na nią, stojącą w przejściu między naszymi pokojami. Zdejmowała płaszcz od deszczu i wydawała się zmartwiona.

– Nie chciałam pani przestraszyć.

Zawahawszy się, weszła i zaczęła mi się przyglądać.

– Wiedziałam, że pani tu będzie, mimo moich rad. Wygląda pani, jakby zobaczyła upiora.

– Co tu robisz tak wcześnie? – spytałam.

– Czułam, że będzie pani miała ręce pełne roboty. – Zdjęła płaszcz. – Widziała pani dzisiejszą gazetę?

– Jeszcze nie.

Wyjęła okulary z kosmetyczki.

– Wszystko o tym Rzeźniku. Może pani sobie wyobrazić, kiedy tujechałam, słyszałam w wiadomościach, że od czasu tych wypadków sprzedano więcej broni, niż jest ludzi do obrony. Zastanawiam się czasem, czy za tym wszystkim nie stoją sklepy z bronią. Chcą tak wszystkich nastraszyć, żeby każdy biegł do najbliższego sklepu po trzydziestkę ósemkę albo półautomat.

Rose miała włosy koloru stali, zawsze spięte do góry, i bystrą twarz. Nie zdarzało się nic, czego jeszcze nie widziała, i nie bała się nikogo. Wciąż w przerażeniu myślałam o jej przejściu na emeryturę. Mogła to zrobić, nie musiała już dla mnie pracować, ale była zbyt przywiązana i nie miała już nikogo w domu.

– Przyjrzyj się – powiedziałam, odsuwając fotel.

Stała z mojej strony biurka tak blisko, że poczułam White Musk, zapach, którego używano we wszystkich wyrobach Body Shop, gdzie sprzedawano kosmetyki nietestowane na zwierzętach. Rose niedawno zaadoptowała piątego emerytowanego charta. Hodowała syjamskie koty, miała kilka akwariów z rybkami i była o krok od tego, żeby stać się niebezpieczna dla posiadaczek futer. Wpatrywała się w ekran mojego monitora i wydawało się przez chwilę, że nie wie, na co patrzy, po czym zamarła.

– Mój Boże – wymamrotała, patrząc na mnie spoza swych dwuogniskowych okularów. – Czy to jest to, co jest na dole?

– Sądzę, że wcześniejsza wersja. Przesłano mi przez e-mail.

Milczała.

– Nie muszę chyba ci mówić – ciągnęłam – że bardzo proszę, żebyś miała oko na ten gabinet, kiedy będę na dole. Jeżeli tylko pojawi się w holu ktoś, kogo nie znamy i nie jest umówiony, chcę, żeby zajęła się tym ochrona. Ani się waż wychodzić i pytać, czego chce – spojrzałam wymownie, wiedząc, jaka jest.

– Myśli pani, że mógłby tu przyjść? – spytała rzeczowo.

– Nie wiem, co myśleć poza tym, że wyraźnie chce się ze mną skontaktować. – Zamknęłam plik i wstałam. – I już to zrobił.



Dochodziło wpół do ósmej, gdy Wingo ułożył ciało na wadze podłogowej i tym samym rozpoczęliśmy długie i żmudne badanie. Korpus ważył 20,880 kg i mierzył 53,3 cm. Plama pośmiertna słabo widoczna tylna, co oznaczało, że gdy krążenie ustało, krew opadła siłą ciężkości i osiadła na wiele godzin czy dni po śmierci tak, jak ułożono ciało. Nie mogłam, patrząc na to, nie widzieć jednocześnie okrutnego obrazu na ekranie mojego monitora i utwierdzać się w przekonaniu, że korpus przede mną i na zdjęciu należał do tej samej osoby.

– Jak pani myśli, ile miała wzrostu? – zerknął na mnie Wingo, ustawiając wózek równolegle do pierwszego stołu sekcyjnego.

– Wykorzystamy do obliczenia długość kręgosłupa lędźwiowego, skoro nie mamy kości udowych – odpowiedziałam, wkładając gumowy fartuch na

kitel. – Ale wygląda na niską, bardzo drobną.

Po kilku chwilach mieliśmy gotowe zdjęcia rentgenowskie i Wingo powiesił je na specjalnych podświetlaczach. To, co zobaczyłam, było zupełnie niezrozumiałe. Powierzchnie spojenia łonowego nie były chropowate i postrzępione, jak w młodości. Kość miała nieregularne, jakby wyżarte gładkie ubytki. Inne zdjęcia ukazały wyrostki kostne na żebrach w okolicy mostka, kości o bardzo cienkich ścianach, z ostrymi krawędziami, jak również zmiany zwyrodnieniowe kręgosłupa w odcinku lędźwiowo-krzyżowym.

Wingo nie był antropologiem, ale i on zauważył oczywiste cechy.

– Gdybym nie wiedział na pewno, pomyślałbym, że jej zdjęcia pomieszały się z innymi.

– Ta pani była stara – powiedziałam.

– A może pani zgadnąć, ile miała lat?

– Nie lubię zgadywać. – Przyglądałam się zdjęciom rentgenowskim. – Powiedziałabym, że co najmniej siedemdziesiąt. Dla pewności, między sześćdziesiąt pięć a osiemdziesiąt. No, dalej. Zabierzmy się na razie do tych śmieci.

Następne dwie godziny spędziliśmy na grzebaniu w torbie śmieci, które leżały na wysypisku bezpośrednio pod ciałem lub obok niego. Torba, w której, jak sądziłam, ją przywieziono, była czarna, o objętości trzydziestu galonów, spięta żółtą plastikową zapinką. W maskach i rękawicach grzebaliśmy wraz z Wingiem wśród skrawków opon i kłaczek od tapicerki, których używano do pokrywania wysypiska. Przebadaliśmy niezliczone strzępki oślizłego plastiku i papieru, wybierając larwy i zdechłe muchy, które wrzuciliśmy do pudełka.

Nasze znaleziska były bardzo skromne: niebieski guzik, prawdopodobnie niezwiązany ze sprawą, wyrzucony ząbek dziecięcy, na

którego miejscu pod poduszką pojawił się pewnie pieniążek, połamany grzebień, zużyta baterijka, kilka odłamków potłuczonej porcelany, pogięty druciany wieszak i skuwka od długopisu Bic. Poza tym guma, podarty czarny plastik i potłuszczony papier, który wrzuciliśmy do kosza na śmieci. Następnie ustawiliśmy silne światła wokół stołu i umieściliśmy ją na środku czystego, białego prześcieradła. Wzięłam lupę i centymetr po centymetrze badałam powierzchnię ciała. Zebrałam pęsetką kilka jasnych włókienek z kikuta, który był kiedyś jej szyją, i znalazłam trzy długie, szarobiałe włosy, przyklejone do zastygłej krwi.

– Potrzebuję jeszcze jednej koperty – powiedziałam do Winga, znalazłszy coś, czego się nie spodziewałam.

W zakończeniach obu kości ramiennych i skrawkach mięśni wokół znajdowały się włókienka i maleńkie skraweczki tkaniny, chyba jasnyniebieskiej, co oznaczało, że musiała przez nią przejść piła.

– Została rozczłonkowana przez ubranie albo tkaninę, którą była owinięta – powiedziałam zdumiona.

Wingo przerwał pracę i spojrzał na mnie.

– Tamci nie byli – powiedział.

Poprzednie ofiary były nagie, kiedy zostały im odpilowane kończyny. Robił notatki, a ja dalej pracowałam z lupą.

– Nitki i skrawki materiału znajdują się również przy szczątkach kości udowych. – Przypatrzyłam się z bliska.

– Więc od pasa w dół też była okryta? – spytał.

– Na to wygląda.

– I ktoś czekał, żeby wszystko odpilować, a dopiero potem ją rozebrał? – popatrzył na mnie coraz bardziej przejęty, gdy zaczął sobie wyobrażać tę scenę.

– Nie chciał, żebyśmy mieli ubranie. Mogłoby zawierać za dużo informacji.

– To dlaczego jej nie rozebrał czy nie rozwinął z tego, czym była owinięta?

– Może nie chciał patrzeć na nią, kiedy ją pozbawiał kończyn – powiedziałam.

– O, jaki się zrobił wrażliwy – Wingo zdawał się nienawidzić tego kogoś.

– Zanotuj wymiary – powiedziałam. – Kręgosłup odcięty na poziomie piątego kręgu szyjnego. Szczątek kości udowej prawej mierzy pięć centymetrów poniżej krętarza mniejszego, a lewej siedem centymetrów, z widocznymi śladami piły. Pozostałości kości ramienia mają po dwa i pół centymetra, z widocznymi śladami piły. Na górnej części prawego biodra półtoracentymetrowa, stara blizna po szczepieniu.

– A co z tym? – wskazał na liczne, wypełnione płynem pęcherzyki, rozsiane na pośladkach, ramionach i górnej części ud.

– Nie wiem – powiedziałam, sięgając po strzykawkę. – Podejrzewam wirus opryszczki.

– Jeju – Wingo odskoczył od stołu. – Szkoda, że mi pani tego wcześniej nie powiedziała. – Był przerażony.

– Półpasiec. – Zaczęłam opisywać probówkę. – Może. Muszę przyznać, że jest trochę dziwny.

– Dlaczego? – Był coraz bardziej niespokojny.

– W przypadku półpaśca – wyjaśniałam – wirus atakuje nerwy czuciowe. Pęcherzyki wyprysku ją wzdłuż rozkładu nerwów, na przykład pod zębem. I pęcherzyki byłyby w różnym okresie rozwoju. A to jest jak posiane, wszystko na tym samym etapie.

– A co jeszcze mogłoby to być? – spytał. – Wietrzna ospa?

- To ten sam wirus. Dzieci dostają wietrznej ospy, a dorośli półpaśca.
- A jeżeli ja się zarażę? – pytał dalej Wingo.
- Miałeś wietrzną ospę jako dziecko?
- Nie mam pojęcia.
- A co ze szczepieniem przeciwko ospie? Miałeś?
- Nie.
- Jeżeli nie masz przeciwciał, powinieneś zostać zaszczepiony. – Spojrzałam na niego. – Czy masz zmniejszoną odporność?

Nie odpowiedział nic, tylko odszedł, ściągnął lateksowe rękawice i wrzucił je do pojemnika na niebezpieczne biologicznie odpady. Założył nowe, grubsze, z niebieskiego nitrilu. Przerwałam pracę i obserwowałam go, póki nie wrócił do stołu.

– Uważam tylko, że powinna była mnie pani uprzedzić – powiedział prawie ze łzami. – Przecież nie można się tu na zapas zabezpieczać wszystkimi szczepieniami, poza żółtaczką zakaźną. Więc polegam na pani, że mi pani będzie mówiła, co się dzieje.

– Uspokój się.

Byłam w stosunku do niego delikatna, bo Wingo był bardzo wrażliwy, i to stanowiło jedyny problem, jaki z nim miałam.

– Nie możesz dostać ospy ani półpaśca od tej pani, jeśli nie nastąpi kontakt z jakimś płynem – wyjaśniałam. – Jeżeli masz rękawice i będziesz zachowywał się jak zwykle, nie zatniesz się, nie zakłujesz, nie będziesz narażony na tego wirusa.

Na moment oczy mu rozbłysły, ale szybko opuścił wzrok.

– Zacznę robić zdjęcia – powiedział.

Marino i Benton pojawili się wczesnym popołudniem, kiedy sekcja była w toku. Byłam sama, bo Wingo poszedł na obiad i nie mogłam już nic więcej zrobić, jeśli idzie o badanie zewnętrzne. Pojawiwszy się w drzwiach, Wesley spojrzął na mnie. Sądząc po jego płaszczu, wciąż lało.

– Chcę cię zawiadomić – zaczął Marino – że jest ostrzeżenie o powodzi.

Ponieważ w prosektorium nie było okien, nigdy nie wiedziałam, jaka jest pogoda.

– Jak poważne? – spytałam, a tymczasem Wesley podszedł do korpusu i zaczął się mu przypatrywać.

– Na tyle, że jeżeli taki stan się utrzyma, radzę już gromadzić worki z piaskiem – odpowiedział Marino, ustawiając parasol w kącie.

Mój budynek znajdował się zaledwie kilka przecznic od rzeki. Parę lat temu zalało najniższy poziom, ciała ofiarowane dla celów naukowych unosiły się w przepełnionych kadziach, a różowa woda, zatruta formaliną, przesączała się do prosektorium i na tylny parking.

– Czy powinnam się martwić? – spytałam z troską.

– Przestanie – uspokajał mnie Wesley, jak gdyby mógł również przewidywać pogodę.

Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy. Pod spodem miał garnitur tak ciemnogrnatowy, że prawie czarny. Do białej wykrochmalonej koszuli założył konserwatywny jedwabny krawat. Jego srebrne włosy były dłuższe niż zwykle, ale porządnie ostrzyżone. Z powodu ostrych rysów wydawał się bardziej onieśmielający, niż był w istocie, a dzisiaj był szczególnie ponury i to nie tylko ze względu na mnie. Obaj z Marinem podeszli do wózka, żeby nałożyć maski i rękawiczki.

– Przepraszam, że się spóźniliśmy – powiedział Wesley, gdy zabrałam się z powrotem do pracy. – Co chciałem wyjść z domu, to dzwonił telefon. Ta sprawa to niezły problem.

– Dla niej na pewno – odpowiedziałam.

– Cholera – Marino spojrział na to, co pozostało z istoty ludzkiej. – Jak, do diabła, ktoś może coś takiego zrobić?

– Powiem ci jak – odparłam, odcinając kawałek śledziony. – Wybierasz starą kobietę, pilnujesz, żeby była niedożywiona i odwodniona, a kiedy zachoruje, nie zatroszczysz się o opiekę lekarską. Później strzelasz albo uderzasz ją w głowę. Założę się, że miała złamaną podstawę czaszki. Może jakiś inny uraz.

Marino był zdumiony.

– Przecież nie ma głowy. Skąd możesz to wiedzieć?

– Dlatego że w jej drogach oddechowych znajduje się krew.

Podeszli bliżej, żeby zobaczyć, o czym mówię.

– Jedyna możliwość – ciągnęłam – to złamanie podstawy czaszki, wtedy krew kapałaby do gardła, a ona wciągnęłaby ją do tchawicy.

Wesley popatrzył uważnie na ciało, z powagą człowieka, który widział okaleczenia i śmierć setki razy. Patrzył w miejsce, gdzie powinna znajdować się głowa, jakby ją sobie wyobrażał.

– Ma krwotok w tkankach mięśniowych – przerwałam, żeby to do nich dotarło. – Żyła jeszcze, kiedy rozpoczęto odcinanie kończyn.

– Jezus, Maria – wykrzyknął Marino, zapalając papierosa. – Nie mów mi tego.

– Nie mówię, że była przytomna – dodałam. – Najprawdopodobniej było to tuż przed lub podczas śmierci. Ale wciąż jeszcze występowało, chociaż słabiutkie, ciśnienie krwi. W każdym razie dotyczy to okolic szyi, nie rąk i nóg.

– Więc najpierw odciął jej głowę – powiedział Wesley.

– Tak.

Przyglądał się zdjęciom rentgenowskim, rozwieszonym na ścianie.

– To się nie zgadza z jego wiktymologią – powiedział. – Zupełnie nie.

– Nic się w tej sprawie nie zgadza – odpowiedziałam. – Poza tym, że znów użyto piły. Znalazłam również na kości ślady noża.

– Co jeszcze możesz o niej powiedzieć? – spytał Wesley, spoglądając na mnie.

– Ma jakieś wypryski, które mogą oznaczać półpasiec, i dwie blizny na prawej nerce, które wskazują na przebyte zapalenie miedniczek nerkowych lub inną infekcję nerek. Szyjka macicy wydłużona i gwiazdowata, może oznaczać, że miała dzieci. Mięsień sercowy miękki.

– To znaczy?

– Działanie toksyn. Toksyn produkowanych przez mikroorganizmy. – Spojrzałam na niego. – Jak już mówiłam, była chora.

Marino chodził dookoła, przypatrując się korpusowi pod różnymi kątami.

– Masz jakieś podejrzenia, na co?

– Biorąc pod uwagę ślady w płucach, miała bronchit. W tej chwili nie wiem, co poza tym, prócz tego, że wątroba jest w kiepskim stanie.

– Od picia – rzucił Wesley.

– Żółtawa, gruźliczowa, tak – powiedziałam. – I chyba kiedyś paliła.

– Skóra i kości – powiedział Marino.

– Nie jadła. Żołądek ma rurkowaty, pusty i czysty – pokazałam im.

Wesley podszedł do najbliższego biurka, wyciągnął krzeselko i usiadł. Pogрузzył się w myślach, a ja tymczasem odwinęłam przewód zwinięty u góry i włączyłam piłę Strykera. Marino, który źle znosił tę część operacji, cofnął się od stołu. Nikt się nie odzywał, gdy odcinałam zakończenia rąk i

nóg, a pył kości wirował w powietrzu przy akompaniamencie dźwięku głośniejszego od wiertarki dentystycznej.

Każdy fragment wkładałam do oznakowanego pudełka i mówiłam, co uważam.

– Chyba tym razem nie mamy do czynienia z tym samym mordercą.

– Nie wiem, co myśleć – powiedział Marino. – Ale mamy dwa ważne elementy wspólne. Korpus i wyrzucenie na śmietnisko w Wirginii.

– Cały czas jest zróżnicowana wiktymologia – powiedział Wesley, opuściwszy maskę na szyję. – Jedna czarna, dwie białe, wszystkie kobiety i jeden czarny mężczyzna. Pięcioro w Dublinie też było mieszanych. Ale wszyscy byli młodzi.

– Więc spodziewałbyś się, że teraz wybierze starą kobietę? – spytałam.

– Szczerze mówiąc, nie. Ale ci ludzie nie działają naukowo, Kay. To jest ktoś, kto robi, co mu się podoba i kiedy mu się zachce.

– Odcięcie kończyn było inne, nie w stawach – przypomniałam. – I przypuszczam, że była ubrana albo w coś zawinięta.

– Tą mógł się bardziej przejmować – powiedział Wesley, zdejmując zupełnie maskę i kładąc ją na biurku. – Jego potrzeba ponownego zabicia była silniejsza, a ofiara łatwiejsza. – Popatrzył na korpus. – Więc uderza, ale jego *modus operandi* się zmienia, bo cała sytuacja się nagle zmienia, a jemu się to nie podoba. Zostawia ją częściowo ubraną czy okrytą, bo gwałcenie i zabijanie starej kobiety go nie pociąga. Najpierw odcina głowę, żeby nie musiał na nią patrzeć.

– Widzisz jakiś ślad gwałtu? – spytał Marino.

– Rzadko widać – powiedziałam. – Już tu prawie kończę. Pójdzie do chłodni jak te pozostałe i będziemy czekać, czy kiedyś uda się je zidentyfikować. Pobrałam komórki mięśni i szpiku do badań DNA w nadziei, że uda się je kiedyś porównać z DNA jakiejś poszukiwanej osoby.

Byłam podłamana i to było widać. Wesley zabrał płaszcz z wieszaka, pod którym utworzyła się mała kałuża.

– Chciałbym zobaczyć zdjęcie, które ci przysłano pocztą elektroniczną – powiedział.

– To też odbiega od jego normalnego sposobu działania – zauważyłam, rozpoczynając zszywanie nacięcia w kształcie litery Y. – W poprzednich przypadkach niczego mi nie przysyłano.

Marino śpieszył się, jakby musiał dokądś jeszcze pójść.

– Jadę do Sussex – powiedział, podchodząc do drzwi. – Muszę się spotkać z samotnym kowbojem Ringiem, żeby mnie pouczył, jak należy prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa.

Wyszedł nagle i doskonale wiedziałam dlaczego. Mimo kazań, jakich wysłuchiwałam od niego na temat małżeństwa, mój związek z Wesleyem trochę go martwił. Jakaś jego część będzie zawsze zazdrosna.

– Rose pokaże ci to zdjęcie – powiedziałam do Wesleya, obmywając ciało gąbką i splukując wodą z węża. – Ona wie, jak się dostać do mojego e-maila.

W jego oczach pojawiło się rozczarowanie, którego nie zdołał ukryć. Odniosłam pojemniki z resztkami kości na miejsce, gdzie będą gotowane w delikatnym wybielaczu, żeby je oczyścić z resztek tłuszczu. On stał, patrząc i czekając, aż wrócę. Nie chciałam, żeby poszedł, ale nie wiedziałam, co tu jeszcze możemy robić.

– Czy nie moglibyśmy porozmawiać, Kay? – spytał w końcu. – Prawie cię nie widuję, już od wielu miesięcy. Rozumiem, że oboje jesteście zajęci i nie jest to właściwa pora, ale...

– Benton – przerwałam. – Nie tutaj.

– Oczywiście, że nie. Nie proponuję, żebyśmy rozmawiali tutaj.

– To będzie znów to samo.

– Nie będzie. Obiecuję. – Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. – Słuchaj, jest już późno. Może po prostu zostanę w mieście i zjemy kolację.

Zawahałam się, bo miały mną sprzeczne uczucia. Bałam się z nim spotkać i bałam nie spotkać.

– Dobrze – powiedziałam. – U mnie o siódmej. Coś upichcę, ale nie spodziewaj się za wiele.

– Mogę cię gdzieś zaprosić. Nie chciałbym ci robić kłopotu.

– Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to pokazywać się teraz w miejscu publicznym.

Przyglądał mi się, gdy opisywałam próbówki i różne pojemniczki. Potem usłyszałam jego głośnie kroki na posadzce i głos, gdy odezwał się do kogoś, kiedy nadjechała winda. Po kilku sekundach wszedł Wingo.

– Przyszedłbym wcześniej – powiedział, podszedłszy do wózka, żeby wziąć nowe ochraniacze na buty, maskę i rękawice. – Ale tam u góry jest cyrk.

– Co to znaczy? – spytałam, rozwiązując fartuch, podczas gdy on zakładał swój.

– Reporterzy. – Założył osłonę na twarz i popatrzył na mnie przez szybkę z plastiku. – W holu. Obstawili budynek wozami telewizyjnymi. – Popatrzył na mnie zmartwiony. – Przykro mi to mówić, ale teraz program ósmy zablokował panią. Ich wóz stoi tuż za pani samochodem i nikogo nie ma w środku, więc nie może pani wyjechać.

Ogarnęła mnie wściekłość.

– Zadzwoń na policję i niech ich odholują – zawołałam z garderoby. – Skończ tutaj, a ja idę na górę zająć się tymi sprawami.

Wrzuciłam zwinięty kitel do kosza na brudy, zdjęłam rękawice, ochraniacze na buty i czapkę. Wyszorowałam się energicznie mydłem

antybakteryjnym i nagle poczułam, że ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Wszystko mnie denerwowało: ta sprawa, prasa, Wesley, wszystko.

– Pani doktor?

Wingo pojawił się w drzwiach, kiedy szamotałam się z guzikami przy bluzce, ale jego pojawienie się, kiedy się ubierałam, nie było niczym nadzwyczajnym. Nigdy nas to nie krępowało, bo czułam się przy nim równie swobodnie, jak czułam się przy kobiecie.

– Zastanawiam się, czy miałyby pani czas... – zawahał się. – Wiem, że jest pani dziś zajęta...

Wrzuciłam pokrwawione reeboki do schowka i założyłam buty i fartuch laboratoryjny.

– Właściwie, Wingo – starałam się opanować i nie wyładowywać na nim złości – ja też chciałam z tobą pogadać. Kiedy tu skończysz, przyjdź do mojego gabinetu.

Nie musiał mi mówić. Czułam, że wiem, o co chodzi. Wjechałam windą na górę, ponura jak chmura gradowa. Wesley był wciąż w moim gabinecie, studiując ekran monitora, a ja, nie zwalniając kroku, przeszłam przez hol, żeby poszukać Rose. Pracownicy odbierali nieustające telefony, a moja sekretarka i administrator stali przy oknie, wychodzącym na parking. Deszcz nie ustawał, ale nie zraziło to żadnego dziennikarza, kamerzysty ani fotografa w mieście.

– Gdzie są Fielding i Grant? – spytałam o swego zastępcę oraz o tegorocznego stypendystę.

Moim administratorem był emerytowany szeryf, który uwielbiał wodę kolońską i krzykliwe garnitury. Odszedł od okna, a Rose wyglądała dalej.

– Doktor Fielding jest w sądzie – powiedział – a doktor Grant musiał pojechać, bo mu zalewa piwnicę.

Rose odwróciła się z miną osoby gotowej do walki, jakby zaatakowano jej gniazdo.

– Usadziłam Jess w archiwum – wyjaśniła nieobecność recepcjonistki.

– Więc nie ma nikogo z frontu – popatrzyłam w stronę holu.

– Och, jest mnóstwo ludzi – powiedziała ze złością, przekrzykując niemilkące telefony. – Nie chcę, żeby ktoś tam siedział z tymi sępami, nawet za kuloodporną szybą.

– Ilu reporterów jest w holu?

– Piętnastu, może dwudziestu – poinformował administrator. – Wszedłem tam raz i poprosiłem, żeby wyszli, ale powiedzieli, że się nie ruszą, póki nie zdobędą pani oświadczenia. Więc pomyślałem, że napiszemy coś i...

– Już ja im dam oświadczenie – warknęłam.

Rose położyła mi rękę na ramieniu.

– Pani doktor, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł...

Jej również przerwałam.

– Zostawcie to mnie.

Hol był nieduży, a gruba szklana przegroda uniemożliwiała osobom niepowołanym dostanie się do wewnątrz. Kiedy weszłam, nie wierzyłam własnym oczom, ile osób wepchnęło się do tego pomieszczenia, w którym podłoga była teraz kompletnie zabłocona. Kiedy tylko mnie zobaczyli, rozbłysnęły światła kamer, reporterzy zaczęli krzyczeć, podsuwać mi do ust mikrofony i magnetofony.

Uniosłam głos, żeby być słyszana.

– Proszę o ciszę!

– Doktor Scarpetta...

– Cisza! – krzyknęłam głośniej, patrząc na agresywnych ludzi, których nie potrafiłam rozróżnić. – A teraz uprzejmie państwa proszę o wyjście.

- Czy to znowu Rzeźnik? – spytała podniesionym głosem jakaś kobieta.
- Wszystko jest na etapie śledztwa – odpowiedziałam.
- Doktor Scarpetta...

Z trudem rozpoznałam wśród reporterów Patty Denver, której piękna twarz widniała na billboardach w całym mieście.

– Dobrze poinformowane źródła podają, że pracuje pani nad kolejną ofiarą tych seryjnych zabójstw – powiedziała. – Czy może to pani potwierdzić?

Nie odpowiedziałam.

– Czy to prawda, że ofiara jest rasy azjatyckiej, w okresie dojrzewania i została wyrzucona przez miejscową śmieciarkę? – ciągnęła, ku mojemu zdziwieniu. – I czy możemy zakładać, że morderca jest teraz w Wirginii?

– Czy to możliwe, że specjalnie chciał, żeby te poprzednie ciała były zrzucone tutaj?

Podniosłam rękę, żeby ich uciszyć.

– To nie pora na domysły – powiedziałam. – Mogę powiedzieć tylko, że traktujemy to jak zabójstwo. Niezidentyfikowana ofiara jest płci żeńskiej, biała. Nie jest w wieku dojrzewania, ale dorosła, w starszym wieku, i prosimy wszystkich, którzy cokolwiek wiedzą na ten temat, o powiadomienie naszego biura albo Wydziału Szeryfa hrabstwa Sussex.

– A co z FBI?

– FBI jest również zaangażowane – odpowiedziałam.

– Więc traktuje go pani jak Rzeźnika...

Obróciwszy się, wystukałam kod na tabliczce przy drzwiach. Kiedy się otworzyły, prędko weszłam i zatrzasnęłam je za sobą. Nie zwracałam uwagi na ich poirytowane krzyki, tylko przeszedłszy szybko przez hol, doszłam do swojego gabinetu. Wesleya już nie było. Siadłam przy biurku i zadzwoniłam na pager do Marina. Oddzwonił prawie natychmiast.

– Na miłość boską, te przecieki muszą się skończyć! – wykrzyknęłam przez telefon.

– Wiemy, cholera, kto to jest – odpowiedział zdenerwowany Marino.

– Ring. – Nie miałam wątpliwości, ale nie byłam w stanie tego udowodnić.

– Ten truteń miał się ze mną spotkać na wysypisku. To było prawie godzinę temu – ciągnął Marino.

– Prasa nie miała chyba trudności ze znalezieniem go.

Opowiedziałam mu, co „źródła” rzekomo przekazały ekipie telewizyjnej.

– Cholerny idiota! – warknął.

– Poszukaj go i każ mu zamknąć gębę – poprosiłam. – Reporterzy prawie uniemożliwili nam dzisiaj pracę, a w dodatku miasto będzie przekonane, że jest wśród nas seryjny morderca.

– Taa, to, niestety, może być prawdą.

– Nie wierzę. – Byłam coraz bardziej wściekła. – Muszę ujawniać informacje, żeby zapobiec dezinformacji. Nie mogę być na to wystawiana, Marino.

– Nie martw się, zajmę się tym i jeszcze czymś więcej – obiecał. – Założę się, że nie wiesz.

– Czego?

– Mówią, że Ring spotyka się z Patty Denver.

– Myślałam, że jest mężatką – powiedziałam, przypominając sobie jej twarz sprzed kilku minut.

– Jest – potwierdził.

Zaczęłam dyktować sprawę 1930-97, starając się skupić uwagę na tym, co mówię, zaglądając jednocześnie do notatek.

– Ciało dostarczono zapakowane, zabezpieczone – powiedziałam do mikrofonu, układając jednocześnie papiery, ubrudzone krwią z rękawiczek Wingo. – Skóra ziemista. Piersi małe, atroficzne i pomarszczone. Fałdy skórne na podbrzuszu sugerują utratę wagi...

– Pani doktor? – Wingo wsunął głowę do pokoju. – Och, przepraszam – powiedział, zorientowawszy się, co robię. – Pewnie teraz to nie najlepsza pora.

– Wejść – powiedziałam ze zmęczonym uśmiechem. – Zamknij drzwi.

Zamknął moje i te dzielące mój gabinet od pokoju Rose. Ustawił krzeselko przy moim biurku, wyraźnie zdenerwowany. Trudno mu było spojrzeć mi w oczy.

– Zanim zaczniesz, pozwól coś powiedzieć mnie. – Byłam stanowcza, ale łagodna. – Znam cię od wielu lat i twoje życie nie jest dla mnie tajemnicą. Nie osądzam, nie przyklejam etykietek. Moim zdaniem, istnieją tylko dwa rodzaje ludzi: ci, którzy są dobrzy, i ci, którzy nie są. Ale martwię się o ciebie, bo z powodu swojej orientacji narażony jesteś na duże ryzyko.

Skinął głową.

– Wiem – powiedział. W jego oczach błyszczały łzy.

– Jeżeli masz zmniejszoną odporność – ciągnęłam – musisz mi powiedzieć. Prawdopodobnie nie powinieneś być w prosektorium, a w każdym razie nie w niektórych przypadkach.

– Mam wirusa HIV – głos mu się zatrzęsł i zaczął płakać.

Pozwoliłam mu chwilę popłakać z twarzą zakrytą rękami, jakby nie mógł znieść niczyjego wzroku. Ramiona mu się trzęsły, a łzy kapały na zielony fartuch. Podeszłam do niego z pudełkiem chusteczek jednorazowych.

– Proszę – postawiłam chusteczki obok niego. – Już dobrze. – Otoczyłam go ramieniem i dałam mu się wypłakać. – Wingo, weź się w garść, żebyśmy mogli porozmawiać, dobra?

Kiwnął głową, wydmuchał nos i otarł oczy. Przez moment siedział wtulony we mnie jak dziecko. Dałam mu trochę czasu, a potem potrząsnęłam za ramiona i usadziłam naprzeciwko siebie.

– Musisz teraz być odważny, Wingo – powiedziałam. – Zastanówmy się, jak możemy z tym walczyć.

– Nie mogę powiedzieć mojej rodzinie. Ojciec i tak mnie nienawidzi. A kiedy mama próbuje go udobruchać, jest jeszcze gorszy. Dla niej, rozumie pani?

Przysunęłam krzeselko.

– A co z twoim przyjacielem?

– Zerwaliśmy.

– Ale wie?

– Dowiedziałem się dopiero dwa tygodnie temu.

– Musisz powiedzieć jemu i wszystkim, z którymi byłeś blisko. Tak będzie uczciwie. Gdyby tobie ktoś powiedział, może teraz byś tu nie płakał.

Milczał, patrząc na swoje dłonie. Wziął głęboki oddech i powiedział: – Umrę, prawda?

– Wszyscy umrzemy – powiedziałam łagodnie.

– Ale nie tak.

– Może i tak. Przy każdym badaniu lekarskim robią mi testy na HIV. Wiesz, na co jestem narażona. To, co spotkało ciebie, mogło spotkać i mnie.

Spojrzał na mnie z płonącymi oczami i policzkami.

– Jeżeli zachoruję na AIDS, to się zabiję.

– Nie, nie zabijesz – powiedziałam.

Znów zaczął płakać.

– Pani doktor, ja tego nie przeżyję. Nie chcę skończyć w hospicjum czy w jakiejś darmowej klinice, w łóżku, obok innych umierających, których nie znam! – Łzy płynęły po jego tragicznej twarzy. – Będę zupełnie sam, tak jak zawsze byłem.

– Posłuchaj – poczekałam, aż się uspokoi. – Nie będziesz przez to przechodził sam. Masz mnie.

Znów się rozkleił, zakrył twarz i łkał tak głośno, że z pewnością było go słychać w holu.

– Zajmę się tobą – obiecałam, wstając. – A teraz chcę, żebyś poszedł do domu. Chcę, żebyś zrobił, co należy, i powiedział swoim przyjaciołom. Jutro jeszcze porozmawiamy i zastanowimy się, co teraz robić. Potrzebuję nazwiska twojego lekarza i pozwolenia, żeby z nim czy z nią porozmawiać.

– Doktor Alan Riley, w MCV.

Skinęłam głową.

– Znam go. Zadzwoń do niego od razu z rana. Powiedz, że się z nim skontaktuję i że zgadzasz się na jego rozmowę ze mną.

– Okay. – Spojrzał na mnie niepewnie. – Ale pani... nie powie pani nikomu.

– Oczywiście, że nie – zapewniłam.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek tutaj wiedział. Ani Marino. Nie chcę, żeby wiedział.

– Nikt się nie dowie. W każdym razie nie ode mnie.

Wstał powoli i ruszył do drzwi krokiem pijanego czy oszołomionego.

– Nie wyrzuci mnie pani, prawda? – Odwrócił się, trzymając rękę na klamce, i spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma.

– Wingo, na miłość boską – oburzyłam się po cichu. – Miałam nadzieję, że wyżej mnie cenisz.

Otworzył już drzwi.

– Cenię panią bardziej niż kogokolwiek. – Znów potoczyły mu się łzy po policzkach i wytarł je rękawem fartucha, odsłaniając chudy, goły brzuch. – Zawsze tak było.

Usłyszałam w holu jego szybkie kroki i dzwonek windy. Słyszałam, jak wychodził z budynku na świat, któremu był kompletnie obojętny. Oparłam czoło na dłoni i przymknęłam oczy.

– Dobry Boże – szepnęłam. – Pomóż, proszę.

Kiedy wracałam do domu, wciąż lało, a w dodatku były korki, bo z powodu jakiegoś wypadku zamknięto po jednym pasie w obu kierunkach na I-64. Była już straż pożarna i karetki pogotowia, a ratownicy rozcinali drzwi i biegali z noszami. Na śliskiej jezdni lśniło rozbite szkło, a kierowcy zwalniali, żeby popatrzeć na rannych. Jeden z samochodów przeokoziółkował kilka razy, nim się zapalił. Na roztrzaskanej szybie drugiego zobaczyłam krew. W samochodzie była wygięta kierownica. Wiedziałam, co to oznacza, i pomodliłam się za tych nieznanym ludzi. Miałam nadzieję, że nie zobaczę ich w moim prosektoium.

W Carytown zatrzymałam się przy sklepie P.T. Hastingsa, przyozdobionym sieciami i bojami, gdzie sprzedawano najlepsze owoce morza w całym mieście. Gdy weszłam, poczułam ostrą woń ryb i zatoki Old Bay. Mięiste, świeże filety ułożone były na lodzie, a kraby z rozłożonymi łapami kotłowały się w pojemniku z wodą. Z mojej strony nic im nie groziło, bo nie byłam w stanie ugotować czegokolwiek żywcem i nie tknęłabym mięsa, gdyby przedtem przyprowadzono mi żywe krowy czy świnię. Nawet ryby, które złowiłam, natychmiast wrzucałam do wody.

Zastanawiałam się, co kupić, kiedy z zaplecza pojawiła się Bev.

– Co dobrego macie dzisiaj? – spytałam ją.

– Proszę, proszę, kto to przyszedł – wykrzyknęła miło, wycierając ręce o fartuch. – Jest pani właściwie jedyną, która się nie wystraszyła deszczu. Więc ma pani w czym wybierać.

– Nie mam zbyt wiele czasu i chciałabym coś prostego i lekkiego.

Po jej twarzy przemknął cień, gdy otwierała słoik z chrzanem.

– Wyobrażam sobie, co pani musi robić – powiedziała. – Słyszałam w wiadomościach. – Potrząsnęła głową. – Musi pani być wykończona. Nie

wiem, jak pani w ogóle śpi. Powiem pani, co pani ugotuje na dzisiejszy wieczór.

Podeszła do pojemnika ze schłodzonymi błękitnymi krabami. Nie pytając, wybrała funt mięsa w kartoniku.

– Prosto z wyspy Tangier. Sama je zbierałam i nie znajdzie w nich pani ani kawałka muszelki, ani chrząstki. Chyba nie będzie pani jadła sama? – spytała.

– Nie.

– No, to całe szczęście.

Mrugnęła do mnie. Przyprawiałam już tutaj Wesleya. Wybrała sześć dużych krewetek, obranych, oczyszczonych, i zapakowała. Potem postawiła na ladzie obok kasy słoik sosu własnej roboty.

– Trochę przesadziłam z chrzanem – powiedziała – więc można się popłakać, ale jest dobry. – Zaczęła wybijać rachunek. – Przysmaża pani krewetki tak króciutko, ledwo dotkną patelni, rozumie pani? Potem trzeba je ochłodzić i będą razem z sosem na zakąskę. To jest na koszt firmy.

– Ależ nie powinna pani...

Machnęła ręką.

– A jeżeli idzie o kraby, kochana, to posłuchaj. Jedno jajko lekko ubić, pół łyżeczki ostrej musztardy, odrobinę sosu Worcestershire, cztery pokruszone niesolone krakersy. Posiekać jedną cebulkę, jedną zieloną paprykę, łyżeczka lub dwie natki pietruszki, sól i pieprz do smaku.

– Wydaje się pyszne – powiedziałam z wdzięcznością. – Bev, co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Teraz trzeba to wszystko delikatnie wymieszać i uformować kotleciki – wykonała odpowiedni ruch rękami. – Podsmażyć na oliwie na średnim ogniu na jasnobrązowy kolor. Może mu pani jeszcze zrobić jakąś surówkę albo wziąć ode mnie, i to tyle, co bym zrobiła dla jakiegokolwiek chłopca.

I ja tyle właśnie zrobiłam. Zaczęłam, jak tylko wróciłam do domu, i teraz krewetki się studziły, a ja włączyłam muzykę i weszłam do wanny. Wsypałam sobie aromatycznych soli, podobno redukujących stres, i leżałam w wonnej parze, przenikającej wszystkie pory. Pomyślałam o Wingu i serce mi zatrzepotało ze strachu jak ptak w klatce. Popłakałam się. Zaczynał pracę w tym mieście u mnie, potem wyjechał do szkoły. Teraz jest z powrotem i umiera. Nie mogłam tego znieść.

O siódmej, gdy byłam znów w kuchni, zobaczyłam srebrne BMW Wesleya, jak zwykle punktualnego, przed swoim domem. Wesley był wciąż w garniturze, w którym go widziałam wcześniej. W jednym ręku trzymał butelkę chardonnay Cakebread, w drugim małą irlandzką whisky Black Bush. Deszcz w końcu ustał i chmury powędrowały na inne fronty.

– Cześć – powiedział, gdy otworzyłam drzwi.

– Dobrze przepowiedziałeś pogodę. – Pocałowałam go.

– Nie na darmo mi tyle płacą.

– Pieniądze pochodzą od twojej rodziny – uśmiechnęłam się, gdy wchodził za mną. – Wiem, ile Biuro ci płaci.

– Jakbym był taki sprytny w sprawach finansowych jak ty, nie potrzebowałbym pieniędzy rodziny.

W moim dużym pokoju znajdował się bar, do którego od razu podeszłam, bo wiedziałam, co będzie pił.

– Black Bush? – upewniłam się.

– Jeżeli tu podają. Jesteś takim świetnym dealerem, że udało ci się mnie uzależnić.

– Jeżeli będziesz ją wciąż szmuglował z Waszyngtonu, mogę zawsze podawać – powiedziałam.

Przygotowałam nasze drinki z lodem i odrobiną wody sodowej. Później poszliśmy do kuchni i usiedliśmy w zacisznym miejscu przy stole, obok

olbrzymiego okna, wychodzącego na zadrzewiony ogród i rzekę. Żałowałam, że nie mogę mu powiedzieć o Wingu i co w związku z tym czuję. Ale nie mogłam zawieść zaufania.

– Czy mogę najpierw poruszyć pewną sprawę zawodową? – Wesley zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

– Ja też coś mam.

– Więc zaczynaj. – Popijał powoli, patrząc na mnie.

Opowiedziałam mu o przeciekach do prasy, dodając: – Ring jest coraz większym problemem.

– Jeżeli to on. Nie mówię tak, nie mówię nie. Trudność polega na zdobyciu dowodów.

– Ja nie mam cienia wątpliwości.

– Kay, to nie wystarczy. Nie możemy kogoś odsunąć od śledztwa tylko na podstawie intuicji.

– Marino słyszał plotki, że Ring ma romans ze znaną miejscową dziennikarką telewizyjną – dodałam. – Pracuje w tej samej stacji, która podała nieprawdziwą informację, że ofiara była rasy azjatyckiej.

Milczał. Wiedziałam, że znów myślał o dowodzie, i miał rację. Zdawałam sobie sprawę z tego, że wszystko to jest powierzchowne.

– Ten facet jest bardzo sprytny. Wiesz coś o nim?

– Nic nie wiem – odpowiedziałam.

– Ukończył z wyróżnieniem uniwersytet William and Mary, na wydziałach psychologii i administracji publicznej. Jego wuj jest sekretarzem bezpieczeństwa publicznego. – Wiadomości były coraz gorsze. – Jest to Harlow Dershin, nawiasem mówiąc, bardzo przyzwoity facet. Ale to jasne, że nie można rzucać oskarżeń, jeśli się nie ma stuprocentowej pewności.

Sekretarz bezpieczeństwa publicznego w Wirginii był bezpośrednim przełożonym inspektora policji stanowej. Wuj Ringa posiadałby większą władzę, jedynie będąc gubernatorem.

– Jednym słowem, twierdzisz, że Ring jest nietykalny.

– Mówię tylko, że sądząc po wykształceniu, ma wysokie aspiracje. Tacy faceci mają zamiar zostać szefem, komisarzem, politykiem. Nie interesuje ich bycie gliną.

– Tacy faceci interesują się tylko sobą – odpaliłam. – Ringa nic nie obchodzi ofiary ani ich rodziny, które nie wiedzą, co się stało ich ukochanym. Nie interesuje go to, czy jeszcze ktoś zginie.

– Dowód – przypomniał. – Prawdę mówiąc, jest wiele osób, łącznie z pracownikami wysypiska, które mogły mieć udział w tych przeciekach.

Na to nie miałam kontrargumentu, ale nic nie osłabiło moich podejrzeń.

– Najważniejsze jest rozpracowanie tych spraw – ciągnął – a najlepszym na to sposobem jest robić, co do nas należy, a jego ignorować, tak jak robią Marino i Grigg. Iść za każdym tropem, obchodzić przeszkody. – Jego oczy wydawały się w tym świetle bursztynowe i patrzyły na mnie łagodnie.

Odsunęłam krzesło.

– Musimy nakryć do stołu.

Wyjął naczynia i otworzył wino, a ja ułożyłam na talerzach schłodzone krewetki i wylałam na miseczkę sos „Kopnięcie Konia” od Bev. Przecięłam na pół cytrynę, owinęłam gazą i wycisnęłam sok na kotleciki z krabów. Na wschodzie pojawiał się już cień nadchodzącej nocy, gdy jedliśmy z Wesleyem sałatkę krewetkową.

– Tęskniłem za tym – powiedział. – Może nie chcesz tego słuchać, ale to prawda.

Nic nie powiedziałam, bo nie chciałam wszczynać kolejnej wielogodzinnej dyskusji, po której znów bylibyśmy wykończeni.

– W każdym razie – odłożył widelec tak, jak to robią dobrze wychowani ludzie, kiedy skończą – dziękuję. Tęskniłem za panią, doktor Scarpetta. – Uśmiechnął się.

– Cieszę się, że pan tu jest, agencie specjalny Wesley.

Uśmiechnęłam się do niego, wstając. Włączyłam kuchenkę, żeby podgrzać olej na patelni, a on zbierał naczynia.

– Chcę powiedzieć, co pomyślałem o zdjęciu, które ci przysłano – zaczął. – Po pierwsze, musimy ustalić, czy to jest na pewno ofiara, którą się dzisiaj zajmowałaś.

– Chcę to ustalić w poniedziałek.

– Zakładając, że jest – ciągnął – to *modus operandi* mordercy zmienił się dramatycznie.

– Wszystko się zmieniło.

Kotleciki krabowe powędrowały na patelnię i zaczęły skwierczeć.

– Masz rację – powiedział, nakładając surówkę. – Tym razem wszystko jest takie wyraźne, jakby chciał nam to podsunąć pod nos. I oczywiście wybór ofiary jest zasadniczo różny. Wygląda wspaniale – dodał, patrząc na patelnię.

Kiedy znów usiedliśmy, powiedziałam bez cienia wątpliwości: – Benton, to nie jest ten sam facet.

Zawahał się, nim odpowiedział.

– Ja też tak uważam, prawdę mówiąc. Ale nie jestem przygotowany, żeby go wykluczyć. Nie wiemy jeszcze, czy nie szykuje czegoś nowego.

Znów czułam się podłamana. Niczego nie mogłam udowodnić, ale mój instynkt i intuicja wiedziały swoje.

– Nie sądzę, żeby ta stara kobieta miała cokolwiek wspólnego z wcześniejszymi sprawami tutaj czy z Irlandii. Ktoś chce, żebyśmy tak myśleli, i dlatego się podszywa.

– Zabierzemy się do tego wszyscy. W czwartek. Chyba taki termin ustaliliśmy. – Spróbował kotlecika. – Pyszne. Mniam. – Oczy mu się zaszklily. – To dopiero sos.

– Reżyseruje. Morderstwo dokonane z innego powodu upodabnia do tamtych – powiedziałam. – I nie chwał mnie nadmiernie. To przepis Bev.

– Ta fotografia mnie niepokoi – powiedział.

– Mnie też.

– Rozmawiałem o tym z Lucy – powiedział.

Teraz mnie naprawdę zainteresował.

– Powiedz, kiedy jej będziesz tutaj potrzebowała. – Sięgnął po swój kieliszek.

– Im wcześniej, tym lepiej. Jak jej leci? – spytałam po chwili. – Wiem to, co mi mówi, ale chciałabym usłyszeć to od ciebie.

Przypomniałam sobie o wodzie mineralnej, więc wstałam, żeby przynieść. Kiedy wróciłam, patrzył na mnie w milczeniu. Czasem trudno mi było spoglądać na jego twarz, bo moje uczucia zmieniały się w rozstrojone instrumenty. Kochałam jego pięknie wyrzeźbiony, prosty nos, oczy, które mogły mnie wciągnąć w nieznane głębiny, i jego usta, z taką zmysłową dolną wargą. Spojrzałam w okno, ale nie widziałam już rzeki.

– Lucy – przypomniałam mu. – Może byś jej wystawił cenzurkę dla ciotki?

– Nikt nie żałuje, że ją zatrudniliśmy – powiedział sucho o kimś, kto zdaniem wszystkich był geniuszem. – Może to rzeczywiście nadmierna ostrożność. Jest rewelacyjna. Większość agentów bardzo ją ceni i chcą stale z nią współpracować. Nie mówię, że nie ma żadnych problemów. Nie wszyscy uważają, że należy mieć kobietę w bazie.

– Ciągle się martwię, że będzie zbyt ciężko pracować.

– Jest w wyśmienitej formie, to pewne. Nie byłbym w stanie z nią konkurować.

– O to mi właśnie chodzi. Chce facetom dotrzymać kroku, a to nie jest możliwe. Wiesz, jaka ona jest. Zawsze musi się sprawdzać. Jeżeli faceci biegną przez góry, dźwigając sześćdziesięciofuntowe plecaki, ona uważa, że musi im dorównać. Powinna się zadowolić swoimi zdolnościami technicznymi, robotami i tak dalej.

– Nie doceniasz jej największej motywacji, jej pasji – powiedział.

– Jakiej?

– Siebie. Ona czuje, że musi się sprawdzić przed tobą, Kay.

– Nie ma żadnego powodu, żeby tak to odczuwać. – Było to bardzo przygnębiające. – Nie chcę, aby przeze mnie łądowała się w te wszystkie niebezpieczne zadania, które jej zdaniem musi wykonać.

– Nie chodzi o winę – powiedział, wstając od stołu – tylko o ludzką naturę. Lucy cię uwielbia. Jesteś jedyną przyzwoitą osobą, która zastąpiła jej matkę. Chce być taka jak ty. Uważa, że ludzie porównują ją z tobą, a to trudny wzór do naśladowania. Chce, żebyś ty też ją podziwiała, Kay.

– Ależ ja ją podziwiam, na miłość boską. – Ja też wstałam i zaczęliśmy sprzątać ze stołu. – Teraz dopiero naprawdę się zmartwiłam.

Zaczął splukiwać, a ja wkładałam naczynia do zmywarki.

– Pewnie powinnaś się martwić. – Spojrzał na mnie. – Jest perfekcjonistką, która nie będzie nikogo słuchała. Jest najbardziej upartą istotą ludzką, jaką znam, poza tobą oczywiście.

– Bardzo dziękuję.

Uśmiechnął się i objął mnie, nie zważając na swoje mokre ręce.

– Możemy usiąść i pogadać jeszcze chwilę? – spytał, wciąż blisko mnie.
– Potem będę musiał ruszyć.

– A potem?

– Rano muszę porozmawiać z Marinem, a po południu dostaję jeszcze jedną sprawę. Z Arizony. Wiem, że to niedziela, ale nie może czekać.

Wciąż jeszcze mówił, gdy szliśmy z kieliszkami do dużego pokoju.

– Dwunastoletnia dziewczynka uprowadzona w drodze ze szkoły do domu, ciało znaleziono na pustyni Sonora. Podejrzewamy, że ten sam facet zabił jeszcze troje dzieci.

– Trudno być szczególnym optymistą – powiedziałam z goryczą, gdy siadaliśmy na kanapie. – To nie ma końca.

– Nie – odpowiedział – i obawiam się, że nigdy się nie skończy. Dopóki na tej planecie będą żyli ludzie. Co masz zamiar robić przez resztę weekendu?

– Robotę papierkową.

Za olbrzymimi, szklanymi drzwiami, które tworzyły jedną ze ścian dużego pokoju, widać było tylko ciemność, a na jej tle złoty księżyc oświetlał lekkie chmurki.

– Dlaczego jesteś na mnie taka zła? – mówił łagodnym głosem, ale nie ukrywał, że jest mu przykro.

– Nie wiem – nie spojrzałam na niego.

– Wiesz. – Chwycił moją dłoń i zaczął pocierać kciukiem. – Kocham twoje dłonie. Są jak ręce pianisty, tylko silniejsze. Jakby to, co robisz, było sztuką.

– Bo jest – odpowiedziałam. Często mówił o moich rękach. – Traktujesz je jak fetysz. Powinno cię to zainteresować jako psychologa.

Zaśmiał się i zaczął całować moje palce i kostki dłoni, jak to zwykle robił.

– Wierz mi, że nie tylko twoje dłonie są dla mnie fetyszem.

– Benton – spojrzałam na niego. – Jestem zła na ciebie, bo rujnujesz mi życie.

Znieruchomiał, przerażony. Wstałam z kanapy i zaczęłam chodzić po pokoju.

– Miałam już ułożone życie tak, jak chciałam – mówiłam, coraz bardziej przejęta. – Buduję wszystko od nowa. Tak, byłam rozsądna, jeśli idzie o pieniądze, zainwestowałam na tyle sprytnie, żeby mnie było stać na to – wskazałam ręką na całe mieszkanie. – Mój własny dom, który sama zaprojektowałam. Wszystko było na swoim miejscu, dopóki ty...

– Doprawdy? – przypatrywał mi się badawczo, a w jego głosie słychać było ból i gniew. – Więc wolałaś, kiedy byłem żonaty i oboje źle się z tym czuliśmy? Kiedy mieliśmy romans i musieliśmy się ukrywać i kłamać?

– Oczywiście, że nie wolałam – wykrzyknęłam. – Po prostu lubię, kiedy moje życie należy do mnie.

– Masz problem, bo boisz się z kimś związać. O to przede wszystkim chodzi. Ile razy muszę ci o tym przypominać? Powinnaś naprawdę z kimś porozmawiać. Może z doktor Zenner. Przyjaźnicie się, masz do niej zaufanie.

– To nie ja potrzebuję psychiatry. – Natychmiast pożałowałam tych słów. Wstał ze złością, jakby chciał natychmiast wyjść. Nie było jeszcze dziewiątej.

– Boże, jestem za stara i zanadto zmęczona na coś takiego – mruknęłam. – Benton, przepraszam. To było nie w porządku. Siadaj, proszę.

Stał przed szklanymi drzwiami, tyłem do mnie.

– Nie próbuję cię skrzywdzić, Kay – powiedział. – Nie przychodzę tutaj, żeby spieprzyć ci życie, wiesz o tym. Cholernie podziwiam wszystko, co robisz. Chciałbym tylko, żebyś mnie trochę bardziej wpuściła do swego życia.

– Wiem. Przepraszam. Nie odchodź.

Powstrzymując łzy, usiadłam i spojrzałam na sufit z wystającymi belkami i śladami po kielni na tynku. Wszędzie, gdzie spojrzałam, znajdowałam detale, w których miałam swój udział. Przymknęłam na chwilę oczy i łzy spłynęły mi po twarzy. Nie wycierałam ich, a Wesley wiedział, kiedy mnie nie dotykać. Wiedział też, kiedy się nie odzywać. Usiadł obok mnie.

– Jestem kobietą w średnim wieku i mam swoje przyzwyczajenia – zaczęłam drżącym głosem. – Nic na to nie poradzę. Wszystko, co mam, sama stworzyłam. Nie mam dzieci. Nie mogę znieść jedynej siostry, a ona nie może znieść mnie. Ojciec całe moje dzieciństwo spędził w łóżku, umierając, i odszedł, gdy miałam dwanaście lat. Matka jest nie do wytrzymania, a teraz umiera na rozedmę. Nie mogę być tym, czym chcesz, to znaczy dobrą żoną. Nawet nie wiem, do cholery, na czym to polega. Potrafię tylko być Kay. A pójście do psychiatry niczego tu nie zmieni.

– A ja cię kocham i chcę się z tobą ożenić i też nic na to nie poradzę.

Nie odpowiedziałam.

Dodał:

– I myślałem, że ty też jesteś we mnie zakochana.

Wciąż nie mogłam nic powiedzieć.

– A przynajmniej byłaś. – W jego głosie słychać było ból. – Wychodzę.

Znów chciał wstać, ale dotknęłam jego ręki.

– Nie tak. – Popatrzyłam na niego. – Nie rób mi tego.

– Tobie? – spytał z niedowierzaniem.

Przyćmiłam światła, aż zrobiło się prawie ciemno i księżyc na tle nieba usianego gwiazdami wyglądał jak błyszcząca moneta. Dolałam jeszcze wina i rozpałam w kominku, a on patrzył na wszystko, co robiłam.

– Siądź przy mnie – poprosiłam.

Usiadł i tym razem ja ujęłam jego rękę.

– Benton, cierpliwości. Nie popędzaj mnie – powiedziałam. – Proszę. Nie jestem taka jak Connie. Jak inni ludzie.

– Nie proszę, żebyś była – powiedział. – Nie chcę, żebyś była. Ja też nie jestem taki jak inni ludzie. Wiemy to, co widzimy. Inni ludzie nie potrafią tego zrozumieć. Nigdy nie mogłem rozmawiać z Connie o tym, jak spędzam czas. Ale z tobą mogę.

Pocałował mnie delikatnie, potem coraz głębiej, dotykaliśmy swoich twarzy, języków, rozbieraliśmy się powoli, robiąc to, co kiedyś robiliśmy doskonale. Czułam jego usta, ręce i zostaliśmy na tej kanapie aż do późnej nocy, kiedy światło księżyca stało się chłodne i zbladło. Gdy odjechał do domu, nalałam sobie wina, chodziłam z nim po całym domu, a za mną sączyła się muzyka z głośników, włączonych we wszystkich pokojach. W końcu znalazłam się w swoim gabinecie, gdzie potrafiłam od wszystkiego się oderwać.

Zacząłam przeglądać pisma, wrywając z nich artykuły, które chciałam zachować, a potem próbowałam pracować nad artykułem, który obiecałam napisać. Nie miałam jednak do tego wszystkiego nastroju, więc postanowiłam sprawdzić, czy nie ma jakiejś wiadomości w poczcie elektronicznej. Może Lucy pisze, kiedy uda jej się przyjechać do Richmondu. Kiedy sprawdziłam, poczułam, jakby mnie ktoś walnął obuchem w głowę. Czekala na mnie, jak okrutny nieznajomy, wiadomość pod hasłem *dokum*.

Napisana była małymi literami, bez znaków przestankowych i brzmiała: *myślisz że jesteś taka sprytna*. Otworzyłam dołączony plik graficzny i znów na moim ekranie zaczęły się malować kolorowe obrazy i pojawiły się odrąbane stopy i ręce, ułożone na stole, przykrytym czymś, co wydawało się tym samym niebieskim materiałem. Patrzyłam przez chwilę,

zastanawiając się, dlaczego ta osoba mi to robi. Pomyślałam, że może właśnie popełniła wielki błąd, i złapałam za telefon.

– Marino! – wykrzyknęłam, kiedy odebrał.

– Hm, co się stało? – warknął, gdy oprzytomniał.

Opowiedziałam mu.

– Cholera! Jest trzecia w nocy. Czy ty nigdy nie śpisz?

Wydawał się zadowolony i podejrzewam, że to dlatego, że przecież nie dzwoniłabym do niego, gdyby Wesley tu był.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Posłuchaj. Ręce są dłońmi do góry – wyjaśniłam. – Zdjęcie było zrobione z bliska. Widzę mnóstwo szczegółów.

– Jakiego rodzaju szczegółów? Tatuaż czy coś takiego?

– Linie papilarne – odpowiedziałam.



Neils Vander był szefem sekcji badania odcisków palców, starszym mężczyzną o rzadkich włosach, który nosił zawsze zbyt obszerne kitle laboratoryjne, poplamione na fioletowo i czarno ninhydryną i proszkiem do posypywania odcisków. Zawsze w pośpiechu i zaaferowany, należał do kategorii dystygowanych Wirgińczyków, więc nigdy nie mówił mi po imieniu ani nie rozmawiał na tematy osobiste, mimo że znaliśmy się tyle lat. Potrafił jednak okazać troskę. Czasami był to pączek, położony rano na moim biurku, a latem pomidory z ogrodu.

Miał sokole oko i był ekspertem od uwydatniania obrazów, szkolonym przez NASA. W ciągu tych lat udało nam się wspólnie zmaterializować

wiele twarzy z zamazanych fotografii, odtworzyć ślady, których prawie nie było.

System wysokiej rozdzielczości odróżniał na obrazie dwieście pięćdziesiąt sześć odcieni szarości, a ludzkie oko, w najlepszym przypadku, trzydzieści dwa. Dzięki temu możliwe było zeskanowanie na komputerze obrazu, którego inaczej nie moglibyśmy zobaczyć. *Dokum* mógł mi przesłać więcej, niż planował. Pierwszym zadaniem tego ranka było porównanie zdjęcia korpusu z prosektorium ze zdjęciem przysłanym mi elektronicznie.

– Dodam tu jeszcze trochę szarego – powiedział Vander, stukając w klawisze komputera. – I troszkę przechylę.

– Teraz lepiej – zgodziłam się.

Siedzieliśmy obok siebie, nachylając się w stronę dziewiętnastocalowego monitora. Obok leżały na skanerze dwa zdjęcia, a kamera wideo przekazywała nam ich obrazy na żywo.

– Trochę więcej tego. – Jeszcze inny odcień szarości opłynął ekran. – A to odrobinę przesunę.

Sięgnął do skanera i przesunął jedno ze zdjęć. Nałożył inny filtr na obiektyw kamery.

– No nie wiem – powiedziałam, przyglądając się. – Chyba przedtem było łatwiej to zobaczyć. Może powinien je pan przesunąć jeszcze trochę w prawo – dodałam, gdy wieszaliśmy zdjęcia.

– Lepiej, ale jeszcze jest za dużo tła, którego chciałbym się pozbyć.

– Szkoda, że nie mamy oryginału. A jaka jest rozdzielczość radiometryczna tego urządzenia? – spytałam, mając na myśli jego zdolność do rozróżniania odcieni szarości.

– Znacznie lepsza niż kiedyś. W porównaniu z początkowym okresem chyba podwoiła się liczba pikseli, którą można ująć cyfrowo.

Piksele są najmniejszymi elementami oglądanego obrazu, molekułami, jak kropki koloru u impresjonistów, tworzące malowidło.

– Wie pani, dostaliśmy granty. Chciałbym któregoś dnia przerzucić się na ultrafiolet. Nie ma pani pojęcia, co mógłbym wtedy zrobić z cyjanoakrylitem – ciągnął na temat Super Glue, który reaguje na komponenty ludzkiego potu i jest doskonały do ujawniania odcisków palców, niemożliwych do zauważenia gołym okiem.

– No, to powodzenia – powiedziałam, bo z pieniędzmi było zawsze krucho, niezależnie od tego, kto rządził.

Znów przesunął nieco zdjęcie, przesłonił obiektyw kamery niebieskim filtrem i rozjaśnił obraz. Uwypuklił szczegóły poziome, usunął pionowe i teraz oba korpusy były obok siebie, a ponure detale stały się wyraźniejsze.

– Widać zakończenia kości – pokazałam na ekranie. – Lewa noga odcięta prawie na wysokości krętarza mniejszego, prawa – przesunęłam palec – około dwóch centymetrów niżej.

– Szkoda, że nie mogę poprawić kąta ujęcia w kamerze, który zakłóca perspektywę – mrucał do siebie, jak mu się często zdarzało. – Ale nie znam żadnych wymiarów. Szkoda, że ten, kto zrobił to zdjęcie, nie dołączył jeszcze miarki, jako skali.

– Wtedy dopiero bym się martwiła, z kim mamy do czynienia – zauważyłam.

– Tego nam jeszcze trzeba. Mordercy, który jest taki jak my. – Wyostrzył brzegi i jeszcze raz przełożył zdjęcia. – Zobaczmy, co się stanie, jak je nałożę na siebie.

Zrobił tak i rezultat był zdumiewający. Zakończenia kości, a nawet poszarpane ciało wokół szyi były identyczne.

– To mi wystarczy – oświadczyłam.

– Nie mam wątpliwości – zgodził się. – Wydrukujmy to.

Kliknął myszą i zaszumiała laserowa drukarka. Wyjął zdjęcia ze skanera i włożył tam następne, stóp i dłoni, obracając je, aż były idealnie na środku. Gdy zaczął je powiększać, widok stał się niemal groteskowy. Krew, plamiąca prześcieradło na jasnoczerwony kolor, była jakby właśnie rozlana. Zabójca ułożył stopy starannie obok siebie, jak parę butów, a ręce jak rękawiczki.

– Powinien był odwrócić dłonie – powiedział Vander. – Zastanawiam się, dlaczego tego nie zrobił.

Z pomocą filtra przestrzennego udało mu się zachować ważne szczegóły i zaczął eliminować te utrudniające obserwację, jak krew czy fakturę niebieskiego przykrycia na stole.

– A może pan wydobyć szczegóły linii papilarnych? – spytałam, nachylając się tak blisko, że czułam zapach jego mocnej wody po goleniu.

– Chyba tak – odpowiedział. Jego głos zabrzmiał radośnie, bo nic nie sprawiało mu większej przyjemności, jak odczytywanie hieroglifów palców i stóp. Mimo uprzejmego, nieco roztargnionego sposobu bycia człowiek ten wysłał tysiące ludzi do więzienia, a dziesiątki na krzesło elektryczne. Powiększył fotografię i dodał trochę innych kolorów do różnych odcieni szarości, żebyśmy lepiej widzieli. Kciuki były małe i blade jak pergamin. Miały widoczne linie.

– Pozostałe palce się nie nadają – powiedział, patrząc jak w transie. – Są za bardzo podwinięte, żeby coś zobaczyć. Ale kciuki wyglądają świetnie. – Kliknął menu, żeby zachować obraz na twardym dysku. – Chcę teraz trochę nad tym popracować.

Było to hasło dla mnie, żeby sobie pójść, więc odsunęłam krzesło.

– Jeżeli coś znajdę, przepuszczę to zaraz przez AFIS – powiedział, mając na myśli zautomatyzowany system identyfikacji odcisków palców,

który potrafił porównać nieznane odciski z milionami zgromadzonych w banku danych.

– To byłoby wspaniałe. A ja zacznę HALT.

Spojrzał na mnie zdziwiony, gdyż mówiłam o banku danych Wirginii, prowadzonym przez policję stanową w połączeniu z FBI. Tam należało zaczynać, jeśli mieliśmy podejrzenia, że sprawa była lokalna.

– Nawet jeżeli podejrzewamy, że pozostałe sprawy nie są stąd – wyjaśniłam – sądzę, że musimy przeszukać wszystko, co możliwe. Łącznie z bankiem danych Wirginii.

Vander wciąż coś przestawiał, patrząc na ekran.

– Jeżeli tylko nie będę musiał wypełniać żadnych papierków – powiedział.

W holu poustawiane były pudła i białe kartony, oznaczone DOWODY, które piętrzyły się po obu stronach aż do sufitu. Między nimi przeciskali się w pośpiechu pracownicy naukowcy, z papierkami i próbkami, które mogły kogoś posłać do sądu z oskarżeniem o morderstwo. Pozdrawialiśmy się, nie zwalniając tempa, gdyż ja też się śpieszyłam do dużego i cichego laboratorium włókien i śladów. Tutaj pracownicy naukowcy w białych fartuchach pracowali schyleni nad mikroskopami i przy biurkach, a na czarnych stołach leżały tajemnicze paczuszki, poowijane w brązowy papier.

Przed lampą z promieniami ultrafioletowymi, która dawała fioletowoczerwone światło, stał Aaron Koss, studiując przez lupę przeźrocze, ciekaw, co mu powiedzą odbijające się długie fale.

– Dzień dobry – powiedziałam.

– Tobie też – wyszczerzył zęby.

Był atrakcyjny, ciemnowłosy i wyglądał za młodo jak na eksperta od mikroskopijnych włókien, osadów, farb i materiałów wybuchowych. Ubrany był w wyblakłe dżinsy i adidas.

– Nie idziesz dziś do sądu – powiedziałam, bo zawsze można to było poznać po ubraniu.

– Nie, mam szczęście – odpowiedział. – Ale założę się, że ciekawa jesteś, co z twoimi włókienkami?

– Byłam w sąsiedztwie, więc pomyślałam, że wpadnę.

Znano mnie z chodzenia i pilnowania analiz, ale generalnie wszyscy cierpliwie to znosili, a w końcu byli wdzięczni. Wiem, że ich naciskałam, chociaż mieli mnóstwo roboty, ale kiedy ludzie są mordowani i odcina im się kończyny, dowody muszą być przebadane szybko.

– Skoro pozwoliłaś mi przełożyć pracę nad rura-bomberem... – powiedział z uśmiechem.

– Pewnie tu nie miałeś szczęścia – zgadywałam.

– Ostatniej nocy mieli kolejny przypadek. Niedaleko Laburnum, tuż pod nosem Specjalnej Grupy Operacyjnej. Tam gdzie kiedyś był Trzeci Posterunek, wyobrażasz sobie?

– Miejmy nadzieję, że ograniczy się do wysadzania znaków drogowych – powiedziałam.

– Miejmy nadzieję. – Odszedł od lampy ultrafioletowej i spoważniał. – Tutaj mam włókna ze skrawka materiału, jaki mi przyniosłaś, wciśniętego w kość. Włos. I ślad z przyschniętą krwią.

– Jej włos? – spytałam zdziwiona, bo nie dawałam Kossowi żadnego z jej długich, siwych włosów. To nie jego specjalność.

– Te, które widziałem pod mikroskopem, nie są ludzkie. Może dwa różne rodzaje zwierząt. Posłałem je do Roanoke'a.

Był tylko jeden ekspert od włosów na cały stan i pracował poza laboratoriami sądowymi okręgu zachodniego.

– A co z tym śladem? – spytałam.

– Przypuszczam, że może pochodzić z wysypiska, ale chcę jeszcze obejrzeć pod mikroskopem elektronowym. Teraz mam tu włókna – ciągnął – właściwie fragmenty, które przepłukałem ultradźwiękami w wodzie destylowanej, żeby się pozbyć krwi. Chcesz spojrzeć?

Posunął się, żebym mogła zerknąć przez soczewki, i poczułam zapach wody kolońskiej Obsession. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, bo przypomniało mi się, że będąc w jego wieku, też miałam energię na takie czarowanie. Pod mikroskopem leżały trzy próbki, świecące jak neony. Pochodziły z białego albo prawie białego materiału, a na jednym pojawiły się plamki, jakby ze złota.

– A to co? – spojrzałam na niego.

– Pod stereoskopem wygląda na syntetyk – powiedział. – Regularne średnice, jakby były wytłoczone, a nie naturalne i nieregularne. Na przykład jak bawełna.

– A te fluoryzujące plamki?

– To jest najciekawsze. Chociaż muszę jeszcze przeprowadzić dalsze badania, na pierwszy rzut oka wygląda na farbę.

Usiłowałam sobie to wyobrazić.

– Jakiego rodzaju? – spytałam.

– Nie gładka i delikatna jak samochodowa. Bardziej granulowana, chropowata. Wydaje się bardzo jasna, w kolorze skorupki od jaja. Myślę, że budowlana.

– Czy to są jedyne cząsteczki i włókna, jakim się przyglądałeś?

– Dopiero zaczynam. – Przesunął się do innego stołu i wyciągnął taboret. – Przypatrzyłem się im wszystkim i mogę powiedzieć, że około pięćdziesięciu procent ma na sobie tę substancję przypominającą farbę. Nie mogę z pewnością powiedzieć, co to za materiał, ale wiem, że wszystkie

próbki, jakie dostarczyłaś, są tego samego rodzaju i prawdopodobnie pochodzą z tego samego źródła.

Umieścił szkiełko pod mikroskopem polaryzującym, który rozszczepiał światło na różne fale o odmiennych współczynnikach załamania, żebyśmy mieli jeszcze jakieś dane do identyfikacji materiału.

– Teraz – powiedział, ustawiając ostrość i patrząc przez obiektyw bez mrugnięcia. – To największy zachowany fragment, wielkości prawie dziesięciocentówki. Są tu dwie sprawy. – Odsunął się, a ja popatrzyłam na włókienka, przypominające blond włosy z drobinami różowego i zielonego wzdłuż promienia światła. – Tak wygląda poliester – wyjaśnił Koss. – Te cętki używane są w przemyśle, żeby materiał nie błyszczał. Sądzę też, że jest tam domieszka rayonu i na podstawie tego wszystkiego skłonny jestem twierdzić, że mamy tu bardzo popularny materiał, który może być używany właściwie do wszystkiego. Od bluzki do narzuty na łóżko. Ale jest jeden poważny problem.

Otworzył buteleczkę płynnego rozpuszczalnika, używanego przy krótkotrwałych preparatach. Usunął pęsetą szkiełko, przykrywające preparat, i ostrożnie odwrócił preparat na drugą stronę. Kapnął ksylenu, przykrył płytkę z powrotem i skinął na mnie, żebym się nachyliła.

- Co widzisz? – spytał, bardzo dumny z siebie.
- Coś szarawego i twardego. Nie ten sam materiał, co po drugiej stronie.
- Spojrzałam na niego zdziwiona. – Ten materiał ma jakiś podkład?
- Coś termoplastycznego, prawdopodobnie polietylen.
- Którego się używa do czego? – chciałam się dowiedzieć.
- Głównie w butelkach do napojów, filmach, opakowaniach z bąbelkami, używanych do delikatnych towarów.

Patrzyłam na niego oszołomiona, bo nie mogłam sobie wyobrazić, jak którykolwiek z tych produktów mógł mieć coś wspólnego z naszą sprawą.

– Co jeszcze? – spytałam.

– Materiał na sznurki, niektóre mogą być przerabiane do ponownego użycia, na włókna do robienia dywanów, różnych plastikowych śmieci. Do wszystkiego.

– Ale nie na ubrania?

Potrząsnął głową i odpowiedział z przekonaniem: – Nie ma mowy. Tkanina jest bardzo prosta, zwykły poliester, pokryty materiałem plastikowym. Zupełnie nie na ubrania. Poza tym jest chyba przesiąknięty farbą.

– Dziękuję ci, Aaron, to wszystko zmienia.

Kiedy dotarłam z powrotem do swego gabinetu, byłam zaskoczona i wściekła, gdy zastałam Percy Ringa, siedzącego naprzeciwko mojego biurka i kartkującego swój notes.

– Musiałem przyjechać do Richmondu na wywiad do programu dwunastego – powiedział niewinnie – więc pomyślałem, że mogę do ciebie wpaść. Z tobą też chcę porozmawiać. – Uśmiechnął się.

Nie odpowiedziałam, ale moje milczenie było wymowne.

– Nie sądziłem, żebyś chciała udzielić im wywiadu, więc tak właśnie powiedziałem.

– Więc powiedz mi dokładnie, co tym razem im powiedziałaś? – spytałam niezbyt miłym tonem.

– Słucham? – Uśmiech znikł z jego twarzy, a spojrzenie stwardniało. – Co to ma znaczyć?

– Jesteś detektywem. Domyśl się. – Moje spojrzenie było równie twarde jak jego.

Wzruszył ramionami.

– Powiedziałem to co zawsze. Podstawowe informacje na temat sprawy i jej podobieństwa do pozostałych.

– Inspektorze Ring, powtórzę to wyraźnie ostatni raz – powiedziałam, nie kryjąc pogardy w głosie. – Ta sprawa niezupełnie jest taka jak pozostałe i nie powinniśmy tego omawiać z mediami.

– Cóż, wydaje się, że mamy inne spojrzenie na sprawę, doktor Scarpetta.

W ciemnym garniturze, szelkach i eleganckim krawacie wyglądał bardzo godnie. Przypomniałam sobie, co mi opowiadał Wesley o ambicjach i powiązaniach Ringa, ale nie mogłam znieść myśli, że taki egotyk i idiota mógłby kiedyś dowodzić policją stanową lub zostać wybrany do Kongresu.

– Myślę, że społeczeństwo ma prawo wiedzieć, że wśród nas jest jakiś wariat – mówił.

– I to powiedziałaś w telewizji. – Moja wściekłość rosła. – Że jest wśród nas jakiś wariat.

– Nie pamiętam dokładnie słów. Wstąpiłem tu po to, żeby się dowiedzieć, kiedy dostanę raport z autopsji.

– Jeszcze jest w toku.

– Potrzebuję go jak najwcześniej. – Spojrzał mi w oczy. – Prokurator federalny chce wiedzieć, co się dzieje.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie rozmawiałby z prokuratorem, gdyby nie było podejrzanego.

– Co mówisz?

– Przyglądam się poważnie Pleasantsowi.

Byłam zdumiona.

– Jest wiele zbiegów okoliczności – ciągnął – z których ważne jest, jak to się stało, że on właśnie obsługiwał to urządzenie, kiedy znaleziono tułów. Nigdy nie obsługuje ładowarek i koparek, a teraz nagle pojawia się na miejscu operatora akurat w tym momencie?

– Uważam, że właśnie dlatego jest bardziej ofiarą niż podejrzanym. Jeśli to on jest zabójcą – ciągnęłam – można by przypuszczać, że wolałby

znajdować się sto mil stamtąd, kiedy znaleziono ciało.

– Psychopaci lubią być na miejscu – powiedział z przekonaniem. – Wymyślają sobie, jak by to było, gdyby byli na miejscu w momencie znalezienia ofiary. Lubią to zorganizować, jak ten kierowca z pogotowia, który mordował kobiety i porzucał ciała w rejonie, który obsługiwał. Zanim rozpoczął dyżur, dzwonił pod 911 i pierwszy dostawał zlecenie.

Z pewnością uczęszczał na wykłady z profilu psychologicznego zabójcy. Znał to wszystko.

– Keith mieszka z matką, której chyba nie znosi – ciągnął, wygładzając krawat. – Urodziła go dość późno, ma sześćdziesiąt parę lat. On się nią opiekuje.

– Więc jego matka żyje i to nie ona.

– To prawda, ale mógł wyładować agresję na jakiejś innej biednej, starej kobiecie. A poza tym, nie uwierzysz, będąc w liceum, pracował w stoisku mięsnym w sklepie spożywczym. Był pomocnikiem rzeźnika.

Nie powiedziałam mu, że moim zdaniem tym razem nie użyto zapewne piły od mięsa, tylko dałam mu się wygadać.

– Nigdy nie był zbyt towarzyski, co też pasuje do profilu psychologicznego – snuł dalej swoje fantazje. – A wśród robotników na wysypisku krążą plotki, że jest homoseksualistą.

– A opierają je na czym?

– Na tym, że nie spotyka się z kobietami, a nawet nie wydaje się zainteresowany, kiedy inni coś opowiadają i dowcipkują. Tak jak bywa z bandą takich facetów.

– Opisz mi dom, w którym mieszka. – Pomyślałam o zdjęciach, przesłanych e-mailem.

– Dwukondygnacyjny, trzy sypialnie, kuchnia, salonik. Biedniejsza klasa średnia. Może wcześniej, kiedy był jeszcze jego stary, wyglądało tam lepiej.

- Co stało się z ojcem?
- Uciekł, nim Keith się urodził.
- Jacyś bracia, siostry? – spytałam.
- Dorośli, już dawno. Sądzę, że on był niespodzianką. Podejrzewam, że pan Pleasants nie był ojcem i dlatego odszedł, nim Keith się urodził.
- A na czym oparte jest to podejrzenie? – spytałam z przekąsem.
- Mój węch.
- Rozumiem.
- Mieszkają na odludziu, około dziesięciu mil od wysypiska, na wsi – opowiadał dalej. – Mają duży ogród, garaż daleko od domu. – Skrzyżował nogi i zrobił pauzę, jakby teraz miało nastąpić coś ważnego. – Jest tam dużo narzędzi i stół roboczy. Keith mówi, że jest złotą rączką i używa garażu, kiedy musi coś naprawić. Widziałem piłę do metalu, wiszącą na kołku, i nóż do cięcia trzciny, którego podobno używa do wycinania zielska.
- Wysunął się zgrabnie z marynarki i ułożył ją sobie starannie na kolanach, ciągnąc opowieść o życiu Keitha Pleasantsa.
- Zdobyłeś dostęp do wielu miejsc jak na to, że nie miałeś nakazu rewizji – przerwałam.
- Chętnie współpracował – odpowiedział niezrażony. – Porozmawiajmy o tym, co ten facet ma w głowie. – Postukał się w swoją. – Jest bystry, naprawdę. Wszędzie książki, czasopisma, gazety. Nagrywał na wideo sprawozdania z tej sprawy, wycinał artykuły.
- Pewnie większość ludzi z wysypiska tak robi – podkreśliłam.
- Ale Ringa w ogóle nie obchodziły moje słowa.
- Czyta przeróżne kryminały. Thrillery. „Milczenie owiec”, „Czerwony smok”. Tom Clancy, Ann Rule...
- Znów przerwałam, bo nie mogłam go słuchać ani chwili dłużej.

– Przedstawiłeś listę lektur typowego Amerykanina. Nie mogę ci powiedzieć, jak prowadzić śledztwo, ale chciałabym cię namówić na zwrócenie uwagi na dowody...

– Robię to – przerwał mi natychmiast. – Właśnie dokładnie to robię.

– Właśnie tego nie robisz. Nawet nie wiesz, co to jest dowód. Nie dostałeś jeszcze żadnego raportu z mojego biura ani z laboratoriów. Nie dostałeś portretu psychologicznego z FBI. Rozmawiałeś chociaż z Marinem albo z Griggim?

– Ciągłe się mijamy. – Wstał i założył znów marynarkę. – Potrzebuję tych raportów. – Zabrzmiało to jak rozkaz. – Prokurator federalny będzie do ciebie dzwonił. A jak tam Lucy?

Nie chciałam, żeby nawet wiedział, jak mojej siostrzenicy na imię, to było chyba widać po wyrazie mojej twarzy.

– Nie wiedziałam, że się znacie – odpowiedziałam chłodno.

– Uczestniczyłem kiedyś w jej seminarium, chyba ze dwa miesiące temu. Mówiła o programie CAIN.

Chwyciłam stosik świadectw zgonu i zaczęłam je podpisywać.

– Później zabrała nas na demonstrację robotów – powiedział od drzwi. – Czy ona z kimś chodzi?

Nie miałam nic do powiedzenia.

– To znaczy wiem, że mieszka z jakąś agentką, ale to tylko współlokatorka, prawda?

Jego aluzja była czytelna i zamarłam z przerażenia, patrząc, jak wychodzi, pogwizdując. Zebrałam z wściekłością górę papierów z biurka i chciałam wstać, kiedy pojawiła się Rose.

– Może u mnie zostawać na śniadaniu, kiedy tylko zechce – powiedziała Rose tak, że mógł ją jeszcze usłyszeć.

– Proszę! – nie mogłam tego znieść. – Myślałam, że jesteś inteligentną kobietą, Rose.

– Chyba musi się pani napić gorącej herbaty – powiedziała.

– Może – westchnęłam.

– Ale najpierw mamy jeszcze jedną sprawę – powiedziała urzędowo. – Zna pani kogoś nazwiskiem Keith Pleasants?

– A co takiego?

– Jest tu w holu – powiedziała. – Bardzo przygnębiony i mówi, że nie wyjdzie, póki się z panią nie zobaczy. Chciałam zawołać ochronę, ale pomyślałam, że sprawdzę... – Zamilkła, widząc moją twarz.

– O Boże – krzyknęłam, przerażona. – Czy zobaczył go Ring?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała zmieszana. – Czy coś jest nie tak?

– Wszystko – odpowiedziałam i rzuciłam papiery z powrotem na biurko.

– Więc mam wołać ochronę czy nie?

– Nie. – Przeszłam szybko obok niej.

Moje obcasy stuknęły szybko i głośno, gdy szłam korytarzem do głównego holu, który nigdy nie wyglądał przytulnie, cokolwiek bym robiła. Ani gustowne meble, ani reprodukcje na ścianach nie były w stanie zmienić faktu, że ludzie przychodzili tu z bardzo nieprzyjemnych, na ogół tragicznych powodów. Tak jak teraz Keith Pleasants, siedzieli sztywno na niebieskiej kanapie, która miała być spokojna i kojąca. Zszokowani, patrzyli przed siebie.

Otworzyłam drzwi, a on zerwał się na równe nogi i prawie rzucił na mnie, z wściekłością czy w panice. Nagle opuścił ręce i tylko patrzył na mnie, chociaż było widać, że kipi ze złości.

– Nie ma pani prawa opowiadać o mnie takich rzeczy! – krzyknął z zaciśniętymi pięściami. – Nie zna mnie pani! Nic pani o mnie nie wie!

– Spokojnie, Keith – powiedziałam cichym, ale pewnym głosem.

Pokazałam ręką, żeby siadł z powrotem, i przystawiłam sobie krzesło, tak by siedzieć naprzeciwko niego. Oddychał ciężko, drżał, a w jego przygnębionych oczach błyszczały łzy.

– Spotkała mnie pani raz – wyciągnął w moim kierunku palec. – Jeden głupi raz i już pani o mnie opowiada. – Głos mu zadrżał. – Chyba stracę pracę. – Zakrył usta ręką i spuścił oczy.

– Po pierwsze – powiedziałam – nie powiedziałam na pana temat ani słowa. Nikomu. – Spojrzał na mnie. – Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. – Patrzyłam na niego spokojnie i pewnie. – Może by mi pan to wyjaśnił.

Badał mnie niepewnie wzrokiem, w którym odbijały się kłamstwa, jakie słyszał na mój temat.

– Nie rozmawiała pani o mnie z detektywem Ringiem?

– Nie – pohamowałam wściekłość.

– Przyszedł do mnie dziś rano, kiedy mama była jeszcze w łóżku. – Głos mu zadrżał. – Zaczął mnie przesłuchiwać, jakbym był mordercą albo kimś takim. Powiedział, że pani ma dowody, świadczące przeciwko mnie, więc lepiej, żebym się przyznał.

– Dowody? Jakie dowody?

– Włókna, które pani zdaniem pochodzą z tego, co miałem na sobie tego dnia, kiedy się poznaliśmy. Powiedziała pani, że moje wymiary odpowiadają wymiarom osoby, która pocięła ciało. On powiedział, że po nacisku piły określiła pani, że osoba, która to zrobiła, miała moją siłę. Powiedział, że pani chce ode mnie różnych próbek, żeby zrobić te testy DNA. Że pani uważa, że jestem stuknięty, skoro panią zawiozłem na wysypisko...

Przerwałam mu.

– Boże, Keith, co za głupoty. Jeszcze w życiu nie słyszałam tylu bzdur naraz. Gdybym powiedziała choć jedną z tych rzeczy, wyrzucono by mnie

za niekompetencję.

– Jeszcze jedna sprawa – znów mu oczy zapłonęły. – Rozmawiał ze wszystkimi u mnie w pracy. Widzę po nich, że się zastanawiają, czy nie jestem jakimś seryjnym mordercą.

Rozpłynął się we łzach, kiedy drzwi się otworzyły i weszli policjanci konni. Nie zwrócili na nas uwagi, bo zjeżdżali na dół, do prosektorium, gdzie Fielding pracował nad przejechanym pieszym. Pleasants był zbyt zdenerwowany, żebym mogła z nim dalej rozmawiać, poza tym ja byłam tak wściekła na Ringa, że nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć.

– Czy ma pan adwokata? – spytałam. Potrząsnął głową. – To niech pan się postara.

– Nie znam żadnego.

– Mogę panu podać kilka nazwisk – powiedziałam, a w tym momencie Wingo otworzył drzwi i zdumiał go widok Pleasantsa, płaczącego na kanapie.

– Pani doktor – zaczął Wingo. – Doktor Fielding pyta, czy ma przekazać rzeczy osobiste do domu pogrzebowego?

Podeszłam bliżej, bo nie chciałam denerwować Pleasantsa jeszcze bardziej przykrymi sprawami, toczącymi się w tym budynku.

– Policjanci już zjeżdżają na dół – powiedziałam cicho. – Jeżeli oni nie będą chcieli ich wziąć, to oczywiście, niech przekaże je za pokwitowaniem do domu pogrzebowego.

Patrzył na Pleasantsa, jakby go skądś znał.

– Posłuchaj – powiedziałam do Winga. – Daj mu nazwiska i numery telefonów Jamesona i Higginsa. – Byli to dwaj doskonali adwokaci, których uważałam za swych przyjaciół. – A potem odprowadź, proszę, pana Pleasantsa do wyjścia.

Wingo wciąż patrzył jak otumaniony.

– Wingo? – spytałam, bo wydawało mi się, że nie słyszał.

– Tak, proszę pani.

Minęłam go i zeszłam na dół. Chciałam porozmawiać z Wesleyem, ale może najpierw powinnam złapać Marina. Kiedy zjeżdżałam windą, zaczęłam się zastanawiać, czy nie zadzwonić do prokurator federalnej i nie ostrzec jej przed Ringiem. Poza tym bardzo mi było żal Pleasantsa. Bałam się o niego. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, mogło się skończyć oskarżeniem go o morderstwo.

W prosektorium Fielding i policjanci patrzyli na ofiarę na stole numer jeden i wszyscy byli bardzo poruszeni, gdyż chodziło o dziewięcioletnią córkę radnego miejskiego. Wcześniej rano szła na przystanek autobusowy, kiedy ktoś nagle wjechał z dużą prędkością na chodnik. Ponieważ nie zauważono żadnych śladów, świadczących, że pojazd wpadł w poślizg, przypuszczano, że kierowca uderzył dziewczynkę od tyłu i nawet nie zwolnił.

– Jak wam idzie? – spytałam, podchodząc.

– Mamy tu ciężką sprawę – powiedział jeden z policjantów z ponurą miną.

– Ojciec dostaje małego rozumu – powiedział Fielding, obchodząc ubrane ciało z lupą, zbierając materiały dowodowe.

– Żadnej farby? – zapytałam, bo wystarczyłaby odrobinka, żeby zidentyfikować markę i model samochodu.

– Na razie nie – mój zastępca był w kiepskim nastroju. Nie znosił pracy przy dzieciach.

Przyjrzałam się podartym, zakrwawionym dżinsom i niewyraźnemu śladowi opony na wysokości pośladek. Przedni zderzak trafił w tył kolan, a głowa uderzyła w przednią szybę. Dziewczynka miała mały, czerwony

plecaczek. Wyjęto z niego zapakowane drugie śniadanie, książki, zeszyty, długopisy i ołówki. Na ten widok serce mi się ścisnęło.

– Ślad opony jest dosyć wysoko – zauważyłam.

– Też tak uważam – potwierdził drugi policjant. – Jakby jakaś półciężarówka czy samochód turystyczny. Mniej więcej o tej porze widziano czarnego jeepa cherokee, jeżdżącego po okolicy z dużą prędkością.

– Jej ojciec dzwoni tu co pół godziny. – Fielding spojrzał na mnie. – Uważa, że to nie był zwykły wypadek.

– A co sugeruje? – zapytałam.

– Że to jest polityczne. – Pracował dalej, zbierając włókienka i śmieci. – Zabójstwo.

– Boże, miejmy nadzieję, że nie – powiedziałam, odchodząc. – Już to, co mamy, jest straszne.

Na metalowej ladzie w odległym rogu prosektorium stał elektryczny piecyk, na którym gotowaliśmy kości w dziesięcioprocentowym roztworze chloru. Olbrzymi, perkoczący garnek i wydostające się z niego wonie były tak okropne, że staraliśmy się to robić w nocy albo w weekendy, kiedy nie spodziewaliśmy się gości.

Wczoraj zostawiłam zakończenia kości od korpusu, żeby się gotowały przez noc. Teraz mogłam już wyłączyć kuchenkę. Parującą i śmierdzącą wodę wylałam do zlewu i czekałam, aż kości wystygną na tyle, żeby je wyjąć. Były czyste i białe, miały około pięciu centymetrów, a nacięcia i ślady piły były wyraźnie widoczne. Gdy badałam starannie każdy fragment, ogarnęło mnie przerażenie i niedowierzanie. Nie potrafiłam odróżnić, który ślad piły został zrobiony przeze mnie, a który przez mordercę.

– Jack! – zawołałam do Fieldinga. – Możesz tu przyjść na chwilę?

Przerwał swoje zajęcia i podszedł do mojego rogu pokoju.

– O co chodzi? – spytał.

Wręczyłam mu jedną z kości.

– Czy możesz powiedzieć, który koniec został odcięty piłą Strykera?

Obracał ją w rękach, przypatrywał się z jednej i z drugiej strony, marszczył się.

– A zaznaczyłaś to?

– Zaznaczyłam na prawej i lewej, ale poza tym nie. Powinnam była, ale zwykle jest to takie oczywiste, który koniec jest który, że nie uważałam tego za konieczne.

– Nie jestem ekspertem, ale gdybym nie wiedział, powiedziałbym, że wszystkie cięcia zrobiono tą samą piłą. – Podał mi kość, a ja zakleiłam ją w torebce z dowodami. – I tak musisz zaraz zanieść to do Cantera, prawda?

– Nie będzie ze mnie zadowolony – powiedziałam.

Mój dom, zbudowany z kamienia, położony był na skraju Windsor Farms, starej dzielnicy Richmondu, o angielskich nazwach ulic, z domami w stylu Tudorów i georgiańskim, które czasem nazywano rezydencjami. W oknach mijanych domów paliło się światło, a przez szyby widziałam piękne meble i żyrandole, ludzi poruszających się lub oglądających telewizję. Wyglądało na to, że nikt w tym mieście, prócz mnie, nie zasłaniał okien. Zaczynały opadać liście. Było chłodno, ale kiedy zatrzymałam się na swoim podjeździe, zobaczyłam dym unoszący się z komina i starego zielonego suburbana mojej siostrzenicy, zaparkowanego przed domem.

– Lucy! – zawołałam, zamykając drzwi i wyłączając alarm.

– Tu jestem! – odpowiedziała z tylnej części domu, gdzie zawsze mieszkała.

Gdy szłam do swego gabinetu, żeby złożyć tam teczkę i stos papierów, które zabrałam, żeby nad nimi pracować, wyszła ze swojego pokoju, wciągając przez głowę jaskrawopomarańczową bluzę.

– Cześć! – uśmiechnęła się i uściskała mnie, ale nie było w niej dziewczęcej delikatności.

Odsunęłam ją na odległość wysuniętej ręki, żeby się dobrze przyjrzeć, jak to zawsze robiłam.

– Aha – powiedziała żartobliwie – inspekcja. – Wyciągnęła rękę i obróciła się jak do rewizji.

– Spryciula – powiedziałam.

Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby była trochę grubsza, ale wyglądała zdrowo i ładnie, z krótkimi, dobrze ostrzyżonymi brązowymi włosami. Po tylu latach, patrząc na nią, wciąż widziałam tę nad wiek rozwiniętą, nieznośną dziesięciolatkę, która nie miała właściwie nikogo prócz mnie.

– Może być – powiedziałam.

– Przepraszam, że tak późno.

– Opowiedz jeszcze raz, co takiego robiłaś? – spytałam. Dzwoniła do mnie w ciągu dnia, mówiąc, że nie może być wcześniej niż na kolację.

– Zastępca prokuratora generalnego postanowił wpaść z całą świtą. Jak zwykle chcieli się popisać naszą jednostką. – Skierowałyśmy się do kuchni.

– Wypuściłam im Toto i Blaszanego Ludzika – dodała. Były to roboty. – Pokazałam światłowody, rzeczywistość wirtualną, takie różne bajery. Spuściliśmy ich na spadochronach, a później przepuściłam ich przez metalowe drzwi, żeby sobie wypalili wyjście laserem.

– Mam nadzieję, że nie było zabaw z helikopterem?

– To robiły chłopaki, a ja swoje na ziemi. – Nie była z tego zbyt zadowolona.

Problem polegał na tym, że Lucy chciała uprawiać akrobatykę helikopterową. Było tam pięćdziesięciu agentów, a wśród nich ona, jako jedyna kobieta. Reagowała nadzbyt emocjonalnie, kiedy nie pozwalano jej na niebezpieczne rzeczy, do których, moim zdaniem, w ogóle nie powinna się zabierać. Ale nie byłam specjalnie bezstronnym sędzią.

– Mnie by to bardzo odpowiadało, żebyś zajmowała się tylko robotami – powiedziałam, kiedy weszłyśmy do kuchni. – Wspaniale pachnie. Czyżbyś zrobiła coś do jedzenia swojej starej, zmęczonej ciotce?

– Świeży szpinak, uduszony z czosnkiem i oliwą z oliwek, i filety, które zaraz wrzucę na rożen. Dziś jest jedyny dzień w tygodniu, kiedy jadłam wołowinę, więc kiepsko, jeżeli twój wypada inaczej. Wykosztowałam się nawet na butelkę naprawdę dobrego czerwonego wina, które niedawno z Janet odkryłyśmy.

– Od kiedy to agentów FBI stać na dobre wina?

– No – zaproponowała – nie zarabiam tak źle. Poza tym jestem zbyt zajęta, żeby wydawać pieniądze.

Rzeczywiście, na ubrania nie wydawała. Ilekroć ją widziałam, była w kombinezonie khaki albo w dresie. Od czasu do czasu nosiła dzinsy z bardzo prostymi żakietami lub blezerami i wyśmiewała się z moich ciuchów, które chciałam jej dać w spadku. Nie nosiłaby moich kostiumów, bluzek ze stójkami, a poza tym, co tu dużo mówić, miałam pełniejszą figurę. Pewnie nic z mojej szafy nie pasowałoby na nią.

Olbrzymi księżyc wisiał nisko na zachmurzonym, ciemnym niebie. Włożyłyśmy kurtki i usiadłyśmy na tarasie, pijąc wino. Lucy wstawiła ziemniaki, żeby się piekły, więc miałyśmy czas, by pogadać. W ciągu ostatnich lat nasze stosunki z macierzyńsko-dziecięcych zmieniły się na przyjacielsko-koleżeńskie, chociaż nie przyszło mi to łatwo. Często uczyła mnie na jakichś kursach, a nawet zajmowała się niektórymi moimi sprawami. Dziwnie się czułam, nie będąc już pewna swej roli i znaczenia w jej życiu.

– Wesley chce, żebym zbadła sprawę tych twoich przesyłek e-mailem – mówiła. – Sussex chce pomocy naszej jednostki.

– Czy znasz Percy Ringa? – spytałam, przypominając sobie, co powiedział w moim gabinecie.

– Był na jakichś moich zajęciach i zachowywał się nieznośnie. Nie mógł się zamknąć. – Sięgnęła po butelkę z winem. – Co za pajac!

Napełniła nasze kieliszki. Uniosła pokrywę grilla i sprawdziła widelcem ziemniaki.

– Chyba gotowe – powiedziała z zadowoleniem.

Za chwilę pojawiła się z powrotem z kuchni, niosąc filety. Zaskwierczały, gdy je położyła na grillu.

– Skądś się dowiedział, że jesteś moją ciotką – mówiła znów o Ringu. – Nie jest to żadna tajemnica, ale on mnie kiedyś wypytywał po zajęciach. Wiesz, czy mnie uczyłaś, pomagałaś mi, jakbym sama nie mogła robić tego, co robię. Myślę, że się mnie czepia, bo jestem nową agentką, i to kobietą.

– Może to być największa pomyłka jego życia – zauważyłam.

– I chciał wiedzieć, czy jestem mężatką. – Część jej twarzy oświetlała lampa z werandy, ale oczy miała w cieniu.

– Martwię się, czym on naprawdę się interesował.

Popatrzyła na mnie, opiekając mięso.

– Tym, co zawsze – wzruszyła ramionami, bo była otoczona mężczyznami i nie zwracała uwagi na ich spojrzenia i uwagi.

– Lucy, on dzisiaj w moim biurze zrobił aluzję na twój temat. Subtelną.

– Do czego?

– Twojego statusu. Twojej współlokatorki.

Niezależnie od tego, jak często i jak delikatnie o tym rozmawialiśmy, zawsze się denerwowała i niecierpliwiła.

– Czy to jest prawda, czy nie – powiedziała przy akompaniamencie skwierczenia – zawsze będą plotki, bo jestem agentką. To śmieszne. Znam zamężne kobiety z dziećmi, a wszyscy faceci uważają je za lesbijki, ponieważ są policjantkami, agentkami, strażniczkami, należą do służby tajnej. Niektórzy nawet o tobie tak myślą, z tego samego powodu. Z powodu twojej pozycji, twojej władzy.

– Tu nie chodzi o oskarżenia – przypomniałam jej delikatnie. – Chodzi o to, że ktoś cię może skrzywdzić. Ring wzbudza zaufanie, poza tym zazdrości ci, że jesteś w FBI, w jednostce specjalnej, a on nie.

– Chyba już to demonstrował – jej głos zabrzmiał twardo.

– Mam nadzieję, że ten typ nie będzie przynajmniej próbował się z tobą umawiać.

– Już to robi. Próbował co najmniej z pięć razy. – Przysiadła na chwilę. – Chciał się nawet umawiać z Janet, wyobrażasz sobie. – Zaśmiała się. – Nic nie kapuje.

– Problem w tym, że moim zdaniem kapuje – powiedziałam złowieszczo. – Tak jakby coś szykował i zbierał dowody.

– Niech sobie zbiera – zakończyła rozmowę na ten temat. – Powiedz, co jeszcze się dzisiaj wydarzyło.

Opowiedziałam, czego się dowiedziałam w laboratoriach, o włókienkach przyczepionych do kości i ich analizie. Wniosłyśmy jedzenie i wino do domu i usiadłyśmy przy stole kuchennym. Przy zapalanej świecy analizowałyśmy informacje, które niewiele osób chciałoby omawiać przy posiłku.

– Tania zasłona na okna mogłaby mieć taki spód – powiedziała Lucy.

– Albo jakaś szmata do osłony, bo były tam ślady, mogące pochodzić od farby – zastanawiałam się głośno. – Szpinak jest pyszny. Gdzie go dostałaś?

– W Ukrops. Co ja bym dała, żeby mieć taki sklep w moim sąsiedztwie. Więc ta osoba zawinęła ofiarę w szmatę, a potem cięła ją przez nią? – spytała, krojąc mięso.

– Na to wygląda.

– A co Wesley mówi? – Spojrzała mi w oczy.

– Nie miałam jeszcze okazji z nim rozmawiać. – Nie była to zupełna prawda. Nawet nie zadzwoniłam.

Lucy zamilkła na moment i przyniosła na stół butelkę wody Evian.

– Więc jak długo masz zamiar przed nim uciekać?

Udałam, że nie słyszę, w nadziei, że porzuci temat.

– Wiesz, że uciekasz. Boisz się.

– Nie będziemy o tym dyskutować – powiedziałam – zwłaszcza w tak miły wieczór. – Sięgnęła po swoje wino. – Jest bardzo dobre –

pochwalałam. – Lubię pinot noir, bo jest lekkie, nie takie jak merlot. Nie jestem w nastroju na nic ciężkiego. Dobrze wybrałaś. – Odkroiła sobie kawałek mięsa, a ja ciągnęłam dalej. – A co porabia Janet? Dalej zajmuje się przestępstwami urzędników w Waszyngtonie czy spędza więcej czasu w jednostce?

Lucy wyjrzała przez okno na olbrzymi księżyc i obróciła kieliszek w rękę.

– Powinnam się zabrać do twojego komputera.

Wyniosła się do mojego gabinetu, a ja sprzątałam w kuchni. Nie przeszkadzałam jej przez dłuższy czas, również dlatego, bo wiedziałam, że ma do mnie żal. Ona chciała zupełnej otwartości, a ja tego nie potrafiłam. Z nikim. Czułam się fatalnie, jakbym zawiodła wszystkich, których kiedykolwiek kochałam. Siedziałam przez jakiś czas w kuchni, rozmawiając przez telefon najpierw z Marinem, a później z mamą. Potem zrobiłam dwa kubki kawy bezkofeinowej i zabrałam je do gabinetu.

Lucy siedziała przy klawiaturze, z okularami na nosie, marszcząc nieco gładkie, młode czoło. Postawiłam kawę i popatrzyłam przez ramię na to, co robi. Nic z tego nie rozumiałam.

– Jak ci idzie? – spytałam.

Widziałam swoją twarz odbijającą się w monitorze, gdy Lucy znów stuknęła klawisz „Enter”.

– Dobrze i niedobrze – odpowiedziała, wzdychając niecierpliwie. – Problem z takimi aplikacjami jak poczta elektroniczna polega na tym, że nie można wysledzić plików, póki się nie dotrze do oryginalnego języka programowania. Właśnie przy tym jestem. To jest jak poszukiwanie okruszków chleba w świecie składającym się z warstw, liczniejszych niż warstwy cebuli.

Przyciągnęłam krzesło i siadłam obok niej.

– Lucy – spytałam – jak ktoś mógł mi przysłać te zdjęcia? Czy możesz mi to wytłumaczyć, krok po kroku?

Zdjęła okulary i położyła je na biurku. Zaczęła sobie masować skronie, jakby bolała ją głowa.

– Masz tylenol? – spytała.

– Żadnego aminofenu przy alkoholu. – Otworzyłam szufladę i wyjęłam buteleczkę z motrinem.

– Po pierwsze – powiedziała, łykając dwie tabletki – nie byłoby to takie proste, gdyby twój adres elektroniczny nie był taki sam jak prawdziwy: KSCARPETTA.

– Specjalnie jest taki łatwy, żeby moi koledzy bez trudu mogli mi przysłać pocztę – wyjaśniłam kolejny raz.

– Ale w ten sposób wszyscy mogą bez trudu przysłać ci pocztę. – Spojrzała na mnie oskarżycielsko. – Czy robiono ci już takie idiotyczne dowcipy?

– To chyba wykracza poza ramy głupich dowcipów.

– Proszę, odpowiedz na moje pytanie.

– Parę razy. Ale nic poważnego. Przeważnie po jakichś ciekawych sprawach, kiedy o mnie mówiono.

– Powinnaś zmienić hasło.

– Nie – odpowiedziałam. – *Dokum* może chcieć mi jeszcze coś przesłać. Teraz nie mogę zmieniać.

– No świetnie. – Znów założyła okulary. – Więc chcesz z nim korespondować.

– Lucy, proszę – powiedziałam cicho, czując, że i mnie zaczyna boleć głowa. – Mamy robotę.

Milczała przez chwilę, po czym przeprosiła.

– Chyba jestem tak nadopiekuńcza w stosunku do ciebie, jak ty zawsze byłaś wobec mnie.

– Wciąż jestem. – Poklepałam ją po kolanie. – Dobra, więc miał mój adres z książki abonentów America on-line, zgadza się?

Skinęła głową.

– Porozmawiajmy o informacjach, jakie o sobie zamieściłaś.

– Jest tam tylko mój tytuł zawodowy, numer telefonu i adres biurowy – powiedziałam. – Nigdy nie zamieszczałam osobistych informacji, takich jak stan cywilny, data urodzenia, zainteresowania itd. Mam jeszcze tyle rozsądku.

– A czy sprawdziłaś, co wiadomo o nim? – spytała.

– Prawdę rzekłszy, nie przyszło mi to do głowy.

Pomyślałam o śladach piły, których nie potrafiłam rozróżnić, i poczułam, że popełniłam dziś kolejny błąd.

– Oczywiście, że zamieścił informacje. – Lucy znów stuknęła w klawisze. – Chce, żebyś wiedziała, kim jest. Dlatego to napisał.

Kliknęła spis członków i kiedy otworzyła informacje na temat *dokum*, nie wierzyłam własnym oczom. Były tam słowa-klucze, które każdy mógł wyczytać: Adwokat, autopsja, szef, Naczelnny Koroner, Cornell, ciało, śmierć, rozczłonkowanie, FBI, sądowy, Georgetown, włoski, John Hopkins, zabójca, prawnik, medyczny, patomorfolog, lekarz, nurkowanie, Wirginia, kobieta.

Lista była jeszcze dłuższa, zawierała informacje osobiste i profesjonalne, zainteresowania, a wszystko dotyczyło mnie.

– Tak jakby *dokum* chciał powiedzieć, że jest tobą – stwierdziła Lucy.

Byłam oszołomiona i nagle zrobiło mi się zimno.

– To szaleństwo.

Lucy odsunęła krzesło i spojrzała na mnie.

– Podał twój portret jako swój. W sieci światowej jesteście tą samą osobą, o dwóch różnych adresach.

– Nie jesteśmy tą samą osobą. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziałaś – powiedziałam zszokowana.

– Fotografie są twoje i sama je sobie przesłałaś. To bardzo proste. Zeskanowałaś je na swój komputer. Żaden problem. Można kupić przenośne kolorowe skanery za czterysta, pięćset dolarów. Dołączyć katalog do wiadomości dziesięć, którą wysyłasz do KSCARPETTA, czyli do siebie...

– Lucy – przerwałam – dosyć, na miłość boską. – Milczała, a z jej twarzy nie można było niczego wyczytać. – To jest niegodziwe. Nie mogę w to uwierzyć. – Oburzona wstałam z krzesła.

– Czy gdyby twoje odciski palców były na broni mordercy – odpowiedziała – też nie chciałabyś wiedzieć?

– Na niczym nie ma moich odcisków palców.

– Ciociu Kay, po prostu chcę ci uzmysłwić, że ktoś się pod ciebie podszywa w Internecie. Oczywiście, że nic nie zrobiłaś. Próbuję ci tylko wbić do głowy, że za każdym razem, kiedy ktoś szuka w Internecie eksperta, dokładnie takiego jak ty, dostaje również adres: *dokum*.

– Ale skąd może mieć te wszystkie informacje na mój temat? – ciągnęłam. – Nie podawałam takich wiadomości, gdzie chodziłam do szkoły prawniczej, akademii medycznej, że mam włoskie pochodzenie.

– Może z różnych źródeł, w których pisano o tobie w ciągu wielu lat.

– Możliwe. – Poczulałam, jakby coś mi się wyjaśniało. – Wypiałabyś coś na dobranoc? Zmęczona jestem.

Ale ona pogrążona już była w obcym dla mnie środowisku UNIX, z dziwnymi symbolami i poleceniami, jak *cat,:q!* i *vi*.

– Ciociu Kay, jakie masz hasło do Internetu? – spytała.

– Takie samo jak do wszystkiego innego – odpowiedziałam, wiedząc, że znów będzie na mnie wściekła.

– Cholera. Nie mów, że wciąż używasz Sinbad. – Spojrzała na mnie.

– Nigdzie nigdy w tym, co o mnie pisano, nie wystąpił wredny kocur mojej matki – broniłam się.

Patrzyłam, jak wystukuje polecenie *hasło* i wyszukuje *Sinbad*.

– Czy przeprowadzasz modyfikację hasła? – spytała, jakby wszyscy musieli wiedzieć, o co chodzi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– No, kiedy zmieniasz hasło, powiedzmy raz na miesiąc.

– Nie.

– Kto jeszcze zna twoje hasło?

– Rose, a teraz oczywiście ty – powiedziałam. – Nie ma mowy, żeby *dokum* mógł je znać.

– Zawsze jest sposób. Mógł użyć programu UNIX do rozszyfrowywania haseł, który rozszyfruje każde słowo w słowniku. Potem porówna każde rozszyfrowane słowo z twoim hasłem...

– To nie mogło być takie skomplikowane – powiedziałam z przekonaniem. – Założę się, że ten, kto to zrobił, nie ma pojęcia o UNIX.

Lucy zamknęła to, nad czym pracowała w tej chwili, i obróciła się na krześle, spoglądając na mnie.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ mógł być najpierw umyć ciało, żeby żadne ślady nie przyłgnęły do krwi. Nie powinien był nam przesyłać zdjęcia jej rąk, bo w ten sposób możemy mieć odciski. – Oparłam się o drzwi, ściskając bolącą głowę. – Nie jest taki sprytny.

– Może uważa, że jej odciski palców nie będą miały znaczenia – powiedziała, wstając. – A tak poza tym – mówiła, już idąc – to prawie

każdy podręcznik komputerowy przestrzega, że głupio jest wybierać jako hasło imię kogoś bliskiego lub swojego kota.

– Sinbad nie jest moim kotem. Nie trzymałabym takiego nieszczęsnego syjamczyka, który się do mnie podkrada znieścacka, kiedy tylko pojawię się u mamy.

– Musisz go jednak lubić chociaż trochę, skoro chcesz o nim myśleć za każdym razem, gdy włączasz się do Internetu – powiedziała już z holu.

– Nie lubię go ani trochę.



Następnego ranka o świcie powietrze było rześkie i czyste, gwiazdy znikły, a na szosie mijałam głównie długie ciężarówki. Skręciłam w 64 Wschodnią, tuż za terenami targowymi, i po paru minutach turlałam się wzdłuż rzędów samochodów na krótkoterminowym parkingu Lotniska Międzynarodowego w Richmondzie. Wybrałam miejsce w sektorze S, żeby było mi łatwo zapamiętać, i od razu przypomniała mi się sprawa mojego hasła, jako kolejny dowód beztroski, spowodowanej nadmiarem obowiązków.

Gdy wyjmowałam torbę z bagażnika, usłyszałam nagle za sobą kroki i natychmiast się odwróciłam.

– Nie strzelaj – Marino podniósł ręce. Było na tyle chłodno, że widziałam parę, wydobywającą się z jego ust.

– Może byś gwizdał albo coś takiego, kiedy mnie nachodzisz w ciemności – powiedziałam, zatraskując bagażnik.

– Jasne. Przestępcy nie gwizdzą, tylko tacy porządni faceci jak ja. – Chwycił moją walizkę. – To też mam wziąć?

Sięgnął po sztywne, czarne pudło Pelikana, które również zabierałam dziś z sobą do Memphis, gdzie było już wiele razy. Wewnątrz znajdował się ludzki kręgosłup i kość, dowody, które nie mogły mnie opuścić.

– To musi być do mnie przykute – powiedziałam, biorąc do ręki pudło i teczkę. – Strasznie mi przykro, Marino, że cię na to narażam. Jesteś pewien, że musisz ze mną jechać?

Mówiliśmy o tym wiele razy i uważałam, że nie jest konieczne, aby mi towarzyszył.

– Już ci mówiłem, jakiś ptaszek robi ci głupie numery. Ja, Wesley, Lucy i całe Biuro uważa, że powinienem z tobą pojechać. Po pierwsze, odbywasz taką samą podróż w każdym przypadku, więc jest to do przewidzenia, po drugie, pisali w gazetach, że korzystasz ze współpracy z tym facetem w UT.

Parkingi były dobrze oświetlone i pełne samochodów, a ludzie przejeżdżali powoli, szukając miejsca niezbyt odległego od terminalu. Zastanawiałam się, co jeszcze *dokum* wie na mój temat, i żałowałam, że włożyłam tylko prochowiec. Było mi zimno, zapomniałam nawet rękawiczek.

– Poza tym – dodał Marino – nigdy nie byłem w Gracelandzie, posiadłości Elvisa.

W pierwszej chwili myślałam, że żartuje.

– Jest na mojej liście – ciągnął.

– Jakiej liście?

– Takiej, którą mam od dzieciństwa. Alaska, Las Vegas i Grand Ole Opry – powiedział, jakby ta myśl napawała go radością. – A ty nie masz takiego miejsca, do którego byś pojechała, gdybyś mogła robić, co chcesz?

Byliśmy już przy budynku terminalu i przytrzymał drzwi.

– Tak – odpowiedziałam. – Moje własne łóżko w moim własnym domu.

Skierowałam się do stanowiska Delty, wzięłam nasze bilety i poszłam na górę. Jak zwykle o tej porze wszystko było nieczynne, poza ochroną. Kiedy postawiłam moją sztywną walizeczkę na taśmie przed prześwietleniem, wiedziałam już, co będzie dalej.

– Proszę pani, będzie pani musiała to otworzyć – powiedziała strażniczka.

Odpięłam zapinki i otworzyłam kuferek. Wewnątrz, ułożone na gąbce, leżały oznakowane plastikowe torebki, zawierające kości. Strażniczka wybałuszyła oczy.

– Ja już przez to wszystko przechodziłam – wyjaśniałam spokojnie. Wyciągnęła rękę, żeby wyjąć jedną z torebek. – Niech pani niczego nie rusza. To są dowody w sprawie o zabójstwo.

Za mną ustawiła się już kolejka pasażerów, którzy słyszeli każde moje słowo.

– Będę musiała to obejrzeć.

– Nie może pani. – Wyciągnęłam moją mosiężną odznakę koronera i pokazałam jej. – Jeżeli pani czegokolwiek tu dotknie, będzie pani dołączona do dowodów, kiedy to trafi do sądu. Dostanie pani wezwanie.

Tyle wyjaśnień jej wystarczyło i zaraz mnie przepuściła.

– Głupia jak but – mruknął Marino, gdy przechodziliśmy.

– Wykonuje swoją pracę.

– Słuchaj – powiedział. – Wracamy dopiero jutro rano, więc jeżeli nie spędzisz całego dnia, przyglądając się tym cholernym kościom, powinniśmy mieć trochę czasu.

– Możesz pojechać do Gracelandu sam. Mam mnóstwo pracy. Siedzę w miejscu dla niepalących – znalazłam takie już w poczekalni – więc jeśli chcesz palić, to będziesz musiał usiąść tam – wskazałam palcem.

– Wiesz co, pani doktor? Problem w tym, że ty nie znosisz rozrywek.

Wyjęłam z teczki poranną gazetę i rozłożyłam ją. Usiadł obok mnie.

– Założę się, że nigdy nawet nie słuchałaś Elvisa.

– Jak mogłam nie słuchać Elvisa? Jest w radiu, w telewizji, w windach...

– Jest królem.

Spojrzałam na Marina sponad gazety.

– Jego głos, wszystko. Nigdy nie było takiego jak on. – Marino mówił jak zauroczona panienka. – To jest jak muzyka klasyczna i ci malarze, których lubisz. Myślę, że tacy ludzie zdarzają się raz na kilkaset lat.

– Proszę, więc porównujesz go z Mozartem i Monetem – przewróciłam stronę, znudzona lokalną polityką i biznesem.

– Czasem jesteś cholerną snobką. – Wstał naburmuszony. – Mogłabyś raz w życiu pomyśleć o tym, żeby pójść tam, gdzie ja chcę. Widziałaś mnie kiedyś na kręglach? – Spojrzał na mnie z wściekłością, wyciągając papierosy. – Powiedziałaś kiedyś coś miłego o mojej ciężarówce? Byłaś kiedyś ze mną na rybach? Jadłaś kiedyś w moim domu? Nie, muszę jeździć do ciebie, bo ty mieszkasz w odpowiedniej dzielnicy.

– Jak coś dla mnie ugotujesz, to przyjadę – powiedziałam.

Odmaszerował oburzony, a ja poczułam na sobie wzrok czekających. Pewnie uznali, że razem z Marinem stanowimy parę, która od lat się kłóci. Uśmiechnęłam się do siebie, przewracając stronę. Nie tylko pojedę z nim do Gracelandu, ale zaproszę go gdzieś na grilla.

Ponieważ z Richmondu nie dawało się właściwie polecieć bezpośrednio nigdzie poza Charlotte, poleciliśmy najpierw do Cincinnati, gdzie przesiedliśmy się na inny samolot. W południe byliśmy w Memphis i zameldowaliśmy się w Peabody Hotel. Załatwiłam rządową stawkę siedemdziesiąt trzy dolary za noc, więc mogliśmy sobie na to pozwolić, i Marino rozglądał się teraz z podziwem po olbrzymim holu z

przydymionego szkła, z fontanną i stawkiem, po którym pływały dzikie kaczki.

– O, w mordę – powiedział. – Nie widziałem nigdy knajpy z żywymi kaczkami. Wszędzie są.

Wchodziliśmy do restauracji, nazwanej oczywiście „Dzika Kaczka”, w której wszędzie znajdowały się figurki czy inne dzieła sztuki, przedstawiające kaczki. Były malowidła z kaczkami na ścianach i na zielonych kamizelkach i krawatach obsługi.

– Mają kaczy pałac na dachu – opowiadałam dalej. – I dwa razy dziennie rozścielają przed nimi czerwony dywan, gdy maszerują w rytm marsza Johna Philipa Sousy.

– Niemożliwe.

Poinformowałam hostesę, że chcemy stół dwuosobowy.

– W części dla niepalących – dodałam.

Restauracja zatłoczona była ludźmi z dużymi identyfikatorami, którzy brali udział w jakiejś konferencji agentów nieruchomości. Siedzieliśmy tak blisko nich, że mogłam odczytać sprawozdania, które przerzucali, i posłuchać ich spraw. Zamówiłam sobie półmisek owoców i kawę, a Marino zestaw ze swoim ulubionym hamburgerem z rusztu.

– Prawie surowy – powiedział kelnerowi.

– Lekko wysmażony – spojrzałam na Marina.

– Dobrze, niech będzie – wzruszył ramionami.

– Salmonella – wyjaśniłam, gdy kelner odszedł. – Wierz mi, nie warto.

– Czy nigdy nie masz ochoty zrobić czegoś, co jest dla ciebie niedobre? – spytał.

Wyglądał na przygnębionego i nagle postarzałego, gdy siedział tak naprzeciwko mnie, w tym wytwornym miejscu, wśród doskonale ubranych ludzi, znacznie lepiej zarabiających niż kapitan policji z Richmondu. Włosy

Marina przerzedziły się znacznie, tworząc jakby srebrną aureolę, opadła na uszy. Nie stracił ani grama, odkąd go poznałam. Brzuch wystawał mu nad paskiem i dotykał krawędzi stolika. Nie było dnia, żebym nie martwiła się o niego. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że moglibyśmy kiedyś nie współpracować.

O wół do drugiej wyjechaliśmy z hotelu wynajętym samochodem. Oczywiście on prowadził, bo inna możliwość jego zdaniem nie wchodziła w grę. Jechaliśmy Madison Avenue na wschód, oddalając się od Missisipi.

Regionalny Ośrodek Badań Sądowych mieścił się tuż koło ceglanego budynku uniwersytetu i Ośrodka Krwiodawstwa. Marino zaparkował obok wejścia do biura koronera.

Ośrodek został ufundowany przez hrabstwo i był wielkości mojego biura w Richmondzie. Pracowało w nim trzech lekarzy sądowych i dwóch antropologów, co było dość niezwykle i naprawdę godne pozazdroszczenia. Bardzo chciałabym mieć wśród swego personelu kogoś takiego jak doktor David Canter. Memphis miało jednakże jeszcze inną rzecz wyróżniającą, dwie niechlubne sprawy: szef ośrodka przeprowadzał tam autopsję Martina Luthera Kinga oraz był świadkiem sekcji Elvisa.

– Jeśli ci to nie sprawi różnicy – powiedział Marino, gdy wysiadaliśmy z samochodu – to ja wykonam parę telefonów, jak będziesz załatwiała swoje sprawy.

– Świetnie. Na pewno pozwolą ci skorzystać z któregoś pokoju.

Zerknął na jesienne, niebieskie niebo i rozglądał się po drodze.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jestem – powiedział. – To tu go przywieźli.

– Nie – odpowiedziałam, ponieważ wiedziałam dokładnie, o kim mówi.

– Elvisa Presleya zawieźli do Baptist Memorial Hospital. Tutaj nie trafił, a powinien.

– Dlaczego?

- Bo potraktowali to jako zgon naturalny – odpowiedziałam.
- Tak było. Zmarł na atak serca.
- To prawda, że serce miał słabe, ale nie to go zabiło. Śmierć spowodowało nadużycie różnego rodzaju narkotyków.
- Jego śmierć spowodował pułkownik Parker – mruknął Marino, jakby miał ochotę go zabić.
- Spojrzałam na niego, a wchodziliśmy właśnie do budynku.
- Elvis miał u siebie dziesięć rodzajów narkotyków. Należało to uznać za wypadek. Smutne.
- A my wiemy, że to na pewno był on – powiedział.
- Na miłość boską, Marino!
- No co? Widziałaś zdjęcia? Wiesz to na pewno? – zaperzył się.
- Widziałam. I wiem na pewno – powiedziałam, zatrzymując się przy recepcjonistce.
- To co na nich było? – nie mógł się uspokoić.
- Młoda dziewczyna imieniem Shirley, która zajmowała się mną już kiedyś, czekała, aż przestaniemy się sprzeczać.
- To nie twój interes – powiedziałam słodko. – Shirley, jak się masz?
- Znów u nas? – Uśmiechnęła się.
- Ale niestety nie mam dobrych wiadomości.
- Marino zaczął czyścić paznokcie scyzorykiem, rozglądając się, jakby Elvis mógł wejść w każdej chwili.
- Doktor Canter czeka – powiedziała. – Proszę bardzo. Zaprowadzę państwa.



Marino powędrował gdzieś, żeby załatwić telefony, a ja znalazłam się w skromnym gabinecie człowieka, którego znałam z czasów jego stażu na Uniwersytecie Tennessee. Kiedy go poznałam, miał tyle lat, co teraz Lucy.

Był uczniem między innymi doktora Bassa, antropologa sądowego, który założył jednostkę badawczą w Knoxville, i w ogóle miał szczęście do najlepszych mentorów. Teraz uważano go za najlepszego światowego specjalistę od śladów piły. Nie wiem, dlaczego Tennessee zgromadziło ekspertów od określania czasu śmierci i kości ludzkich.

– Kay – Canter wstał, wyciągając rękę.

– David, jesteś taki miły, że zawsze zgadzasz się ze mną spotkać, prawie bez uprzedzenia – usiadłam naprzeciw niego przy biurku.

– Jestem wściekły, że musisz przez to wszystko przechodzić.

Miał ciemne włosy, zaczesane do tyłu, więc kiedy spuszczał głowę, opadały mu na przód. Wciąż je odrzucał, ale chyba robił to odruchowo, nie zdając sobie z tego sprawy. Miał młodą, ciekawą twarz, mocny podbródek i nos.

– Jak tam Jill i dzieci? – spytałam.

– Świetnie. Spodziewamy się następnego.

– Gratuluję. To będzie troje?

– Czwooro – uśmiechnął się szeroko.

– Nie wiem, jak wy to robicie – powiedziałam szczerze.

– Robienie jest najłatwiejsze. Co ciekawego przywiozłaś mi tym razem?

Postawiłam kuferek na biurku i wyjęłam zapakowane w plastik fragmenty kości. Najpierw sięgnął po lewą kość udową. Badał ją pod lampą przez różne lupy, obracając na wszystkie strony.

– Hmm – powiedział. – Więc nie zaznaczyłaś końca, który odcinałaś? – Spojrzał na mnie.

Nie robił mi wymówek, tylko mi przypominał. Byłam wściekła na siebie. Znano mnie z przesadnej ostrożności.

– Zrobiłam założenie i nie miałam racji – powiedziałam. – Nie spodziewałam się, że zabójca użył piły podobnej do mojej.

– Zazwyczaj nie używają piły sekcyjnej. – Odsunął krzesło i wstał. – Nigdy nie miałem takiego przypadku, studiowałem to tylko teoretycznie tutaj, w laboratorium.

– Więc to jest tak. – Spodziewałam się tego.

– Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, póki nie sprawdzę pod mikroskopem, ale oba końce wyglądają tak samo, odcięte piłą Strykera.

Wziął torebkę z kośćmi i wyszliśmy z pokoju. Szłam za nim, pełna najgorszych obaw. Nie wiedziałam, co zrobimy, jeśli nie uda mu się odróżnić śladów. Taki błąd mógł położyć całą sprawę w sądzie.

– Wiem, że niewiele będziesz mógł powiedzieć o kości kręgowej – uprzedziłam, gdyż była beleczkowata, o mniejszej gęstości, czyli nie tworzyła dobrej powierzchni do oceny śladów.

– Nie zaszkodzi jej zabrać. Może będziemy mieli szczęście – powiedział, gdy wchodziliśmy do laboratorium.

Nie było w nim ani skrawka wolnego miejsca. Wszędzie, gdzie się dało, stały kotły z odtłuszczaczem i lakierem poliuretanowym. Półki, od podłogi do sufitu, zapchane były opakowanymi kośćmi, a w pudłach i na stolikach leżały piły wszelkich możliwych rodzajów, jakie tylko wymyślono. Ćwiartowanie zwłok było rzadkie i znałam tylko trzy oczywiste powody, dla których przestępcy to robili: łatwiejszy transport, uniemożliwienie lub utrudnienie identyfikacji lub po prostu złośliwość zabójcy.

Canter przysunął stołek do mikroskopu, wyposażonego w kamerę. Odsunął tacę z połamanymi zebrami i chrząstką tarczową, nad którymi pewnie pracował przed moim przyjazdem.

– Faceta kopnięto w gardło, między innymi – powiedział beznamiętnie, zakładając rękawiczki chirurgiczne.

– W takim miłym świecie żyjemy – skomentowałam.

Canter otworzył torebkę zawierającą fragment prawej kości udowej. Ponieważ nie mógłby zmieścić go pod mikroskopem bez krojenia, musiałam mu potrzymać pięciocentymetrowy kawałek kości na skraju stołu. Nastawił lampę światłowodową na jedną z przepiłowanych powierzchni.

– Absolutnie piła Strykera – powiedział, patrząc przez soczewki. – Musi być szybki, posuwisto-zwrotny ruch, żeby stworzyć tak gładką powierzchnię. Wygląda prawie jak wypolerowany kamień, widzisz?

Odsunął się i zajrzałam. Kość wyglądała trochę jak woda zamarznęta w delikatne fałdki i błyszczała. W przeciwieństwie do innych pił elektrycznych piła Strykera miała oscylujące ostrze, które nie posuwa się zbyt daleko. Nie przecina skóry, tylko twarde powierzchnie, do których się ją przykłada, jak kość albo gips ortopedyczny.

– Oczywiście – powiedziałam. – Poprzeczne cięcia są moje. Od pobierania szpiku do badania DNA.

– Ale ślady noża nie.

– Nie, absolutnie nie.

– Z tym pewnie będziemy mieli mniej szczęścia.

Noże zwykle zacierają własne ślady, chyba że kości i chrząstki ofiary były pokłute i pocięte.

– Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Mamy tu kilka falstartów, szerszy wrąb i TPI – powiedział, dokręcając obiektyw.

Nie wiedziałam nic na temat pił, póki nie zaczęłam spędzać tyle czasu z Canterem. Kość jest doskonałym materiałem na ślady narzędzi, a kiedy wcina się w nią ząb piły, powstaje wrąb. Badając mikroskopowo ściany i

dno wrębu, można określić miejsce, z którego piła się wysuwała, charakterystykę indywidualnych zębów, liczbę zębów na cal (TPI), odległości między nimi i ujawnić kształt ostrza.

Canter przesunął światło optyczne, żeby wyraźniej było widać wszelkie defekty.

– Widzisz teraz krzywiznę ostrza.

Pokazał mi miejsca, w których ktoś próbował przyłożyć ostrze do kości, ale mu się nie udawało i zaczynał w innym miejscu.

– To nie moje – powiedziałam. – Mam nadzieję, że mam trochę większe zdolności.

– Ponieważ właśnie z tej strony występują ślady noża, jestem skłonny się zgodzić, że to nie ty. Ktokolwiek to zrobił, musiał najpierw użyć innego narzędzia, bo drgające ostrze nie przecięłoby ciała.

– A co z ostrzem piły? – spytałam, bo wiedziałam, jakiego używam w prosektorium.

– Duże zęby, siedemnaście na cal. Będzie to więc okrągłe ostrze autopsyjne. Obróćmy ją.

Skierował światło na drugi koniec, gdzie nie było śladów nieudanych prób. Powierzchnia była gładka i wypolerowana, jak poprzednia, ale dla wprawnego oka Cantera nie identyczna.

– Elektryczna piła autopsyjna o dużym, dzielonym ostrzu – powiedział.
– Cięcie wielokierunkowe, promień ostrza bowiem jest za mały, żeby przeciąć kość za jednym zamachem. Ten, kto to robił, ma dużą wprawę, bo zmieniał tylko kierunek, więc obserwujemy lekkie nachylenia wrębków. Minimalne uszkodzenia przy wychodzeniu z cięcia, co znów świadczy o dużej wprawie. Podświetlę jeszcze, żeby uwypuklić odległości między zębami. Zero, przecinek sześć, czyli szesnaście zębów na cal – policzył. – Kierunek: pchać – ciągnąć. Założę się, że to twoja.

– Przyłapałeś mnie – odetchnęłam z ulgą. – Winna oskarżenia.

– Ja myślę. Nie sądzę, żebyś do czegokolwiek używała okrągłej piły.

Duże, okrągłe piły autopsyjne były ciężkie, obracały się bezustannie i bardziej niszczyły kość. Głównie używa się ich do przecinania gipsu.

– Używam ich bardzo rzadko, właściwie tylko przy zwierzętach – powiedziałam.

– Dwu – czy czteronożnych?

– Wyciągałam kule z psów, ptaków, kotów, a raz nawet z pytona, zastrzelonego przy okazji obławy na handlarzy narkotyków – odpowiedziałam.

Canter oglądał teraz następną kość.

– Myślałem, że to ja mam najlepszą zabawę.

– Czy uważasz za coś niezwykłego, że ktoś używa piły do mięsa w czterech przypadkach, a potem nagle przerzuca się na piłę autopsyjną? – spytałam.

– Jeśli twoja teoria, dotycząca przypadków w Irlandii, jest prawdziwa, to mówimy o dziewięciu przypadkach z użyciem piły rzeźniczej – przypomniał. – Może byś to pottrzymała, żebym mógł zrobić zdjęcie?

Przytrzymałam kawałek kości czubkami palców, a on wcisnął przycisk w aparacie.

– A wracając do twojego pytania, uznałbym to za zupełnie niezwykłe. To dwie zupełnie różne sprawy. Piła rzeźnicza jest ręczna, wymaga sprawności fizycznej, zwykle ma dziesięć zębów na cal. Przechodzi przez tkankę, niszczy sporą część kości, ślady piły są ostrzejsze. Trzeba też pamiętać, że w tych wcześniejszych przypadkach oprawca ciął przez staw, w poprzek trzonu, co jest bardzo rzadkie.

– To nie ta sama osoba – wyraziłam głośno swoje przekonanie.

Canter wyjął mi z ręki kość i popatrzył na mnie.

– Też tak uważam.

Kiedy wróciłam do holu, Marino wciąż rozmawiał przez telefon. Zaczekałam chwilę, po czym wyszłam na dwór, bo musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Pragnęłam słońca i jakichś normalnych, spokojnych widoków. Minęło chyba ze dwadzieścia minut, nim wyszedł i spotkał się ze mną przy samochodzie.

– Nie wiedziałem, że tu jesteś. Gdyby ktoś mi powiedział, skończyłbym z tymi telefonami.

– W porządku. Cudny dzień.

Otworzył samochód.

– Jak poszło? – spytał, siadając za kierownicą.

Opowiedziałam mu pokrótce, gdy staliśmy jeszcze, nigdzie się nie ruszając.

– Chcesz wracać do hotelu?

– Nie – odpowiedziałam. – Lekarz zaleca Graceland.

Wrzucił bieg, rozpromieniając się w uśmiechu.

– Musimy jechać autostradą Fowlera – powiedziałam, bo sprawdzałam już na mapie.

– Chciałbym, żebyś kiedyś zdobyła dla mnie raport z jego sekcji – wrócił znów do Presleya. – Mógłbym zobaczyć na własne oczy, co mu się stało. Wiedziałbym i przestałoby mnie to gryźć.

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy to było tak, jak mówią. Czy umarł na sedesie? To mnie zawsze cholernie martwiło. Ty wiesz, ile takich przypadków widziałem? – zerknął na mnie. – Wszystko jedno, czy jesteś jakimś trutniem, czy prezydentem Stanów Zjednoczonych, kończysz z czerwoną obwódką na tyłku. Mam nadzieję, że mnie to nie spotka.

– Elvise znaleźli na podłodze w łazience. Był nago i rzeczywiście twierdzi się, że się zsunął z czarnego, porcelanowego sedesu.

– A kto go znalazł? – Marino był zafascynowany w jakiś niebezpieczny sposób.

– Dziewczyna, która była w przyległym pokoju. A w każdym razie tak mówią.

– To znaczy, dobrze się czuje, wchodzi tam i bum? Żadnych sygnałów ostrzegawczych, nic takiego?

– Wiem tylko, że wcześniej rano grał jeszcze w racquetball i wydawało się, że jest w dobrej formie – powiedziałam.

– Żartujesz. – Ciekawość Marina była nienasycona. – Tego jeszcze nigdy nie słyszałem. Nie wiedziałem, że grał w racquetball.

Jechaliśmy przez dzielnicę przemysłową, mijaliśmy pociągi i ciężarówki, później samochody kempingowe na sprzedaż. Graceland był położony wśród tanich moteli i sklepów i wcale nie wydawał się taki wspaniały w tym otoczeniu. Biała rezydencja z kolumnami była tu zupełnie nie na miejscu, jak dekoracja do kiepskiego filmu.

– O, kurde – powiedział Marino, zatrzymując się na parkingu obok autobusu. – Popatrz tylko na to. Kurde balans.

Wchodził, jakby to był Pałac Buckingham.

– Wiesz, żałuję, że go nie znałem – powiedział z żalem.

– Może byś poznał, jakby bardziej o siebie dbał.

Przez następne dwie godziny wędrowaliśmy wśród złocień i luster, wytartych dywanów i witraży z pawiami, a głos Elvise przenosił nas w jego świat. Setki fanów przyjechały autobusami, a na ich twarzach, gdy chodzili, słuchając objaśnień z taśmy, malowało się głębokie uczucie dla tego człowieka. Wielu z nich kładło na jego grobie kwiaty, listy i karty. Niektórzy płakali, jakby go dobrze znali.

Chodziliśmy między jego różowymi i fioletowymi cadillacami, stutz blackhawkami i całym muzeum innych samochodów. Były tam jego samoloty i strzelnica, Złota Sala z nagrodami Grammy, złotymi i platynowymi płytami i różnymi innymi trofeami i nagrodami, które nawet mnie zdumiały. Sala miała co najmniej dwieście pięćdziesiąt metrów długości. Nie mogłam oderwać wzroku od wspaniałych kostiumów ze złotem i cekinami i fotografii naprawdę niezwykłej i zmysłowo pięknej istoty ludzkiej. Marino wygapiął się z cielecym zachwytem na twarzy, gdy posuwaliśmy się po wszystkich pokojach krok za krokiem.

– Wiesz, kiedy kupił tę posiadłość, nie chcieli, żeby się tu wprowadził – opowiadał mi, gdy wyszliśmy już na chłodne, jesienne powietrze. – Niektóre snoby w tym mieście nigdy go nie zaakceptowały. Myślę, że to go bardzo bolało i może w końcu dobiło i musiał brać te środki przeciwbólowe.

– Brał nie tylko to – przypomniałam.

– Gdybyś wtedy była koronerem, mogłabyś przeprowadzić jego sekcję?

– Oczywiście.

– I nie zakryłabyś jego twarzy? – Wydawał się bardzo wzburzony, zapalając papierosa.

– Na pewno nie.

– Ja nie. – Potrząsnął głową, zaciągając się. – Za nic nie mógłbym być nawet w tym pokoju.

– Żałuję, że nie był moim przypadkiem – powiedziałam. – Nie określiłabym przyczyny zgonu jako naturalnej. Świat powinien znać prawdę, może wtedy ktoś by się zastanowił, zanim nałykałby się percodanu.

Byliśmy teraz przed sklepem z pamiątkami i obserwowaliśmy ludzi, tłoczących się przed telewizorami, w których pokazywano filmy wideo z Elvisem. Przez zewnętrzne głośniki słychać było „Kentucky Rain”,

śpiewane jego silnym, żartobliwym głosem, jakiego nigdy w życiu nie słyszałam. Ruszyliśmy dalej i postanowiłam powiedzieć prawdę.

– Też jestem jego wielbicielką i mam sporą kolekcję jego płyt, jeśli chcesz wiedzieć.

Nie mógł uwierzyć i był wniebowzięty.

– Tylko byłabym wdzięczna, gdybyś tego nie rozpowiadał dookoła.

– I przez te wszystkie lata, odkąd się znamy, nigdy mi nie powiedziałaś?

– wykrzyknął. – Ale nie bujasz, co? Nigdy bym nie pomyślał. W życiu. No to może teraz wiesz, że mam gust.

Ciągnął tak dalej, gdy czekaliśmy na autobus, dowożący zwiedzających na parking, a później jeszcze w samochodzie.

– Pamiętam, jak go kiedyś oglądałem w telewizji, jako smarkacz, jeszcze w New Jersey – opowiadał Marino. – Przyszedł mój stary, jak zwykle pijany, i zaczął się drzeć, żebym zmienił program. Nigdy tego nie zapomnę.

– Zwolnił i skręcił w kierunku Peabody Hotel. – Elvis śpiewał „Hound Dog”, był lipiec 1956. Pamiętam, że to były moje urodziny. Wchodzi ojciec, klnie i wyłącza telewizor, a ja wstaję i włączam znowu. On mi daje w łeb i znów wyłącza. Ja włączam i podchodzę do niego. Pierwszy raz w życiu podniosłem na niego rękę. Walnąłem nim o ścianę i powiedziałem skurwielowi, że jak jeszcze raz tknie moją matkę albo mnie, to go zabiję.

– I tknął? – spytałam, gdy portier otwierał moje drzwi.

– Cholera, nie.

– Więc Elvisowi należą się podziękowania.

Dwa dni później, w czwartek, szóstego listopada, wyruszyłam wcześniej, bo miałam przed sobą półtoragodzinną podróż z Richmondu do Akademii FBI w Quantico w Wirginii. Pojechaliliśmy z Marinem osobnymi samochodami, bo nigdy nie było wiadomo, czy któreś z nas nie zostanie gdzieś odwołane. W moim przypadku mogła to być katastrofa samolotowa lub wykolejony pociąg, w przypadku Marina rada miejska lub oficjele policyjni. Nie zdziwiłam się więc, kiedy w moim samochodzie, gdy byłam na wysokości Fredericksburga, zadzwonił telefon. Słońce chowało się za chmury i wychodziło, ale było tak zimno, że można się było spodziewać śniegu.

– Scarpetta – powiedziałam do mikrofonu.

Głos Marina wypełnił samochód.

– Rada miejska marudzi – powiedział. – Masz McKuena, którego dziecko przejechał samochód, teraz znowu gadają o naszej sprawie, w telewizji, w radiu, piszą w gazetach...

W ciągu ostatnich dwóch dni pojawiło się jeszcze więcej przecieków. Policja miała już podejrzanego o seryjne morderstwa, łącznie z pięcioma przypadkami w Dublinie. Aresztowanie było pewne.

– Wierzysz w te bzdety? – wykrzykiwał Marino. – O czym my mówimy? Dwudziestoparolatek jakimś cudem był w Dublinie parę razy w ciągu kilku lat? Rada miejska zdecydowała, że muszą się nareszcie wykazać w tej sytuacji, bo myślą, że jest już prawie rozwiązana. Obywatele muszą uwierzyć, że coś robią. Więc się zwijam z powrotem, bo muszę być w ratuszu o dziesiątej. I jeszcze szef chce się ze mną zobaczyć.

Widziałam jego tylne światła, gdy zbliżał się do najbliższego wyjazdu. Autostrada 1-95 była tego ranka zatłoczona ciężarówkami i samochodami

dojeżdżających codziennie do pracy w Waszyngtonie. Choćbym nie wiem jak wcześnie wyruszyła, droga na północ była zawsze zapchana.

– Właściwie dobrze, że tam będziesz. Staraj się mnie też trochę bronić – poprosiłam. – Skontaktuję się z tobą później i opowiem, jak poszło.

– Dobra. Jak zobaczysz Ringa, to wiesz, co masz mu zrobić.

Gdy dojechałam do Akademii, strażnik w budce przepuścił mnie od razu, bo znał już mój samochód i tablice rejestracyjne. Parking był tak pełny, że stanęłam prawie w lesie. Na strzelnicach po drugiej stronie parkingu odbywały się już ćwiczenia, a po drodze spotkałam agentów oddziałów antynarkotykowych w panterkach, ściskających w rękach broń. Trawa była pełna porannej rosy i zmoczyłam buty, idąc skrótem do głównego wejścia brązowego, ceglanego budynku, zwanego Jefferson.

Wewnątrz budynku pod ścianami i na siedzeniach w holu ustawione były bagaże, bo policja Akademii Narodowej zawsze gdzieś wyjeżdżała. Nad ladą recepcji wyświetlano napis, życzący wszystkim miłego dnia i przypominający o umieszczeniu identyfikatorów w widocznych miejscach. Wyjęłam swój z torebki i zawiesiłam na długim łańcuszku wokół szyi. Wsunęłam kartę magnetyczną i otworzyłam szklane drzwi Departamentu Sprawiedliwości, a potem ruszyłam długim, przeszkłonym korytarzem.

Byłam pogrążona w myślach i ledwo zauważałam nowych agentów w mundurach granatowych i khaki, a studentów w zielonych. Kiwali głowami i uśmiechali się, mijając mnie, a ja też starałam się być przyjacielska, nie zwracałam jednak na nich zbyt uwagi. Rozmyślałam o korpusie tej kobiety, jej dolegliwościach i wieku, o nędznym worku w zamrażarce, gdzie może leżeć i kilka lat, może krócej, jeśli poznamy jej nazwisko. Myślałam o Pleasantsie, *dokumie*, o piłach i ostrzach.

Skręcając obok sali czyszczenia broni, poczułam woń rozpuszczalnika i usłyszałam dźwięk kompresorów, przeczyszczających wnętrza luf. Nie

mogłam wąchać tych zapachów i słuchać tych dźwięków, nie myśląc o Wesleyu i Marku. Serce ścisnęły mi bolesne wspomnienia, gdy usłyszałam, jak jakiś znajomy głos woła moje imię.

– Wygląda na to, że zmierzamy w tę samą stronę – powiedział detektyw Ring.

Nienagannie ubrany w granatowy garnitur, czekał na windę, która miała nas zabrać osiemnaście metrów pod ziemię, gdzie Hoover zbudował swój schron przeciwlotniczy. Przełożyłam ciężką teczkę do drugiej ręki, a pudełko z przeźrocami ścisnęłam pod pachą.

– Dzień dobry – powiedziałam obojętnie.

– Daj coś, to ci pomogę. – Wyciągnął rękę, gdy otworzyły się drzwi windy, i zauważyłam, że miał wypolerowane paznokcie.

– Poradzę sobie – powiedziałam, bo nie chciałam, żeby mi pomagał.

Weszliśmy oboje i patrząc wprost przed siebie, zjeźdzaliśmy na poziom bez okien, tuż pod krytą strzelnicą. Ring bywał tu już wcześniej na konsultacjach i zawsze robił staranne notatki, ale nic z nich nie trafiło nigdy do mediów. Był na to za sprytny. Na konsultacjach w FBI było nas tylko kilka osób i łatwo można by wyśledzić, skąd pochodzi przeciek.

– Byłam nieco skonsternowana informacjami, do których prasa jakoś doszła – powiedziałam, gdy wysiadaliśmy.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedział Ring, patrząc na mnie szczerze.

Otworzył drzwi do labiryntu korytarzy, prowadzących do jednostki, która zaczynała jako Naukowo-Behawiorystyczna, później nazywała się Pomocniczo-Śledcza, a teraz CASKU. Nazwy się zmieniały, ale sprawy nie. Ludzie często przychodzili do pracy jeszcze po ciemku, kiedy wychodzili, już znów było ciemno, i całymi dniami i latami badali najdrobniejsze

szczegóły dotyczące potworów, każdy ślad zębów i odcisk w błocie, sposób, w jaki myślą, pachną, nienawidzą.

– Im więcej informacji o tym przypadku wydostanie się na zewnątrz, tym gorzej – ciągnął Ring, gdy zbliżaliśmy się do drzwi pokoju konferencyjnego, w którym spędzałam co najmniej kilka dni miesięcznie. – Co innego podawać szczegóły, dzięki którym ludzie mogą nam pomóc...

Mówił dalej, ale nie słuchałam. Wesley siedział już u szczytu wypolerowanego stołu, na którym leżały jego okulary. Przeglądał duże zdjęcia ostemplowane z tyłu: Departament Szeryfa hrabstwa Sussex. Detektyw Grigg siedział o kilka krzeseł dalej, a przed nim leżała góra papierów. Naprzeciwko niego usadowił się Frankel z Programu Badania Okrucieństwa Zbrodni (VICAP), a po drugiej stronie stołu moja siostrzenica. Stukała w klawiaturę laptopa i chociaż spojrzała na mnie, nie powiedziała nawet „cześć”.

Zajęłam swoje zwykłe miejsce na prawo od Wesleya, otworzyłam teczkę i zaczęłam porządkować papiery. Ring usiadł po mojej drugiej stronie i kontynuował rozmowę.

– Musimy pogodzić się z faktem, że ten facet śledzi wszystko, co jest w wiadomościach. To dla niego część zabawy.

Zwrócił na siebie ogólną uwagę, wszystkie oczy skierowały się na niego, w pokoju panowała cisza i słychać było tylko jego. Był rozsądny i spokojny, jakby jego jedynym zadaniem było przekazanie prawdy, bez zwracania na siebie niepotrzebnie uwagi. Ring był genialnym hochsztaplerem, a to, co powiedział moim kolegom, przeszło moje wszelkie oczekiwania.

– Nie uważam na przykład, mówiąc szczerze – tu zwrócił się do mnie – że to dobry pomysł, aby podawać rasę, wiek i inne szczegóły, dotyczące

ofiary. Ale może się myłę. – Rozejrzał się po zebranych. – Wydaje się, że im mniej się teraz mówi, tym lepiej.

– Nie miałam wyboru – powiedziałam i nie mogłam ukryć urazy w głosie – skoro ktoś już rozpuścił fałszywe informacje.

– Ale to się zawsze może zdarzyć i nie sądzę, aby to nas zmuszało do ujawniania szczegółów, nim będziemy gotowi – odparował tym samym szczerym tonem.

– Nie pomoże nam to, jeśli ludzie skupią się na poszukiwaniu zaginionej młodocianej Azjatki – popatrzyłam mu prosto w oczy.

– Zgadzam się – odezwał się Frankel z VICAP. – Będziemy dostawać dane o zaginionych osobach z całego kraju. Taki błąd trzeba naprawić.

– Taki błąd w ogóle nie miał prawa się wydarzyć – powiedział Wesley, rozglądając się po sali sponad okularów, jak to robił, gdy był w złym nastroju. – Są z nami dzisiaj detektyw Grigg z Sussex i agent specjalny Farinelli. – Spojrzał na Lucy. – Jest analitykiem w HRT i zajmuje się Kryminalną Siecią Sztucznej Inteligencji, znanej nam jako CAIN, i ma nam tu pomóc w sprawach komputerowych.

Moja siostrzenica nie podniosła wzroku, ze skupieniem stukając w klawiaturę. Ring wpatrywał się w nią, jakby miał ją żywcem zjeść.

– W jakich sprawach komputerowych? – spytał, dalej pochłaniając ją wzrokiem.

– Dojdziemy do tego – powiedział Wesley i ciągnął dalej. – Streszczę pokrótce sytuację, a później przejdziemy do szczegółów. Wiktyologia tego ostatniego przypadku z wysypiska jest zasadniczo różna od poprzednich czterech, lub dziewięciu, jeśli liczyć Irlandię, więc mogę powiedzieć, że mamy do czynienia z innym zabójcą. Doktor Scarpetta przedstawi nam wyniki swych badań medycznych, które potwierdzają, że jego sposób działania jest zupełnie inny.

Aż do południa przeglądaliśmy moje raporty, wykresy i fotografie. Pytali mnie o wiele rzeczy, głównie Grigg, który koniecznie chciał zrozumieć każdy najdrobniejszy szczegół seryjnego ćwiartowania szczątków, żeby mieć pewność, że to z jego jurysdykcji było niepodobne do innych.

– Jaka jest różnica między kimś, tnącym w stawach, a w poprzek kości?
– pytał.

– Cięcie w stawach jest trudniejsze – wyjaśniłam. – Wymaga znajomości anatomii oraz doświadczenia.

– Na przykład ktoś, kto był rzeźnikiem i pracował przy rozbieraniu mięsa.

– Na przykład – zgodziłam się.

– I to chyba pasowałoby do piły rzeźniczej – dodał.

– Tak, a ona różni się od piły sekcyjnej.

– A czym dokładnie? – spytał Ring.

– Piła rzeźnicza jest urządzeniem ręcznym, przeznaczonym do przecinania mięsa, chrząstek i kości – opowiadałam, patrząc po wszystkich.

– Zwykle ma ponad trzydzieści centymetrów długości, bardzo cienkie ostrze, dziesięć zębów na cal. Wymaga pewnej siły fizycznej ze strony użytkownika. Natomiast piła sekcyjna nie przechodzi przez tkankę miękką, którą należy przedtem rozplątać czymś w rodzaju noża.

– I tak było w tym przypadku – powiedział do mnie Wesley.

– Są nacięcia na kości, które mogą wskazywać na użycie noża. Piła sekcyjna – wyjaśniałam dalej – została skonstruowana do działania na twardych powierzchniach, ruchem posuwisto-zwrotnym, posuwając się po małym skrawku za każdym ruchem. Wiem, że wszyscy rozumieją, o co chodzi, ale mam tu zdjęcia.

Otworzyłam kopertę i rozdałam wszystkim zdjęcia śladów piły na fragmentach kości, które zabrałam do Memphis.

– Jak widzicie – ciągnęłam – ślad piły jest tu wielokierunkowy, gładko wypolerowany.

– Zaraz, żebym to dokładnie zrozumiał – odezwał się Grigg. – To jest dokładnie taka sama piła, jakiej używasz w prosektorium.

– Nie, nie dokładnie taka sama. Zwykle używam większego ostrza niż to, którego użyto w tym przypadku.

– Ale to była piła medyczna? – pokazał na zdjęcie.

– Tak.

– A gdzie przeciętna osoba mogłaby taką zdobyć?

– W gabinecie lekarskim, szpitalu, prosektorium, sklepie zaopatrzenia medycznego – odpowiedziałam. – W wielu miejscach. Sprzedaż nie jest reglamentowana.

– Więc mógł ją zamówić, nie będąc zawodowo związany z medycyną.

– Bez problemu.

Włączył się Ring: – Albo mógł ją ukraść. Mógł postanowić zrobić tym razem coś innego, żeby się nas pozbyć.

Lucy spojrzała na niego z miną, którą znałam doskonale: uważała Ringa za idiotę.

– Jeżeli mamy do czynienia z tym samym zabójcą – powiedziała – to dlaczego nagle przesyła listy przez Internet, a nigdy przedtem tego nie robił?

– Słuszne pytanie – skinął głową Frankel.

– Jakie listy? – spytał ją Ring.

– Już do tego dochodzimy – Wesley przywrócił porządek. – Mamy do czynienia z zupełnie innym *modus operandi*. Mamy inne narzędzie.

– Podejrzewamy, że miała uraz głowy – powiedziałam, rozkładając na stole opisy sekcji, zdjęcia i fotografie z poczty elektronicznej – z powodu krwi w drogach oddechowych. To może, ale nie musi, różnić się od innych

przypadków, gdyż nie znamy przyczyn ich zgonów. Badania radiologiczne i antropologiczne wskazują na to, że ofiara była znacznie starsza od pozostałych. Odnaleźliśmy również włókienka, oznaczające, że była czymś okryta podczas odcinania kończyn, co również jest inne niż w poprzednich przypadkach.

Wyjaśniałam szczegóły, dotyczące włókien i farby, cały czas zdając sobie sprawę z tego, że Ring obserwuje moją siostrzenicę i robi notatki.

– Więc pewnie została pocięta w jakimś warsztacie albo garażu – powiedział Grigg.

– Nie jestem pewna – odparłam. – Jak widzieliście ze zdjęć, przysłanych e-mailem, wiemy tylko, że znajdowała się w pomieszczeniu ze ścianami w kolorze kitu, w którym stał stół.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że Keith Pleasants ma warsztat za domem – wtrącił Ring. – Znajduje się tam duży stół, a ściany są z niemalowanego drewna. – Spojrzał na mnie. – Mogłyby to być ściany w kolorze kitu.

– Chyba byłoby bardzo trudno pozbyć się śladów krwi – mruknął Grigg, dzieląc się wątpliwościami.

– Osłonięcie podgumowaną tkaniną może tłumaczyć brak śladów krwi – upierał się Ring. – O to właśnie chodziło, żeby nic nie przeciekało.

Wszyscy zwrócili się do mnie, czekając, co powiem.

– Byłoby bardzo dziwne, żeby w takim przypadku dało się uniknąć pokrwawienia – odpowiedziałam. – Zwłaszcza że miała jeszcze ciśnienie krwi, gdy była pozbawiana głowy. Sądzę, że krew musiałaby zachować się w drewnie, w szparach stołu.

– Moglibyśmy spróbować badań chemicznych – Ring wystąpił jako naukowy ekspert. – Na przykład luminolem. Nawet przy odrobinie krwi zareaguje i będzie świecić w ciemności.

– Problem w tym, że luminol ma właściwości destrukcyjne – odpowiedziałam. – A potrzebujemy próbki DNA, żeby porównać. Więc nie chcielibyśmy zmarnować najmniejszej odrobinki krwi, którą udałooby się znaleźć.

– Nie ma w tej chwili uzasadnienia, żeby wchodzić do garażu Pleasantsa i wykonywać tam jakieś badania. – Grigg spojrzał wyzywająco na Ringa.

– Chyba jest – Ring wytrzymał spojrzenie.

– Nie ma, póki nie zmienią przepisów – powoli odpowiedział Grigg.

Wesley obserwował wszystko i wszystkich, ważąc każde słowo, jak to robił zawsze. Miał już wyrobioną opinię i to najprawdopodobniej słuszną. Ale na razie nie zabierał głosu.

– Myślałam... – usiłowała coś powiedzieć Lucy.

– Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że to zabójstwo jest podszywaniem się – przerwał Ring.

– Och, na pewno – powiedział Grigg. – Nie zgadzam się tylko z twoją teorią co do Pleasantsa.

– Może skończę – twardy wzrok Lucy przesunął się po twarzach zebranych mężczyzn. – Chciałabym państwu pokrótce opowiedzieć, jak te przesyłki trafiły na e-mailowy adres doktor Scarpetty.

Dziwnie to brzmiało, kiedy mówiła o mnie tak oficjalnie.

– Bardzo jestem ciekaw – Ring oparł brodę na rękę, wpatrując się w Lucy.

– Po pierwsze, potrzebny jest skaner – ciągnęła. – O to nietrudno. Coś, co ma możliwości koloru i przyzwoitą rozdzielczość, choćby siedemdziesiąt dwa punkty na cal. To mi wygląda na wyższą, może trzysta. Mówimy o czymś albo tak prostym, jak ręczny skaner za trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, albo o skomplikowanym, trzydziestopięciomilimetrowym, którego cena może iść w tysiące...

– A do jakiego komputera można to przyłączyć? – spytał Ring.

– Właśnie do tego dochodzę – Lucy miała już dosyć jego przerywania. – Wymagania są następujące: minimum osiem megaramów, kolorowy monitor, oprogramowanie Foto Touch lub ScanMan i modem. Może to być Macintosh, Performa 6116CD albo nawet coś starszego. Sprawa polega na tym, że skanowanie plików do komputera i przesyłanie ich przez Internet jest dostępne dla przeciętnego człowieka, dlatego tacy jesteśmy zajęci z powodu przestępstw telekomunikacyjnych.

– Tak jak ta poważna sprawa pornografii dziecięcej i pedofilstwa, którą właśnie rozpracowałam – powiedział Grigg.

– Tak, zdjęcia przesyłane jako pliki przez sieć światową, w której dzieci mogą rozmawiać z obcymi – dodała. – Co jest ciekawe w obecnej sprawie, to to, że o ile skanowanie zdjęć czarno-białych jest proste, w przypadku kolorów sprawa się komplikuje. Poza tym kontury na zdjęciach przesłanych do doktor Scarpetty są bardzo wyraźne, nie ma zakłóceń w tle.

– Wydaje się, że ktoś się na tym znał – wtrącił Grigg.

– Tak – zgodziła się. – Ale niekoniecznie technik czy grafik komputerowy. Wcale nie.

– W dzisiejszych czasach każdy, kto ma odpowiedni sprzęt i książkę z instrukcjami, może to zrobić – powiedział Frankel, który również pracował przy komputerach.

– W porządku, zdjęcia zostały zeskanowane do systemu – powiedziałam do Lucy. – A potem co? Jak dotarły do mnie?

– Najpierw się kompresuje plik, w tym przypadku graficzny lub GIF – odpowiedziała. – Ogólnie, żeby to przesłać, trzeba określić liczbę bitów dla danych, dla przerw, odpowiednią konfigurację. To w przypadku urządzeń nieprzyjaznych dla użytkownika. Ale America on-line robi to wszystko za

ciebie. W tym przypadku przesyłanie plików jest proste. Pakujesz i ruszają.
– Popatrzyła na mnie.

– I było to w zasadzie zrobione telefonicznie? – upewnił się Wesley.

– Tak.

– A co z prześledzeniem tych przesyłek?

– Brygada Dziewiętnasta już nad tym pracuje. – Lucy miała na myśli jednostkę FBI, badającą nielegalne użycie Internetu.

– Nie jestem pewien, jaki to może być zarzut – zauważył Wesley. – Obsceniczność, jeśli zdjęcia są podróbką, a to, niestety, nie jest nielegalne.

– Zdjęcia nie są podróbką – powiedziałam.

– Trudno to udowodnić. – Wytrzymał mój wzrok.

– A jeśli są oryginalne? – spytał Ring.

– Wtedy będą dowodem – odpowiedział Wesley, dodając po chwili. – Naruszenie przepisów Tytułu osiemnastego, paragraf osiemset siedemdziesiąt sześć. Przesyłanie pogrózek.

– Pogrózek w stosunku do kogo? – spytał Ring.

Wesley wciąż wpatrywał się we mnie.

– Oczywiście w stosunku do odbiorcy.

– Nie było bezpośrednio wyrażonej pogrózki.

– Mamy wystarczająco dużo do nakazu aresztowania.

– Musimy najpierw znaleźć osobę – powiedział Ring, przeciągając się i ziewając jak kot.

– Obserwujemy, kiedy znów się podłączy – odpowiedziała Lucy. – Monitorujemy całą dobę. – Wciąż uderzała w klawisze laptopu, sprawdzając ciągły napływ informacji. – Ale jeśli wyobrazicie sobie globalny system telefoniczny, z czterdziestoma milionami użytkowników, bez książki telefonicznej, telefonistek, numerów kierunkowych, to właśnie jest Internet. Nie ma listy członków, America on-line też jej nie posiada,

chyba że ktoś chce podać informacje na swój temat. W tej sprawie mamy tylko wymyśloną nazwę *dokum*.

– Skąd wiedział, na jaki adres przesłać pocztę do doktor Scarpetty? – popatrzył na mnie Grigg.

Wyjaśniłam, a następnie spytałam Lucy: – To wszystko załatwiane jest na kartę kredytową?

Skinęła głową.

– Tyle udało się sprawdzić. Karta American Express na nazwisko Ken L. Perley. Emerytowany nauczyciel z Norfolk. Ma siedemdziesiąt lat, mieszka sam.

– Czy wiadomo, jak ktoś zdobył dostęp do jego karty? – spytał Wesley.

– Perley chyba rzadko używa swojej karty. Ostatnio było to w Norfolk, w restauracji „Czerwony Krab”. Było to drugiego października, kiedy poszedł tam na kolację z synem. Rachunek wynosił dwadzieścia siedem dolarów i trzydzieści centów, łącznie z napiwkiem, który wpisał na kartę. Ani on, ani jego syn nie zauważyli tego wieczoru nic nadzwyczajnego. Jednak kiedy doszło do płacenia, karta leżała na stoliku, w widocznym miejscu przez dość długi czas, gdyż był duży ruch. W pewnej chwili, gdy karta leżała na wierzchu, Perley poszedł do toalety, a jego syn na papierosa.

– Boże, ależ inteligentnie. Czy ktoś z obsługi zauważył, żeby ktoś podchodził do stolika? – spytał Wesley.

– Tak jak mówiłam, był duży ruch. Staramy się zdobyć listę gości na podstawie kart kredytowych, ale problem z tymi, którzy płacili gotówką.

– I pewnie jest za wcześnie, aby na kartę Perleya wpłynął już rachunek z America on-line – powiedział.

– Oczywiście. Ich zdaniem, rachunek został dopiero otwarty. Mówiąc dokładnie, w tydzień po kolacji w „Czerwonym Krabie”. Pan Perley bardzo

chętnie współpracuje z nami – dodała Lucy. – AOL zostawia rachunek otwarty na wypadek, gdyby przestępca chciał jeszcze coś przesłać.

Wesley skinął głową.

– Choć nie można tego zakładać, należy wziąć pod uwagę, że zabójca, przynajmniej w przypadku wysypiska, mógł być miesiąc temu w Norfolk.

– Ten przypadek wydaje się rzeczywiście lokalny – podkreśliłam.

– Czy możliwe, że któreś z ciał było w chłodni przed znalezieniem?

– To na pewno nie – szybko odpowiedział Wesley. – Absolutnie nie. Facet nie mógł znieść widoku swej ofiary. Musiał ją przykryć, przecinał przez materiał i przypuszczam, że nie jechał daleko, by się pozbyć ciała.

Lucy czytała coś na ekranie swego laptopa, cichutko stukając w klawisze, z napięciem w twarzy.

– Właśnie dostaliśmy coś z Brygady Dziewiętnastej – powiedziała. – *Dokum* włączył się pięćdziesiąt sześć minut temu. – Spojrzała na nas. – Wysłał e-mail do prezydenta.



Poczta elektroniczna została przesłana bezpośrednio do Białego Domu, w czym nie było nic niezwykłego, gdyż adres był ogólnie dostępny, łatwy do odnalezienia zwłaszcza dla użytkowników Internetu. Znów wiadomość była napisana małymi literami, bez znaków interpunkcyjnych: *przepros bo jak nie to zaczne we francji*.

– Może to mieć różne implikacje – mówił do mnie Wesley przy akompaniamencie strzałów ze strzelnicy nad nami. Sprawiało to wrażenie, jakby gdzieś w oddali toczyła się przytłumiona wojna. – A wszystkie napawają mnie strachem o ciebie.

Zatrzymaliśmy się przy fontannie.

– Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego ze mną – powiedziałam. – Teraz ma to związek z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– To jest symboliczne, jak podejrzewam. Nie dosłowne. – Ruszyliśmy. – Wydaje mi się, że ten morderca jest niezadowolony, zły, czuje, że jakaś osoba czy osoby u władzy winne są jego niepowodzeń życiowych.

– Jak Unabomber – powiedziałam, gdy jechaliśmy windą w górę.

– Bardzo podobnie. Może nawet się nim inspirował – powiedział, patrząc na zegarek. – Czy mogę ci postawić piwo, nim wyjedziesz?

– Chyba że ktoś by za mnie prowadził – uśmiechnęłam się. – Ale możesz mnie namówić na kawę.

Przeszliśmy przez pokój czyszczenia broni, gdzie dziesiątki agentów FBI i DEA rozbierały i czyściły broń. Spoglądali na nas z ciekawością i zaczęłam się zastanawiać, czy oni też coś słyszeli. Mój związek z Wesleyem bowiem był od dłuższego czasu tematem plotek w Akademii, czym martwiłam się bardziej, niż dawałam po sobie poznać. Większość ludzi podzielała opinię, że jego żona opuściła go przeze mnie, tymczasem zostawiła go dla innego mężczyzny.

Na górze, w kantine, było tłoczno. Modelka prezentowała najnowsze fasony bluz i spodni na strzelnicę, witryny bufetu zdobiły już dynie i indyki na Święto Dziękczynienia. Dalej, w pokoju konferencyjnym, ryczał telewizor i niektórzy popijali już piwo, przegryzając prażoną kukurydzą. Usiedliśmy możliwie jak najdalej od wszystkich i sączyliśmy kawę.

– Jak się zapatrujesz na sprawę francuskiego łącznika? – spytałam.

– Jest jasne, że nasz osobnik jest inteligentny i śledzi wiadomości. Nasze stosunki z Francją były bardzo napięte podczas ich prób nuklearnych. Pamiętasz akty wandalizmu, bojkot francuskich win i innych produktów.

Były protesty przed ambasadami francuskimi i Stany Zjednoczone były bardzo w to wszystko zaangażowane.

– Ale to było dwa lata temu.

– Nie szkodzi. Rany goją się powoli. – Popatrzył przez okno na gęstniejący mrok. – A wracając do tematu, Francja nie byłaby zachwycona, gdybyśmy do nich wyeksportowali naszego seryjnego mordercę. Przypuszczam, że to sugeruje nasz *dokum*. Gliniarze z Francji i innych krajów od lat się martwią, że nasze problemy mogą w końcu ich osiągnąć. Tak jakby przemoc była chorobą, która się roznosi.

– Bo tak jest.

Skinął głową i sięgnął po kawę.

– Może byłoby sensownie, gdybyśmy uwierzyli, że ta sama osoba zabiła dziesięć ofiar w Irlandii i tutaj – powiedziałam.

– Kay, nie możemy niczego wykluczyć – powiedział zmęczonym głosem.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, on podszywa się pod cudze morderstwa i teraz nas straszy. Prawdopodobnie nie ma pojęcia, jak bardzo jego sposób działania różni się od poprzednich. Oczywiście, Benton, nie możemy wykluczyć niczego, ale wiem, co wynika z moich badań, i wiem, że identyfikacja tej ofiary jest kluczem do wszystkiego.

– Zawsze tak wierzysz – uśmiechnął się, bawiąc się łyżeczką.

– Wiem, dla kogo pracuję. W tej chwili pracuję dla tej biednej kobiety, której korpus znajduje się w zamrażalniku.

Na dworze było już zupełnie ciemno i sala wypełniała się zdrowo wyglądającymi, przyzwoicie żyjącymi ludźmi, mężczyznami i kobietami, w kolorowych kombinezonach. Nie dawało się już rozmawiać w tym hałasie, a musiałam jeszcze zobaczyć się z Lucy przed wyjazdem.

– Nie lubisz Ringa. – Wesley sięgnął po swoją marynarkę, wiszącą na oparciu krzesła. – Jest bystry i wydaje się, że ma szczerą motywację.

– W tej ostatniej ocenie wyraźnie się pomyliłeś – powiedziałam, wstając.
– Ale z początkiem się zgadzam. Nie lubię go.

– To jasno wynikało z twojego zachowania.

Przepychaliśmy się wśród ludzi, którzy szukali wolnych miejsc i ustawiali na stolikach kufle z piwem.

– Myślę, że jest niebezpieczny.

– Jest próżny i chce sobie wyrobić nazwisko – powiedział Wesley.

– A ty nie uważasz, że jest niebezpieczny? – popatrzyłam na niego.

– To odnosi się prawie do wszystkich, z którymi kiedykolwiek pracowałem.

– Mam nadzieję, że z wyjątkiem mnie.

– Pani doktor jest wyjątkiem w każdej dziedzinie.

Szliśmy długim korytarzem, zmierzając do holu, ale zupełnie nie miałam ochoty rozstawać się teraz z nim. Czułam się samotnie, choć nie wiedziałam dlaczego.

– Chętnie zjadłabym z tobą kolację, ale Lucy chce mi coś pokazać.

– A dlaczego uważasz, że nie mam już innych planów? – Przytrzymał mi drzwi.

Zaniepokoiła mnie ta myśl, chociaż wiedziałam, że żartuje.

– Poczekajmy, aż będę się mógł stąd wydostać – powiedział, gdy szliśmy po parkingu. – Może podczas weekendu, kiedy będziemy trochę wolniejsi. Tym razem ja coś ugotuję. Gdzie zaparkowałaś?

– Tutaj. – Przycisnęłam pilota.

Drzwiczki się otworzyły i wewnątrz zapaliło się światło. Jak zwykle, nawet się nie dotknęliśmy. Nigdy tego nie robiliśmy, kiedy ktoś nas mógł zobaczyć.

– Czasem mam tego dosyć – powiedziałam, wsiadając do samochodu. – Możemy sobie rozmawiać o częściach ciała, morderstwach i gwałtach przez cały dzień, ale nie możemy się objąć ani trzymać za ręce. Boże, uchwaj, żeby ktoś to zobaczył. – Włączyłam starter. – Powiedz, czy to jest normalne? Przecież nie mamy nielegalnego romansu ani nie popełniamy zbrodni. – Zapięłam pas. – Czy istnieje jakiś przepis FBI „nie pytaj, nie opowiadaj”, o którym nikt mi nie powiedział?

– Tak.

Pocałował mnie w usta w momencie, gdy przechodziła obok nas grupa agentów.

– Więc nie opowiadaj nikomu – powiedział.



Po kilku chwilach zaparkowałam przed budynkiem Technologii Badawczej FBI, w którym prowadzono prace badawczo-rozwojowe. Jeśli Lucy wiedziała o wszystkim, co się działo w tamtejszych laboratoriach, nie mówiła o tym. Ja mogłam przebywać zaledwie w kilku pomieszczeniach, i to eskortowana przez nią. Czekala przy drzwiach wejściowych, podczas gdy ja próbowałam zamknąć samochód za pomocą pilota, który nie reagował.

– Tutaj nie będzie działał – zawołała.

Spojrzałam w górę na las anten i talerzy satelitarnych i wzdychając, zamknęłam zamek ręcznie.

– Żeby o tym nie pamiętać po tylu razach – mruknęłam.

– Twój przyjaciel detektyw Ring chciał mnie tu odprowadzić po konsultacjach – powiedziała, prezentując kciuk w biometrycznym zamku

przy drzwiach.

– Nie jest moim przyjacielem – odpowiedziałam.

Hol był wysoki, ozdobiony szklanymi witrynami ze starym, nieczynnym sprzętem radiowym i elektronicznym, używanym przez jednostkę badawczą, nim powstał ten budynek.

– Znów chciał się ze mną umówić – powiedziała.

Korytarze były jednokolorowe i wydawały się ciągnąć bez końca. Zawsze robiła na mnie wrażenie panująca tu cisza i poczucie, że nikogo nie ma. Naukowcy i inżynierowie pracowali za zamkniętymi drzwiami w salach, które mogły pomieścić samochody, helikoptery, a nawet mniejsze samoloty. Zatrudnione tu były setki pracowników FBI, ale nie mieli oni prawie żadnego kontaktu z nami, po drugiej stronie ulicy. Nie znaleźmy nawet ich nazwisk.

– Jestem pewna, że są miliony facetów, którzy chcieliby się z tobą umówić – powiedziałam, gdy wchodziłyśmy do windy, a Lucy znów przesunęła kciukiem po zamku.

– Tak, ale nie ci, którzy byli w moim towarzystwie dłużej – powiedziała.

– Nie wiem, ja jestem długo, ale nie mogę się ciebie pozbyć.

Ona jednak była poważna.

– Jak tylko zaczynam rozmowę na tematy zawodowe, faceci się wycofują. Ale ten jest ambitny, o ile znasz takie typy.

– Doskonale.

– On czegoś ode mnie chce, ciociu.

– Nie domyślasz się? A w ogóle dokąd mnie prowadzisz?

– Nie wiem. Ale tak czuję. – Otworzyła drzwi do laboratorium rzeczywistości wirtualnej, dodając: – Mam ciekawy pomysł.

Pomysły Lucy były zawsze co najmniej ciekawe. Przeważnie były nawet przerażające. Weszłam za nią do pokoju, wypełnionego procesorami

systemów wirtualnych i komputerów graficznych, poustawianych jeden na drugim. Na blatach rozłożone były narzędzia, klawiatury komputerowe, obwody i urządzenia peryferyjne, jak DataGloves i hełmy. Skłębione przewody elektryczne leżały odsunięte z pustej przestrzeni linoleum, gdzie Lucy zwykle pogrążała się w cyberprzestrzeni.

Wzięła do ręki pilota i rozbłysły dwa ekrany wideo, na których rozpoznałam zdjęcia, przysłane mi przez *dokuma*. Na ekranach były duże i kolorowe i zaczęłam się denerwować.

– Co robisz? – spytałam siostrzenicę.

– Podstawowym pytaniem jest zawsze to, czy zanurzenie się w rzeczywistości ma pozytywny wpływ na działania operatora – powiedziała, wystukując polecenia dla komputera. – Nigdy nie miałaś okazji zanurzyć się w przestrzeni, jaką jest miejsce zbrodni.

Popatrzyłyśmy obie w monitory na zakrwawione kikuty i równo ułożone kończyny, i przeszedł mnie dreszcz.

– A gdybyś teraz miała taką okazję? – naciskała Lucy. – Gdybyś mogła znaleźć się wewnątrz pokoju *dokuma*. – Chciałam jej przerwać, ale nie pozwoliła. – Co jeszcze mogłabyś zobaczyć? Co jeszcze mogłabyś zrobić? – mówiła, a kiedy wpadała w taki ton, była jak nawiedzona. – Czego jeszcze mogłabyś się dowiedzieć o nim i o ofierze?

– Nie wiem, czy umiałabym skorzystać z czegoś takiego – broniłam się.

– Oczywiście, że potrafisz. Nie zdążyłam tylko dodać syntetycznego dźwięku. Poza standardowymi dźwiękami. Więc skrzypnięcie to odgłos czegoś otwieranego, kliknięcie to włączenie lub wyłączenie przycisku, a brzdęk zazwyczaj oznacza, że zderzyłaś się z czymś.

– Lucy – powiedziałam, gdy chwyciła mnie za rękę. – O czym ty, do diabła, mówisz?

Ostrożnie założyła mi na lewą rękę rękawicę, sprawdzając, czy dokładnie przylega.

– Ludzie używają gestów, porozumiewając się. Używamy też gestów, czy pozycji, jak my je nazywamy, porozumiewając się z komputerem – wyjaśniła.

Rękawica była zrobiona z czarnej lycry, z zamontowanymi po zewnętrznej stronie światłowodowymi czujnikami. Były one podłączone do kabla, który prowadził do wysokiej klasy głównego komputera, na którym pisała Lucy. Następnie podniosła hełm z zamontowanym wyświetlaczem, który był połączony z innym kablem, i przeszył mnie strach, gdy podeszła w moją stronę.

– VPL Eyephone HRX – oświadczyła radośnie. – Taki sam, jakiego używają w ośrodku badawczym NASA, gdzie został wynaleziony. – Podłączała kable i taśmy. – Trzysta pięćdziesiąt tysięcy kolorów. Doskonała rozdzielczość i szerokie pole widzenia.

Włożyła mi hełm na głowę; był ciężki i zasłaniał mi oczy.

– To, w co patrzysz, to ciekłokrystaliczne wyświetlacze, czyli LCD, podstawowe wyświetlacze wideo. Szklane płytki, elektrody i cząsteczki, robiące najróżniejsze fajne rzeczy. I jak?

– Jakbym miała się przewrócić i udusić.

Zaczęła mnie ogarniać panika, tak samo jak za pierwszym razem, gdy miałam nurkować.

– Nic takiego się nie stanie. – Była bardzo cierpliwa i podtrzymywała mnie jedną ręką. – Rozluźnij się. To normalne, że z początku człowiek trochę się boi. Powiem ci, co zrobić. Najpierw stój spokojnie i oddychaj głęboko. Ja ci pomogę.

Umocniła wyświetlacz na mojej głowie i wróciła do głównego komputera. Nic nie widziałam, nie mogłam złapać równowagi. Przed

każdym okiem miałam maleńki ekran.

– Dobra, zaczynamy – powiedziała. – Nie wiem, czy to pomoże, ale co szkodzi spróbować.

Kliknęły klawisze i zostałam wrzucona do pokoju. Lucy zaczęła mnie instruować, co mam zrobić, żeby posuwać się do przodu, szybciej, cofać, jak coś puścić albo schwycić. Poruszyłam palcem wskazującym, kliknęłam parę razy, przysunęłam kciuk do dłoni i poruszyłam ręką, sięgając do piersi. Byłam spocona jak mysz. Spędziłam pięć minut na suficie i chodząc po ścianach. W pewnej chwili znalazłam się na stole, na którym leżał korpus, owinięty w zakrwawioną niebieską tkaninę, stąpając po dowodach i po umarłej.

– Chyba zwymiotuję – powiedziałam.

– Stój spokojnie przez minutę, złap oddech.

Wykonałam jakiś gest, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale nagle znalazłam się na wirtualnej podłodze, jakbym spadła z powietrza.

– Dlatego ci mówiłam, żebyś stała spokojnie – odezwała się Lucy, obserwując na monitorach, co wyprawiam. – Teraz rusz ręką do środka i wskazuj dwoma pierwszymi palcami kierunek, z którego dochodzi mój głos. Lepiej?

– Lepiej – potwierdziłam.

Stałam na podłodze w tamtym pokoju, jakby fotografia ożyła, stała się duża i trójwymiarowa. Popatrzyłam wokół i nie zobaczyłam właściwie niczego ponad to, co widziałam już, gdy Vander powiększył zdjęcie. Dopiero to, co odczułam, pozwoliło mi zobaczyć więcej.

Ściany w kolorze kitu, ze słabymi odbarwieniami, które dotychczas przypisywałam wodzie, jakiej można się spodziewać w garażu lub piwnicy. Teraz były nieco inne, równiej rozłożone, niektóre tak słabe, że ledwie je widziałam. Kiedyś te ściany były pokryte tapetą, która została usunięta, ale

nie zastąpiona inną, podobnie jak gzyms i pręt do zasłon. Nad oknem, zasłoniętym drewnianą żaluzją, widać było dziury po hakach.

– To nie tutaj się wydarzyło – powiedziałam. Serce biło mi mocno. Lucy milczała. – Została tu przyniesiona po fakcie, do fotografii. To nie tu została zabita i rozczłonkowana.

– Co widzisz? – spytała.

Ruszyłam ręką i podeszłam bliżej do wirtualnego stołu. Wskazałam na ściany, żeby pokazać Lucy, co zobaczyłam.

– Gdzie włączył piłę? – spytałam. – Widziałam tylko jedno gniazdko elektryczne, u podstawy ściany. – A ta szmata jest też stąd? – ciągnęłam. – Nie pasuje do niczego. Nie ma tu żadnych farb, żadnych narzędzi. – Rozglądałam się dalej. – I popatrz na podłogę. Podłoga jest jaśniejsza na brzegach, jakby kiedyś był tu dywan. Kto kładzie dywany w warsztacie? Kto ma tapety i zasłony? Gdzie są gniazda sieciowe do podłączenia narzędzi?

– Co czujesz? – spytała.

– Czuję, że jest to pokój w czyimś domu, z którego usunięto meble. Jest tam tylko coś w rodzaju stołu, jedynie przykrytego czymś. Może zasłoną od prysznicą? Nie wiem. Pokój wydaje się mieszkalny.

Sięgnęłam ręką i próbowałam dotknąć przykrycia na stole, jakbym mogła go unieść i odkryć, co jest pod spodem. Gdy tak rozglądałam się dookoła, zauważałam szczegóły, których przedtem nie widziałam, i dziwiłam się dlaczego. Na suficie tuż nad stołem widać było przewody, jakby kiedyś wisiał tu żyrandol czy innego typu lampa.

– A co z moją percepcją kolorów w tej chwili? – spytałam.

– Powinna być taka sama.

– Więc jeszcze coś. Te ściany. – Dotknęłam ich. – Światło jest jaśniejsze w tym kierunku. Jest jakiś otwór. Może otwarte drzwi, przez które

przechodzi światło.

– Na zdjęciu nie ma drzwi – przypomniała mi Lucy. – Możesz zobaczyć tylko to, co jest.

Dziwne, ale przez moment wydawało mi się, że czuję zapach jej krwi, ostrą woń ciała, martwego od wielu dni. Pamiętałam miękką strukturę jej skóry i te dziwne wypryski, które kazały mi podejrzewać półpasiec.

– To nie było przypadkowe – powiedziałam.

– A pozostałe tak.

– Pozostałe były zupełnie inne. Mam podwójne widzenie. Możesz to ustawić?

– Pionowa niewspółmierność obrazu siatkówki. – Poczułam jej rękę na ramieniu. – Zwykle przechodzi po piętnastu lub dwudziestu minutach – powiedziała. – Czas na przerwę.

– Niezbyt dobrze się czuję.

– Niewyrównanie obrazu, zmęczenie wzroku, choroba symulacyjna, jakkolwiek to nazwiesz – powiedziała. – Powoduje nieostre widzenie, łzawienie, nawet mdłości.

Nie mogłam się już doczekać, żeby zdjąć hełm, a jednocześnie byłam znów na stole, twarzą we krwi, nim zdjęłam z oczu wyświetlacze ciekłokrystaliczne. Ręce mi się trzęsły, gdy Lucy pomagała mi zdjąć rękawicę. Usiadłam na podłodze.

– Dobrze się czujesz? – spytała troskliwie.

– To było straszne.

– Więc było dobrze. – Odłożyła hełm i rękawicę na stół. – Byłaś zanurzona w tamto środowisko. Tak miało być.

Podawała mi kilka chusteczek, żebym mogła otrzeć twarz.

– A co z tym drugim zdjęciem? Chcesz to też zrobić? – spytała. – To z rękami i nogami?

– Dostyc już bylam w tym pokoju – odpowiedzialam.

Jechałam do domu jak w transie. Przez większość mego zawodowego życia jeździłam na miejsca zbrodni, ale nigdy jeszcze żadne nie przyszło do mnie. Uczucie przebywania w środku fotografii, wyobrażenie, że potrafię czuć woń pozostałości ciała, wstrząsnęły mną. Była prawie północ, gdy wjechałam do swego garażu. Wpadłam do domu, odłączyłam alarm i zamknęłam starannie drzwi. Rozejrzałam się wokół, sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu.

Rozpaliłam ogień w kominku, zrobiłam sobie drinka i znów zatęskniłam za papierosami. Włączyłam muzykę, żeby mieć towarzystwo, i poszłam do gabinetu sprawdzić, co tam na mnie czeka. Były różne faksy, informacje telefoniczne i inne komunikaty e-mailowe. Tym razem *dokum* miał mi tylko do powtórzenia: myślisz że jesteś taka sprytna. Właśnie to drukowałam i zastanawiałam się, czy Brygada Dziewiętnasta już to widziała, gdy przestraszył mnie dźwięk telefonu.

– Cześć – powiedział Wesley – chciałem się tylko upewnić, czy dobrze dojechałaś.

– Jest następna poczta – powiedziałam i opisałam dokładniej.

– Zapisz to i idź spać.

– Trudno o tym nie myśleć.

– On właśnie chce, żebyś całą noc siedziała i rozmyślała. To jego siła. Jego zabawa.

– Ale dlaczego ja? – Czułam się jakoś niewyraźnie.

– Bo jesteś wyzwaniem, Kay. Nawet dla takich porządnym ludzi jak ja. Idź spać. Porozmawiamy jutro. Kocham cię.

Ale długo jeszcze nie mogłam zasnąć. Kilka minut po czwartej znów zadzwonił telefon. Tym razem był to doktor Hoyt, lekarz rodzinny z

Norfolk, gdzie był również mianowanym koronerem przez ostatnie dwadzieścia lat. Zbliżał się do siedemdziesiątki, ale był sprawny i bystry jak zawsze. Nigdy nie widziałam, żeby histeryzował z jakiegoś powodu, więc przeraził mnie ten telefon.

– Doktor Scarpetta? Przepraszam – mówił bardzo szybko – dzwonię z wyspy Tangier.

Przysły mi do głowy w związku z tym tylko płacuszki krabowe.

– Co tam, na miłość boską, robisz?

Ułożyłam sobie poduszki i sięgnęłam po notes i długopis.

– Wezwano mnie tutaj wczoraj wieczorem, spędziłem tu pół nocy. Musiała mnie przywieźć Straż Przybrzeżna swoją krypą. Nie znoszę takich poharatanych łódek. Poza tym, było zimno jak diabli.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Ostatnio widziałem coś takiego w Teksasie w 1949 – mówił dalej bardzo szybko – kiedy byłem na stażu i miałem się żenić...

Musiałam mu przerwać.

– Trochę wolniej, Fred – powiedziałam. – Powiedz, co się stało.

– Pięćdziesięciodwuletnia kobieta na wyspie Tangier. Chyba nie żyła już od dwudziestu czterech godzin. Leżała we własnej sypialni. Cała jest pokryta wypryskami, nawet na dłoniach i pod stopami. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale wygląda na ospę.

– Masz rację, to szaleństwo – powiedziałam, czując, jak mi wysycha w ustach. – A może to wietrzna ospa? Czy ta kobieta miała z jakichś powodów obniżoną odporność?

– Nic o niej nie wiem, ale nigdy nie widziałem, żeby wietrzna ospa tak wyglądała. Te wypryski są zgodne z opisem ospy, jak mówiłem, są na tym samym etapie rozwoju, a im dalej od środka ciała, tym gęstsze. Zlewają się, na twarzy i na kończynach.

Pomyślałam o korpusie, o miejscach na ciele z wypryskami, które brałam za półpasiec, i zamarłam ze strachu. Nie wiedziałam, gdzie zmarła ofiara, ale prawdopodobnie gdzieś w Wirginii. Wyspa Tangier znajduje się również w Wirginii, w zatoce Chesapeake Bay, a jej gospodarka jest oparta na handlu krabami.

– Teraz są takie różne dziwne wirusy – mówił.

– Tak, masz rację – zgodziłam się. – Ale Hanta, Ebola, HIV i inne nie powodują symptomów, jakie opisałeś. To nie znaczy, że nie ma czegoś, czego jeszcze nie znamy.

– Znam ospę. Jestem na tyle stary, że widziałem ją na własne oczy. Nie jestem jednak ekspertem od chorób zakaźnych, Kay. I na pewno nie wiem tego wszystkiego, co ty. Ale faktem jest, że ta kobieta nie żyje i zabił ją jakiś wirus typu ospy.

– Oczywiście, mieszkała sama?

– Tak.

– A kiedy ją ostatnio widziano żywą?

– Szef policji nad tym pracuje.

– Jaki szef? – spytałam.

– Wydział Policji na Tangierze ma jednego oficera. On jest szefem. Jestem teraz w jego przyczepie i korzystam z jego telefonu.

– Nie słyszy tej rozmowy?

– Nie, nie. Wyszedł porozmawiać z sąsiadami. Staralem się zdobyć jakieś informacje, bez większego powodzenia. Byłaś tu kiedyś?

– Nie, nigdy.

– Wiesz, ludzie tutaj, jak by ci to powiedzieć, nie uprawiają płodozmianu. Na całej wyspie dominują właściwie trzy nazwiska. Ludzie tu się rodzą, umierają, nigdzie nie wyjeżdżają. Mówią takim dialektem, jakiego nigdzie indziej nie usłyszysz. Trudno ich zrozumieć.

– Niech nikt jej nie dotyka, póki nie dowiem się czegoś więcej, z czym mamy do czynienia – powiedziałam, odpinając piżamę.

– Co mam zrobić? – spytał.

– Niech szef policji każe pilnować domu. Niech nikt nie wchodzi do środka ani nawet w pobliże, póki nie dam znać. Jedź do domu. Zadzwoń w ciągu dnia.

Laboratorium nie skończyło jeszcze badań mikrobiologicznych korpusu, ale teraz nie mogłam już czekać. Ubrałam się szybko, ale wszystko wypadło mi z rąk, jakby zupełnie zawiodły mnie wszelkie zdolności motoryczne. Pędziłam do śródmieścia opustoszałymi ulicami i tuż przed piątą byłam na swoim miejscu parkingowym obok prosektorium. Gdy zbliżałam się do wejścia, wystraszyłam strażnika, a on mnie.

– Boże litościwy, doktor Scarpetta! – powiedział Evans, który pilnował budynku od czasów, gdy zaczęłam tu pracować.

– Przepraszam – powiedziałam. Serce łomotało mi ze strachu. – Nie chciałam cię przestraszyć.

– Po prostu robię obchód. Wszystko w porządku?

– Mam nadzieję. – Przeszłam obok niego.

– Czy coś przywożą?

Szedł ze mną aż do rampy. Otworzyłam drzwi, prowadzące do budynku, i spojrzałam na niego.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Teraz już nic nie rozumiał, dlaczego byłam tu o tej godzinie, skoro nikogo nie przywożono. Ze zdziwieniem kręcił głową, gdy szedł w stronę wyjścia z parkingu. Pójdzie stąd do holu budynku laboratoriów, gdzie będzie oglądał telewizję na małym, migoczącym ekraniku, aż przyjdzie pora na kolejny obchód. Evans nie postawi nogi w prosektorium. Nie mógł zrozumieć, jak ktoś może to zrobić, i chyba się mnie bał.

– Nie będę tu długo – powiedziałam. – Potem pójdę na górę.

– Tak jest, pani doktor. Wie pani, gdzie mnie znaleźć.

W połowie drogi w korytarzu znajdowały się drzwi, prowadzące do pokoju, do którego rzadko kto wchodził. Otworzyłam je. Były tam trzy zamrażarki z nierdzewnej stali, wyjątkowo duże, z wyświetlaną cyfrowo temperaturą na drzwiach. Na każdej podany był numer sprawy, oznaczający niezidentyfikowane ciało, znajdujące się w środku.

Otworzyłam drzwi i buchnęła na mnie lodowata mgła. Ubrana w fartuch, rękawice, osłonę na twarz i wszystko, co mieliśmy do ochrony, wysunęłam tacę z opakowanym w torbę korpusem i ułożyłam go na metalowym stole na środku pokoju. Gdy rozpinałam czarny winyl, ogarnął mnie strach na myśl o Wingu i jego braku odporności na chorobę. Odsłoniłam korpus na działanie powietrza i wyszłam, zamykając drzwi na zamek.

Wzięłam skalpel, czyste płytki szklane, z powrotem naciągnęłam maskę na twarz i wróciłam do zamrażarek. Skóra na korpusie robiła się wilgotna, ale żeby trochę przyspieszyć rozmrażanie, położyłam na nią wilgotne, ciepłe ręczniki. Zeskrobałam kilka pęcherzyków, pobrałam próbki i rozsmarowałam na płytkach. Potem zasunęłam z powrotem suwak w worku winylowym, przyczepiłam pomarańczową plakietkę z ostrzeżeniem o zagrożeniu biologicznym i zabrałam się do wsuwania z powrotem tacy na zamrożoną półkę. Ręce mi się trzęsły z wysiłku, ale nie mogłam nikogo, prócz Evansa, zawołać do pomocy. W końcu mi się udało, zamknęłam drzwi i przyczepiłam kolejne ostrzeżenie.

Poszłam na górę, na trzecie piętro i weszłam do laboratorium, które wyglądałoby jak każde inne, gdyby nie przeróżne instrumenty, używane tylko w histologii, czyli badaniu tkanek pod mikroskopem. Na stole znajdował się procesor tkanek, który odwadniał próbki wątroby, nerek, śledziony i nasyczał je parafiną, następnie je w niej zatapiał, a potem

mikrotom ścinał cieniutkie paseczki. Tym zajmowałam się znów ja przy swoim mikroskopie na dole.

Płytki szklane suszyły się na powietrzu, a ja kręciłam się między półkami, szukając tego, co było mi potrzebne. Stały tam buteleczki z niebieskimi, pomarańczowymi, różowymi płynami, spośród których wyciągnęłam jod do barwienia metodą Grama, preparat do wykrywania tłuszczu w wątrobie, azotan srebra, pomarańczową akridynę i myślałam o wyspie Tangier, na której jeszcze nigdy nie miałam żadnego przypadku. Słyszałam zresztą, że nie było tam prawie przestępczości, jedynie pijaństwo, co normalne u mężczyzn, przebywających długo samotnie na morzu. Pomyślałam znów o błękitnym krabie i irracjonalnie zaczęłam żałować, że Bev nie sprzedała mi łososia albo tuńczyka.

Znalazłam zakraplacz do oczu i kapnęłam czerwony płyn Nicolaou na każdą płytkę, przykryłam drugą i zawinęłam jeszcze w kartonik. Gdy schodziłam z tym na swoje piętro, ludzie zaczęli już przychodzić do pracy i przyglądali mi się podejrzliwie, gdy wchodziłam do windy w fartuchu, masce i rękawicach. W moim biurze Rose zbierała z biurka brudne kubki po kawie. Zamarła na mój widok.

– Doktor Scarpetta? Co się dzieje, na miłość boską?

– Nie jestem pewna, ale mam nadzieję, że nic – odpowiedziałam, siadając przy biurku i zdejmując pokrowiec z mikroskopu.

Stała w drzwiach, patrząc, jak umieszczam na nim szkiełko. Czuła z mojego nastroju, że coś jest nie w porządku.

– Co mogę zrobić, żeby pomóc? – spytała cicho i smutno.

Preparat ukazał się w okularze powiększony czterysta pięćdziesiąt razy, i kapnęłam oliwy. Po chwili zobaczyłam cytoplazmiczne ciała Guarinieriego, wskazujące na wirus typu ospy. Przyłączyłam do mikroskopu mikrokamerę Polaroidu i zrobiłam kolorowe zdjęcia o

wysokiej rozdzielczości. Sfotografowałam to, co w tak okrutny sposób zabiło starą kobietę. Śmierć nie dała jej wyboru, ale gdyby to spotkało mnie, wybrałabym strzał albo ostrze.

– Sprawdź w Akademii Medycznej Wirginii, czy Phyllis już dotarła – powiedziała do Rose. – Powiedz jej, że próbka, którą przysłałam w sobotę, nie może czekać.

Po godzinie byłam już tam, na rogu Jedenastej i Marshall Street, dokąd podwiozła mnie Rose. Odbywałam tu staż z medycyny sądowej, kiedy byłam niewiele starsza od studentów, którym teraz doradzałam i dla których prowadziłam przez cały rok wykłady. Sanger Hall utrzymany był w stylu lat sześćdziesiątych, z fasadą z jaskrawoniebieskich kafelków, którą było widać z daleka. Weszłam do windy, pełnej lekarzy, których znałam, i studentów, którzy się ich bali.

– Dzień dobry.

– Cześć. Masz wykład?

Potrząsnęłam głową.

– Muszę pożyczyć wasz mikroskop elektronowy.

– Słyszałaś o autopsji, jaką tu wczoraj mieliśmy? – spytał pulmonolog, gdy otwierały się drzwi. – Przypadek pylicy, a konkretnie pylicy berylowej. Jak często można to spotkać w tych okolicach?

Na piątym piętrze poszłam szybko do Laboratorium Mikroskopii Elektronowej, które miało jedyny w mieście TEM, czyli transmisyjny mikroskop elektronowy. Jak zwykle na wózkach i stołach nie było ani jednego wolnego centymetra, gdyż wszędzie stały przeróżne mikroskopy, sprzęt do analizowania wielkości komórek i preparaty przygotowane do badania rentgenowskiego.

W zasadzie TEM zarezerwowany był dla żyjących, używany najczęściej przy biopsjach nerek i specyficznych guzach, rzadko przy wirusach, a

prawie nigdy do próbek z autopsji. Podczas gdy łóżka szpitalne pełne były pacjentów, czekających na słowa pociechy, które oznaczałyby odwleczenie tragicznego końca, trudno było wzbudzić entuzjazm naukowców i lekarzy dla moich potrzeb, dotyczących umarłych. Dlatego nigdy nie wymagałam od mikrobiologa, doktor Phyllis Crowder, natychmiastowych działań. Wiedziała jednak, że tym razem sprawa jest inna.

Usłyszałam jej brytyjski akcent już z korytarza, gdyż rozmawiała z kimś przez telefon.

– Wiem, rozumiem – mówiła do kogoś, gdy zapukałam w otwarte drzwi.
– Ale musi to pan albo przełożyć, albo radzić sobie beze mnie. Wypadło mi coś pilnego. – Wykonała ręką zapraszający gest, uśmiechając się do mnie.

Znałam ją od czasu stażu i zawsze uważałam, że to między innymi dzięki niej przypomniano sobie o mnie, gdy poszukiwano kandydata na koronera stanu Wirginia. Była mniej więcej w moim wieku, nigdy nie wyszła za męża, zawsze miała krótkie włosy, w tym samym ciemnoszarym kolorze co oczy, i zawsze nosiła ten sam złoty łańcuszek z krzyżykiem, który wyglądał na bardzo stary. Jej rodzice byli Amerykanami, ale ona urodziła się w Anglii, tam się kształciła i zaczynała pracę.

– Cholerne zebrania – westchnęła, odchodząc od telefonu. – Najbardziej tego nie znoszę. Ludzie siedzą i gadają, zamiast coś robić.

Wyjęła z pudełka parę rękawic i wręczyła mi, a następnie podała maskę.

– Na drzwiach wisi zapasowy fartuch laboratoryjny – dodała.

Weszłam za nią do małego, ciemnego pokoiku. Założyłam fartuch i wyciągnęłam sobie krzeselko, podczas gdy ona patrzyła już w zielony fosforyzujący ekran wewnątrz dużej komory. TEM wyglądał raczej jak przyrząd oceanograficzny czy astronomiczny niż normalny mikroskop. Kabina przypominała mi zawsze hełm od kombinezonu nurka, przez który widać tajemnicze, opalizujące morze.

Poprzez gruby, metalowy cylinder, zwany skopem, biegnący od komory do sufitu, na mój preparat wątroby o grubości sześciu czy siedmiu setnych mikrona padał strumień o mocy stu tysięcy woltów. Preparaty, jakie oglądałam moim mikroskopem, były do tego o wiele za grube. Wiedząc o tym, utrwaliałam przesłane tu próbki wątroby i śledziony w środku dezynfekującym, który błyskawicznie penetruje tkankę, i wysłałam je do doktor Crowder. Wiedziałam, że zatopi je w plastiku, a następnie zostaną pocięte na ultramikrotomie, potem nożem diamentowym i potraktowane jonami uranu i ołowiu.

Patrząc teraz na preparaty, powiększone prawie sto tysięcy razy, widziałyśmy coś, czego żadna z nas się nie spodziewała. Phyllis wyregulowała intensywność, kolor i powiększenie. Widziałam cząsteczki wirusa, mające kształt cegły, rozmiar dwustu do dwustu pięćdziesięciu nanometrów. Szeroko rozwartymi oczyma patrzyłam na wirusa ospy.

– Co myślisz? – spytałam z nadzieją, że się mylę.

– Bez wątpienia jest to jakiś wirus typu ospy. Pytanie który. Biorąc pod uwagę fakt, że wysypka nie występowała wzdłuż nerwów, że ospa wietrzna jest prawie niespotykana u kogoś w tym wieku oraz że możesz teraz mieć drugi przypadek z tymi samymi objawami, napawa mnie wielkim niepokojem. Trzeba jeszcze przeprowadzić inne badania, ale potraktowałabym to jako sytuację zagrożenia. – Popatrzyła na mnie. – O zakresie międzynarodowym. Zawiadomiłabym Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom.

– Właśnie to mam zamiar zrobić – powiedziałam, z trudem przełykając ślinę.

– A jak to kojarzysz z rozczłonkowanym ciałem? – spytała, poprawiając coś, gdy zajrzała do komory.

– Nie mogę dopatrzeć się żadnego sensu – powiedziałam, a gdy wstawałam, zrobiło mi się słabo. – Seryjni mordercy tutaj, w Irlandii, gwałty, porąbani ludzie... – Spojrzałam na nią.

Westchnęła.

– Nie żałujesz, że nie zostałam w szpitalu?

– Zabójców, z którymi ty masz do czynienia, trudniej zobaczyć – odpowiedziałam.



Na wyspę Tangier można się dostać drogą wodną lub powietrzną. Ponieważ ruch turystyczny nie był tam zbyt duży, kursowało niewiele promów, i to tylko do połowy października. Później trzeba było jechać samochodem do Crisfield w Marylandzie lub, jak w moim przypadku, osiemdziesiąt pięć mil do Reedville, skąd miała mnie zabrać Straż Przybrzeżna. Wyszłam z biura, gdy większość ludzi zaczynała myśleć o obiedzie. Popołudnie było brzydkie, niebo pochmurne i wiał silny, zimny wiatr.

Zostawiłam instrukcję dla Rose, żeby zadzwoniła do Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom w Atlancie, gdyż ja nie mogłam się dodzwonić. Miała również zawiadomić Wesleya i Marina, dokąd pojechałam, i że zadzwonię, jak tylko będę mogła. Pojechałam Wschodnią 64 do autostrady 360 i wkrótce znalazłam się w prawdziwie wiejskiej okolicy.

Pola brązowiły się od płowej kukurydzy, a jastrzębie zniżyły lot, a potem znów wzbijały się w niebo. Była to kraina, w której kościoły baptystów nosiły takie nazwy, jak Wiara, Zwycięstwo czy Syjon. Domy po drugiej stronie rzeki Rappahannock były rozległymi rezydencjami, których obecne

pokolenia właścicieli nie były w stanie utrzymać. Mijałam dalsze pola, a potem gmach sądu Northumberland, zbudowany przed wojną secesyjną.

W Heathville były cmentarze z plastikowymi kwiatkami, zadbane działki, a w niektórych podwórkach wymalowane kotwice. Skreśliłam w gęstym, sosnowym lesie i dojechałam do drogi, przechodzącej tak blisko pól, że mogłam dotknąć z samochodu brązowych kolb. W porcie Buzzard's Point żaglówki stały przycumowane, a czerwono-biało-niebieski statek wycieczkowy „Chesapeake Breeze” będzie tam czekał aż do wiosny. Nie miałam problemu z parkowaniem, a w budce nie było nikogo, żeby pobierać opłaty.

W doku czekała na mnie biała łódź Straży Przybrzeżnej. Strażnicy ubrani byli w jaskrawopomarańczowe i niebieskie kombinezony. Jeden z nich, starszy, z ciemnymi włosami i oczyma, z dziewięciomilimetrową berettą na biodrze, wyszedł z łodzi na brzeg.

– Doktor Scarpetta? – spytał, a w jego głosie czuło się autorytet.

– Tak.

Miałam kilka bagaży, wśród nich ciężki kuferek z mikroskopem i mikrokamerą.

– Pomogę pani. – Wyciągnął rękę. – Jestem Ron Martinez, dowódca posterunku w Crisfield.

– Dziękuję. Bardzo jestem wdzięczna.

– Hej, my też.

Szpara między nabrzeżem a łodzią robiła się szersza lub węższa, zależnie od przyływu fali. Schwyciwszy się barierki, weszłam na łódź. Martinez zszedł po stromej drabince w dół, a ja za nim do małej ładowni, wypełnionej sprzętem ratunkowym, wężami gumowymi, zwojami lin. Powietrze było ciężkie od oparów ropy. Umieścił mój dobytek w

bezpiecznym miejscu i przywiązał. Potem podał mi kombinezon, kamizelkę ratunkową i rękawice.

– Będzie pani musiała to założyć, na wypadek gdyby pani wpadła. Niezbyt miła perspektywa, ale wszystko się może zdarzyć. Woda nie jest specjalnie ciepła. – Przypatrywał mi się dłużej. – Może chce pani zostać tutaj – dodał, gdy łódź uderzyła o falochron.

– Nie mieszkam choroby morskiej, ale mam klaustrofobię – powiedziałam, siadając na wąskiej ławeczce, żeby zdjąć buty.

– Jak pani woli, ale może być ostro.

Wyszedł na górę, a ja zaczęłam się wbijać w swój nowy strój, stanowiący kombinację Velcro i zamków błyskawicznych, a wypełniony polichlorkiem winylu, żeby mnie zachować przy życiu nieco dłużej, gdyby łódź się wywróciła. Włożyłam z powrotem swoje buty, a potem kamizelkę ratunkową z nożem, gwizdkiem, lusterkiem do sygnalizacji i racami. Wdrapałam się na górę do kabiny sternika. Załoga zarzuciła okrycie na silnik na pokładzie, a Martinez przypiął się do fotela sternika.

– Wiatr wieje z północnego zachodu z prędkością dwudziestu dwóch węzłów – powiedział jeden ze strażników. – Grzebień fali wznoszą się co cztery stopy.

Martinez zaczął odbijać od brzegu.

– Właśnie tak jest z zatoką – powiedział. – Fale są za blisko siebie i nie ma takiego dobrego rytmu jak na morzu. Zdaje pani sobie sprawę z tego, że możemy zostać odwołani w innym kierunku. Nie ma tu innej łodzi patrolowej, więc jak coś pójdzie pod wodę, jesteśmy tylko my.

Powoli mijaliśmy stare domy, wąskie ścieżki i trawniki do gry w kręgle.

– Jak trzeba będzie kogoś ratować, musimy płynąć – ciągnął dalej, podczas gdy załoga sprawdzała instrumenty.

Przepełnęła koło nas łódź rybacka, w której stał starszy człowiek, w kaloszach po biodra, obsługując mały motorek. Patrzył na nas, jakbyśmy byli trucizną.

– Więc może się skończyć na niczym – ostrzegął z wyraźną przyjemnością Martinez.

– Nie byłby to pierwszy raz – powiedziałam, czując jakiś obrzydliwy zapach.

– Tak czy inaczej, jakoś tam panią dostarczymy, tak jak tego pierwszego doktora. Nie zapamiętałam jego nazwiska. Jak długo pani dla niego pracuje?

– Doktor Hoyt i ja znamy się od dawna – powiedziałam uprzejmie.

Przed nami mieściły się przetwórnice ryb, nad którymi unosił się dym, a gdy podpłynęliśmy bliżej, zauważyłam pasy transmisyjne, przenoszące miliony śledziowatych rybek, przetwarzanych następnie na nawozy i olej. Dookoła krążyły mewy, czekając na łakome kąski, obserwując przesuwane się małe, śmierdzące rybki. Minęliśmy kolejną fabryczkę, która była właściwie ruiną kruszących się cegieł, wpadających do potoku. Panował już teraz smród nie do wytrzymania, ale znosiłam to z pełnym stoicyzmem.

– Żarcie dla kotów – powiedział jeden ze strażników, wykrzywiając się.

– A potem się mówi o kocim oddechu.

– W życiu bym nie chciał tu mieszkać.

– Olej rybi jest bardzo cenny. Indianie Algonuin używali *cogies* do nawożenia.

– Co to, do diabła, są *cogies*? – spytał Martinez.

– Tak mówią na te gówniane rybki. Gdzieś ty chodził do szkoły?

– Wszystko jedno, dobrze, że nie muszę tego wachać w pracy. Chyba że jestem tutaj, z takimi szlepsami jak wy.

– Co to, do cholery, są szlepsy?

Przekomarzenia się trwały nadal, gdy Martinez podkręcił silnik, a dziób bardziej się zanurzył. Płynęliśmy z prędkością dwudziestu trzech węzłów i weszliśmy na głębokie, błękitne wody zatoki, na których nie było śladu łodzi turystycznych, tylko na horyzoncie majaczyła ciemna góra liniowca oceanicznego.

– Jak to daleko? – spytałam Martineza, siedzącego na skrawku swego fotela, wdzięczna za kombinezon.

– W sumie osiemnaście mil. – Uniósł głos, ale patrzył wciąż przed siebie, ślizgając się po falach jak na desce. – Zwykle nie zabiera to tyle czasu, ale jest gorsza pogoda. Znacznie gorsza.

Załoga wciąż kontrolowała czujniki głębokości i kierunku, które wykorzystywały informacje, docierające poprzez satelitę. Nie widziałam teraz nic prócz wody, atakującej nas ze wszystkich stron, i fal, których uderzenia brzmiały jak klaskanie w ręce.

– Co mi pan może powiedzieć o miejscu, do którego płyniemy? – krzyczałam prawie.

– Około siedmiuset mieszkańców. Jeszcze dwadzieścia lat temu sami produkowali energię elektryczną. Mają jeden mały pas startowy. Cholera. – Łódź uderzyła z całej siły w zagłębienie między falami. – O mało bym ustawił w pół wiatru, a wtedy nas przewraca w sekundę.

Prowadził dalej łódź w skupieniu, a jego załoga nieporuszona, ale czujna, trzymała się, czego się dało.

– Gospodarka to głównie kraby, błękitne i w miękkich muszlach, rozsyłane po całym kraju – opowiadał dalej Martinez. – Niektórzy bogacze przylatują tu stale własnymi samolotami, żeby kupić kraby.

– W każdym razie mówią, że kupują kraby – zauważył ktoś z załogi.

– Mamy problem z pijaństwem, nielegalną sprzedażą alkoholu, narkotykami – ciągnął Martinez. – Wchodzimy na ich łodzie, kiedy sprawdzamy kamizelki ratunkowe, zakazujemy handlu narkotykami, a oni mówią, że są rewidowani. – Uśmiechnął się do mnie.

– Tak, i że jesteśmy ważna straż – zażartował jeden z nich. – Uwaga, nadchodzi ważna straż.

– Używają języka, jak im się podoba – poinformował Martinez, prześlizgując się po kolejnej fali. – Może mieć pani problem ze zrozumieniem.

– A kiedy kończy się sezon krabowy? – spytałam, bo bardziej interesowało mnie, co Tangierczycy eksportują, niż jak mówią.

– O tej porze roku bagrują, czyli ciągną z dna kraby. Robią to całą zimę, pracując po czternaście, piętnaście godzin na dobę. Czasem nie ma ich w domu cały tydzień.

Po prawej burcie, w pewnej odległości, zamajaczył ciemny kadłub, jak grzbiet wieloryba. Któryś ze strażników zauważył, że mu się przyglądam.

– To statek, który osiadł na mieliźnie – wyjaśnił. – Marynarka używa go do ćwiczeń.

W końcu zaczęliśmy zwalniać, zbliżając się do zachodniego wybrzeża, obłożonego kamieniami, roztrzaskanymi łodziami, zardzewiałymi lodówkami, samochodami i innym rupieciem, żeby zapobiec dalszej erozji wyspy. Łąd był prawie na tym samym poziomie co zatoka, w najwyższych miejscach niewiele ponad metr nad poziomem morza. Domy, wieża kościelna i niebieska wieża ciśnień dumnie sterczały nad horyzontem małej, jałowej wysepki, gdzie ludzie znosili najgorszą pogodę, mając niepewny grunt pod nogami.

Zaczęliśmy powoli przepychać się obok bagien i mielizn. Stare, wyszczerbione pomosty pełne były naczyń na kraby, z cienkiej siatki, z

przyczepionymi kolorowymi pływakami. Sterane w bojach drewniane łódki z zaokrąglonymi burtami były przycumowane, ale nie nieruchome. Martinez włączył syrenę, gdy dopływaliśmy, i jej ostry dźwięk przeszył powietrze. Tangierczycy zwrócili na nas obojętne, surowe twarze ludzi, którzy mają swe własne, prywatne poglądy, nie zawsze przyjazne. Kręcili się wokół swych kryp i sieci, gdy podpłynęliśmy pod pompy paliwowe.

– Tak jak większość tutejszych, szef policji nazywa się Crockett – powiedział Martinez, gdy załoga wiązała cumy. – Davy Crockett. Niech się pani nie śmieje. – Przebiegł wzrokiem po przystani i zerknął na barek, nieczynny zapewne o tej porze roku. – Chodźmy.

Wysłałam za nim z łodzi. Wiejący znad zatoki wiatr był zimny jak w styczniu. Nie uszliśmy daleko, gdy zza rogu wyjechała mała półciężarówka, głośno szorując oponami po żwirze. Zatrzymała się i wysiadł z niej pełen napięcia młody człowiek. Ubrany był w niebieskie dżinsy, ciemną, zimową kurtkę i czapkę z napisem „Policja Tangieru”. Przenosił wzrok z Martineza na mnie i z powrotem. Patrzył, co niosę.

– Okay – powiedział do mnie Martinez. – Zostawiam panią z Davym. – Zwrócił się do niego. – To jest doktor Scarpetta.

Crockett skinął głową.

– Chodźta.

– Tylko pani jedzie.

– Zawieze panią tamoj.

Słyszałam taki dialekt kiedyś, w dzikich jaskiniach górskich, gdzie ludzie są jak nie z tego wieku.

– Będziemy na panią czekać – obiecał mi Martinez, odchodząc do swej łodzi.

Poszłam za Crockettem do jego samochodu. Widać było, że czyści go dokładnie w środku i na zewnątrz co najmniej raz dziennie.

– Rozumiem, że był pan wewnątrz domu – powiedziałam, gdy zapuszczał silnik.

– Nie byłem. Sąsiadka była. A jak mnie zawiadomili, zadzwoniłem do Norfolk.

Zaczął cofać. Z kluczyka od stacyjki zwieszał się cynowy krzyżyk. Spojrzałam przez okienko na małą, białą restauracyjkę, z ręcznie malowanymi napisami i plastikowymi mewami, wiszącymi w oknach. Jakaś ciężarówka z krabami, jadąca z naprzeciwka, musiała się zatrzymać, żeby nas przepuścić. Ludzie jeździli na rowerach bez hamulców ręcznych i przerzutek, ale ulubionym środkiem transportu były chyba skutery.

– Jak nazywała się denatka? – zaczęłam robić notatki.

– Lila Pruitt – odpowiedział, nie zwracając uwagi na to, że drzwi po mojej stronie prawie dotykały czyjś ogrodzenia z łańcucha. – Dziwaczka, nie wiedzieć jak stara. Sprzedawała przepisy turystom. Placuszki krabowe i inne.

Zapisałam to, nie bardzo rozumiejąc, co do mnie mówi, gdy wiózł mnie obok Zespołu Szkół w Tangierze i cmentarza. Drogowskazy powyginane były w różne strony, jakby kiedyś przeżyły sztorm.

– A kiedy ostatni raz widziano ją żywą? – spytałam.

– W Daby była. – Skinął głową. – A, może czerwiec.

Teraz już nic nie rozumiałam.

– Przepraszam – powiedziałam. – Czy ostatnio widziano ją w jakimś miejscu, zwanym Daby, jeszcze w czerwcu?

– Tak-o. – Kiwnął głową, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Co to jest Daby i kto ją tam widział?

– Sklep. Daby i Syn. Mogę panią zawieźć. – Rzucił na mnie okiem, ale ja potrząsnęłam głową. – Kupowałem tam i widziałem ją. W czerwcu

chyba.

Jego dziwne sylaby i kadencje zwijały się i rozwijały, przepływały jedna w drugą jak woda w jego krainie. Mówił panio, jo zamiast panią, ją i byłym, widziałym zamiast byłem, widziałem.

– A co z sąsiadami? Czy ktoś ją widział?

– Nie, od dawna.

– No, to kto ją znalazł?

– Nikt.

Popatrzyłam na niego załamana.

– Tylko pani Bradshaw poszła po przepis, wchodzi i ten smród.

– Czy pani Bradshaw weszła na górę?

– Mówi nie. – Pokręcił głową. – Poszła prosto po mnie.

– A adres denatki?

– Tutaj. – Zaczął zwalniać. – Przy Szkolnej.

Przylegający do kościoła metodystów Swain Memorial biały domek był jednopiętrowy, na podwórku wciąż suszyło się pranie, a na zardzewiałym pręcie siedziała jaskółka. W głębi leżała stara drewniana łódka i rozrzucone siatki na kraby. Wzdłuż płotu rosły zbrązowiałe już hortensje, a na płocie umieszczono dziwne, białe skrzyneczki ze szparami u góry, przyczepione od strony ulicy.

– Co to jest? – spytałam.

– Do sprzedawania przypisów. Ćwierć dolara kaźden. Wrzuca się w skrzynkę. – Pokazał ręką. – Pani Pruitt nie jest taka prosto do ludziów.

W końcu zrozumiałam, że mówił o przepisach, i schwyciłam za klamkę.

– Będę tu czekać – powiedział.

Na jego twarzy malowało się błaganie, żeby nie musiał wchodzić ze mną do tego domu.

– Niech pan tylko trzyma ludzi z daleka. – Wysiadłam z ciężarówki.

– Niechta się nic nie kłopotą.

Rozejrzałam się dookoła po innych małych domkach i przyczepach na piaszczystych podwórkach. Część z nich powstała wśród starych grobów, po których pozostały maleńkie wzniesienia i kamienie nagrobne, wytarte do gładkości, przekrzywione lub zwalone. Weszłam do domu Lili Pruitt po schodkach, z których zobaczyłam jeszcze kilka kamieni nagrobnych wśród jałowców w rogu jej ogródka.

Na drzwiach widoczne były plamy rdzy, sprężyna głośno zaprotestowała, gdy je otworzyłam, wchodząc na ganek. Stała na nim bujana kanapa, obita kwiecistym plastikiem, a obok niej mały plastikowy stoliczek, przy którym pewnie siedziała, huśtając się i popijając mrożoną herbatę, gdy obserwowała turystów, kupujących jej przepisy po dwadzieścia pięć centów. Zastanawiam się, czy ich szpiegowała, żeby sprawdzić, czy zapłacili.

Drzwi przeciwburzowe były otwarte i wisiał na nich odręcznie zrobiony napis: CHOROBA! NIE WCHODZIĆ!! Prawdopodobnie Hoyt uznał, że Tangierczycy nie rozumieją, co oznacza zagrożenie biologiczne, ale cel osiągnął. Weszłam do słabo oświetlonego przedpokoju, w którym wisiał obraz, przedstawiający Jezusa, modlącego się do Ojca, i poczułam przykry odór rozkładającego się ludzkiego ciała.

Wygląd saloniku świadczył, że ktoś niedomagał przez dłuższy czas. Na kanapie leżały porozrzucone poduszki i koce, na stoliczku leżały chusteczki, termometr, słoiczki z aspiryną, maść, brudne filiżanki i talerze. Miała gorączkę, na pewno odczuwała bóle i przyszła tutaj, żeby ułożyć się wygodnie i oglądać telewizję.

W końcu nie miała już sił, żeby wstać z łóżka, i tam ją zastałam, na górze, w pokoju z tapetą w różyczki i fotelem bujanym przy oknie, wychodzącym na ulicę. Długie lustro zakryte było prześcieradłem, jakby

nie mogła już znieść własnego odbicia. Hoyt, lekarz starych zasad, z szacunkiem okrył ciało, nie ruszając niczego więcej. Wiedział, że nie należy tego robić, zwłaszcza że po jego wizycie miała nastąpić moja. Stałam na środku pokoju i przyglądałam się bez pośpiechu. Z powodu straszego odoru powietrze wydawało się czarne, a ściany jakby zamykały się nade mną. Wędrowałam wzrokiem od taniej szczotki i grzebienia na toaletce, poprzez puchate różowe kapcie, stojące pod krzesłem, do zgromadzonych na nim ubrań, których nie miała siły odłożyć ani wyprać. Na nocnym stoliku leżała Biblia w czarnej, skórzanej oprawie, wysuszonej i kruchej, i próbka płynu do twarzy Vita, z serii aromaterapii. Chciała nim pewnie chłodzić rozgorączkowaną twarz. Na podłodze leżały ułożone w stos katalogi sprzedaży wysyłkowej, w których pozaginano rogi, żeby zaznaczyć wybrane towary.

W łazience lustro nad umywalką przysłonięte było ręcznikiem, a inne ręczniki, leżące na linoleum, były brudne i zakrwawione. Skończył jej się papier toaletowy, a pudełko z proszkiem do pieczenia na brzegu wanny wskazywało na to, że próbowała sama znaleźć jakieś lekarstwo, które ulżyłoby jej w chorobie. W apteczce nie znalazłam żadnych lekarstw na recepty. Była tam tylko stara nitka do czyszczenia zębów, czopki na hemoroidy i odkażająca maść pierwszej pomocy. W plastikowym pudełeczku na umywalce leżały jej protezy zębowe.

Była stara i samotna, miała bardzo mało pieniędzy i prawdopodobnie niewiele razy w życiu opuszczała tę wyspę. Podejrzywałam, że nie próbowała szukać pomocy u sąsiadów, ponieważ nie miała telefonu, a obawiała się, że jeśli ją ktoś zobaczy, ucieknie przerażony. Nawet ja nie byłam przygotowana na to, co zobaczyłam, gdy odkryłam prześcieradło.

Była pokryta krostami, szarymi i twardymi jak perły. Bezzębne usta były zapadnięte, a farbowane na rudo włosy kompletnie potargane. Ściągnęłam

przykrycie jeszcze niżej, odpięłam koszulę i zauważyłam, że wypryski występowały znacznie gęściej na kończynach i twarzy niż na tułowi, tak jak powiedział Hoyt. Z powodu swędzenia drapała ręce i nogi i tam, gdzie je zakrwawiła i ponownie zainfekowała, były zeskorupiałe i napuchnięte.

– Boże, dopomóż jej – jęknęłam z rozpacz.

Wyobraziłam ją sobie, obolałą, ze swędzeniami, płonąca od gorączki i przerażoną własnym koszmarnym odbiciem w lustrze.

– Jakie straszne – powiedziałam i przemknęła mi przez myśl moja matka.

Nakłułam krostę, rozsmarowałam na szkiełku, po czym poszłam do kuchni, gdzie rozstawiłam mikroskop. Byłam już właściwie pewna, co znajdę. Nie była to wietrzna ospa. Nie był to półpasiec. Wszystko wskazywało na wyniszczającą, oszpecającą chorobę *Variola major*, potocznie zwaną ospą. Włączyłam mikroskop, ułożyłam płytkę, nastawiłam powiększenie na czterysta razy i wyregulowałam ostrość. Pojawiły się ciałka Guarnieriego. Zrobiłam polaroidem kilka zdjęć czegoś, co nie mogło być prawdziwe.

Odsunęłam krzesło i zaczęłam chodzić po kuchni, a zegar na ścianie głośno wtórował moim krokom.

– Jak tego dostałaś? Jak? – mówiłam do niej głośno.

Wyszłam z domu na ulicę, gdzie parkował Crockett. Nie podeszłam blisko, tylko zawołałam.

– Mamy prawdziwy problem. I nie jestem w stu procentach pewna, co z tym zrobić.



*



Moim pierwszym problemem było znalezienie bezpiecznego telefonu, co okazało się niemożliwe. Nie mogłam zadzwonić z żadnej z miejscowych firm ani tym bardziej od sąsiadów czy z przyczepy szefa policji. Pozostawał tylko mój telefon komórkowy, z którego normalnie bym nie korzystała do takiej rozmowy, ale nie miałam wyboru. O trzeciej piętnaście kobiecy głos odezwał się w telefonie Instytutu Chorób Zakaźnych Armii Stanów Zjednoczonych, zwanego w skrócie USAMRIID, mieszczącego się w Forcie Detrick w Marylandzie.

– Chcę rozmawiać z pułkownikiem Fujitsubo – powiedziałam.

– Niestety, jest na zebraniu.

– To bardzo ważne.

– Proszę pani, będzie pani musiała zadzwonić jutro.

– To niech mnie pani chociaż połączy z jego asystentką, sekretarką...

– Nie słyszała pani, że wszystkich mniej ważnych urzędników federalnych wysłano na urlopy.

– Jezus, Maria! – wykrzyknęłam załamana. – Jestem na wyspie, z trupem, ofiarą choroby zakaźnej, pozostawiona sama sobie. Lada moment może wybuchnąć epidemia. Niech mi pani nie opowiada, że mam czekać, aż się skończą wasze cholerne urlopy.

– Słucham?

Wciąż słyszałam dzwoniące w tle telefony.

– Dzwonię z telefonu komórkowego. Lada chwila może mi wyciąść bateria. Na miłość boską, niech pani przerwie to zebranie! Niech mnie pani

z nim połączy! Natychmiast!

Fujitsubo znajdował się w Russell Building, na Kapitolu, dokąd przełączono moją rozmowę. Wiedziałam, że jest u jakiegoś senatora, ale nie zwracałam na to uwagi, tylko szybko wyjaśniłam sytuację, starając się opanować panikę.

– To niemożliwe – powiedział. – Jesteś pewna, że to nie wietrzna ospa, odra...

– Nie. Ale niezależnie od tego, co to jest, należy to opanować, John. Nie mogę tego posłać do mojego prosektorium.

USAMRIID był największą w Stanach jednostką badawczą od ochrony biologicznej, mającą strzec obywateli przed ewentualną wojną biologiczną. A co ważniejsze, miał największe i najlepsze laboratorium zakaźne.

– Jeżeli to nie jest terroryzm, nic nie mogę zrobić – powiedział mi Fujitsubo. – Zagrożenia epidemią należą do CDC. Chyba z nimi powinnaś porozmawiać.

– I na pewno tak w końcu zrobię – odpowiedziałam. – I na pewno większość z nich też będzie na urlopach, z którego to powodu nie mogłam się z tobą połączyć. Ale oni są w Atlancie, a ty tutaj blisko, w Marylandzie. To ciało należy wywieźć stąd jak najszybciej.

Milczał.

– Bardzo chciałabym się mylić – ciągnęłam, oblana zimnym potem. – Ale jeśli nie, a nie podejmiemy odpowiednich środków ostrożności...

– Dobra, rozumiem – powiedział szybko. – Cholera, jesteśmy w szczątkowym składzie. Daj nam kilka godzin. Zadzwoń do CDC. Zmontujemy jakąś ekipę. Kiedy byłaś ostatni raz szczepiona przeciwko ospie?

– Nie pamiętam, musiałam być bardzo mała.

– Przyjeżdżasz tu razem z ciałem.

– Oczywiście, ona jest moim przypadkiem. – Wiedziałam, o co mu chodzi. Będą chcieli zatrzymać mnie na kwarantannie. – Zabierzmy ją najpierw z tej wyspy, a o resztę będziemy się martwić potem – dodałam.

– Gdzie będziesz?

– Jej dom jest w centrum miasta, niedaleko szkoły.

– Boże, to niedobrze. Czy masz jakieś pojęcie, ile osób mogło być narażonych?

– Zielonego. Posłuchaj, jest tu w pobliżu strumyk. Szukaj jego i szukaj kościoła metodystów. Ma wysoką wieżę. Na mapie jest jeszcze jeden kościół, ale nie ma wieży. Jest tam lądowisko, ale im bliżej domu wylądujesz, tym lepiej, żeby ludzie nie widzieli, jak ją będziemy wynosić.

– Dobra, jasne, że za cholere nie chcemy tu paniki. – Przerwał i mówił łagodniej. – Dobrze się czujesz?

– Mam taką nadzieję. – Czułam, że łzawią mi oczy i trzęsą się ręce.

– Uspokój się teraz, rozluźnij i przestań się martwić. Zajmiemy się tobą – usłyszałam jeszcze i mój telefon się wyłączył.

Zawsze istniała teoretycznie taka możliwość, że po wszystkich morderstwach i szaleństwach, jakie widziałam w swej karierze, w końcu po cichu złapie mnie jakaś choroba, od której umrę. Nigdy nie wiedziałam, na co się narażam, otwierając ciała, wdychając, babrając się we krwi. Staralam się uważać na zacięcia i igły, ale były sprawy bardziej zdradliwe niż żółtaczka i HIV. Ciągłe odkrywano nowe wirusy i często się zastanawiałam, czy pewnego dnia wygrają wojnę z nami.

Przez jakiś czas siedziałam w kuchni, nasłuchując tykania zegara, a światło za oknem zmieniało się z upływem dnia. Byłam już bliska ataku hysterii, gdy doszedł mnie z zewnątrz głos Crocketta.

– Psze pani, psze pani?

Gdy podeszłam do ganku i wyjrzałam, zobaczyłam na najwyższym schodku małą, papierową torebkę i napój ze słomką. Zabrałam je na górę, a Crockett wrócił do swego samochodu. Przyniósł mi kolację, co nie było może zbyt przezorne, ale sympatyczne. Pomachałam mu, jakby był aniołem stróżem, i poczułam się lepiej. Huśtałam się na bujanej kanapie i popijałam słodzoną mrożoną herbatę z „Zakątka Rybaka”. Kanapka z białego chleba była ze smażoną flądrami i małżami i dawno nie jadłam czegoś tak dobrego i świeżego. Kołysałam się i popijałam herbatę, patrzyłam na słońce, jak lśniąca czerwona kula, zachodzące nad wieżą kościelną, i latające nad moją głową gęsi, które wyglądały jak czarne litery V. Gdy w oknach domów zapaliły się światła, Crockett włączył reflektory. Zobaczyłam, że dwie dziewczyny przejechały szybko na rowerach, patrząc w moją stronę. Byłam pewna, że wiedzą. Cała wyspa wiedziała. Na pewno szybko rozeszła się wiadomość o lekarzach, których przywiozła Straż Przybrzeżna z powodu tego, co znaleziono na łóżku pani Pruitt.

Weszłam do środka, nałożyłam nowe rękawice, maskę na nos i usta i wróciłam do kuchni, żeby zobaczyć, czy nie znajdę czegoś w śmieciach. Plastikowy kubek na śmiecie wyłożony był papierową torbą i wepchnięty pod zmywak. Usiadłam na podłodze, oglądając dokładnie śmiecie, żeby się zorientować, jak długo Lila Pruitt była chora. Widać było, że dawno ich nie wyrzucała. Puste puszki i opakowania po mrożonkach były suche i zeskorupiałe, obierki z marchwi i rzepy były poskręcane i twarde.

Przeszłam dokładnie wszystkie pomieszczenia, sprawdziłam każdy kosz od śmieci. Najsmutniejszy był w saloniku. Były w nim ręcznie pisane na kawałkach papieru przepisy na Łatwą flądrami, Placuszki krabowe, Gulasz z małżami Lili. Zrobiła jakieś błędy, poprawiała, kreśliła, i chyba dlatego wyrzuciła kartki do kosza. Na dnie kosza leżała tekturowa tuba, w której przesłano jej pocztą jakąś bezpłatną próbkę.

Wyjęłam z torby latarkę, wyszłam z domu i stanęłam na schodach, czekając na Crocketta, żeby wyszedł z samochodu.

– Niedługo będzie tu spore zamieszanie – uprzedziłam.

Popatrzył na mnie, jakbym zwariowała. Zobaczyłam twarze ludzi, wyglądających przez oświetlone okna. Zeszłam ze schodków i podeszłam do płotu na skraju działki, żeby świecąc latarką, zajrzeć do schowków, w których pani Pruitt sprzedawała swe przepisy. Crockett cofnął się.

– Staram się zorientować, jak długo chorowała – wyjaśniłam.

W przegródkach było wiele przepisów, a w drewnianej skarbonce tylko trzy ćwierćdolarówki.

– Kiedy był tu ostatni prom z turystami? – poświeciłam w kolejną przegródkę, znajdując co najmniej pięć przepisów na Miękkie kraby Lili.

– Nic nie przyjeżdżali parę tygodni – powiedział.

– Czy sąsiedzi kupowali jej przepisy?

Zrobił zdziwioną minę, jakbym zadała dziwne pytanie.

– Mają swoje.

Ludzie powychodzili na ganki, a potem na podwórka, żeby obejrzyć tę zwariowaną kobietę w stroju chirurga, z zakrytymi włosami, w rękawicach, z latarką zaglądającą do skrytek ich sąsiadki i rozmawiającą z szefem policji.

– Wkrótce będzie tu duże zamieszanie – powtórzyłam. – Wojsko za chwilę przyśle ekipę medyczną i trzeba, aby pan utrzymał spokój i dopilnował, żeby ludzie nie wychodzili z domów. Chcę, żeby pan zawiadomił Straż Przybrzeżną, że będzie pan potrzebował ich pomocy, dobra?

Davy Crockett ruszył z piskiem opon.

Wylądowali z hałasem w jasną księżycową noc, około dziewiątej. Wojskowy blackhawk zadudnił nad kościołem metodystów, a jego śmigła poruszyły gałęzie pobliskich drzew. Silny reflektor oświetlał ziemię w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do lądowania. W końcu usiadł jak ptak na ziemi na sąsiednim podwórku, a setki zdumionych Tangierczyków zdążyły wylec na ulice.

Patrzyłam z ganku, jak medyczna ekipa ewakuacyjna wychodzi z helikoptera, a dzieci, chowając się za rodziców, przypatrują się z ciekawością. Pięciu specjalistów, w nadmuchiwanym pomarańczowym kombinezonach i hełmach, z pojemnikami z powietrzem na plecach, wyglądało jak nie z tej planety. Szli drogą, niosąc nosze, owinięte plastikową kapsułą.

– Dzięki Bogu, że jesteście – powitałam ich z ulgą.

Nie przedstawili się, tylko jedyna kobieta z ekipy wręczyła mi złożony pomarańczowy kombinezon.

– Już pewnie za późno – powiedziałam.

– Nie zaszkodzi. – Spojrzała na mnie i zobaczyłam, że jest niewiele starsza od Lucy. – Dalej, niech pani wkłada.

Usiadłam na huśtawce i zaczęłam go wciągać na buty i ubranie. Hełm był przezroczysty, z karczkiem, na którym znajdowały się zapięcia. Włączyłam dopływ powietrza, znajdujący się przy pasie.

– Jest na górze – powiedziałam poprzez szum powietrza, dochodzący teraz do moich uszu.

Szłam pierwsza, a oni za mną, z noszami. Kiedy zobaczyli, co znajduje się na łóżku, na moment kompletnie zamilkli.

– Jezu – powiedział jeden z młodych naukowców. – W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Nagle zaczęli mówić bardzo szybko.

– Zawiń ją w prześcieradło.

– Teraz w worek i zakleić.

– Wszystko z łóżka, pościel, do autoklawu.

– Cholera. Co robimy? Spalić ten dom?

Poszłam do łazienki zebrać z podłogi ręczniki, podczas gdy oni dźwigali opakowane ciało. Było śliskie i niewygodne do przeniesienia z łóżka na przenośną izolatkę, skonstruowaną z myślą o żywych. Zalepili plastikowe klapy, ale widok worka z ciałem w czymś, co wyglądało jak namiot tlenowy, był nawet dla mnie wstrząsający. Unieśli nosze z obu końców i zeszliśmy po schodach na ulicę.

– A co będzie, kiedy odjedziemy? – spytałam.

– Troje z nas zostanie. Jutro przyleci następny śmigłowiec.

Podszedł do nas jeszcze jeden członek ekipy, w kombinezonie z metalowym kanistrem, podobnym do gaśnicy. Spryskał nas i nosze płynem odkażającym, na oczach zbierających się ciekawskich. Straż Przybrzeżna zebrała się przy samochodzie Crocketta, który rozmawiał z Martinezem. Podeszłam, żeby z nimi porozmawiać, ale widocznie przestraszyli się mojego stroju, bo się cofnęli.

– Dom trzeba opieczętować – powiedziałam do Crocketta. – Póki nie będziemy wiedzieli na pewno, z czym mamy do czynienia, nikomu nie wolno wchodzić ani nawet podchodzić blisko. – Trzymał ręce w kieszeniach i często mrugał. – Należy mnie natychmiast zawiadomić, jeżeli ktokolwiek tutaj zachoruje.

– W te porę roku słabują – powiedział. – Od zarazków i od przeziębienia.

– Jeżeli ktoś będzie miał gorączkę, bóle pleców, wysypkę, natychmiast niech pan dzwoni do mnie albo do mojego biura. Ci ludzie są tu po to, żeby wam pomóc – wskazałam na ekipę.

Widać było po jego twarzy, że nie chce, aby ktokolwiek pozostawał na wyspie.

– Proszę mnie zrozumieć – powiedziałam. – To jest bardzo, bardzo ważne.

Skinął głową, a nagle obok niego wychynął z ciemności mały chłopiec i schwycił go za rękę. Wyglądał najwyżej na siedem lat, miał niesforne blond włosy i jasne oczy, wpatrzone we mnie, jakbym była najbardziej przeraźliwym zjawiskiem, jakie w życiu napotkał.

– Tatusiu, ludzie z nieba – wskazał na mnie.

– Darryl, idź se – powiedział Crockett do syna. – Idź do domu.

Poszłam w kierunku dudniących śmigieł helikoptera. Wirujące powietrze chłodziło mi twarz, ale poza tym czułam się fatalnie, bo kombinezon utrudniał oddychanie. Głośny wiatr kołysał zielskami i sosnami, gdy przechodziłam za kościołem do śmigłowca.

Drzwi były otwarte i wewnątrz oświetlone. Ekipa przywiązywała nasze tak, jak to robi się w przypadku żywego pacjenta. Weszłam do środka, zajęłam miejsce dla załogi i przypięłam się pasem. Zamknięto drzwi i helikopter wzniósł się w niebo. Bez słuchawek nie było nic słychać, a te z kolei nie działały dobrze przez hełmy.

Z początku nie mogłam zrozumieć. Zostaliśmy odkażeni, a mimo to ekipa nie chciała zdjąć kombinezonów. Nagle pojęłam. Przecież ja zajmowałam się ciałem Lili Pruitt i anonimowym korpusem. Nikt nie chciał wdychać mojego powietrza, jeśli nie przechodziło ono przez niezwykle dokładny filtr powietrzny, HEPA. Więc rozglądaliśmy się dookoła, przyglądali sobie i pacjentce. W końcu przymknęłam oczy, gdy zdążaliśmy

w kierunku Marylandu. Myślałam o Wesleyu, Lucy i Marinie. Nie mieli pojęcia, co się dzieje, i na pewno bardzo się martwili. Zastanawiałam się, kiedy ich znowu zobaczę i w jakim będę wtedy stanie. Nogi mi się uginały, stopy piekły i w ogóle źle się czułam. Bałam się i czekałam na pierwsze objawy: dreszcze, ból, pragnienie z gorączki, niewyraźne widzenie. Byłam szczepiona przeciwko ospie jako dziecko, ale Lila Pruitt też. Również kobieta, której tułów znajduje się wciąż w zamrażarce. Widziałam ich blizny po szczepieniu, rozciągnięte do rozmiaru ćwierćdolarówki.

Była zaledwie jedenasta, gdy wylądowaliśmy gdzieś, gdzie niczego nie rozpoznawałam. Spałam na tyle długo, żeby się oddalić od rzeczywistości, i powrót był nagły i głośny. Drzwi się rozsunęły i zobaczyłam błyskające białe i niebieskie światła na lądowisku po drugiej stronie ulicy, na której stał duży, kanciasty budynek. Jak na tak późną porę, wiele okien było oświetlonych, jakby ludzie czekali na nasz przylot. Członkowie ekipy szybko odpięli nosze i wnieśli do samochodu dostawczego, a jedyna kobieta prowadziła mnie dokądś, położywszy mi rękę na ramieniu.

Nie zauważyłam, dokąd zawieziono nosze, ale ja zostałam zaprowadzona na drugą stronę drogi, do rampy od północnej strony budynku. Stamtąd poszłyśmy korytarzem, a następnie zostałam wprowadzona pod natrysk i puszczono na mnie ostrym strumieniem środek odkażający envirochem. Rozebrałam się i znowu zostałam oblana gorącą wodą z mydlinami. Wytarłam włosy ręcznikiem i zgodnie z instrukcją zostawiłam na podłodze wszystkie swoje rzeczy. Na półce znalazłam różne płaszcze kąpielowe i kapcie.

W holu czekała na mnie pielęgniarka, która poprowadziła mnie szybko korytarzem, mijaliśmy gabinet lekarski, ściany autoklawów, które przypominały stalowe dzwony nurków. Towarzyszył nam odór poparzonych zwierząt laboratoryjnych. Miałam przebywać na Oddziale

200. Czerwona linia już wewnątrz pokoju ostrzegała izolowanych pacjentów, aby jej nie przekraczali. Rozejrzałam się po małym pokoju, z wąskim, szpitalnym łóżkiem i wilgotnym kocem ogrzewającym, wentylatorem, lodówką i małym telewizorem, zawieszonym w rogu. Żółte przewody wentylacyjne przyczepione były do rur na ścianach. W drzwiach umieszczono stalowe pudełko, które służyło do przekazywania posiłków na tacach, które następnie były naświetlane promieniami ultrafioletowymi. Usiadłam na łóżku, samotna i załamana. Wcale nie miałam ochoty zastanawiać się, co może mnie czekać. Mijały minuty. Drzwi zewnętrzne zamknęły się głośno, a moje szeroko otworzyły.

– Witaj w pudle! – oznajmił wchodząc pułkownik Fujitsubo.

Ubrany był w hełm i ciężki winylowy kombinezon, który podłączył do jednego z przewodów powietrznych.

– John – powiedziałam. – Nie jestem na to przygotowana.

– Bądź rozsądna, Kay.

Jego twarz wydała mi się surowa, a nawet groźna przez szybkę hełmu i poczułam się samotna i bezbronna.

– Muszę ludziom dać znać, gdzie jestem – powiedziałam.

Podszedł do mojego łóżka i rozpakował papierowy pakiecik z małą fiolką i zakraplaczem, które trzymał przez rękawiczkę.

– Pokaż ramię. Czas na ponowne szczepienie. I potraktujemy cię jeszcze na wszelki wypadek immunoglobuliną ospy krowiej.

– Mój szczęśliwy dzień.

Potał moje ramię watką ze spirytusem, a następnie naciął w dwóch miejscach i wpuścił serum.

– Miejmy nadzieję, że to nie jest konieczne – dodał.

– Nikt nie ma większej ode mnie.

– Dobra wiadomość jest taka, że powinnaś mieć piękny odczyn z takim wysokim poziomem przeciwciał. Szczepienie w dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin po narażeniu zwykle tak działa.

Nie odpowiedziałam. Wiedział równie dobrze jak ja, że może już być za późno.

– Sekcję przeprowadzimy jutro o dziewiątej zero zero, a ciebie przetrzymamy jeszcze kilka dni dłużej, dla pewności – powiedział, wrzucając opakowania do śmieci. – Masz jakieś objawy?

– Boli mnie głowa i jestem słabowita.

Uśmiechnął się, patrząc na mnie. Fujitsubo był wybitnym lekarzem, który przeszedł wszystkie stopnie w Instytucie Patologii Sił Zbrojnych, nim został szefem USAMRIID. Był rozwiedziony i kilka lat starszy ode mnie. Zdjął z łóżka złożony w nogach koc, rozłożył i zarzucił mi na ramiona. Przesunął krzeselko i usiadł na nim okrakiem, kładąc ręce na oparciu.

– John, byłam wystawiona na zarażenie prawie dwa tygodnie temu – powiedziałam.

– Przez tę sprawę z zabójstwem.

– Powinnam już to dostać.

– Cokolwiek to jest. Ostatni przypadek ospy zdarzył się w październiku 1977 roku w Somalii, Kay. Od tego czasu została zniesiona z powierzchni ziemi.

– Wiem, co widziałam pod mikroskopem elektronicznym. To mogło nastąpić poprzez specjalne narażenie.

– Chciałaś powiedzieć, świadome?

– Nie wiem. – Trudno mi było utrzymać szczególną ostrożność. – Ale czy nie uważasz to za dziwne, że pierwsza zarażona osoba została też zamordowana?

– Wszystko to jest dziwne. – Wstał. – Ale poza zaoferowaniem bezpiecznego biologicznie zamknięcia ciała oraz ciebie, niewiele możemy zrobić.

– Oczywiście, że możecie. Nie ma niczego, czego nie możecie zrobić. – Nie miałam ochoty wysłuchiwać opowieści o jego konfliktach kompetencyjnych.

– W tej chwili jest to sprawa zdrowia publicznego, nie wojska. Nie mogę im tego nagle wyrwać. W najgorszym przypadku mamy do czynienia z wybuchem jakiejś choroby, a oni są w takiej sytuacji najlepsi.

– Wyspa Tangier powinna być poddana kwarantannie.

– Porozmawiamy o tym po sekcji.

– Którą mam zamiar przeprowadzić – dodałam.

– Zobaczmy, jak się będziesz czuła – powiedział, gdy w drzwiach pojawiła się jakaś pielęgniarka.

Porozmawiał z nią chwilę, wychodząc, a po chwili ona pojawiła się znowu, ubrana w inny niebieski garniturek. Była młoda i irytująco radosna. Wyjaśniła, że na stałe pracuje gdzie indziej, a tu pomaga tylko, gdy mają pacjentów specjalnie izolowanych, co na szczęście zdarza się rzadko.

– Ostatnio to było wtedy, kiedy dwaj pracownicy laboratorium mieli kontakt z częściowo rozmrożoną krwią myszy polnej, zakażonej wirusem Hanta – opowiadała. – Te choroby od zakażenia krwią są straszne. Byli tu chyba piętnaście dni. Doktor Fujitsubo mówi, że pani chce telefon. – Ułożyła na łóżku przezroczysty szlafroczek. – Później go dla pani zdobędę. Tutaj jest advil i woda do popicia. – Ustawiła to na stoliku przy łóżku. – Czy jest pani głodna?

– Zjadłabym jakieś krakersy i ser, coś w tym rodzaju.

Bolał mnie żołądek i było mi niedobrze.

– A jak się pani czuje, poza bólem głowy?

– Dobrze, dziękuję.

– No, to miejmy nadzieję, że się to nie zmieni. Może pani sobie pójdzie do łazienki, opróżni pęcherz, odświeży się, a później wróci do łóżka pod kołdrę. Tu jest telewizor – pokazała, mówiąc do mnie tak, jakbym była w pierwszej klasie.

– A co z moimi wszystkimi rzeczami?

– Wysterylizują je, niech się pani nie martwi. – Uśmiechnęła się do mnie.

Nie mogłam się rozgrzać, więc weszłam znów pod prysznic. Nic nie mogło spłukać tego paskudnego dnia i wciąż widziałam zapadnięte usta, na wpół otwarte, niewidzące oczy, rękę sztywno zwieszoną z cuchnącego łoża śmierci. Kiedy wyszłam z łazienki, na stoliku stał talerz z serem i krakersami, telewizor był włączony, ale ani śladu telefonu.

– Do diabła – mruknęłam, włączając z powrotem do łóżka.

Następnego ranka śniadanie dostarczono mi przez puszkę w drzwiach. Ustawiłam sobie tacę na kolanach i oglądałam program „Dzisiaj”, czego normalnie nigdy nie robiłam. Martha Stewart ubijała coś do bezów, a ja zabrałam się do jajka na miękko, które nie było całkiem ciepłe. Nie mogłam jeść i nie wiedziałam, czy plecy bolą mnie od zmęczenia, czy z innego powodu, o którym wolałam nie myśleć.

– Jak się mamy? – Pojawiła się pielęgniarka, w kasku z filtrem powietrza do oddychania.

– Nie jest pani w tym gorąco? – pokazałam widelcem.

– Chybaby było, gdybym była w tym dłużej. – Przyniosła termometr cyfrowy. – Dobrze, to potrwa tylko minutę.

Włożyła mi go do ust, a ja gapiłam się w telewizor. Rozmawiano z jakimś lekarzem na temat tegorocznej szczepionki na gripę, więc przymknęłam oczy, dopóki nie usłyszałam piśnięcia, że już koniec.

– Trzydzieści sześć jeden. Temperaturę ma pani trochę za niską. Normalna jest trzydzieści sześć i sześć.

Owinęła mi wokół ręki mankiet do mierzenia ciśnienia.

– A teraz ciśnienie krwi. – Ścisnęła pompkę i zaczęła energicznie pompować. – Sto osiem na siedemdziesiąt. Już pani chyba umiera.

– Dziękuję – mruknęłam. – Potrzebuję telefonu. Nikt nie wie, gdzie jestem.

– Potrzebuje pani dużo odpoczynku. – Wyjęła stetoskop. – Głęboko oddychać. – Słuchała z poważną miną, a ja czułam zimno wszędzie, gdzie mnie dotykała. – Jeszcze raz. – Teraz osłuchiwała plecy.

– Czy może pani poprosić pułkownika Fujitsubo, żeby do mnie wpadł.

– Na pewno zostawię mu wiadomość. Teraz proszę się przykryć. – Podciągnęła mi koc aż pod brodę. – Przyniosę pani trochę wody. Jak tam ból głowy?

– Dobrze – skłamałam. – Musi go pani poprosić, żeby wstąpił.

– Na pewno przyjdzie, jak będzie mógł. Wiem, że jest bardzo zajęty.

Jej protekcyjny ton zaczynał mi już działać na nerwy.

– Przepraszam bardzo – powiedziałam wyniośle. – Prosiłam o telefon już kilka razy i zaczynam się czuć jak w więzieniu.

– Wie pani, jak nazywają to miejsce – szczebiotała. – I zwykle pacjenci nie dostają...

– Nic mnie nie obchodzi, co zwykle dostają – popatrzyłam na nią groźnie, a ona zmieniła sposób bycia.

– Proszę się natychmiast uspokoić. – Oczy jej błyszczały poprzez plastikową szybkę i mówiła podniesionym głosem.

– Ale z niej okropna pacjentka. Z lekarzami zawsze tak – odezwał się pułkownik Fujitsubo, wchodząc do pokoju.

Pielęgniarka patrzyła na niego zdumiona. Potem jej pełen zwątpienia wzrok zwrócił się na mnie.

– Telefon nadchodzi – ciągnął, kładąc w nogach mojego łóżka świeży pomarańczowy kombinezon. – Beth, chyba przedstawiono cię doktor Scarpette, głównemu koronerowi Wirginii i konsultantowi medycyny sądowej w FBI? – Zwrócił się do mnie. – Włóż to. Przyjdę po ciebie za dwie minuty.

Pielęgniarka skrzywiła się, biorąc moją tacę. Odchrząknęła zawstydzona.

– Nie bardzo sobie pani poradziła z tymi jankami – powiedziała. Ustawiła tacę w metalowej szufladzie w drzwiach. Wkładałam kombinezon. – Normalnie, jak się tu jest, to nie wypuszczają na zewnątrz. – Zamknęła szufladę.

– To nie jest normalnie. – Zapięłam sobie hełm i włączyłam dopływ powietrza. – Ten przypadek dziś rano robię ja.

Widziałam, że jest jedną z tych pielęgniarek, które nie znoszą lekarzy kobiet i wolą, żeby mężczyzna im mówił, co mają robić. Może sama chciała być lekarzem, ale powiedziano jej, że dziewczynki, jak dorosną, zostają pielęgniarkami i wychodzą za mąż za lekarzy. Tak przypuszczałam. Ale pamiętam, kiedy studiowałam medycynę w John Hopkins, pewnego dnia złapała mnie za ramię przełożona pielęgniarek i ryknęła na mnie, że jej syn się nie dostał, bo zajęłam jego miejsce.

Fujitsubo wszedł z powrotem do pokoju i uśmiechając się do mnie, podał mi telefon, który włączył do gniazdka.

– Masz czas na jeden – podniósł palec wskazujący. – Później musimy się zwijać.

Zadzwoiłam do Marina.



Laboratorium na poziomie 4, zwane BL-4, mieściło się na tyłach normalnego laboratorium, ale różnica między nimi była poważna. W BL-4 naukowcy prowadzili otwartą wojnę z wirusami Ebola i Hanta i innych nieznanymi chorobami, na które nie było lekarstwa. Powietrze tutaj przechodziło tylko w jednym kierunku, a ciśnienie było ujemne, żeby mikroorganizmy o dużej sile infekcyjności nie przepływały do innych części budynku. Przechodziło przez filtry HEPA, nim dostawało się do naszych ciał lub do atmosfery i wszystko było wyparzone parą w autoklawach.

Choć sekcje odbywały się tu rzadko, kiedy je przeprowadzano, działo się to w zamkniętej komorze, bez dopływu powietrza, za dwiema parami solidnych drzwi z nierdzewnej stali, z zabezpieczeniami jak w łodzi podwodnej. Aby się do niej dostać, musieliśmy iść inną drogą, przez labirynt szatni i natrysków, z kolorowymi światełkami, oznaczającymi, dokąd panowie, a dokąd panie. Zobaczyłam, że panowie idą do zielonego, więc weszłam do czerwonego i wszystko z siebie zdjęłam. Włożyłam świeże tenisówki i kitelek. Stalowe drzwi otworzyły się i zamknęły za mną automatycznie, gdy przeszłam do kolejnego, gorącego pomieszczenia, w którym wisiały na hakach w ścianie niebieskie winylowe kombinezony z wbudowanymi stopami i spiczastymi kapturami. Usiadłam na ławce, wciągnęłam kombinezon, zasunęłam zamki błyskawiczne i zapięłam klapy jakimś przyklepcem, na nogi włożyłam gumowe buty, na ręce kilkuwarstwowe rękawice, a ostatnia warstwa przyklejana była do mankietów. Już mi się zrobiło gorąco, kiedy zasunęły się za mną drzwi, a kolejne, z jeszcze grubszej stali, odsunęły się, żeby mnie wpuścić do najbardziej klaustrofobicznej sali sekcyjnej, jaką widziałam w życiu.

Chwyciłam żółty przewód i włączyłam do instalacji na biodrze. Poczułam przepływ powietrza, którego dźwięk przypominał pompowanie

materaca. Fujitsubo wraz z drugim lekarzem naklejali nalepki na fiolki i obmywali ciało. Przy jej nagości choroba była jeszcze wyraźniejsza. Przez dłuższy czas pracowaliśmy w milczeniu, bo nie przynieśliśmy sprzętu do porozumiewania się. Jedynym sposobem było wyłączenie na chwilę naszych przewodów doprowadzających powietrze, żeby usłyszeć, co ktoś mówi.

Robiliśmy tak czasem, podczas gdy ja kroiałam, ważyłam i zapisywałam istotne informacje do protokołu. Cierpiała na typowe zmiany zwyrodnieniowe w aorcie, serce miała powiększone, a jej przekrwione płuca wskazywały na wczesne stadium zapalenia. Miała wrzody w ustach i zmiany w przewodzie pokarmowym. Najbardziej tragiczna historia jej śmierci była zapisana w mózgu. Miała zanik kory, rozszerzenie rowków mózgowych i utratę miąższu, wskazujące na chorobę Alzheimera.

Mogłam sobie tylko wyobrazić jej roztrzęsienie, kiedy zachorowała. Prawdopodobnie nie pamiętała, gdzie jest albo kim jest, mogła uważać, że jakieś potwory przychodzą do niej przez lustra. Gruczoły limfatyczne były opuchnięte, śledziona i wątroba zmętniały i opuchnięte z powodu martwicy ogniskowej, zmiany typowe dla ospy.

Wyglądało to na śmierć naturalną i po dwóch godzinach skończyliśmy pracę. Wyszłam tą samą drogą, którą weszłam, rozpoczynając od gorącego pokoju, w którym wzięłam pięciominutowy natrysk w chemikaliach, ubrana w kombinezon, szorując się starannie metalową szczotką. Następnie przeszłam do pokoju zewnętrznego, gdzie zdjęłam kombinezon i powiesiłam go, żeby wysychał, a sama wykąpałam się i umyłam włosy. Włożyłam sterylny pomarańczowy garniturek i wróciłam do mojego więzienia.

Gdy weszłam do swojego pokoju, była w nim pielęgniarka.

– Jest tu Janet i pisze do pani karteczkę.

– Janet? – Byłam zdumiona. – A Lucy jest z nią?

– Poda ją przez szufladę w drzwiach. Wiem tylko, że jest tam młoda kobieta imieniem Janet i że jest sama.

– Gdzie jest? Muszę się z nią zobaczyć.

– Wie pani, że w tej chwili nie jest to możliwe. – Znowu mierzyła mi ciśnienie.

– Nawet więźniowie mają miejsce dla odwiedzających. Nie ma tu żadnego pomieszczenia, gdzie mogłabym z nią porozmawiać przez szybę? Albo czy nie może włożyć kombinezonu i wejść tutaj tak jak pani?

Oczywiście wszystko to znowu wymagało zgody pułkownika, który uznał, że najprościej będzie, jeśli ja założę maskę z filtrem HEPA i pójde do kabiny odwiedzin. Znajdowała się na Oddziale Badań Klinicznych, gdzie eksperymentowano nad nowymi szczepionkami. Pielęgniarka poprowadziła mnie przez świetlicę BL-3, gdzie wolontariusze grali w ping-ponga, bilard, czytali magazyny albo oglądali telewizję.

Otworzyła drewniane drzwi do kabiny B, w której po drugiej stronie szyby siedziała Janet w niezakażonej części budynku. Jednocześnie podniosłyśmy słuchawki.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała od razu. – Dobrze się czujesz?

Pielęgniarka wciąż stała za mną w kabinie, więc odwróciłam się i poprosiłam, żeby odeszła. Ani drgnęła.

– Przepraszam – powiedziałam, ale miałam jej już absolutnie dosyć. – To jest prywatna rozmowa.

W jej oczach błyszczała wściekłość, gdy odchodziła, a potem zamykała drzwi.

– Nie wiem, co mi jest – powiedziałam do słuchawki – ale czuję się źle.

– Ile to trwa? – W jej oczach pojawił się strach.

– Przeciętnie dziesięć dni, do czternastu.
– No, to wobec tego dobrze, co?
– Nie wiem. – Byłam przygnębiona. – Zależy, z czym mamy do czynienia, ale jeśli będę się nadal dobrze czuła za kilka dni, chyba mnie wypuszczą.

Janet wyglądała bardzo dorośle i ładnie w granatowym kostiumie. Pistolet miała sprytnie ukryty pod żakietem. Wiedziałam, że nie przyjechałaby sama, gdyby się nie wydarzyło coś ważnego.

– Gdzie Lucy? – spytałam.
– No, właściwie to obie jesteśmy tu, w Marylandzie, niedaleko Baltimore, z Brygadą Dziewiętnastą.
– Czy z nią wszystko w porządku?
– Tak – odpowiedziała Janet. – Pracujemy nad sprawą, próbujemy prześledzić twoją pocztę przez AOL i UNIX.

– I co?
Zawahała się.
– Myślę, że najszybszym sposobem, żeby go złapać, jest pozostawanie z nim w kontakcie, kiedy nadaje.

Zmarszczyłam brwi, zdziwiona.
– Nie bardzo rozumiem...
– Czy to jest niewygodne? – spojrzała na moją maskę.
– Tak. – Zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro z powodu wyglądu tego okropieństwa, które poza tym uderzało w słuchawkę, gdy mówiłam. – Jak możecie go złapać, jeżeli nie nadaje mi informacji?

Rozłożyła na blacie teczkę.
– Chcesz posłuchać?
Skinęłam głową. Poczułam, jak ściska mi się żołądek.

– *Mikroskopijne robaczki, rozmnażające się fermenty i miazmaty* – przeczytała.

– Słucham?

– Właśnie to przyszło dziś rano pocztą elektroniczną. Następne przysłał po południu. *One żyją, ale nikt inny nie będzie.* A później, prawie godzinę po tym. *Osobniki ludzkie, które zagarniają innym i eksploatują, są makropasożytami. Zabijają swoich żywicieli.* Wszystko małymi literami, bez interpunkcji, jedynie ze spacjami. – Spojrzała na mnie przez szybkę.

– Klasyczna filozofia medyczna – powiedziałam. – Powrót do Hipokratesa i innych zachodnich medyków i ich teorii na temat tego, co powoduje choroby. Powietrze. Odtwarzanie trujących cząsteczek, powstających z rozkładu materii organicznej. Mikroskopijne robaczki itd. A potem historyk McNeill napisał o wzajemnym oddziaływaniu mikro – i makropasożytów, jako wzorce ewolucji społecznej.

– A więc *dokum* ma jakieś wykształcenie medyczne – powiedziała Janet. – I wydaje się, jakby robił aluzje do tej choroby.

– Nie mógł o niej wiedzieć – powiedziałam, odczuwając nagle zupełnie nowy strach. – Nie rozumiem, skąd mógłby wiedzieć.

– Było coś w wiadomościach – powiedziała.

Ogarnęła mnie wściekłość.

– Kto tym razem otworzył gębę? Nie mów, że Ring też o tym wie.

– W gazecie było po prostu napisane, że twoje biuro bada niezwykłą śmierć na wyspie Tangier, spowodowaną dziwną chorobą, i że ciało zostało wywiezione helikopterem wojskowym.

– Cholera.

– Jeżeli *dokum* ma dostęp do wiadomości w Wirginii, mógł o tym wiedzieć, nim wysłał e-mail.

– Mam nadzieję, że tak właśnie było – powiedziałam.

– A dlaczego miałoby być inaczej?
– Nie wiem, nie wiem. – Byłam zmęczona i dokuczał mi żołądek.
– On chce z tobą rozmawiać. – Nachyliła się bliżej szyby. – Dlatego wciąż przesyła jakieś wiadomości.

Znów poczułam dreszcze.

– Mam taki pomysł. – Janet chowała wydruki do teczki. – Mogę cię z nim połączyć w indywidualną linię konferencyjną. Jeśli będzie dostatecznie długo na linii, możemy go śledzić od jednej międzymiastowej do drugiej, aż znajdziemy miasto, a później dokładniejszy adres.

– Nie wierzę ani przez chwilę, że ta osoba będzie chciała brać udział w rozmowie – stwierdziłam. – Jest za sprytna.

– Benton Wesley uważa, że to prawdopodobne.

Milczałam.

– Uważa, że *dokum* tak się na ciebie zawziął, że może się włączyć do rozmowy. Nie tylko dlatego żeby się dowiedzieć, co ty myślisz. Chce, żebyś wiedziała, co on myśli, a w każdym razie taka jest teoria Wesleya. Mam tu laptopa i wszystko, co trzeba.

– Nie – potrząsnęłam głową. – Nie chcę w to wchodzić, Janet.

– Nie masz nic lepszego do roboty przez kilka najbliższych dni.

Strasznie mnie zawsze denerwuje, jak mnie ktoś oskarża o to, że nie mam nic do roboty.

– Nie chcę się kontaktować z tym potworem. To zbyt ryzykowne. Mogę powiedzieć coś niewłaściwego i więcej ludzi umrze.

Janet wpatrywała się we mnie intensywnie.

– I tak umierają. Może nawet w tej chwili, gdy rozmawiamy, a my o tym jeszcze nie wiemy.

Pomyślałam o Lili Pruitt, samej w domu, chorej, z demencją. Zobaczyłam ją stojącą przy lustrze i usłyszałam jej przeraźliwy krzyk.

– Musisz tylko skłonić go do mówienia, powolutku – ciągnęła Janet. – Wiesz, udawaj niechętną, jakby cię zaskoczył, inaczej zrobi się podejrzliwy. Rób tak przez parę dni, a my będziemy próbowali się zorientować, gdzie jest. Włącz się do America on-line, później do miejsc konferencyjnych i znajdź wśród nich M.E., dobra? I tam czekaj.

– A potem co? – chciałam wiedzieć.

– Jest nadzieja, że będzie cię szukał, sądząc, że konsultujesz się z innymi lekarzami i naukowcami. Nie będzie się mógł oprzeć. To jest teoria Wesleya i ja się z nią zgadzam.

– Czy on wie, że tu jestem?

Pytanie było dwuznaczne, ale zrozumiała, o kogo mi chodzi.

– Tak – odpowiedziała. – Marino mnie prosił, żebym do niego zadzwoniła.

– I co powiedział?

– Pytał, czy się dobrze czujesz. – Wymigiwała się. – Ma tę starą sprawę w Georgii. Jakichś dwóch zakłutych na śmierć w sklepie z alkoholem, to ma związek z przestępczością zorganizowaną... W małym miasteczku, koło St. Simons Island.

– Aha, więc jest w drodze.

– Chyba tak.

– Gdzie będziesz?

– Z drużyną. Będę mieszkała w Baltimore, w porcie.

– A Lucy? – spytałam znowu, tym razem wprost, żeby nie mogła się wykręcić. – Czy chcesz mi powiedzieć, co naprawdę się dzieje, Janet?

Oddychałam moim filtrowanym powietrzem i patrzyłam przez szybę w oczy osoby, która nigdy mi nie skłamała.

– Wszystko w porządku? – naciskałam.

– Pani doktor, przyjechałam tu sama z dwóch powodów – powiedziała w końcu uroczyście. – Po pierwsze, pokłóciłyśmy się z Lucy na temat tego, czy ma pani się łączyć elektronicznie z tym facetem. Wszyscy uznali, że lepiej będzie, jak to nie ona będzie z panią rozmawiała.

– To rozumiem – powiedziałam. – I zgadzam się.

– Drugi powód jest bardziej nieprzyjemny – ciągnęła. – Chodzi o Carrie Grethen.

Byłam zdumiona i wściekła, słysząc to nazwisko. Wiele lat temu, gdy Lucy tworzyła CAIN, pracowała z Carrie. Później włamano się do systemu i Carrie spowodowała, że oskarżono o to moją siostrzenicę. Były też jakieś straszne i sadystyczne morderstwa, w których Carrie była współniczką jakiegoś psychopaty.

– Ale ona jest wciąż w więzieniu – powiedziałam.

– Wiem, ale wyznaczono termin procesu na wiosnę.

– Wiem o tym doskonale. – Nie pojmowałam wciąż, do czego zmierza.

– Jesteś głównym świadkiem. Bez ciebie nie będą mieli co przedstawiać. A w każdym razie nie przed ławą przysięgłych.

– Janet, kompletnie nie rozumiem. – Ból głowy powrócił jeszcze silniejszy.

Wzięła głęboki oddech.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że był okres, w którym Lucy i Carrie były blisko. – Zawahała się. – Bardzo blisko.

– Oczywiście – powiedziałam zniecierpliwiona. – Lucy była wtedy nastolatką, a Carrie ją uwiodła. Wiem doskonale.

– Percy Ring też. – Popatrzyłam na nią zszokowana. – Wygląda na to, że wczoraj Ring poszedł do prokuratora, który jest oskarżycielem w tej sprawie, Roba Schurmera. Pogadali sobie jak starzy kumple i Ring mu

powiedział, że będzie miał problem, bo siostrzenica głównego świadka miała romans z oskarżoną.

– O mój Boże. – Nie mogłam w to uwierzyć. – Pieprzony drań.

Byłam prawnikiem. Wiedziałam, co to znaczy. Lucy będzie musiała wystąpić przed sądem i odpowiadać na pytania związane z jej romansiem z inną kobietą. Jedyne, co można było zrobić dla uniknięcia tej sytuacji, to wykreślić mnie z listy świadków, pozwalając tym samym, by Carrie uniknęła skazania za morderstwo.

– To, co zrobiła, nie ma nic wspólnego z przestępstwami Carrie – powiedziałam tak wściekła na Ringa, że byłam zdolna do rękoczynów.

Janet przełożyła słuchawkę do drugiego ucha, starając się zachować spokój, ale widziałam jej strach.

– Nie muszę ci mówić, jak to jest. Nie pytaj, nie mów. To nie jest tolerowane, niezależnie od tego, co się mówi. Lucy i ja jesteśmy bardzo ostrożne. Ludzie mogą podejrzewać, ale nie wiedzą, a przecież nie obnosimy się poubierane w skóry i z łańcuchami.

– No nie.

– To ją zniszczy – stwierdziła rzeczowo. – Ten rozgłos, te reakcje w pracy, kiedy później wyjdzie na jaw, ci wszyscy ważniacy... Ring robi to po to, żeby ją zgnoić, a może też ciebie. Może i mnie. Mojej karierze także to nie pomoże.

Nie musiała dalej mówić, rozumiałam doskonale.

– Czy ktoś wie, jak zareagował Schurmer, kiedy Ring mu powiedział?

– Zaczął świrować, zadzwonił do Marina, że nie wie, co robi, bo kiedy obrona się dowie, będzie ugotowany. Potem Marino zadzwonił do mnie.

– Marino nic mi nie mówił.

– Nie chciał cię teraz martwić – powiedziała. – I nie uważał, że to do niego należy.

– Rozumiem. Czy Lucy wie?

– Powiedziałam jej.

– I?

– Wykopała nogą dziurę w ścianie – odpowiedziała Janet. – Potem powiedziała, że jeżeli będzie musiała, to stanie przed sądem jako świadek.

Janet rozpostarła dłoń na szybie, czekając, aż zrobię to samo. Było to jedyne, co mogliśmy zrobić, zamiast się objąć. Zbierało mi się na płacz.

– Czuję się, jakbym popełniła zbrodnię – powiedziałam, odchrząkując.

Pielęgniarka wniosła do mojego pokoju sprzęt komputerowy, wręczyła mi bez słowa i natychmiast wyszła. Siedząc w łóżku, patrzyłam na laptopa, jakby mógł mi wyrządzić krzywdę. Było mi zimno, ale jednocześnie bardzo się pociałam. Nie wiedziałam, czy czuję się tak z powodu jakiegoś mikroba, czy ze zdenerwowania tym, co powiedziała mi Janet. Lucy od dziecka chciała być agentem FBI i już teraz była jednym z najlepszych. Było to takie niesprawiedliwe. Nie zrobiła nic złego, poza popełnieniem głupiego błędu, że uległa złej osobie, gdy miała zaledwie dziewiętnaście lat. Tak bardzo pragnęłam wydostać się z tego pokoju i ją odnaleźć. Chciałam jechać do domu. Już miałam dzwonić na pielęgniarkę, kiedy się pojawiła. Była nowa.

- Czy mogłabym może dostać nowy kombinezon ochronny? – spytałam.
- Mogę pani przynieść szlafrok.
- Proszę o kombinezon.
- Hmm, to trochę nietypowe – skrzywiła się.
- Wiem.

Włączyłam komputer do gniazdka telefonicznego i wcisnęłam przycisk.

– Jeżeli nie pokonają tych trudności z budżetem w najbliższym czasie, nie będzie nikogo do wyjaławienia kombinezonów ani niczego innego – opowiadała pielęgniarka, poprawiając moją pościel. – Dziś rano mówili w wiadomościach, że posiłki dla najuboższych mają być zlikwidowane, nie oczyszcza się już składowisk toksycznych śmieci, grozi zamknięcie sądów federalnych i można się pożegnać ze zwiedzaniem Białego Domu. Gotowa pani do obiadu?

– Dziękuję – powiedziałam, a ona kontynuowała swą litanię złych wiadomości.

– Nie mówiąc już o służbie zdrowia, zanieczyszczeniu powietrza, walce z zimową epidemią grypy czy badaniach wody na pasożyty. Ma pani szczęście, że trafiła pani do nas teraz. W przyszłym tygodniu może już być zamknięte.

Nie chciałam nawet słuchać o problemach budżetowych, bo poświęcałam im większość swego czasu, wyklócając się z szefami departamentu i atakując ustawodawców na Zgromadzeniu Ogólnym. Bałam się, że gdy kryzys federalny dojdzie do poziomu stanowego, mój nowy budynek nigdy nie będzie ukończony, a wątle fundusze zostaną jeszcze bardziej obcięte. Za umarłymi nikt nie stoi. Moi pacjenci nie mają partii i nie głosują.

– Ma pani dwie możliwości – pielęgniarka mówiła coś do mnie.

– Przepraszam – przełączyłam się na nią.

– Kurczak albo szynka.

– Kurczak. – Zupełnie nie byłam głodna. – I gorąca herbata.

Wyłączyła swój przewód powietrzny i wyszła, zostawiając mnie w spokoju. Ustawiłam sobie laptopa na tacy i włączyłam się do America on-line. Powędrowałam wprost do swej skrzynki pocztowej. Było tam mnóstwo przesyłek, ale wszystkie już otwierane przez Brygadę Dziewiętnastą. Wybrałam z menu linie konferencyjne, wyciągnęłam listę członków i sprawdziłam, ilu używało linii M.E. Nie było nikogo, więc włączyłam się sama i leżałam, oparta o poduszki, wpatrując się w pusty ekran z rzędem ikonki u góry. Nie było nikogo do pogadania i pomyślałam, że jeśli *dokum* to śledzi, będzie wyglądało głupio i podejrzenie, że jestem sama i wyraźnie czekam. Ledwo to pomyślałam, gdy na moim ekranie pojawił się napis i zaczęłam odpowiadać.



QUINCY: Cześć. O czym będziemy dziś rozmawiać?

SCARPETTA: O impasie budżetowym. Jak to w ciebie uderza?

QUINCY: Pracuję z dala od urzędów w Waszyngtonie. Koszmar.

SCARPETTA: Czy jesteś koronerem?

QUINCY: Tak, spotykaliśmy się na różnych zjazdach. Mamy trochę wspólnych znajomych. Teraz nie ma tu tłoku, ale może być lepiej, jak się jest cierpliwym.



Wtedy się zorientowałam, że Quincy to któryś z agentów z Brygady Dziewiętnastej. Kontynuowaliśmy sesję aż do obiadu, a potem wznowiliśmy i trwało to prawie godzinę. Gawędziliśmy z Quincym o różnych problemach, które wydawały nam się prawdopodobne, żeby sprawić wrażenie normalnej rozmowy między koronerami czy ludźmi podobnej branży. Ale *dokum* nie dawał się wciągnąć.

Przespałam się i obudziłam trochę po czwartej. Przez chwilę leżałam nieruchomo, nie wiedząc, gdzie jestem, nim dotarło to do mnie. Siadłam nagle, wciąż przykryta tacą, na której stał otwarty komputer. Włączyłam się znowu i tym razem pojawił się zaraz ktoś, zwany MEDEX, i rozmawialiśmy o danych komputerowych, jakich używam w Wirginii do zdobywania informacji o poszczególnych przypadkach i statystykach.

Dokładnie pięć minut po piątej zadzwonił dzwonek w moim komputerze i nagle na ekranie otwarło się okno: natychmiastowa wiadomość. Wpatrywałam się z niedowierzaniem na pojawiające się słowa od *dokuma*, których nie mógł zobaczyć nikt inny na linii konferencyjnej.

DOKUM: myslisz ze jestes taka sprytna SCARPETTA: Kim jesteś?

DOKUM: wiesz kim jestem jestem tym co ty robisz SCARPETTA: Co ja robię?

DOKUM: umarli doktor umarłych jestes mna SCARPETTA: Nie jestem tobą.

DOKUM: myslisz ze jestes taka sprytna

Nagle przestał, a kiedy kliknęłam przycisk „dostępny”, okazało się, że już się wyłączył. Serce mi waliło, kiedy przesyłałam następną wiadomość do MEDEX, że byłam zajęta gościem. Nie dostałam żadnej odpowiedzi. Znow byłam sama.

– Cholera – zakląłam pod nosem.

Spróbowałam znow o dziesiątej wieczorem, ale odezwał się tylko QUINCY, z wiadomością, że powinniśmy spróbować urządzić kolejne zebranie rano. Wszyscy inni lekarze, powiedział, poszli już do domu. Przyszła znow do mnie ta sama pielęgniarka, która była bardzo miłutka. Żał mi jej było, że pracuje o takiej porze i musi wkładać ten niewygodny kombinezon za każdym razem, kiedy wchodzi do mojego pokoju.

– A gdzie następna zmiana? – spytałam, gdy mierzyła mi temperaturę.

– To ja. Wszyscy staramy się robić, co się da.

Skinęłam głową, bo kolejny raz dzisiaj nawiązywała do urlopów.

– Nie ma prawie żadnego pracownika w laboratorium – ciągnęła. – Jak się pani jutro rano obudzi, może się okazać, że będzie pani jedyną osobą w budynku.

– No, teraz to na pewno będę miała makabryczne sny – powiedziałam, kiedy zawijała mi wokół ręki mankiet do mierzenia ciśnienia.

– Czuje się pani dobrze i to najważniejsze. Od czasu, jak tu pracuję, zaczęłam sobie wyobrażać, że dostaję takiej czy innej choroby. Najmniejszy ból, katarek i już, o Boże! No, a pani od czego jest lekarzem?

Opowiedziałam.

– Ja chciałam być pediatrą. A potem wyszłam za mąż.

– Kiepsko byśmy wyglądali bez takich dobrych pielęgniarek jak pani – uśmiechnęłam się.

– Większość lekarzy tego nie zauważa. Takie mają podejście.

– Niektórzy na pewno – zgodziłam się.

Staralam się zasnąć, ale mi się to nie udawało. Światła z parkingu za oknem przesączały się przez żaluzje i niezależnie od tego, jak się ułożyłam, nie mogłam się uspokoić. Trudno mi było oddychać i serce mi waliło. O piątej rano siadłam na łóżku i zapaliłam światło. Po kilku minutach pielęgniarka już była w moim pokoju.

– Dobrze się pani czuje? – wyglądała na zmęczoną.

– Nie mogę spać.

– Dać pani coś?

Potrząsnęłam głową i włączyłam komputer. Na linii konferencyjnej nic się nie działo. Wcisnęłam przycisk „dostępny”, żeby sprawdzić, czy *dokum* jest na linii, a jeśli tak, to gdzie. Nie było śladu, więc przejechałam po różnych miejscach, dostępnych dla abonentów i ich rodzin.

Było tam rzeczywiście coś dla każdego: samotnych, gejów, lesbijek, prawdziwych Amerykanów, Afroamerykanów i dla zła. Ludzie, którzy lubili więzy, sadomasochizm, seks grupowy, bestialstwo, kazirodztwo, mogli się znaleźć i wymienić sztukę pornograficzną. FBI nie było w stanie nic na to poradzić. Wszystko było legalne.

Siadłam wygodniej, poprawiłam sobie poduszki i nie wiedząc o tym, przysnęłam. Gdy otworzyłam oczy godzinę później, byłam na linii ARTLOVE. Na ekranie czekała na mnie wiadomość. *Dokum* mnie znalazł.

DOKUM: obraz jest wart tysiąc słów

Sprawdziłam szybko, czy wciąż jest włączony, i odnalazłam go cichutko przyczajonego w cyberprzestrzeni, czekającego na mnie. Wystukałam odpowiedź.

SCARPETTA: Czym handlujesz?

Nie odpowiedział od razu. Czekałam, patrząc na ekran, trzy czy cztery minuty. Potem wrócił.

DOKUM: nie handluje ze zdrajcami daje za darmo jak myslisz co sie dzieje z takimi ludzmi SCARPETTA: Może byś mi powiedział?

Cisza. Opuścił linię, po chwili znów powrócił. Chciał zatrzeć ślady. Wiedział doskonale, co robimy.

DOKUM: mysle ze wiesz SCARPETTA: Nie wiem.

DOKUM: dowiesz sie SCARPETTA: Widziałam zdjęcia, jakie mi przysłałeś. Nie były zbyt wyraźne. O co ci chodziło?

Nie odpowiedział i poczułam się jak przygłupia. Miałam go i nie potrafiłam przytrzymać. Byłam rozczarowana i zmartwiona, kiedy zobaczyłam następną wiadomość. Tym razem była z drużyny.

QUINCY: C.K.Z. Scarpetta. Muszę jeszcze omówić z tobą tę sprawę.

Poświęcenia siebie.

Wtedy się zorientowałam, że Quincy to Lucy. C.K.Z. to był jej kod dla mnie – Ciocia Kay Zawsze. Dbała o mnie, jak ja dbałam o nią przez tyle lat, i chciała mi powiedzieć, żebym się nie denerwowała. Wystukałam odpowiedź.

SCARPETTA: Zgadzam się. Przypadek jest bardzo trudny. Jak sobie z nim radzisz?

QUINCY: Obserwuj mnie w sądzie. Reszta później.

Wyłączając, uśmiechnęłam się i ułożyłam się z powrotem na poduszkach. Nie czułam się już taka samotna i ogłupiona.

- Dzień dobry. – Wróciła pierwsza pielęgniarka.
- Dzień dobry. – Nastrój mi się pogorszył.
- Sprawdźmy, co najważniejsze. Jak się dziś czujemy?
- Czujemy się dobrze.
- Może pani dostać jajka albo płatki.
- Owoce – powiedziałam.
- Tego nie przewidywaliśmy, ale może uda się wygrzebać banana.

Termometr znalazł się w moich ustach, mankiet od ciśnienia na rękę. Nie przestawała gadać.

– Jest tak zimno, że tylko patrzeć, jak będzie padał śnieg. Niewiele ponad zero. Wyobraża pani sobie? Miałam zamrożoną szybę w samochodzie. W tym roku są bardzo duże żołądźce, a to zawsze oznacza ciężką zimę. Wciąż nie ma pani nawet trzydzieści sześć i sześć. Co z panią?

- Dlaczego nie zostawiono tu telefonu? – spytałam.
- Zapytam. – Zdjęła mankiet. – Ciśnienie też niskie.
- Proszę poprosić pułkownika Fujitsubo, żeby do mnie wpadł dziś rano.

Spojrzała na mnie.

– Chce pani na mnie naskarżyć?

– Ależ skąd, Boże broń. Muszę stąd wyjść.

– Przykro mi, ale to nie ode mnie zależy. Niektórzy siedzą tu dwa tygodnie.

Ja bym oszalała, pomyślałam. Pułkownik nie pojawił się aż do obiadu, na który była gotowana pierś kurczaka, marchewka i ryż. Niewiele zjadłam, bo napięcie mnie nie opuszczało. Gapiłam się w błyskający telewizor, bo ściszyłam dźwięk. O drugiej przyszła ponownie pielęgniarka i oznajmiła, że

mam gościa. Więc znów założyłam maskę z filtrem i przeszłam za nią korytarzem aż do kliniki.

Tym razem byłam w kabinie B, a po drugiej stronie czekał na mnie Wesley. Uśmiechnął się i oboje natychmiast podnieśliśmy słuchawki. Byłam tak zadowolona i zdziwiona jego widokiem, że zaczęłam się jąkać.

– Mam nadzieję, że przyjechałeś mi na ratunek.

– Nie zajmuję się lekarzami. Sama mnie tego nauczyłaś.

– Myślałam, że jesteś w Georgii.

– Byłem. Obejrzałem sklep monopolowy, gdzie dwie osoby zostały zasztyletowane, powęszyłem po okolicy, a teraz jestem tutaj.

– I?

– I? – uniósł brew. – Przystępczość zorganizowana.

– Nie miałam na myśli Georgii.

– Powiedz, co miałaś na myśli. Jakoś straciłem zdolność czytania z twarzy. Wyglądasz dziś szczególnie uroczo, pozwolę sobie dodać – zwrócił się do mojej maski.

– Oszaleję, jak stąd nie wyjdę – powiedziałam. – Muszę się dostać do CDC.

– Lucy mi mówiła, że kontaktowałaś się z *dokumem*. – Z jego oczu znikł błysk rozbawienia.

– W niezbyt dużym zakresie i bez większego powodzenia – powiedziałam ze złością.

Kontaktowanie się z tym mordercą było dlatego takie dokuczliwe, że on tego właśnie chciał, a ja kiedyś obiecałam sobie nie spełniać życzeń takich ludzi.

– Nie rezygnuj – powiedział Wesley.

– Robi aluzje do spraw medycznych, jak choroby i zarazki. Czy to nie interesujące w świetle tego, co się dzieje?

- Na pewno ogląda wiadomości. – Powiedział to samo, co Janet.
- A jeżeli to coś więcej? – spytałam. – Kobieta, którą poćwiartował, miała tę samą chorobę, co kobieta z Tangieru.
- Ale nie możesz jeszcze tego potwierdzić.
- Wiesz, że nie siedzę tutaj dlatego, że rzucałam koncepcje i wysnuwałam wnioski zza biurka – zaczynało mnie ponosić. – Potwierdzę tę chorobę, jak tylko będę mogła, ale tymczasem powinniśmy się kierować zdrowym rozsądkiem.
- Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz. – Nie spuszczał ze mnie wzroku.
- Mówię, że możemy mieć do czynienia z bronią biologiczną. Taki Unabomber, który używa choroby.
- Boże, mam nadzieję, że nie.
- Ale na pewno przeszło ci to też przez myśl. Nie mów mi, że śmiertelna choroba związana była z poćwiartowaniem zupełnie przypadkowo.
- Patrzyłam na niego i wiedziałam, że boli go głowa. Zawsze wtedy nabrzmiewała mu błękitna żyłka na czole.
- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? – spytał.
- Tak. Martwię się bardziej o ciebie.
- A co z tą chorobą? Co z twoim ryzykiem zachorowania? – zaczął się na mnie złościć jak zwykle, gdy byłam w niebezpieczeństwie.
- Zostałam ponownie zaszczepiona.
- Zostałaś zaszczepiona na ospę – powiedział. – Ale jeżeli to nie jest to?
- Wtedy dopiero będziemy mieli problemy. Janet do mnie wpadła.
- Wiem – powiedział przez słuchawkę. – Tak mi przykro. Jeszcze tego ci teraz trzeba...
- Nie, Benton – przerwałam mu. – Dobrze, że mi powiedziała. Nigdy nie ma odpowiedniej pory na złe wiadomości. Jak myślisz, co się stanie? – Nie

chciał nic powiedzieć. – Więc też uważasz, że to ją wykończy – powiedziałam z rozpaczą.

– Nie sądzę, żeby ją wyrzucili. Zwykle dzieje się tak, że przestaje się awansować, dostaje coraz gorsze zadania, placówki w terenie na kompletnym odludziu. Ona i Janet będą trzy tysiące mil od siebie. Albo jedna z nich, albo obie zrezygnują.

– I to ma być lepsze od wyrzucenia? – nie mogłam powstrzymać wściekłości.

– Zajmiemy się tym, jak do tego dojdzie, Kay. – Popatrzył na mnie. – Wydałam Ringa z CASKU.

– Uważaj na to, co robisz z mojego powodu.

– Już się stało.

Fujitsubo przyszedł do mnie dopiero następnego ranka, uśmiechał się i od razu odsłonił żaluzje, wpuszczając oślepiające słońce.

– Dzień dobry – powiedział – i na razie naprawdę dobry. Cieszę się, że nam tu nie zachorowałaś, Kay.

– Więc mogę wyjść – powiedziałam, gotowa, żeby wyskoczyć z łóżka.

– Nie tak szybko. – Przeglądał moją kartę. – Wiem, że ci ciężko, ale nie mogę cię wypuścić tak od razu. Wytrzymaj jeszcze troszkę i możesz być wolna pojutrze, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Chciało mi się płakać, kiedy wyszedł, bo wydawało mi się niemożliwe, żebym mogła wytrzymać tę kwarantannę choćby godzinę dłużej. Siedziałam na łóżku, przykryta, i oglądałam świat. Niebo było wyraźnie niebieskie, z kosmykami chmur pod ledwo widocznym cieniem porannego księżyca. Drzewa za moim oknem były już nagie i kołysały się delikatnie na wietrze. Pomyślałam o moim domu w Richmondzie, o roślinach do przesadzenia i pracy leżącej na biurku. Chciałabym pochodzić

po chłodnym powietrzu, ugotować brokuły i krupnik. Miałam ochotę na spaghetti, smażone pierożki, muzykę i wino.

Przez pół dnia nie robiłam nic innego, tylko litowałam się nad sobą, oglądałam telewizję i drzemałam. Potem przyszła pielęgniarka z następnej zmiany z telefonem i powiedziała, że jest rozmowa. Poczekalam na połączenie, po czym złapałam za słuchawkę, jakby to była najbardziej niezwykła rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

– To ja – powiedziała Lucy.

– Dzięki Bogu. – Byłam uszczęśliwiona, słysząc jej głos.

– Babcia cię pozdrawia. Słyszałam, że wygrałeś konkurs na najgorszego pacjenta.

– Dobrze słyszałeś. Ta cała robota, która na mnie czeka. Szkoda, że jej tu nie mam.

– Przyda ci się odpoczynek – powiedziała. – Wzmocnisz swoją odporność.

Znów zaczęłam się martwić o Winga.

– Dlaczego nie używasz laptopa? – przeszła do rzeczy. Milczałam. – Ciociu, on z nami nie będzie rozmawiał, tylko z tobą.

– Więc niech się któreś z was podszyje pode mnie – odpowiedziałam.

– Nie ma mowy. Jak tylko coś wyczuje, stracimy go na zawsze. Facet jest bojaźliwy, bo jest bardzo sprytny. – Milczałam, ale Lucy nie dawała za wygraną. – Co? Ja mam udawać patologa, specjalistę medycyny sądowej, z wykształceniem prawniczym? – powiedziała z oburzeniem. – Nie wydaje mi się to możliwe.

– Nie chcę się z nim łączyć, Lucy – powiedziałam. – Tacy ludzie tym żyją, tego właśnie chcą, zainteresowania. Im dłużej będę z nim grała w tę grę, tym bardziej go to zachęca. Myślałeś o tym?

– Tak, ale pomyśl o czym innym. Czy poćwiartował jedną osobę, czy dwadzieścia, zrobi jeszcze coś złego. Tacy ludzie nie przestają. A my nie mamy pojęcia, najmniejszego, gdzie on, do cholery, może być.

– Nie o siebie się boję – zaczęłam mówić.

– Byłoby to normalne.

– Nie chcę tylko zrobić czegoś, co mogłoby pogorszyć sytuację – powtórzyłam.

Takie ryzyko istniało zawsze, gdy prowadziło się dochodzenie zbyt twórczo czy agresywnie. Przestępca nigdy nie był do końca przewidywalny. Może to było moje przeczucie, intuicja, która mówiła mi, że ten zabójca był inny i kierował się innymi motywami, których nie byliśmy w stanie pojąć. Obawiałam się, że dokładnie wie, co robimy, i dobrze się tym bawi.

– Teraz opowiedz mi o sobie – poprosiłam. – Janet tu była...

– Nie chcę do tego wracać – w jej tonie brzmiała wściekłość. – Mam lepsze zajęcia.

– Lucy, jestem z tobą, cokolwiek postanowisz zrobić.

– Tego zawsze byłam pewna. I wszyscy mogą być pewni, że bez względu na to, ile by mnie to miało kosztować, Carrie zgnije w więzieniu i w piekle.

Pielęgniarka wróciła do mojego pokoju, żeby mi znów zabrać telefon.

– Nie rozumiem tego – zaczęłam narzekać, gdy musiałam się rozłączyć.

– Mam kartę telefoniczną, jeśli o to pani idzie.

Uśmiechnęła się.

– Zarządzenie pułkownika. Chce, żeby pani wypoczęła, a wie, że to niemożliwe, jeśli będzie pani miała telefon.

– Przecież odpoczywam – powiedziałam, ale już jej nie było.

Zastanawiałam się, dlaczego pozwolił mi mieć laptop, i zaczęłam podejrzewać, że Lucy albo ktoś z nim rozmawiał. Gdy włączyłam się do

sieci, czułam, jakby się zmówili przeciwko mnie. Ledwo pojawiłam się na linii konferencyjnej, był tam *dokum*, i to nie jako niewidoczna dla innych wiadomość, lecz pełnoprawny członek, którego wszyscy mogli widzieć i słyszeć, jeśli się włączyli.

DOKUM: gdzie bylas SCARPETTA: Kim jesteś?

DOKUM: juz ci mowilem SCARPETTA: Nie jesteś mną.

DOKUM: udzielił im władzy nad duchami nieczystymi aby je wypędzali i leczyli wszystkie choroby i wszelkie słabosci patofizjologiczne objawy wirusow takich jak hiv nasza darwinowska walka z nimi one są złem albo my SCARPETTA: Wyjaśnij, co masz na myśli.

DOKUM: jest dwunastu

Jednak nie miał zamiaru niczego wyjaśniać, w każdym razie nie teraz. Poinformowano mnie, że się wyłączył. Czekałam jeszcze, czy nie wróci, zastanawiając się, co miał na myśli, pisząc „dwunastu”. Przycisnęłam dzwonek i wezwałam pielęgniarkę, wobec której miałam już wyrzuty sumienia. Nie wiedziałam, gdzie siedzi po wyjściu z mojego pokoju i czy za każdym razem musi wkładać i zdejmować niebieski kombinezon. Na pewno nie należało to do przyjemności, łącznie ze znoszeniem moich humorów.

– Mam takie pytanie – powiedziałam, gdy już do mnie przyszła. – Czy tu gdzieś może być Biblia?

Zawahała się, jakby nigdy o czymś takim nie słyszała.

– Do licha, tego to nie wiem.

– Mogłaby pani sprawdzić?

– Dobrze się pani czuje? – Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Doskonale.

– Jest tu biblioteka. Może tam gdzieś będzie. Przepraszam, nie jestem zbyt religijna.

Wróciła może po półgodzinie z czarno oprawioną Biblią, wydaną przez Cambridge Red Letter, którą pożyczyła z czyjegoś gabinetu. Otworzyłam ją i zobaczyłam na pierwszej stronie wykaligrafowane nazwisko i datę, które wskazywały na to, że właściciel otrzymał ją dziesięć lat temu z jakiejś specjalnej okazji. Zaczęłam przerzucać kartki i zdałam sobie sprawę z tego, że nie byłam na mszy od kilku miesięcy. Zazdrościłam ludziom tak silnej wiary, że mieli Biblię nawet w pracy.

– Na pewno się pani dobrze czuje? – upewniła się pielęgniarka, kręcąc się koło drzwi.

– Nie podała mi pani swojego imienia.

– Sally.

– Bardzo mi pani pomogła i jestem za to niezwykle wdzięczna. Rozumiem, że to żadna przyjemność pracować w Święto Dziękczynienia.

To ją chyba bardzo ośmieliło, bo powiedziała: – Nie chciałabym się wtrącać do niczego, ale słyszę, co ludzie mówią. Czy na tej wyspie, w Wirginii, skąd przywieźli pani przypadek, to rzeczywiście głównie łowią kraby?

– Niebieskie kraby.

– I w miękkich skorupach.

– Czy ktoś się tym interesuje?

Wiedziałam, do czego zmierza, i sama się tym martwiłam. Miałam osobisty powód, żeby się martwić o Wesleya i o siebie.

– Rozwożą je po całym kraju, prawda? – dziewczyna nie dawała za wygraną. Skinęłam głową. – A co, jeżeli choroba, którą ta pani miała, przenosi się poprzez wodę albo jedzenie? – Jej oczy błyszczały poprzez hełm. – Nie widziałam jej ciała, ale słyszałam o tym. To jest przerażające.

– Wiem – powiedziałam. – Mam nadzieję, że niedługo będziemy znali odpowiedź.

– Na obiad jest indyk, ale niech się pani zbyt wiele nie spodziewa.

Wyłączyła swój dopływ powietrza i przestała gadać. Pomachała mi, otwierając drzwi, i wyszła. Wróciłam do Konkordancji i musiałam szukać przez jakiś czas pod różnymi hasłami, nim znalazłam fragment, który zacytował mi *dokum*. Pochodził z Ewangelii św. Mateusza 10, wers pierwszy i w całości brzmiał tak: „Wtedy przywołał do siebie dwunastu swoich uczniów, i udzielił im władzy nad duchami nieczystymi, aby je wypędzali i leczyli wszystkie choroby i wszelkie słabości”.

Dalej wymieniano wszystkich uczniów z imienia, następnie Jezus wzywał ich, by poszli do zaginionych owiec i głosili, że Królestwo Niebieskie się przybliży. Nakazywał uczniom uzdrawiać chorych, oczyszczać trędowatych, wskrzeszać umarłych, wyganiać demony. Nie wiedziałam, czy morderca, nazywający siebie *dokumem*, chciał tym coś przekazać, czy „dwanaście” odnosiło się do uczniów, czy były to tylko gierki.

Wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju i wyglądać przez okno. Wcześniej robiło się ciemno. Nabrałam zwyczaju, żeby patrzeć, jak ludzie idą do samochodów, ale było ich niewielu z powodu urlopów. Dwie kobiety stały i rozmawiały, jedna trzymała już otwarte drzwi do hondy, ale obie gestykulowały żywo, jakby miały rozwiązać najważniejsze sprawy życiowe. Patrzyłam przez żaluzje, póki nie odjechały.

Chciałam pójść wcześniej spać, żeby uciec od rzeczywistości. Ale znów przewracałam się z boku na bok i prześcielałam łóżko co kilka godzin. Pod powiekami przepływały mi różne obrazy, jak stare filmy, nielogicznie poskładane. Widziałam dwie kobiety rozmawiające przy skrzynce na listy. Jedna z nich miała myszkę na policzku, a kiedy przesłoniła oczy ręką, na

całej twarzy pojawiła się wysypka. Palmy kołysały się na silnym wietrze, wiejącym od oceanu, spiętrzone fale pieniały się i odpływały. Na zakrwawionym stole, obłożony odciętymi nogami i rękami, leżał nagi korpus.

Usiadłam na łóżku, spocona, i czekałam, aż przejdzie mi skurcz mięśni. Czułam, jakbym miała jakieś zakłócenia elektryczne w całym organizmie i miała zaraz dostać ataku serca albo wylewu. Starłam się nie ruszać i powoli, głęboko oddychać. Kiedy mi minęło, zadzwoniłam na pielęgniarkę. Nie spierała się na temat telefonu, gdy zobaczyła moją twarz. Przyniosła go natychmiast, a ja zadzwoniłam do Marina.

– Wciąż w pudle? – spytał.

– Myślę, że zabił swojego królika doświadczalnego – powiedziałam.

– O! To może zacznij od początku.

– *Dokum*. Kobieta, którą zastrzelił i poćwiartował, mogła być jego królikiem doświadczalnym. Ktoś, kogo znał i miał do niej łatwy dostęp.

– Muszę wyznać, pani doktor, że nie mam zielonego pojęcia, o czym ty, do cholery, mówisz. – Sądząc po jego tonie, obawiał się o stan mojego umysłu.

– To by się zgadzało, że nie mógł na nią patrzeć. Cały *modus operandi* miałyby sens.

– Teraz to już nic nie rozumiem.

– Jeżeli chciałbyś wymyślić, jak zabić ludzi wirusem – wyjaśniałam – musiałbyś najpierw wymyślić sposób. Na przykład drogę przekazywania. Czy to jest jedzenie, picie, kurz? Ospa przekazywana jest drogą powietrzną, przez kropelki lub płyn z uszkodzonego ciała. Może być przeniesiona na osobę albo na jej ubranie.

– Zacznijmy od tego – powiedział. – Skąd ta osoba miałaby wirusa? Przecież nie może sobie zamówić przez pocztę.

– Nie wiem. O ile się orientuję, są tylko dwa miejsca na świecie, które przechowują archiwalne egzemplarze ospy. CDC i laboratorium w Moskwie.

– Więc może to rosyjski spisek – powiedział z przekąsem.

– Poczekaj, przedstawię ci możliwy scenariusz – powiedziałam. – Morderca ma jakiś żal, a może złudzenie, że ma powołanie religijne, aby wznowić chorobę, która była najstraszliwszą plagą tej planety. Musi wymyślić sposób, żeby móc zarazić przypadkowych ludzi, i mieć pewność, że to zadziała.

– Więc potrzebuje królika doświadczalnego – podchwycił Marino.

– Tak. Więc przypuśćmy, że ma sąsiadkę, krewną, kogoś starszego, niezbyt dobrego zdrowia. Może nawet się nią opiekuje. Na kim lepiej można wypróbować wirusa? Jeżeli zadziała, zabije ją i upozoruje śmierć, żeby wyglądała na coś innego. Przecież nie może pozwolić jej umrzeć na ospę, jeśli związek między nimi byłby oczywisty. Moglibyśmy się domyślić, kim jest. Więc strzela jej w głowę i odcina kończyny i głowę, żebyśmy pomyśleli, że to znów seryjny morderca.

– A jak to połączysz z kobietą z Tangieru?

– Została zakażona – odpowiedziałam.

– Jak? Czy coś jej podano? Przysłano pocztą? Przez powietrze? Ukłuta podczas snu?

– Nie wiem jak.

– Myślisz, że *dokum* mieszka na wyspie Tangier?

– Nie, nie sądzę. Wybrał ją dlatego, że wyspa jest doskonałym miejscem na początek epidemii. Mała, zwarta, łatwa do zorganizowania kwarantanny. To by oznaczało, że zabójca nie ma zamiaru zniszczyć całego społeczeństwa od jednego uderzenia. Chce to robić po trochu, ciąć nas na kawałeczki.

– Taa, jak to zrobił z tą starą damą, jeżeli masz rację.
– On czegoś chce – powiedziałam. – Tangier ma zwrócić naszą uwagę.
– Nie obrażaj się, ale mam nadzieję, że się mylisz co do tego wszystkiego.

– Jadę rano do Atlanty. Może byś sprawdził u Vandera, czy coś mu się powiodło z odciskiem kciuka.

– Na razie nie. Od ofiary nigdy nie pobierano odcisków. Jeżeli coś będę wiedział, dam ci znać na pager.

– Cholera – mruknęłam, bo przecież pielęgniarka zabrała go także.

Reszta dnia wlokła się niewiarygodnie wolno i dopiero po kolacji Fujitsubo przyszedł powiedzieć mi do widzenia. Chociaż wypuszczenie mnie oznaczało, że ani nie jestem zarażona, ani nie zarażam, przyszedł jednak w niebieskim kombinezonie i podłączył się do powietrza.

– Powinienem cię trzymać dłużej – powiedział od razu, napełniając mnie przerażeniem. – Inkubacja trwa średnio dwanaście do trzynastu dni, może być nawet dwadzieścia jeden. Chcę ci tylko powiedzieć, że wciąż jeszcze możesz zachorować.

– Rozumiem – powiedziałam, sięgając po szklankę z wodą.

– Twoje szczepienie może zadziałać, ale może też nie zadziałać, zależy, w jakim byłeś stadium.

Skinęłam głową.

– A ja nie śpieszyłabym się tak, żeby cię opuścić, gdybyś to po prostu przejął, zamiast mnie odsyłać do CDC.

– Kay, nie mogę. – Głos miał przytłumiony przez plastikową szybkę. – To nie chodzi o to, czy mam ochotę coś zrobić. Ale nie mogę wyrwać z CDC czegoś, co nie podlega pod moją jurysdykcję, tak samo jak ty nie możesz komuś zabrać sprawy. Rozmawiałem z nimi. Bardzo się przejęli

możliwością wybuchu epidemii i zaczął badania zaraz, jak przywieziesz próbki.

– Boję się, że to mogą być akty terrorystyczne – nie chciałam dać za wygraną.

– Dopóki nie będzie dowodu na to, a mam nadzieję, że nie będzie, nic tu więcej nie możemy dla ciebie zrobić. – Mówił to szczerze. – Jedź do Atlanty, zobacz, co mają do powiedzenia. Oni też mają szcążtkową obsadę. Nie można było wybrać gorszej pory.

– Albo lepszej. Gdybyś był złym człowiekiem, planującym seryjne zbrodnie z wirusem, co lepszego mógłbyś wymyślić niż okres, w którym wszystkie ważniejsze federalne placówki służby zdrowia mają urlopy.

Milczał.

– John, pomagałeś mi przy autopsji. Czy widziałeś kiedyś taką chorobę?

– Tylko w podręcznikach – odpowiedział ponuro.

– Jak może ospa nagle tak sama się pojawić?

– Jeżeli to jest ospa.

– W każdym razie jest śmiertelna – starałam się go przekonać.

Jednak nic innego nie mógł zrobić. Resztę wieczoru spędziłam przy komputerze, sprawdzając co godzinę mój e-mail. *Dokum* milczał aż do szóstej następnego ranka, kiedy pojawił się na mojej linii konferencyjnej M.E. Serce mi podskoczyło, kiedy zobaczyłam na ekranie jego nazwisko. Poczułam adrenalinę, jak zawsze gdy ze mną rozmawiał. Był na linii, a reszta zależała ode mnie. Mogłabym go złapać, gdyby tylko dał się wciągnąć.

DOKUM: W niedziele poszedlem do kosciola zaloze sie ze ty nie

SCARPETTA: O czym była homilia?

DOKUM: kazanie

SCARPETTA: Nie jesteś katolikiem.

DOKUM: strzeżcie się ludzi SCARPETTA: Mateusz, 10. Powiedz, co przez to rozumiesz.

DOKUM: powiedzcież ze mu przykro SCARPETTA: Kto to jest on? I co zrobił?

DOKUM: zaprawde powinniście pic z kielicha z ktorego ja pije

Nim zdołałam odpowiedzieć, już go nie było, a ja zaczęłam przeglądać Biblię. Wers, który tym razem cytował, pochodził od św. Marka i znowu mówił to Jezus, co przynajmniej dało mi do myślenia, że *dokum* nie jest Żydem. Nie był również katolikiem, sądząc z komentarzy na temat kościoła. Nie jestem teologiem, ale picie z kielicha odnosiło się chyba do ukrzyżowania Jezusa. Więc *dokum* został ukrzyżowany i ja też będę?

Były to moje ostatnie godziny tutaj i moja pielęgniarka, Sally, była bardziej liberalna w sprawie telefonu. Zadzwoiłam na pager Lucy, która prawie natychmiast oddzwoniła.

– Rozmawiam z nim – powiedziałam. – Jesteście tam?

– Jesteśmy, ale to musi trwać dłużej – poinformowała moja siostrzenica.
– Jest tyle linii zamiejscowych, a my musimy sprawdzać wszystkie linie i wszystkie firmy, żeby go przyłapać. Ostatnie połączenie do ciebie było z Dallas.

– Żartujesz – przeraziłam się.

– Ale nie pochodziło stamtąd, tylko zostało przekazane. Nie doszliśmy dalej, bo się rozłączył. Próbuj nadal. Wygląda, jakby facet był jakimś świrem na tle religijnym.

Wczesnym przedpołudniem wyjechałam taksówką, mając tylko to, co na sobie. Wszystkie ubrania były wysterylizowane, albo w autoklawie, albo gazem. Pilnowałam jak oka w głowie dużego kartonowego pudełka, oklejonego niebieskimi ostrzeżeniami: PSUJĄCE. SZYBKO! i WAŻNE TRZYMAĆ NA STOJĄCO i inne ostrzeżenia.

Mój pakunek przypominał chińską układankę pudełek w pudełkach.

W każdym pudełeczku znajdowała się fiolka z próbką; była wśród nich wątroba, śledziona, płyn rdzeniowy Lili Pruitt. Fiolki opakowane były w tekturowe osłony i folię z bąbelkami, następnie w suchy lód, i oklejone nalepkami SUBSTANCJA TRUJĄCA oraz NIEBEZPIECZNE. Oczywiście nie mogłam spuścić oka z mojego bagażu. Prócz tego, że stanowił on zagrożenie, miał być też dowodem dla sądu, gdyby okazało się, że śmierć Lili Pruitt była wynikiem zabójstwa. Na lotnisku międzynarodowym Baltimore-Waszyngton znalazłam telefon i zadzwoniłam do Rose.

– W USAMRIID mają moją torbę lekarską i mikroskop – powiedziałam od razu, nie chcąc tracić czasu. – Zobacz, co się da zrobić, żeby mi je przesłać do jutra. Jestem na lotnisku Baltimore-Waszyngton, w drodze do CDC.

– Próbowałam przekazać pani wiadomość na pager – powiedziała.

– Może mi go oddadzą. – Usiłowałam sobie przypomnieć, co jeszcze tam zostawiłam. – I telefon – dodałam.

– Ma tu pani raport, który chyba będzie interesujący. Włosy zwierzęce, które pojawiły się razem z korpusem. Królika i małpy.

– Dziwne – to było jedyne, co mogłam powiedzieć.

– Niestety, muszę też pani powiedzieć, że media wydzwanają do nas w sprawie Carrie Grethen. Musiały być jakieś przecieki.

– Niech to szlag! – wykrzyknęłam i pomyślałam o Ringu.
– Co mam zrobić? – spytała.
– Zadzwoń może do Bentona. Nie wiem, co powiedzieć. Jestem trochę oszołomiona.

– Właśnie to słyszę.

Spojrzałam na zegarek.

– Rose, muszę iść walczyć o wejście do samolotu. Nie chcieli mnie przepuścić bez prześwietlenia, a teraz pewnie nie pozwolą mi z tym wejść do środka.

Właśnie tak było. Kiedy weszłam do kabiny, stewardesa spojrzała na mnie z uśmiechem i powiedziała: – Bardzo proszę – i wyciągnęła rękę. – Włożę to pani do bagażu.

– Muszę to mieć przy sobie – zaprotestowałam.

– Nie zmieści się u góry na półce ani pod siedzeniem, proszę pani. – Jej uśmiech gasł, a za mną ustawiała się kolejka.

– Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności? – spytałam, wsuwając się do kuchenki.

– Proszę pani, samolot jest przepełniony, nie mamy miejsca...

– Proszę – powiedziałam i pokazałam jej wszystkie dokumenty.

Przebiegła oczami obramowaną na czerwono Deklarację Przewozu Towarów Niebezpiecznych i zamarła w połowie, gdzie było napisane, że przewożę „Substancje zaraźliwe, zagrażające ludziom”. Rozejrzała się nerwowo po kuchence i skierowała mnie bliżej toalet.

– Przepisy wymagają, żeby takie niebezpieczne pakunki przewoziła osoba uprawniona – starałam się wyjaśnić – więc muszę to mieć przy sobie.

– Co to jest? – szepnęła z przerażeniem w oczach.

– Próbki z sekcji.

– Matko Boska!

Złapała szybko diagram miejsc i po chwili zostałam zaprowadzona do pustego rzędu w pierwszej klasie, blisko tyłu samolotu.

– Proszę to postawić na siedzeniu obok siebie. Czy to nie przecieka ani nic takiego? – spytała.

– Będę strzec jak oka w głowie – obiecałam.

– Powinniśmy tu mieć sporo wolnych miejsc, jeżeli za dużo ludzi nie przepisze się na pierwszą klasę. Ale niech się pani nie martwi. Pokieruję nimi – wykonała rękami ruch, jakby trzymała kierownicę.

Nikt nie zbliżył się do mnie ani do mojego pudła. Spokojnie wypiałam kawę i chociaż czułam się jak naga bez pagera i telefonu, cieszyłam się swoją samotnością. Na lotnisku w Atlancie pojechałam najpierw ruchomym chodnikiem, potem ruchomymi schodami, jednymi i drugimi, nim się wydostałam i wsiadłam do taksówki.

Przejechaliśmy 85 Północną do Druid Hills Road, mijaliśmy najpierw wypożyczalnie samochodów i lombardy, później pola chwastów i wielkie centra sklepowe. Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC) znajdowało się wśród parkingów Emory University. CDC mieściło się po drugiej stronie Amerykańskiego Towarzystwa do Walki z Rakiem, w pięciopiętrowym budynku z brązowej cegły z szarym wykończeniem. Zameldowałam się w recepcji ze strażnikami i telewizją w obwodzie zamkniętym.

– To ma iść na Bio L-4, gdzie spotykam się z doktorem Bretem Martinem w atrium – wyjaśniłam.

– Będzie pani potrzebowała eskorty – odezwał się jeden ze strażników.

– Świetnie – odpowiedziałam, sięgając po telefon. – Zawsze się gubię.

Poszłam za nim na tył budynku, gdzie obowiązywały bardzo silne środki ostrożności. Wszędzie były kamery, szyby kuloodporne, a korytarze stanowiły wiszące kładki z metalowych krat. Minęliśmy laboratoria

bakteriologiczne i grypowe, i pomieszczenia z czerwonej cegły dla wścieklizny i AIDS.

– Robi wrażenie – powiedziałam, bo nie byłam tu od kilku lat.

– Tak, na pewno. Są tu wszelkie możliwe zabezpieczenia. Kamery, detektory ruchu przy wszystkich wejściach i wyjściach. Wszystkie śmieci są gotowane i palone, stosuje się filtr powietrza, więc wszystko, co przechodzi, jest zabijane. Poza naukowcami – zaśmiał się, wsuwając kartę, aby otworzyć drzwi. – A jakie złe wiadomości pani przynosi?

– Właśnie tu chcę się dowiedzieć – powiedziałam w momencie, gdy doszliśmy do atrium.

BL-4 był miał kształt olbrzymiego hełmu z grubymi ścianami z betonu i stali. Był to budynek w budynku, z oknami zasłoniętymi żaluzjami. Laboratoria znajdowały się za grubymi ścianami ze szkła, a jedynymi naukowcami w niebieskich kombinezonach, którzy pracowali mimo przymusowego dnia wolnego, byli ci, którzy zawsze przychodzili, bo przejmowali się swoją pracą.

– Co to jest z tym rządem – mój przewodnik kręcił głową. – Co oni sobie myślą? Że takie choroby jak Ebola będą czekać, aż budżet się poprawi? – Znów pokręcił głową.

Prowadził mnie wzdłuż dużych, ciemnych izolatek, laboratoriów, w których nie było nikogo, pustych klatek na króliki w korytarzu i pomieszczeń dla człekokształtnych. Przez szkło i kraty spojrzała na mnie małpa o tak ludzkim spojrzeniu, że się zdenerwowałam. Pomyślałam o tym, o czym mówiła Rose. *Dokum* zostawił włosy małpy i królika na ofierze, którą badałam, a której on dotykał. Mógł pracować w takim miejscu.

– Obrzuca panią odpadami – ostrzegł strażnik, gdy szliśmy dalej. – Tak samo jak robią obrońcy praw zwierząt. Nawet pasuje, co?

Byłam coraz bardziej niespokojna.

– Dokąd idziemy? – spytałam.

– Tam, dokąd pan doktor kazał panią przyprowadzić – odpowiedział.

Byliśmy już na kładce na następnym poziomie, zmierzając do innej części budynku. Weszliśmy do pomieszczenia, w którym zamrażarki Revco z ekstremalnie niskimi temperaturami wyglądały jak komputery wielkości dużych kopiarek. Stały zamknięte i wyglądały trochę dziwnie w tym miejscu. Tu właśnie czekał na mnie potężny mężczyzna w fartuchu laboratoryjnym. Miał delikatne blond włosy, jak dziecko, i bardzo się pocił.

– Nazywam się Bret Martin – powiedział, wyciągając rękę. – Dziękuję – kiwnął głową do strażnika, że może się oddalić.

Wręczyłam Martinowi moje pudełko.

– Tu przechowujemy nasz zapas ospy – wskazał na zamrażarki, kładąc na jednej z nich moje pudełko. – Zamknięte w temperaturze minus siedemdziesięciu stopni Celsjusza. Cóż mogę powiedzieć. – Wzruszył ramionami. – Te zamrażarki stoją w holu, bo gdzie indziej nie ma na nie miejsca. Co za przypadek, że daje mi pani właśnie to. Nie sądzę zresztą, że pani choroba jest taka sama.

– Wszystko to jest ospa? – spytałam rozglądając się.

– Nie wszystko i nie na długo, bo po raz pierwszy na świecie świadomie postanowiliśmy wyeliminować ten gatunek.

– To ironia losu, skoro ten właśnie gatunek wyeliminował miliony.

– Więc uważa pani, że powinniśmy to źródło choroby wsadzić do autoklawu.

Wyraz jego twarzy mówił to, co zwykłam słyszeć. Życie było znacznie bardziej skomplikowane, niż ja je przedstawiałam, i tylko tacy ludzie, jak on, rozróżniali subtelne odcienie.

– Nie mówię, że powinniśmy zniszczyć wszystko – powiedziałam. – Wcale tak nie uważam. Właściwie, to nie powinniśmy. Z powodu tego.

Spojrzałam na pudełko, które właśnie mu dałam.

– Zniszczenie przez nas wirusa ospy z pewnością nie oznacza, że ona zniknie. Myślę, że to tak jak z każdą inną bronią.

– Tu się zgadzamy. Z chęcią bym się dowiedział, gdzie Rosjanie przechowują w tej chwili swój zapas wirusa i czy sprzedali go już trochę na Bliski Wschód i do Korei Północnej.

– Zbada pan to? – spytałam.

– Tak.

– W tej chwili?

– Tak szybko, jak się tylko da.

– Proszę – powiedziałam. – To jest bardzo pilne.

– Dlatego tutaj sterczę – odpowiedział – chociaż rząd nie uważa, że bym był niezbędny. Powinienem być w domu.

– Mam zdjęcia, które USAMRIID był łaskaw wywołać, kiedy przebywałam w pudle – powiedziałam z lekką ironią.

– Proszę mi je pokazać.

Pojechaliśmy windą z powrotem na górę i wysiedliśmy na czwartym piętrze. Zaprowadził mnie do sali konferencyjnej, gdzie personel zbierał się, żeby ustalić strategię przeciwko ciężkim epidemiom, które nie zawsze można było zidentyfikować. Zazwyczaj bakteriologowie, epidemiolodzy, ludzie odpowiedzialni za kwarantannę, rozprzestrzenianie się, patogenezę i PCR zbierali się w tym pokoju. Ale tym razem było spokojnie, nie było nikogo oprócz nas.

– Teraz – powiedział – niech mi to pani pokaże.

Wyciągnęłam z torebki grubą kopertę, a on zaczął przeglądać fotografie. Przez moment patrzył jak zahipnotyzowany na kolorowe zdjęcia korpusu i

te, na których była Lila Pruitt.

– O Boże – powiedział. – Musimy natychmiast sprawdzić możliwości zarażenia. Wszystkich, którzy mogli mieć kontakt. I to szybko.

– Możemy to zrobić na Tangierze.

– Z pewnością nie jest to ani wietrzna ospa, ani odra. Nie ma mowy. Jest to jakaś choroba ospopodobna.

Przejrzał zdjęcia odrąbanych dłoni i stóp przerażonym wzrokiem.

– Jezu! – Patrzył nieruchomo. W jego okularach odbijało się światło. – Co to jest, do diabła?

– Nazywa siebie *dokumem* – wyjaśniłam. – Przesłał mi pliki graficzne przez pocztę elektroniczną. Oczywiście anonimowo. FBI usiłuje go złapać.

– A tę ofiarę tutaj to on rozczłonkował?

Skinęłam głową.

– Ma również objawy podobne do ofiary z Tangieru. – Patrzył na pęcherzyki na tułowiu.

– Jak dotąd, tak.

– Wie pani, od lat niepokoi mnie małpia ospa. Przebadaliśmy Afrykę Zachodnią, od Zairu do Sierra Leone, gdzie występowały takie przypadki, wraz z białą ospą. Na razie nie pojawił się wirus ospy. Ale boję się, że kiedyś w królestwie zwierząt pojawi się jakiś wirus ospy, który znajdzie sposób, żeby zarażać ludzi. – Znow pomyślałam o mojej rozmowie z Rose, o morderstwie i włosach zwierzęcych. – Wystarczy, że mikroorganizm dostanie się do powietrza i trafi na podatnego żywiciela. – Znow powrócił do tematu Lili Pruitt i jej biednego, wyniszczonego ciała na łożu śmierci. – Ona była narażona na taką dawkę wirusa, że spowodował wyniszczającą śmierć – powiedział tak przejęty, że wydawało się, jakby mówił do siebie.

– Panie doktorze – spytałam. – Czy małpy dostają małpiej ospy, czy są tylko nosicielami?

– Dostają i przekazują, jeśli jest kontakt ze zwierzętami, jak w lasach tropikalnych w Afryce. Istnieje na świecie dziewięć znanych wirusów ospy, ale ludziom przekazywane są tylko dwa. Wirus *Variola*, czyli czarna ospa, której dzięki Bogu już nie spotykamy, i *Molluscum contagiosum*.

– Wśród śladów, jakie przyłgnęły do korpusu, znajdował się włos małpy. Obrócił się do mnie i zmarszczył.

– Co?

– Oraz włos królika. Zastanawiam się, czy ktoś tutaj nie prowadzi własnych eksperymentów w laboratorium.

Wstał od stołu.

– Zaraz się tym zajmę. Jak panią można znaleźć?

– Wracam do Richmondu. – Dałam mu moją wizytówkę, gdy wychodziliśmy z sali konferencyjnej. – Czy ktoś mógłby mi zamówić taksówkę?

– Oczywiście. Któryś ze strażników przy wejściu. Obawiam się, że żadnych urzędników nie ma. – Przycisnął łokciem guzik od windy, bo trzymał moje pudło. – To jest koszmar. Mamy salmonellę w Orlando od niepasteryzowanego soku pomarańczowego, możliwość wybuchu epidemii na statku turystycznym z powodu *E. coli*, prawdopodobnie znów niedosmażony befsztyk. Zatrucie jadem kiełbasianym na Rhode Island i jakaś choroba dróg oddechowych w domu starców. A Kongres nie chce nas finansować.

– Mnie pan to mówi.

Zatrzymywaliśmy się na każdym piętrze, czekając, aż inni wejdą. Martin cały czas mówił.

– Niech pani sobie wyobrazi – ciągnął – że mamy miejscowość w Iowa z podejrzeniem o czerwonkę, z powodu przelanych przez opady deszczu prywatnych studni, i nie możemy tym zainteresować odpowiednich władz.

– To się nazywa *mission impossible* – powiedział ktoś ironicznie, gdy znów otworzyły się drzwi.

– Mamy czternaście tysięcy telefonów rocznie i tylko dwie telefonistki – wyzalał się Martin. – A w tej chwili żadnej. Telefony odbiera każdy, kto przechodzi, łącznie ze mną.

– Proszę, niech to nie czeka – powiedziałam, gdy dotarliśmy do holu.

– Niech się pani nie martwi. – Zaangażował się w to. – Mam trzech ludzi, do których zaraz zadzwonię z domu.

Czekałam w holu pół godziny, załatwiając telefony, nim nadjechała wreszcie moja taksówka. Jechałam w milczeniu, patrząc na marmurowe i granitowe centra handlowe i kompleksy sportowe srebrno-szklane, przypominające o Olimpiadzie. W Atlancie wszystko pięło się wyżej, nawet fontanny. Czułam zimno, pustkę w głowie i zmęczenie niezwykle jak na osobę, która właśnie spędziła większą część tygodnia w łóżku. Nim dotarłam do stanowiska Delt na lotnisku, bolały mnie plecy. Nie mogłam się rozgrzać, nie mogłam myśleć, czułam tylko, że mam gorączkę.



Kiedy nareszcie doleciałam do Richmondu, byłam już chora. Przy wyjściu z lotniska czekał na mnie Marino. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Jezu, pani doktor – powiedział – wyglądasz koszmarnie.

– Czuję się koszmarnie.

– Masz jakieś torby?

– Nie. Masz jakieś wiadomości?

– Tak. Jedna cię na pewno wkurzy. Ring zaaresztował wczoraj wieczorem Keitha Pleasantsa.

– Za co? – wykrzyknęłam i rozkaszałam się.

– Za usiłowanie obejścia prawa. Ring rzekomo jechał za nim, kiedy Pleasants wracał z wysypiska, i chciał go zatrzymać za przekroczenie prędkości, Pleasants podobno nie chciał się zatrzymać. Więc jest w więzieniu, a kaucję ustalono na pięć tysięcy, wyobrażasz sobie? Na razie nigdzie stamtąd nie wyjdzie.

– Nękanie. – Wydmuchałam nos. – Ring przyczepił się do niego. Przyczepił się do Lucy. Przyczepił się do mnie.

– Nie wygłupiaj się. Może lepiej by było, żebyś została w Marylandzie, w łóżku – powiedział, gdy wsiadaliśmy do windy. – Nie obrażaj się, ale czy tego od ciebie nie złapię?

Marino bał się panicznie wszystkiego, czego nie widział, czy to był wirus, czy promienie.

– Nie wiem, co mam. Może to grypa.

– Jak ostatnio miałem grypę, to byłem nieczynny przez dwa tygodnie. – Wyszliśmy już z windy, ale on zwolnił, więc szedł za mną. – Poza tym miałaś kontakt z różnymi świństwami.

– Więc nie zbliżaj się do mnie, nie dotykaj mnie ani nie całuj – powiedziałam krótko.

– Hej, nie przejmuj się.

Ciągnęło się to, aż wyszliśmy na dwór; było chłodne popołudnie.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Pojadę taksówką do domu. – Byłam tak wściekła na niego, że mało się nie popłakałam.

– Nie chcę, żebyś to robiła – Marino wyglądał na przestraszonego i był podenerwowany.

Pomachałam ręką i próbowałam zakryć twarz, gdy podjeżdżała do mnie taksówka z korporacji Blue Bird.

– Niepotrzebna ci grypa, Rose też niepotrzebna. Nikomu niepotrzebna – powiedziałam ze złością. – Wiesz, właściwie nie mam gotówki. To jest straszne. Popatrz na mój kostium. Myślisz, że w autoklawie prasują albo że zostawiają miły zapach? Nie mam płaszcza, nie mam rękawiczek, a tu co? – Otworzyłam nagłym ruchem drzwi taksówki. – Poniżej zera?

Marino wpatrywał się we mnie, jak wsiadałam. Wręczył mi banknot dwudziestodolarowy, uważając przy tym, żeby jego palce nie zetknęły się z moimi.

– Potrzebujesz czegoś ze sklepu? – spytał, gdy odjeżdżałam.

Byłam opuchnięta od łez. Wygrzebałam chusteczki z torebki, wydmuchałam i wytarłam nos, popłakując po cichu.

– Nie chcę być namolny – zwrócił się do mnie taksówkarz, gruby, starszy mężczyzna – ale dokąd jedziemy?

– Windsor Farms. Pokażę panu, kiedy będziemy blisko – powiedziałam przez łzy.

– Kłótnie – powiedział, kiwając głową. – Nie lubimy ich, co? Pamiętam, pokłóciłem się raz z żoną w jednym z tych zajazdów rybnych. Ona wzięła samochód. Ja na piechotę. Pięć mil do domu przez podejrzaną okolicę.

Potrząsał głową, spoglądając na mnie we wstecznym lusterku, myślał pewnie, że między mną a Marinem to była zwykła kłótnia kochanków.

– Więc pani jest żoną gliniarza? – ciągnął. – Widziałem go, jak wjeżdżał. Nie ma takiego nieoznakowanego samochodu policyjnego, którego nie rozpoznam. – Dumnie uderzył się w pierś.

Głowa mi pękała, twarz płonęła. Osunęłam się do tyłu na siedzenie i zamknęłam oczy, podczas kiedy on bajdurzył dalej o dawnym życiu w Filadelfii i o tym, że ma nadzieję, że tej zimy nie będzie za dużo śniegu.

Zapadłam w niespokojny sen. Kiedy się obudziłam, nie wiedziałam, gdzie jestem.

– Psze pani. Psze pani! Już jesteśmy – taksówkarz mówił głośno, starając się mnie obudzić. – Gdzie teraz?

Właśnie skręcił w Canterbury i stał przy znaku stop.

– Prosto, a potem w prawo na Dover – odpowiedziałam.

Pilotowałam go aż do mojej okolicy. Na jego twarzy malowało się coraz większe zdumienie, kiedy mijał eleganckie rezydencje za murami, w najbogatszej okolicy w mieście. Kiedy zatrzymał się przed moimi drzwiami, gapił się na murek z polnych kamieni, zalesiony teren wokół domu i uważnie mi się przypatrywał, gdy wysiadałam.

– Proszę się nie martwić – powiedział, kiedy wręczyłam mu dwudziestodolarówkę, mówiąc, żeby zatrzymał resztę. – Wszystko widziałem, proszę pani, ale nic nie powiem – zasznurował usta, puszczając do mnie oko.

Byłam żoną bogatego faceta, mającą namiętny romans z policjantem.

– Dobra zasada – odpowiedziałam, kaszląc.

Alarm antywłamaniowy powitał mnie ostrzegawczym piknięciem i nigdy jeszcze nie czułam się tak bezpieczna, wracając do domu. Nie traciłam czasu, tylko zrzuciłam z siebie nagrzane ubranie i weszłam pod gorący prysznic, gdzie wdychałam parę i starałam się pozbyć rzeżenia w płucach. Kiedy owijałam się w gruby frottowy szlafrok, zadzwonił telefon. Była dokładnie czwarta po południu.

– Doktor Scarpetta? – to był Fielding.

– Właśnie wróciłam do domu – odpowiedziałam.

– Słysząc, że jesteś chora.

– Bo jestem.

– No cóż, moja wiadomość ci nie pomoże – powiedział. – Znaleźli dwa następne przypadki na Tangierze.

– O nie!

– Matka i córka. Powyżej czterdziestu stopni gorączki, wysypka. CDC wysłało tam grupę ze specjalnymi izolowanymi łózkami.

– A co z Wingiem?

Przerwał jakby zmieszany.

– W porządku, dlaczego pytasz?

– Pomagał przy korpusie – przypomniałam mu.

– Ach, tak. No cóż, czuje się zwyczajnie.

Uspokojona usiadłam, zamykając oczy.

– Co się dzieje z próbkami, które zabrałaś do Atlanty? – spytał.

– Przeprowadzają testy, mam nadzieję, chociaż niewielu ludzi uda im się zebrać.

– Więc wciąż nie wiemy, co to jest?

– Wszystko wskazuje na to, że to ospa, Jack – powiedziałam. – Tak w każdym razie to do tej pory wygląda.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. A ty?

– Nigdy przedtem. Chyba tylko trąd jest gorszy. Jest wystarczająco groźna, żeby od niej umrzeć, ale jeszcze przedtem być zeszpeconym, to jest okrutne. – Znów zakaszlałam i strasznie chciało mi się pić. – Zobaczymy się rano i zastanowimy, co robić.

– Sądząc po głosie, nie wydaje mi się, że powinnaś gdziekolwiek wychodzić.

– Masz całkowitą rację. Nie mam wyboru.

Odłożyłam słuchawkę i próbowałam się połączyć z Bretem Martinem z CDC, ale zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka, a on sam do mnie nie oddzwonił. Zostawiłam też wiadomość dla Fujitsubo, ale on również się nie

odezwał, i podejrzewałam, że jest w domu jak większość jego kolegów. Wojna budżetowa toczyła się dalej.

– Cholera – klęłam, stawiając czajnik na gazie i zagłębiając się w kredensie w poszukiwaniu herbaty. – Cholera, cholera, cholera.

Nie było jeszcze piątej, kiedy zadzwoniłam do Wesleya. W Quantico przynajmniej ludzie jeszcze pracowali.

– Bogu dzięki, że ktoś jeszcze gdziekolwiek odbiera telefony – wypaliłam jego sekretarce.

– Jeszcze nie odkryli, że jestem tu niepotrzebna – powiedziała.

– Czy on jest?

Wesley podszedł do telefonu i jego głos brzmiał tak energicznie i wesoło, że momentalnie się wściekłam.

– Nie masz prawa czuć się tak dobrze – powiedziałam.

– Masz grypę.

– Nie wiem, co mam.

– Ale to jest grypa, co? – martwił się i nastrój zaraz mu się zmienił.

– Nie wiem. Możemy tylko przypuszczać.

– Nie chcę być histerykiem...

– Więc nie bądź – przerwałam mu.

– Kay – powiedział zdecydowanym tonem. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeśli to nie jest grypa? – Nic nie odpowiedziałam, bo nie mogłam znieść takiej myśli. – Proszę, nie lekceważ tego. Nie udawaj, że to nic takiego, jak robisz z wszystkim innym w życiu.

– Teraz to ty mnie wkurzasz. Przylatuję na to cholerne lotnisko i Marino nie chce mnie wziąć do swojego samochodu, więc biorę taksówkę i taksówkarz myśli, że mamy romans i mój bogaty mąż nic nie wie, i przez cały czas mam gorączkę, i boli mnie jak cholera, i chcę wrócić do domu.

– Taksówkarz myśli, że wy macie romans?

– Nieważne.

– Skąd wiesz, że masz grypę? Że to nie jest nic innego?

– Nie mam wysypki. Czy to chcesz usłyszeć?

Zapadła długa cisza. Potem powiedział: – A co, jeśli będziesz mieć?

– Wtedy najprawdopodobniej umrę – znów zakaszlałam. –
Prawdopodobnie nigdy już mnie nie dotkniesz. I nie chcę, żebyś mnie
widział, jeżeli to tak się potoczy. Łatwiej się jest martwić o przemytników,
seryjnych morderców, ludzi, których możesz rozwalić pistoletem. Ale
zawsze bałam się tych niewidzialnych. Przychodzą do ciebie w słoneczny
dzień, w miejscu publicznym. Dostają się do twojej lemoniady. Byłam
szczepiona na wirusowe zapalenie wątroby typu B. Ale to tylko jeden
zabójca z całej populacji. A co z gruźlicą i HIV, i Hanta, i Ebola? Co z tym
wszystkim? – wzięłam głęboki oddech. – Zaczęło się z tym korpusem, a ja
nie wiedziałam.

– Słyszałem o dwóch nowych przypadkach – powiedział, a jego głos stał
się cichy i spokojny. – Mogę być u ciebie za trzy godziny. Czy chcesz się ze
mną zobaczyć?

– Teraz nie chcę się z nikim widzieć.

– Nie szkodzi. Już jadę.

– Benton – powiedziałam. – Nie.

Ale on był już zdecydowany i kiedy wjeżdżał na mój podjazd swoim
głośnym BMW, była prawie północ. Spotkałam go we drzwiach, nie
dotknęliśmy się.

– Usiądźmy przed kominkiem – powiedział.

Tak zrobiliśmy, był na tyle miły, że przyniósł mi jeszcze jedną filiżankę
bezkofeinowej herbaty. Usiadłam na kanapie, on w fotelu. Płomienie w
gazowym kominku objęły sztuczną kłodę. Przygasiłam światła.

– Nie wątpię w twoją teorię – powiedział, bawiąc się kieliszkiem z koniakiem.

– Może jutro będziemy wiedzieli coś więcej. – Patrzyłam w ogień, czułam dreszcze, a jednocześnie się pociłam.

– Na razie gównu mnie to wszystko obchodzi – powiedział ostro i spojrzał na mnie.

– Musi cię to obchodzić. – Otarłam czoło rękawem.

– Nie. Tylko ty mnie obchodzisz – powiedział. Dalej się nie odzywałam.

– Kay. – Ujął mnie za ramię.

– Nie dotykaj mnie, Benton. Nie. – Zamknęłam oczy. – Nie chcę, żebyś ty też zachorował.

– Widzisz, tak ci jest wygodnie. Być chorą, żebym cię nie dotykał. A ty, szlachetny lekarz, bardziej troszczysz się o moje dobro niż własne.

Milczałam, z mocnym postanowieniem, żeby nie płakać.

– Bardzo wygodne. Chcesz być chora, żeby nikt się do ciebie nie zbliżał. Marino nie może nawet cię podwieźć do domu, ja nie mogę ciebie dotknąć. Lucy nie może się z tobą zobaczyć, a Janet musi rozmawiać przez szybę.

– O co ci chodzi?

– Zaburzenie funkcjonalne.

– Aha. Pewnie cię tego uczyli na studiach, na psychologii albo coś takiego.

– Nie wyśmiewaj się ze mnie.

– Nigdy tego nie robiłam.

Czułam jego ból, nawet z zamkniętymi oczami, odwrócona w stronę kominka.

– Kay, nie umieraj mi. – Nic nie mówiłam. – Nie waż się! – Głos mu zadrżał. – Ani mi się waż!

– Nie uwolnisz się ode mnie tak łatwo – powiedziałam, wstając. – Chodźmy spać.

Spałam w pokoju, w którym zwykle mieszkała Lucy, a ja przez większość nocy nie mogłam zasnąć, kaszlałam i przewracałam się, bo nie potrafiłam sobie znaleźć wygodnej pozycji. Następnego ranka o wpół do siódmej byłam już na nogach i kiedy weszłam do kuchni, kawa się zaparzała. Przez drzewa za oknami prześwitywało światło, a po zwiniętych liściach rododendrona poznałam, że jest bardzo zimno.

– Robię śniadanie – oznajmił Wesley. – Co ma być?

– Chyba nie będę w stanie. – Byłam osłabiona, a kiedy zakaszlałam, myślałam, że mi się płuca rozerwą na strzępy.

– Najwyraźniej gorzej się czujesz. Powinnaś iść do lekarza.

– Jestem lekarzem. Poza tym jeszcze za wcześnie, żeby iść do lekarza.

Wzięłam aspirynę, coś na kaszel, tysiąc miligramów witaminy C. Zjadłam obwarzanek i zaczynałam się czuć prawie jak człowiek, kiedy zadzwoniła Rose i mnie pogrzywała.

– Pani doktor? Matka z Tangieru zmarła dziś wcześnie rano.

– O Boże, nie. – Siedziałam przy stole kuchennym, rozczesując palcami włosy. – A co z córką?

– Stan jest poważny. A w każdym razie był, kilka godzin temu.

– A ciało?

Wesley stał za mną, masując mi obolałe ramiona i kark.

– Jeszcze go nie ruszyli. Nikt nie wie, co zrobić, a Biuro Koronera z Baltimore próbowało panią złapać. Tak samo CDC.

– Kto w CDC?

– Jakiś doktor Martin.

– Muszę najpierw skontaktować się z nim, Rose. A ty tymczasem skontaktuj się z Baltimore i powiedz im, żeby w żadnym wypadku nie

posyłała ciała do swojego prosektorium, póki im nie dam znać. Jaki jest numer doktora Martina?

Zadzwoń tam natychmiast, a on odezwał się po pierwszym sygnale.

– Przebadaliśmy próbki, które pani przywiozła. Trzy badania i w dwóch pierwszych otrzymaliśmy wyniki odpowiadające ospie, ale w trzecim nie.

– Więc to jest ospa czy nie?

– Wykonaliśmy badania genotypu i nie odpowiadają żadnemu wirusowi ospy w żadnym laboratorium na świecie. Myślę, pani doktor, że ten wirus to jakiś mutant.

– To znaczy, że szczepionka na ospę nie będzie działać – stwierdziłam i poczułam, że mi serce zamiera.

– Jedyne, co możemy zrobić, to przetestować w laboratorium na zwierzętach. Ale to potrwa co najmniej tydzień, nim będziemy coś wiedzieć i będziemy mogli dopiero zacząć myśleć o nowej szczepionce. Dla celów praktycznych nazywamy to na razie ospą, ale nie wiemy, co to za cholerstwo. Chciałbym pani tylko przypomnieć, że nad szczepionką przeciwko AIDS pracujemy od 1986 roku i nie posunęliśmy się od tego czasu ani trochę.

– Wyspę Tangier należy natychmiast izolować. Musimy to opanować – wykrzyknęłam, prawie panikując.

– Niech mi pani wierzy, wiemy o tym. Zbieramy właśnie ekipę i mobilizujemy Straż Przybrzeżną.

Wyłączyłam się i z przerażeniem powiedziałam do Wesleya: – Muszę jechać. Mamy wybuch czegoś, o czym jeszcze nikt nie słyszał. Zginęły już co najmniej dwie osoby. Może trzy, może cztery. – Szedł za mną do holu, a ja mówiłam. – To jest ospa, ale nie ospa. Musimy się dowiedzieć, jak jest przekazywana. Czy Lila Pruitt знаła kobietę, która właśnie zmarła? Czy miały w ogóle jakiś kontakt z sobą, a może córka miała? Czy w ogóle

mieszkały w pobliżu? A co z wodą? Wieża ciśnień. Niebieska. Pamiętam, że ją widziałam.

Ubierałam się. Wesley stał w drzwiach z kamienną twarzą, prawie szarą.

– Chcesz tam znów pojechać – domyślił się.

– Najpierw muszę pojechać do miasta. – Popatrzyłam na niego.

– Poprowadzę – powiedział.

Wesley wysadził mnie i powiedział, że jedzie do biura terenowego w Richmondzie i skontaktuje się ze mną później. Moje obcasy stuknęły głośno, gdy szłam korytarzem, witając się z pracownikami. Gdy weszłam, Rose rozmawiała przez telefon, a widok mojego biurka przez sąsiednie drzwi był porażający. Setki raportów i świadectw zgonu czekały na podpisanie, a poczta i wiadomości telefoniczne wysypywały się z mojej teczki.

– Co to jest? – powiedziałam, kiedy skończyła rozmawiać. – Można by pomyśleć, że wyjechałam na cały rok.

– Tak się wydaje.

Wcierała krem w dłonie, a ja zauważyłam małe opakowanie aromaterapeutycznego sprayu do twarzy Vita na skraju swojego biurka, a następnie otwartą tubę do przesyłek pocztowych. Takie samo stało na biurku Rose, obok buteleczki z Vaseline Intensive Care. Wodziłam wzrokiem od swojego sprayu Vita do jej i z powrotem, a podświadomość rejestrowała to, co widziałam, prędzej niż rozum. Wszystko zaczęło mi się rozmazywać przed oczami i oparłam się o futrynę drzwi. Rose zerwała się, aż jej fotel na kółkach potoczył się daleko, i rzuciła się do mnie.

– Pani doktor!

– Skąd to masz? – spytałam, wpatrując się w spray.

– To tylko próbka – wyglądała na zmieszaną. – Trochę ich przyszło dziś pocztą.

– Czy już tego używałaś?

Teraz była naprawdę zaniepokojona, kiedy patrzyła na mnie.

– No cóż, to dopiero co przyszło. Jeszcze tego nie próbowałam.

– Nie dotykaj tego! – powiedziałam ostro. – Kto jeszcze to dostał?

– Jezu... nie wiem. A co to jest? Coś nie tak? – uniosła głos.

Wziąwszy rękawice ze swojego gabinetu, zdjęłam spray z jej biurka i opakowałam w trzy torebki.

– Wszyscy do sali konferencyjnej, natychmiast!

Przebiegłam do głównego biura i ogłosiłam to samo. W ciągu kilku minut zebrał się cały personel, łącznie z lekarzami w fartuchach. Niektórzy nie mogli złapać oddechu, wszyscy wpatrywali się we mnie, podenerwowani i zmęczeni.

Podniosłam przezroczystą plastikową torebkę na dowody rzeczowe, z próbką sprayu Vita.

– Kto ma coś takiego? – spytałam, rozglądając się po sali.

Cztery osoby podniosły ręce.

– Kto tego używał? Muszę wiedzieć, jeśli ktokolwiek z was to zrobił.

Cleta, urzędniczka z głównego biura, wyglądała na wystraszoną.

– Dlaczego? Co się stało?

– Czy rozpylałaś to na twarz? – spytałam.

– Na moje rośliny.

– Rośliny opakować i spalić – powiedziałam. – Gdzie jest Wingo?

– W MCV.

– Nie wiem tego na pewno – powiedziałam do wszystkich – i modłę się, żeby to była pomyłka, ale możemy mieć do czynienia z manipulacją produktem. Nie panikujcie, ale pod żadnym pozorem niech nikt nie dotyka tego sprayu. Czy wiemy dokładnie, jak został dostarczony?

Odezwała się Cleta: – Dzisiaj rano wchodziłam frontowymi drzwiami, jeszcze przed wszystkimi. Jak zwykle przez szparę wsunięte były raporty policyjne, a oprócz tego to. Były w małych, wysyłkowych tubach. Jedenaście. Wiem na pewno, bo policzyłam, czy dla wszystkich wystarczy.

– Ale nie przyniósł ich listonosz. Po prostu wrzucono je przez szparę na listy w drzwiach.

- Nie wiem, kto je przyniósł, ale wyglądały jak przysłane pocztą.
- Proszę zaraz przynieść wszystkie te opakowania, które macie – powiedziałam.

Dowiedziałam się, że nikt ich jeszcze nie używał, i wszystkie zostały zebrane i przyniesione do mojego gabinetu. Założyłam bawełniane rękawiczki, okulary i zaczęłam badać przesyłkę, przeznaczoną dla mnie. Opłata pocztowa była zryczałtowana i wyglądało to na autentyczną próbkę producenta, ale dziwne było, że takie coś adresowano imiennie do odbiorców. Wewnątrz tuby znajdował się kupon na spray. Spojrzałam na niego pod światło i zauważyłam, że miał odrobinę nierówne brzegi, jakby wycinane nożyczkami, a nie maszyną.

- Rose? – zawołałam.
- Weszła do mojego gabinetu.
- Do kogo była zaadresowana ta tuba, którą masz?
 - Chyba do stażysty.
 - Więc jedyna z nazwiskiem jest do mnie.
 - Tak myślę. To straszne.
 - Masz rację. – Wzięłam tubę do ręki. – Popatrz: litery są tej samej wielkości, znaczek nalepiony na tej samej kartce, co adres. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.
 - Jakby wyszło z komputera – powiedziała z rosnącym zdumieniem.
 - Idę na drugą stronę ulicy do laboratorium DNA. – Wstałam. – Zadzwoń do pułkownika Fujitsubo, że musimy zorganizować naradę między nim, nami, CDC i Quantico, zaraz.
 - Gdzie pani chce to zrobić? – spytała, gdy byłam już prawie za drzwiami.
 - Nie tutaj. Zorientuj się, co Benton powie.

Przebiegłam obok swojego parkingu i przeszłam na drugą stronę ulicy Czternastej. Weszłam do budynku, do którego już kilka lat temu przeniosły się laboratoria DNA i inne, należące do medycyny sądowej. Zadzwoiłam od strażników do szefa sekcji, doktor Douglas Wheat, której nie wiadomo dlaczego nadano męskie imię.

– Potrzebuję kapsuły z zamkniętym systemem powietrznym – wyjaśniłam.

– Wchodź.

Długi, schodzący w dół hol, z zawsze błyszczącą podłogą, prowadził do oszklonych laboratoriów. Wewnątrz widać było zapracowanych naukowców, z pipetami, żelami, sondami radioaktywnymi, którzy wyczarowywali z fragmentów kodu genetycznego prawdziwą tożsamość. Wheat, która walczyła z papierkową robotą tak samo, jak ja, siedziała przy biurku, pisząc coś na komputerze. Była typem silnej kobiety, atrakcyjną, przyjazną czterdziestką.

– W co się tym razem wpakowałaś? – spytała i uśmiechnęła się, patrząc na moją torbę. – Aż się boję pytać.

– Prawdopodobna ingerencja w produkt – poinformowałam. – Muszę rozpylić trochę na płytkę, ale nie może się to absolutnie dostać do powietrza, ani na mnie, ani nikogo innego.

– Co to takiego? – wstała, bardzo poważna.

– Być może wirus.

– Taki jak na Tangierze?

– Tak się obawiam.

– A nie sądzisz, że byłoby rozsądniej oddać to do CDC, niech oni...

– Douglas, wiem, to byłoby rozsądniej – wyjaśniałam cierpliwie, znów kaszłąc. – Ale nie mamy czasu. Muszę to wiedzieć. Nie mamy pojęcia, ile tego znalazło się w rękach konsumentów.

Jej laboratorium kodu genetycznego wyposażone było w kilka kapsuł z zamkniętym przepływem powietrza, otoczonych szklanymi ochraniaczami, ponieważ badano tutaj krew. Zaprowadziła mnie do jednego z tylnych pomieszczeń, założyłyśmy maski i rękawice, i dała mi fartuch laboratoryjny. Włączyła wentylator, który wciągał powietrze do kapsuł, przepuszczając je przez filtry HEPA.

– Gotowe? – spytałam, wyjmując spray z torby. – Zrobimy to szybko.

Przytrzymałam szklaną płytkę i mały kanister pod kapsułą i spryskałam.

– Zanurzymy to teraz w dziesięcioprocentowym wybielaczu – powiedziałam, gdy skończyłam. – Potem opakujemy potrójnie i wyślemy ten i pozostałe dziesięć do Atlanty.

– Pokazuje się – powiedziała Wheat, odchodząc.

Szkiełko wyszło prawie natychmiast. Zabarwiłam preparat i przykryłam drugim szkiełkiem. Oglądałam go już pod mikroskopem, gdy Wheat wróciła, niosąc roztwór wybielacza. Zanurzyła w nim spray Vita kilka razy, a mój strach przeistoczył się w straszny łomot w głowie i pulsowanie w szyi. Patrzyłam na ciała Guarnieriego, których tak się przeraźliwie bałam.

Kiedy spojrzałam na Wheat, wyczytała wszystko z mojej twarzy.

– Niedobrze – powiedziała.

– Niedobrze.

Wyłączyłam mikroskop i wyrzuciłam maskę i rękawice do pojemnika na śmiecie, stanowiące zagrożenie biologiczne.



Spraye Vita z mojego biura zostały przesłane drogą lotniczą do Atlanty. W całym kraju nadano komunikaty, ostrzegające przed takimi próbkami wszystkich, którzy mogli je dostać. Producent natychmiast odwołał rozdawanie próbek i wycofywano je błyskawicznie z kosmetyczek przeznaczonych dla pasażerów biznes i pierwszej klasy podczas lotów zagranicznych. Potencjalna możliwość rozprzestrzenienia się choroby, gdyby *dokum* zdołał jakoś manipulować przy setkach czy tysiącach tych sprayów do twarzy, była porażająca. Znow mogliśmy się znaleźć w obliczu epidemii na światową skalę.

Zebranie odbyło się o pierwszej w terenowym biurze FBI, niedaleko Staples Mill Road. Na wysokich masztach powiewały flagi stanowe i federalne, a silny wiatr strącał z drzew brązowe liście i popołudnie wydawało się jeszcze zimniejsze, niż było. Budynek był nowy i miał bezpieczną salę konferencyjną, wyposażoną w urządzenia audiowizualne, więc mogliśmy widzieć ludzi, z którymi rozmawialiśmy na odległość. Przy konsoli u szczytu stołu siedziała młoda agentka. Wesley i ja wysunęliśmy sobie krzesła i przybliżyliśmy mikrofony. Na ścianach nad nami umieszczone były monitory wideo.

– Kogo jeszcze się spodziewamy? – spytał specjalnego agenta dowodzącego, który właśnie wszedł z furą dokumentów pod pachą.

– Milesa – odpowiedział, mając na myśli komisarza do spraw zdrowia, mojego bezpośredniego przełożonego. – I Straży Przybrzeżnej. – Popatrzył w dokumenty. – Szef regionu z Crisfield w stanie Maryland. Śmigłowiec go przywozi, więc nie powinno mu to zająć więcej niż pół godziny.

Ledwo to powiedział, usłyszeliśmy z daleka słaby dźwięk. Po kilku minutach jayhawk zahuczał nam nad głowami i osiadł na lądowisku za budynkiem. Nie pamiętam, żeby kiedyś w naszym mieście lądował helikopter Straży Przybrzeżnej, i pewnie ludzie na ulicach byli mocno

zdziwieni. Szef straży Martinez ściągał po drodze kurtkę, podchodząc do nas. Zauważyłam, że był ubrany w mundurowy sweter i spodnie, miał przy sobie mapy zwinięte w tubusach, i cała sytuacja wydała mi się jeszcze bardziej ponura.

Agentka przy konsoli sprawdzała kontrolki, gdy wmaszerował komisarz Miles i usiadł przy mnie. Był to starszy pan, z burzą siwych włosów, znacznie bardziej niesforny niż większość ludzi, którymi kierował. Dzisiaj też kosmyki sterczały mu na wszystkie strony, podobnie jak krzaczaste brwi spod grubych, ciemnych okularów.

- Coś nietęgo wyglądasz – powiedział, robiąc jakieś notatki.
- A, coś teraz panuje – powiedziałam.
- Żebym wiedział, nie siadałbym koło ciebie. – Powiedział to poważnie.
- Już nie zarażam – odpowiedziałam, ale mnie nie słuchał.

Na jednym z monitorów pojawiła się twarz pułkownika Fujitsubo, po chwili zamrugał inny i zobaczyliśmy Breta Martina. Agentka przy konsoli zapowiedziała: – Kamery włączone. Mikrofony włączone. Niech ktoś policzy głośno.

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden – powiedział prowadzący.
- Dobry poziom dźwięku?
- U mnie dobry – odpowiedział Fujitsubo z Frederick w Marylandzie.
- U mnie też – odpowiedział Martin z Atlanty.
- Jesteśmy gotowi. – Agentka przy konsoli rozejrzała się po wszystkich.
- Chcę przypomnieć wszystkim, jaką mamy sytuację – zaczęłam. – Mamy wybuch choroby, która jest powodowana wirusem podobnym do ospy. Na razie wydaje się ograniczona do wyspy Tangier, osiemnaście mil od wybrzeży Wirginii. Dotychczas zanotowano dwa zgony, trzecia osoba chora. Jest prawdopodobne, że niedawna ofiara zabójstwa była również

zakazona wirusem. Podejrzewa się świadome zatrucie próbek sprayu do twarzy Vita.

– To nie zostało jeszcze stwierdzone – wtrącił Miles.

– Próbki powinny tu być lada moment – powiedział Martin z Atlanty. – Zaraz zaczniemy je badać i mamy nadzieję uzyskać odpowiedź do końca jutrzejszego dnia. Na razie wycofuje się je z obiegu, póki nie będziemy wiedzieć na pewno, z czym mamy do czynienia.

– Można wykonać PCR, żeby sprawdzić, czy to ten sam wirus – powiedział Miles do ekranów.

– To możemy zrobić – Martin skinął głową.

Miles rozejrzał się po pokoju.

– Więc co tu mamy? Mamy jakiegoś świra, takiego jak zabójca tylenolem, który postanowił użyć choroby jako broni? Skąd wiemy, czy te cholerne buteleczki nie są już podłożone wszędzie?

– Myślę, że zabójca się nie śpieszy – zaczął Wesley. – Zaczął od jednej ofiary. Gdy to się udało, zaczął na małej wyspie. Jak tam się powiodło, przeniósł się do jednego z urzędów wydziału zdrowia. – Popatrzył na mnie. – Pójdzie dalej, jeśli mu nie przerwiemy lub nie znajdziemy szczepionki. Kolejnym powodem, dla którego podejrzewam, iż na razie to jeszcze sprawa lokalna, jest fakt, że próbki są zapewne dostarczane ręcznie, z podrabianym oznakowaniem opłaty zryczałtowanej, aby sprawiać wrażenie, że zostały wysłane pocztą.

– Więc zdecydowanie uważasz to za manipulowanie przy produkcji – powiedział pułkownik Fujitsubo.

– Uważam to za terroryzm.

– I co jest jego celem?

– Tego jeszcze nie wiemy – odpowiedział Wesley.

– Ale jest to znacznie groźniejsze niż jakikolwiek zabójca tylenolem czy Unabomber – powiedziałam. – Tamci ograniczali się do osób, które zażyły kapsułkę lub otworzyły przesyłkę. Wirus może się rozprzestrzenić znacznie dalej niż pierwotna ofiara.

– Doktorze Martin, co pan może nam powiedzieć na temat tego konkretnego wirusa? – zapytał Miles.

– Mamy cztery tradycyjne metody badania ospy – popatrzył na nas poważnie z ekranu. – Mikroskopia elektronowa, dzięki której zaobserwowaliśmy wirus *Variola*.

– Ospa? – wykrzyknął Miles. – Jest pan pewien?

– Chwileczkę – przerwał mu Martin. – Niech skończę. Uzyskaliśmy również potwierdzenie przy użyciu żelu agaru. Kolejna metoda, wyhodowanie wirusa na kulturze kosmówki embrionów piskląt i kulturach innych tkanek, potrwa dwa, trzy dni, więc nie mamy jeszcze wyników, ale mamy wynik badania czwartego, PCR. Potwierdza ospę, ale nie wiemy którą. Jest to bardzo dziwne, nic, co dotychczas znaliśmy. Ani mała ospa, ani biała ospa, ani *Variola major*, ani *minor*, choć wydaje się spokrewniona..

– Doktor Scarpetta – włączył się Fujitsubo. – Czy może pani powiedzieć, co znajduje się w takim sprayu do twarzy?

– Woda destylowana i zapach. Nie ma wymienionych składników, ale na ogół wszystkie są takie.

Zanotował coś.

– Sterylne? – Spojrzał na nas z monitora.

– Mam nadzieję, bo radzą, żeby spryskiwać tym twarz i soczewki kontaktowe – odpowiedziałam.

– Wobec tego mam pytanie – ciągnął Fujitsubo przez satelitę – jak długo mogą zachować ważność te zatrute spraye? *Variola* nie jest zbyt żywotna w wilgoci.

– Słuszna uwaga – powiedział Martin, poprawiając słuchawkę. – Świetnie sobie radzi wysuszona i w temperaturze pokojowej może przeżyć miesiąc do roku. Jest wrażliwa na promienie słoneczne, ale wewnątrz pojemnika to nie problem. Nie znosi gorąca, ale wobec tego obecna pora roku jest idealna.

– Więc zależnie od tego, co ludzie zrobią po otrzymaniu takiej przesyłki, możemy tu mieć sporo niewypałów.

– Miejmy nadzieję – pocieszał nas Martin.

Włączył się Wesley: – Niewątpliwie przestępca, którego poszukujemy, posiada wiedzę na temat chorób zakaźnych.

– Musi mieć – powiedział Fujitsubo. – Wirus trzeba było wyhodować, rozprzestrzenić, a jeśli jest to przypadek terroryzmu, zna się co najmniej na podstawowych technikach laboratoryjnych. Wiedział, jak się z czymś takim obchodzić i jak ochronić siebie. Zakładamy, że tylko jedna osoba bierze w tym udział?

– Taka jest moja teoria, ale odpowiedź brzmi: nie wiemy – poinformował Wesley.

– Nazywa siebie *dokum* – powiedziałam.

– Jak doktor umarłych? – zdumiał się Fujitsubo. – Mówi nam, że jest lekarzem?

Znów trudno było mieć pewność, ale teraz trzeba było zadać najtrudniejsze pytanie.

– Doktorze Martin – spytałam, widząc jednocześnie, że Martinez rozsiada się wygodniej, by posłuchać – wiadomo, że pańska instytucja i laboratorium w Rosji są jedynymi miejscami, w których przechowuje się wyizolowane wirusy. Czy ma pan pomysł, jak ktoś mógłby się tam dostać?

– Właśnie – podchwycił Wesley. – Aczkolwiek jest to bardzo nieprzyjemna myśl, musimy sprawdzić listę pańskich współpracowników.

Czy ostatnio kogoś wyrzucono, zredukowano? Ktoś oszedł w ciągu ostatnich miesięcy czy lat?

– Nasze źródło wirusa *Variola* jest strzeżone tak starannie, jak pluton – odpowiedział bez wahania Martin. – Osobiście to sprawdziłem i mogę zapewnić, że nikt tam nie grzebał. Niczego nie brakuje. Poza tym niemożliwe jest dostanie się do zamkniętych na zamki zamrażarek bez pozwolenia i znajomości kodów alarmu.

Nikt nie odezwał się od razu, dopiero po chwili Wesley powiedział: – Myślę, że dobrze byłoby, gdybyśmy mieli listę ludzi upoważnionych z ostatnich pięciu lat. Według początkowego portretu psychologicznego jest to biały mężczyzna, około czterdziestki. Najprawdopodobniej mieszka sam, ale jeśli nie albo widuje się z kimś, ma część mieszkania, do której nikogo nie wpuszcza, jakieś laboratorium...

– Więc mówimy prawdopodobnie o jakimś byłym pracowniku laboratoryjnym – powiedział agent specjalny.

– Albo kimś w tym rodzaju – ciągnął Wesley. – Kimś wykształconym, z praktyką. Jest introwertykiem i opieram to stwierdzenie na kilku przesłankach, nie tylko na tendencji do pisania małymi literami. Nie stosuje interpunkcji, co świadczy o jego przekonaniu, że nie jest taki jak inni ludzie i nie obowiązują go te same zasady. Nie jest rozmowny i przez znajomych może być uważany za nieśmiałego lub trzymającego się na uboczu. Ma dużo czasu, ale co najważniejsze, uważa się za pokrzywdzonego przez system. Oczekuje przeprosin ze strony najwyższego urzędu w kraju, ze strony rządu, i sądzę, że jest to kluczowa motywacja.

– A więc jest to zemsta – powiedziałam. – Zwykła, prosta zemsta.

– Nigdy nie jest zwykła i prosta. Chciałbym, żeby tak było. Ale uważam, że zemsta jest kluczem do całej sprawy, więc musimy dostać od wszystkich instytucji rządowych, zajmujących się chorobami zakaźnymi, spisy

wszystkich pracowników, którym udzielono nagany, zwolniono, urlopowano, cokolwiek, w ciągu ostatnich miesięcy czy lat.

Fujitsubo odchrząknął.

– Więc porozmawiajmy o logistyce.

Nadeszła kolej Straży Przybrzeżnej na przedstawienie planu. Martinez wstał z krzesła i przypiął mapy do tablic, a kamery przesunęły się, żeby nasi odlegli goście mogli wszystko zobaczyć.

– Widać? – spytał Martinez agentkę przy konsoli.

– Widać – odpowiedziała. – A panowie? – skierowała pytanie do monitorów.

– W porządku.

– Nie wiem. Może jeszcze trochę ostrość.

Przesunęła kamerę bliżej, a Martinez wyciągnął laserowy wskaźnik. Skierował jego różowe zakończenie na linię od Marylandu, poprzez zatokę Chesapeake, przez Smith Island, na północ od wyspy Tangier.

– Mamy kilka wysepek, leżących na tej linii, w kierunku Fishing Bay i Nanticoke River w Marylandzie. Jest Smith Island, South Marsh Island, Bloodsworth Island. – Różowa kropka skakała od jednej do drugiej. – Teraz dochodzimy do lądu stałego, mamy tu Crisfield, które jest tylko piętnaście mil morskich od wyspy Tangier. – Popatrzył na nas. – Do Crisfield rybacy przywożą kraby. I sporo ludzi ma krewnych w Crisfield. To mnie naprawdę martwi.

– A mnie martwi, że Tangierczycy nie będą skłonni do współpracy – powiedział Miles. – Kwarantanna odetnie ich od jedyne go źródła dochodu.

– Tak jest – zgodził się Martinez, patrząc na zegarek. – A staramy się ich odciąć już teraz. Mamy łodzie, kutry przyplływają aż z Elizabeth City, żeby nam pomóc okrążyć wyspę.

– Więc jak na razie nikt nie wyjeżdża – powiedział Fujitsubo, którego twarz królowała nad nami z ekranu.

– Zgadza się.

– To dobrze.

– A jeśli ludzie będą się opierać? – Zadałam oczywiste pytanie. – Co z nimi zrobicie? Nie możecie ich aresztować i ryzykować zarażenia.

Martinez się zawahał. Popatrzył na Fujitsubo na ekranie.

– Pułkowniku, czy zechciałby pan to wyjaśnić?

– Sporo już na ten temat dyskutowaliśmy – odpowiedział Fujitsubo. – Rozmawiałem z sekretarzem Departamentu Transportu, wiceadmirałem Perry i oczywiście sekretarzem obrony. Sprawa ta w szybkim tempie dotrze do Białego Domu po upoważnienie.

– Upoważnienie do czego? – zapytał tym razem Miles.

– Do użycia środków bezpośredniego przymusu.

– Boże – mruknął Wesley.

Słuchałam z niedowierzaniem, patrząc na bogów pogromu na ekranach.

– Nie mamy wyboru – mówił spokojnie Fujitsubo. – Jeśli ludzie zaczną panikować i opuszczać wyspę, nie przestrzegając ostrzeżeń Straży Przybrzeżnej, przeniosą, nie „mogliby przenieść”, ospę na ląd stały. Mówimy tu o populacji, która albo nie była szczepiona w ciągu ostatnich trzydziestu lat, albo tak dawno, że odporność wygasła. Albo choroba jest zmutowana do tego stopnia, że obecne szczepionki są nieskuteczne. Jednym słowem, nie ma dobrego scenariusza.

Nie wiedziałam, czy zrobiło mi się niedobrze, bo byłam chora, czy z powodu tego, co właśnie usłyszałam. Pomyślałam o tej omiatanej wiatrem wysepce rybackiej, z pochylonymi nagrobkami i spokojnymi, nieco dzikimi mieszkańcami, którzy po prostu chcieli mieć spokój. Nie byli to ludzie,

którzy słuchaliby kogokolwiek, bo przywykli słuchać wyższych autorytetów: Boga i sztormów.

– Musi być jakiś inny sposób – powiedziałam.

Ale nie było.

– Wiadomo, że ospa jest wyjątkowo zaraźliwa. Ten wybuch należy ograniczyć. – Fujitsubo wygłaszał prawdy oczywiste. – Musimy myśleć nawet o muchach, latających wokół pacjentów, i o krabach, wysyłanych na ląd. Być może powinniśmy się martwić także o przekazywanie choroby przez komary, jak w Tanapox. Na miłość boską, przecież nawet dokładnie nie wiemy o wszystkim, czym powinniśmy się martwić, bo nie wiemy do końca, co to za choroba.

Martin popatrzył na mnie.

– Mamy już tam ekipy, pielęgniarki, lekarzy, izolowane łóżka, więc nie musimy trzymać tych ludzi w szpitalach, możemy zostawić w domach.

– A co z ciałami, ze skażeniem? – zapytałam.

– Według prawa Stanów Zjednoczonych stanowi to zagrożenie zdrowia publicznego pierwszego stopnia.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziałam niecierpliwie, bo zaczynała mnie denerwować ta biurokracja. – Przejdźmy do konkretów.

– Spalić wszystko, z wyjątkiem pacjenta. Ciała poddamy kremacji. Dom pani Pruitt zostanie spalony.

Fujitsubo próbował nas uspokoić.

– Jedzie już tam ekipa z USAMRIID. Będziemy rozmawiać z mieszkańcami, starać się ich przekonać.

Pomyślałam o Davym Crockettie i jego synu, o ludziach i panice, w jaką wpadną, gdy naukowcy w strojach kosmonautów zawładną ich wyspą i zaczną palić ich domy.

– A wiemy na pewno, że szczepionka przeciwko ospie nie będzie działać?

– Tego nie możemy jeszcze powiedzieć z całą pewnością – odparł Martin. – Badania na zwierzętach doświadczalnych mogą potrwać kilka dni, a nawet tygodni. I nawet jeśli szczepionka okaże się skuteczna u zwierząt, nie musi to oznaczać skuteczności u ludzi.

– Ponieważ kod genetyczny wirusa został zmieniony – ostrzegł Fujitsubo – nie spodziewam się, żeby szczepionka działała.

– Nie jestem lekarzem ani nic takiego – wtrącił Martinez – ale zastanawiam się, czy nie można by wszystkich zaszczepić, na wszelki wypadek?

– Zbyt ryzykowne – wyjaśnił Martinez. – Jeśli to nie jest ospa, dlaczego narażać ludzi na możliwość zachorowania z powodu szczepienia? A kiedy stworzymy nową szczepionkę, nie chcemy wracać po kilku tygodniach i znów ludzi szczepić, tym razem innym rodzajem ospy.

– Innymi słowy – powiedział Fujitsubo – nie możemy traktować ludzi z wyspy jak zwierząt doświadczalnych. Jeśli zatrzymamy ich na wyspie, a potem podamy im właściwą szczepionkę, może uda nam się to wszystko opanować. Pozytywny jest fakt, że wirus ospy jest na tyle nieinteligentny, że zabija szybko swoich nosicieli, i w krótkim czasie się wypali, jeżeli uda się go ograniczyć do małego terenu.

– Świetnie. Więc cała wyspa ma zostać zniszczona, a my będziemy siedzieć i patrzeć, jak wirus się wypala – powiedział do mnie rozzłoszczony Miles. – Nie mogę w to uwierzyć! Do diabła z tym – uderzył pięścią w stół. – To nie może się dziać w Wirginii! – Wstał z krzesła. – Panowie – powiedział. – Chciałbym wiedzieć, co powinniśmy zrobić, jeżeli pojawią się pacjenci w innych częściach stanu. W końcu zdrowie stanu Wirginia to to, czym polecił mi się zająć gubernator. – Jego twarz była

ciemnoczerwona, był spocony. – Czy zamierzamy postąpić tak jak Jankesi i zacząć palić nasze miasta i miasteczka?

– Jeżeli to się będzie rozprzestrzeniać – powiedział Fujitsubo – musimy po prostu użyć naszych szpitali, mieć na nich oddziały, dokładnie tak jak postępowaliśmy wcześniej. CDC i moi ludzie już ostrzegają lokalny personel medyczny i będą z nimi bliżej współpracować.

– Zdajemy sobie sprawę, że personel szpitali jest narażony na największe ryzyko – dodał Martin. – Oczywiście byłoby miło, gdyby Kongres skończył wreszcie to cholerne urlopowanie, żebym nie miał związanych rąk.

– Proszę mi wierzyć, prezydent, Kongres wiedzą.

– Senator Nagle zapewnił mnie, że to się zakończy do jutra rano.

– Oni zawsze zapewniają, zawsze mówią to samo.

Opuchnięcie, swędzenie i ślad po powtórnym wkłuciu na mojej ręce przypominał mi o tym, że zostałam zaszczepiona wirusem prawdopodobnie na darmo. Skarżyłam się na to Wesleyowi, gdy wychodziliśmy na parking.

– Byłam powtórnie narażona na zakażenie wirusem, jestem na coś chora, a to może oznaczać, że na dodatek mam obniżoną odporność.

– Skąd wiesz, że nie masz tego? – zapytał ostrożnie.

– Nie wiem.

– W takim razie możesz zarażać.

– Nie, nie mogę. Pierwszą oznaką jest wysypka, a ja sprawdzam się codziennie. Z najmniejszym objawem czegoś takiego wróciłabym z powrotem do izolatki. Nie podeszłabym na sto stóp do ciebie ani do nikogo, Benton – powiedziałam, niepotrzebnie bardziej jeszcze się złościąc na jego sugestię, że mogłabym ryzykować zarażenie kogokolwiek, nawet jeżeli to było zwykłe przeziębienie.

Spojrzał na mnie, otwierając drzwi, i wiedziałam, że jest znacznie bardziej zmartwiony, niż dawał po sobie poznać.

– Co chcesz, żebym zrobił, Kay?

– Zawieź mnie do domu, żebym mogła wziąć samochód – powiedziałam.



Ściemniało się już, kiedy przemierzałam kilometry gęstego piniowego lasu. Pola leżały ugorem z kłębkami bawełny wciąż trzymającymi się martwych łądyg, a niebo było wilgotne i zimne jak rozmrażający się tort. Kiedy wróciłam do domu ze spotkania, zastałam wiadomość od Rose o drugiej po południu Keith Pleasants zadzwonił z więzienia, nalegając, żebym przyszła się z nim zobaczyć, a Wingo poszedł do domu z gripą.

Byłam w budynku sądu hrabstwa Sussex nieraz w ciągu wielu lat i polubiłam jego przedwojenne osobliwości i niewygody. Zbudowany w 1825 roku przez mistrza murarskiego, który pracował dla Thomasa Jeffersona, budynek był czerwony z białymi ozdobami i kolumnami i przetrwał wojnę secesyjną, chociaż Jankesi zdołali najpierw zniszczyć wszystkie dokumenty. Przypomniały mi się chłodne, zimowe dni, spędzane tam z detektywami na trawniku, w oczekiwaniu na wezwanie w charakterze świadka. Dotąd pamiętam tytuły wszystkich spraw, jakie doprowadziłam do tego sądu.

Teraz takie przesłuchania odbywały się w przestronnym, nowym budynku, postawionym obok, i kiedy przejeżdżałam obok niego, aby dostać się do tylnego wejścia, zrobiło mi się smutno. Takie nowe konstrukcje były pomnikami rosnącej przestępczości, a ja tęskniłam za zwyczajniejszymi

czasami, gdy dopiero co przyjechałam do Wirginii i byłam pod wrażeniem starej cegły i starej wojny, która nie chciała się skończyć. Wtedy jeszcze paliłam. Przypuszczalnie idealizowałam przeszłość, jak większość ludzi. Ale żal mi było tego palenia i czekania w beznadziejnej pogodzie przed sądem, który i tak był słabo ogrzany. Poczułam się stara.

Urząd szeryfa mieścił się w takim samym budynku, jak nowy sąd, czerwonym, ceglanym, z białymi ozdobami, z parkingiem i więzieniem, otoczonym płotem zakończonym drutem kolczastym. Za płotem dwóch więźniów w pomarańczowych kombinezonach wycierało nieoznakowany samochód policyjny, który właśnie umyli i wywoskowali. Zerkali na mnie kątem oka, gdy parkowałam przed budynkiem, i teraz jeden z nich cisnął szmatą w drugiego.

– No, co jest – mruknął do mnie, gdy przechodziłam obok nich.

– Dzień dobry – powiedziałam i popatrzyłam na nich.

Odwrócili się, niezainteresowani kimś, kogo nie można postraszyć.

Otworzyłam drzwi. Wewnątrz urząd był skromny, niemalże ponury i jak większość instytucji użytku publicznego na świecie, przerastał swoje otoczenie. Były tam automaty z przekąskami i colą, ściany obwieszono plakatami z poszukiwanymi i portretem funkcjonariusza zabitego na służbie. Zatrzymałam się przy posterunku dyżurnego. Młoda kobieta, gryząc długopis, kartkowała papiery.

– Przepraszam – powiedziałam. – Przyszłam się zobaczyć z Keithem Pleasantsem.

– Czy jest pani na liście odwiedzających? – Zezowała trochę z powodu soczewek kontaktowych, a na zębach nosiła różowy aparat korekcyjny.

– Prosił, żebym przyszła, więc chyba jestem.

Przerzuciła strony w skoroszycie i zatrzymała się na właściwej.

– Pani nazwisko.

Podalam jej i kiedy znalazła, wstała.

– Jest. To chodźmy.

Obeszła biurko i otworzyła drzwi z zakratowanym u góry okienkiem. Wewnątrz znajdowało się miejsce do pobierania odcisków i robienia zdjęć oraz metalowe biurko, za którym siedział potężnie zbudowany funkcjonariusz. Dalej znajdowały się następne ciężkie drzwi z kratami i słyszałam przez nie głosy, dochodzące z więzienia.

– Będzie pani musiała zostawić tu torbę – powiedział do mnie funkcjonariusz. – Możesz tu przyjść? – powiedział przez radio.

– Dziesięć-cztery. Idę – odezwał się głos kobiety.

Położyłam na biurku torebkę i wsunęłam ręce do kieszeni. Miałam być przeszukiwana, a bardzo tego nie lubiłam.

– Mamy tam mały pokój, w którym spotykają się z adwokatami – powiedział, wskazując kciukiem, jakby stał na szosie i chciał, żeby go podwieźć. – Ale niektórzy z nich słuchają każdego słowa, więc jeśli to problem, niech pani idzie na górę. Tam też mamy miejsce.

– Może u góry będzie lepiej – powiedziałam.

Masywna funkcjonariuszka z krótkimi, przyprószonymi siwizną włosami pojawiła się zza rogu, trzymając w ręku wykrywacz metali.

– Wyjąć ręce – powiedziała do mnie. – Ma pani coś metalowego w kieszeniach?

– Nie – odpowiedziałam, a wykrywacz prychnął jak mechaniczny kot.

Spróbowała w dół, w górę, po jednej stronie i po drugiej. Wciąż się odzywał.

– Zdjąć kurtkę.

Ułożyłam ją na biurku, a ona znów próbowała.

– Może ma pani biżuterię?

Potrząsnęłam głową i w tym momencie przypomniałam sobie, że mam biustonosz z drutami, o czym jednak nie miałam najmniejszego zamiaru informować. Odłożyła wykrywacz i zaczęła mnie obmacywać, podczas gdy inny funkcjonariusz siedział przy biurku i gapił się z rozdziawioną gębą, jak na film porno.

– W porządku – powiedziała, zadowolona, że jestem nieszkodliwa. – Proszę za mną.

Aby się dostać na górę, musiałyśmy przejść przez kobiecą część więzienia. Dzwoniły klucze, gdy otwierała ciężkie, metalowe drzwi, które zaraz zamykały się za nami z hukiem. Więźniarki były młodymi, ostrymi dziewczynami, w przepisowych drelichowych mundurkach. Ich cele, z łóżkiem, białym sedesem i umywalką, były maleńkie, jak klatki dla zwierząt. Kobiety stawiały pasjanse i siedziały, opierając się o kraty, na których porozwieszały ubrania. Przy drzwiach stały kubły ze śmieciami, wypchane resztkami jedzenia. Od zapachu tych resztek przewracał mi się żołądek.

– Hej, mamuśko.

– Kogo tu mamy?

– Jaka dama, jaka dama, hm, hm.

– Łuuu!

Poprzez kraty wyciągały ręce, usiłując mnie dotknąć. Któraś z kobiet zaczęła cmokać, inne wydawały chrapliwe dźwięki, które miały być śmiechem.

– Zostaw ją tutaj, na piętnaście minut. Nooo, chodź do mamuśki!

– Potrzebne mi papierosy.

– Zamknij się, Wanda. Zawsze czegoś potrzebujesz.

– Zamknijcie się wszystkie – powiedziała monotonnym głosem funkcjonariuszka, otwierając kolejne drzwi.

Szłam za nią po schodach, czując, że drzę. Umieściła mnie w jakimś zagraconym pomieszczeniu, które sprawiało wrażenie, jakby niegdyś pełniło inną funkcję. Oparte o ścianę stały korkowe tablice, w kącie postawiono ręczny wózek, a wszędzie walały się jakieś ulotki i broszury. Usiadłam na składanym krzeselku przy drewnianym stole, na którym wypisano długopisem różne nazwiska i niewybredne informacje.

– Proszę się rozgościć, on zaraz przyjdzie – powiedziała, zostawiając mnie samą.

Zorientowałam się, że moje kropelki i chusteczki są w kosmetyczce i kurtce, których teraz nie miałam przy sobie. Przymknęłam oczy, pociągając nosem, aż usłyszałam ciężkie kroki. Gdy funkcjonariusz wprowadził Keitha Pleasantsa, prawie go nie poznałam. Twarz miał bladą i ściągniętą, drelichowy mundur wisiał na nim, a ręce miał z przodu spięte kajdankami. Oczy napełniły mu się łzami, kiedy na mnie spojrzał, a usta wykrzywiły, gdy usiłował się uśmiechnąć.

– Siadaj tu i siedź – rozkazał funkcjonariusz. – I żeby mi nie było żadnych problemów. Zrozumiano? Bo wrócę i będzie po wizycie.

Pleasants schwycił krzesło i prawie upadł.

– Czy on naprawdę musi być w kajdankach? – spytałam. – Przecież jest tu tylko za naruszenie przepisów drogowych.

– Proszę pani, jest poza strefą strzeżoną. Dlatego jest w kajdankach. Wracam za dwadzieścia minut – powiedział, wychodząc.

– Nigdy w życiu czegoś takiego nie przeżywałem. Mogę zapalić? – Pleasants zaśmiał się nerwowym, graniczącym z histerią śmiechem.

– Proszę bardzo.

Ręce tak mu się trzęsły, że musiałam mu przypalić.

– Nie widać nigdzie popielniczki. Może tu nie wolno palić – zmartwił się, rozglądając się dookoła. – Wpakowali mnie do celi z takim handlarzem

narkotyków. Ma wszędzie tatuaże i nie daje mi spokoju. Zaczepia mnie, przezywa. – Zaciągnął się głęboko i na moment przymknął oczy. – Nikomu nie uciekałem. – Spojrzał na mnie.

Zauważyłam na podłodze styropianowy kubek od kawy i podałam mu jako popielniczkę.

– Dzięki.

– Keith, powiedz mi, co się zdarzyło.

– Jak zwykle jechałem do domu z wysypiska i nagle pojawia się ten nieoznakowany samochód z syrenami i światłami. Więc od razu się zatrzymałem. To był ten kretyn detektyw, który mnie doprowadza do pasji.

– Ring. – Znowu ogarnęła mnie wściekłość.

Pleasants skinął głową.

– Powiedział, że jedzie za mną co najmniej milę, a ja nie zwracam uwagi na jego światła. Mówię pani, że to wierutne kłamstwo. – Oczy mu błyszczały. – Jestem ostatnio taki nerwowy przez niego, że za diabła nie mógłby jechać za mną, żeby go nie zauważył.

– Czy powiedział coś, kiedy cię zatrzymał?

– Tak, proszę pani, powiedział. Powiedział, że moje kłopoty dopiero się zaczynają. Dokładnie tak.

– Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? – wydawało mi się, że wiem, ale chciałam usłyszeć, co on powie.

– Mam cholerne kłopoty, pani doktor. – Znów się rozkleił. – Moja mama jest stara i nie ma nikogo, kto by jej pomógł, oprócz mnie, a tu niektórzy myślą, że jestem mordercą! Nikogo w życiu nie zabiłem! Nawet ptaszka! Ludzie już się ode mnie odsuwają w pracy.

– Czy matka jest przykuta do łóżka?

– Nie, pani doktor. Ale ma prawie siedemdziesiąt lat i ma rozedmę. Od pracy. – Znów się zaciągnął. – Już nie prowadzi samochodu.

– A kto jej teraz dogląda?

Potrząsnął głową i otarł oczy. Założył nogę na nogę, ale jedna stopa tak mu podskakiwała, jakby miała odpaść.

– Nie ma nikogo, kto by jej przyniósł jedzenie? – spytałam.

– Tylko mnie. – Załkał.

Znów się rozejrzałam, tym razem za czymś do pisania, i znalazłam fioletową kredkę i brązowy papierowy ręcznik.

– Podaj mi jej adres i numer telefonu. Obiecuję ci, że ktoś do niej zajrzy, żeby się upewnić, że wszystko w porządku.

Wyraźnie mu ulżyło, kiedy już podał mi informację, a ja ją zapisałam.

– Zadzwoń do pani, bo nie wiedziałem, do kogo mógłbym się zwrócić – znów zaczął normalnie mówić. – Czy ktoś mógłby coś zrobić, żeby mnie stąd wydostać?

– Rozumiem, że została wyznaczona kaucja w wysokości pięciu tysięcy?

– No właśnie! Z dziesięć razy więcej, niż normalnie za takie coś dają, jak mówi facet z mojej celi. Nie mam pieniędzy i nie mam skąd wziąć. Więc muszę tu siedzieć aż do rozprawy, a to może być kilka tygodni albo miesięcy. – Był przerażony, a w jego oczach znów pojawiły się łzy.

– Keith, czy korzystasz z Internetu? – spytałam.

– Z czego?

– Z komputerów.

– Na wysypisku tak. Pamięta pani, opowiadałem o naszym systemie satelitarnym.

– Więc korzystasz z Internetu.

Wydawał się nie rozumieć, o co chodzi.

– E-mail – próbowałam znowu.

– Używamy GPS. – Nie kojarzył. – A wie pani, co z tym samochodem, który wyrzucił ciało? Jestem pewny, że to była śmieciara Cole'a i mogła

przyjechać z placu budowy. Zbierają śmieci z kilku placów budowy w South Side w Richmondzie. Dobre miejsce, żeby się czegoś pozbyć, na placu budowy. Zatrzymać na chwilę samochód, po godzinach pracy, i kto cię zobaczy?

– Czy powiedziałaś to detektywowi Ringowi? – spytałam.

Przez jego twarz przemknęła nienawiść.

– Nic mu nie mówię. Teraz już nie. Robił wszystko, żeby mnie wsadzić.

– Dlaczego tak uważasz?

– Musi kogoś za to zaarrestować. Chce być bohaterem. – Nagle trochę spuścił z tonu. – Mówi, że nikt inny nie ma o tym pojęcia. – Zawahał się. – Łącznie z panią.

– Co jeszcze powiedział? – Czułam, że robię się twarda jak kamień, jak zawsze gdy moja złość zmieniała się w zapiekłą wściekłość.

– Widzi pani, kiedy oprowadzałem go po domu i obejściu, cały czas gadał. Bardzo lubi mówić. – Niezgrabnie ustawił niedopałek papierosa do góry na stole, żeby sam zgasł i nie spalił styropianowego kubka. Pomogłam mu zapalić następnego. – Opowiadał mi, że ma pani siostrzenicę – ciągnął Pleasants. – I że jest naprawdę sprytna, ale nie ma czego szukać w FBI, tak samo jak pani jako naczelny koroner. No, bo...

– No, mów – zachęcałam z udawanym spokojem.

– Bo nie interesuje się facetami. On chyba myśli, że pani też.

– To ciekawe.

– Śmiał się z tego i mówił, że wie z osobistego doświadczenia, że żadna z was nie spotyka się z facetem, bo kręcił się koło was. A ja mam siedzieć cicho, patrzeć, co się dzieje ze zbrojeńcami, bo to samo może się stać ze mną.

– Poczekaj tylko – przerwałam. – Czy Ring ci groził, bo jesteś gejem, albo on uważa, że jesteś?

– Moja mama nie wie. – Zwiesił głowę. – Ale niektórzy wiedzą. Chodzę do barów. Zresztą znam Winga. – Miałam nadzieję, że niezbyt blisko. – Martwię się o mamę. Denerwuje się tym, co się teraz ze mną dzieje, a to dla niej niezdrowo.

– Coś ci powiem. Sama do niej wpadnę, wracając do domu – powiedziałam, znów kaszląc. – Łza spłynęła mu po policzku i otarł ją wierzchem dłoni w kajdankach. – I jeszcze coś zrobię – powiedziałam, słysząc kroki na schodach. – Zrobię, co się da w twojej sprawie. Wierzę, że nikogo nie zabiłeś. Mam zamiar zapłacić za ciebie kaucję i znaleźć ci adwokata.

Otworzył usta w niedowierzaniu, a tymczasem funkcjonariusz już wszedł.

– Naprawdę pani to zrobi?

– Jeżeli przysięgasz, że mówisz prawdę.

– Och tak, proszę pani!

– Dobra, dobra – wtrącił się funkcjonariusz. – Wszyscy jesteście tacy sami.

– To będzie dopiero jutro – powiedziałam – bo na pewno wszyscy urzędnicy poszli już do domu.

– No, chodźże. Na dół – strażnik złapał go za ramię.

Pleasants zdążył mi jeszcze powiedzieć: – Mama lubi kakao z syropem Hersheya. Niewiele więcej już trzyma w domu.

Odszedł, a mnie znów przeprowadzono przez kobietą część więzienia. Tym razem więźniarki były ponure, jakbym nie stanowiła już rozrywki. Przyszło mi do głowy, że może ktoś im powiedział, kim jestem, bo odwróciły się do mnie plecami, a któraś splunęła.

Szeryf Rob Roy stanowił legendę hrabstwa Sussex i co roku był bezkonkurencyjny w wyborach. Wiele razy bywał w moim prosektorium i uważałam go za jednego z najlepszych stróżów prawa, jakich znałam. Znalazłam go o wpół do siódmej w knajpce Virginia Diner, gdzie siedział przy stoliku miejscowych, przy którym rzeczywiście zbierali się miejscowi.

Było to w długiej sali ze stolikami nakrytymi obrusami w biało-czerwona kratkę i białymi krzeselkami. Jadł właśnie kanapkę z pieczoną szynką i popijał czarną kawę. Na stoliku stało jego przenośne radio, z którego dochodziły rozmowy.

– Nie mogę tego zrobić, mowy nie ma. A potem co? Dalej będą sprzedawać kokę – mówił do wymizerowanego człowieka w czapeczce á la John Deere.

– Wypuść ich.

– Wypuścić ich? – Roy, łysy i żylasty, jak zawsze sięgnął po kawę. – Chyba nie mówisz tego poważnie.

– Jak cholera.

– Czy mogę przeszkodzić? – spytałam, wysuwając sobie krzesło.

Roy rozdziawił usta i przez moment nie wierzył własnym oczom.

– A niech mnie licho. – Wstał i potrząsnął moją ręką. – A co ty, do jasnej i niespodziewanej, porabiasz w tych stronach?

– Szukam ciebie.

– Pani wybaczy – towarzyszący mu człowiek przyłożył dwa palce do czapeczki i wstał, żeby odejść.

– Nie mów, że jesteś tu w interesach – powiedział szeryf.

– A cóż innego?

Spowaźniał, widząc moją minę.

– Coś, o czym nie wiem?
– Wiesz – odpowiedziałam.
– No więc co? Co zjesz? Polecam kanapkę z kurczakiem – powiedział, gdy pojawiła się kelnerka.
– Gorącą herbatę. – Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będę mogła coś jeść.
– Wyglądasz, jakbyś się nie za dobrze czuła.
– Czuję się gówniano.
– Jakaś zaraza teraz panuje.
– To jeszcze nic – powiedziałam.
– Co mogę zrobić? – Przysunął się bliżej, skupiając na mnie uwagę.
– Wpłacam kaucję za Keitha Pleasantsa – powiedziałam. – Niestety, nie mogę tego zrobić wcześniej niż jutro. Ale musisz zrozumieć, Rob, że jest to niewinny człowiek, który został wrobiony. Jest prześladowany, ponieważ detektyw Ring poluje na czarownice i chce sobie wyrobić nazwisko.

Roy był zdumiony.

– Od kiedy to bronisz więźniów?
– Od kiedy nie są winni – odpowiedziałam. – A ten facet jest takim samym seryjnym mordercą, jak ty albo ja. Nie próbował uciekać policji i prawdopodobnie w ogóle nie przekroczył prędkości. Ring go prześladowuje, a w dodatku kłamie. Zobacz, jaką wysoką kaucję ustalono za naruszenie przepisów drogowych. – Słuchał w milczeniu. – Pleasants ma starą, schorowaną matkę, którą nie ma kto się zająć. On sam może stracić pracę. Wiem, że wuj Ringa jest sekretarzem bezpieczeństwa publicznego i że jest byłym szeryfem. Wiem, jak to jest, Rob. Potrzebuję twojej pomocy. Ringa trzeba powstrzymać.

Roy odsunął talerz i w tym momencie odezwało się jego radio.

– Naprawdę tak uważasz.

– Naprawdę.

– Tu pięćdziesiąt jeden – powiedział do radia, poprawiając pas i przyczepiony do niego rewolwer.

– Mamy już coś na temat tego włamania? – doszedł nas głos.

– Wciąż czekam.

Wyłączył się i powiedział do mnie: – Nie masz najmniejszej wątpliwości, że ten chłopak nie popełnił żadnego przestępstwa.

Znow skinęłam głową.

– Najmniejszej. Zabójca, który rozczłonkował zwłoki, komunikuje się ze mną za pośrednictwem Internetu. Pleasants nawet nie wie, co to jest. Sprawa jest obszerna, nie będę teraz w to wchodziła. Ale wierz mi, to, co się dzieje, nie ma zupełnie nic wspólnego z tym chłopakiem.

– Jesteś pewna co do Ringa? Musisz być, jeżeli chcesz, żebym to zrobił.

– Wpatrywał się we mnie badawczo.

– Ile razy mam ci to mówić?

Z pasją rzucił serwetkę na podłogę.

– Teraz się naprawdę wściekłem. – Zerwał się z krzesła. – Nie lubię, kiedy zamyka się w moim więzieniu niewinną osobę i przez jakiegoś gliniarza mamy wszyscy zepsutą opinię.

– Czy znasz Kitchena, właściciela wysypiska? – spytałam.

– Jasne, mieszkamy obok siebie. – Wyciągnął portfel.

– Ktoś musi z nim porozmawiać, żeby Keith nie stracił roboty. Musimy to naprawić – powiedziałam.

– Możesz mi wierzyć, że to zrobię.

Zostawił na stole pieniądze i z wściekłością wymaszerował. Posiedziałam, żeby skończyć herbatę, i przyglądałam się wystawionym w witrynie cukierkom w paski, sosom do grilla i orzeszkom w najrozmaitszych gatunkach. Kiedy jadąc samochodem, znalazłam sklep

spożywczy, pękała mi głowa i miałam gorącą skórę. Zatrzymałam się, żeby kupić mleko, syrop Hersheya, świeże warzywa i zupę.

Chodziłam wzdłuż półek i nim się zorientowałam, miałam w wózku pełno towaru, począwszy od papieru toaletowego, a skończywszy na delikatesowych wędlinach. Wyjęłam mapę i adres, jaki dostałam od Pleasantsa. Jego matka mieszkała niedaleko głównej szosy, a kiedy tam dotarłam, już spała.

– O Boże – powiedziałam z ganku. – Nie chciałam pani obudzić.

– Kto tam? – spytała, patrząc nieprzytomnie w ciemność, gdy otwierała drzwi z zasuwą.

– Doktor Kay Scarpetta. Nie ma pani powodu...

– Od czego doktor?

Pani Pleasants była zasuszona i przygarbiona, twarz miała pomarszczoną jak krepina. Długie, siwe włosy unosiły się jak pajęczyna i pomyślałam o wysypisku i starej kobiecie, którą zabił *dokum*.

– Może pani wejść – otworzyła szerzej drzwi, ale wyglądała na przestraszoną. – Czy z Keithem wszystko w porządku? Nic mu się nie stało?

– Widziałam go dzisiaj i wszystko dobrze – zapewniłam. – Zrobiłam trochę zakupów. – Torby trzymałam jeszcze w rękach.

– Ach, ten chłopak. – Potrząsała głową, wpuszczając mnie do środka małego, schludnego domku. – Co ja bym zrobiła? Wie pani, jego jednego mam na świecie. Jak się urodził, powiedziałam: Keith, jesteś tylko ty.

Była przerażona i zdenerwowana, ale nie chciała, żebym to zauważyła.

– Czy pani wie, gdzie on jest? – spytałam ostrożnie.

Weszłyśmy do kuchni ze starą, przysadzistą lodówką i kuchenką gazową. Nie odpowiedziała mi. Zaczęła wyciągać zakupy, grzebiąc między puszkami i upuszczając na ziemię seler i marchewki.

– Zaraz, pomogę pani – próbowałam ją wyręczyć.

– Nie zrobił nic złego. – Zaczęła płakać. – Wiem, że nie. A ten policjant nie chciał go zostawić w spokoju, ciągle nas nachodził, ciągle się dobijał.

Stała na środku kuchni, ocierając oczy rękami.

– Keith mówi, że lubi pani kakao, więc zaraz pani zrobię. Zalecenie lekarskie.

Wzięłam z suszarki szklanek i łyżeczkę.

– Syn jutro będzie w domu – powiedziałam. – I nie przypuszczam, żebyście jeszcze kiedyś oglądali detektywa Ringa. – Patrzyła na mnie jak na jakiś cud. – Chciałam tylko, żeby pani wszystko miała, póki Keith nie wróci – powiedziałam, wręczając jej szklanekę średnio mocnego kakao.

– Próbuję dojść do tego, kim pani jest – powiedziała w końcu. – Ale to dobre. Najlepsze w życiu. – Popijała powoli i uśmiechała się.

Wyjaśniłam pokrótce, skąd znam Keitha i co robię zawodowo, ale chyba niewiele z tego zrozumiała. Uznała, że go podrywam oraz zajmuję się wydawaniem zaświadczeń lekarskich. W drodze do domu, żeby nie zasnąć, nastawiłam sobie głośno muzykę. Jechałam w ciemności taką trasą, że nieraz przez długie odcinki drogi świeciły mi tylko gwiazdy.

Sięgnęłam po telefon. Odebrała matka Wingo i powiedziała, że leży chory, ale poprosiła go do aparatu.

– Wingo, martwię się o ciebie – powiedziałam serdecznie.

– Czuję się okropnie. – Było to słychać. – Chyba nic nie da się poradzić na gripę.

– Masz osłabioną odporność. Kiedy ostatnio rozmawiałam z doktorem Rileyem, twój wynik komórek CD4 nie był zbyt dobry. – Chciałam, żeby spojrział prawdzie w oczy. – Opisz, jakie masz objawy.

– Głowa mi pęka, strasznie mnie boli kark i plecy. Ostatnio miałem temperaturę czterdzieści stopni. Cały czas chce mi się pić.

Wszystko, co mówił, zapalało w mojej głowie światełka ostrzegawcze, bo objawy te mogły również oznaczać początkowe stadium ospy. Ale jeśli źródłem jego zakażenia był korpus, dziwiłam się, że nie zachorował wcześniej, biorąc pod uwagę jego stan.

– Nie dotykałeś przypadkiem tych sprayów, które dostaliśmy w pracy? – spytałam.

– Jakich sprayów?

– Vita, do twarzy.

Nie miał pojęcia, o czym mówię, i przypomniałam sobie, że przecież dzisiaj nie był w zakładzie. Wyjaśniłam, co się stało.

– O, mój Boże – powiedział nagle, aż strach przeszył nas oboje. – Przyszedł taki pocztą. Mama położyła go w kuchni na szafce.

– Kiedy? – spytałam w popłochu.

– Nie wiem. Parę dni temu. Kiedy to mogło być? Nie wiem. Nigdy nie widzieliśmy takiego cuda. Takie słodkie, do ochłodzenia twarzy.

A więc *dokum* dostarczył moim pracownikom dwanaście pojemniczków, właśnie dwanaście było liczbą, którą mi przekazał. Tylu było pracowników zatrudnionych na pełnym etacie w moim głównym biurze, łącznie ze mną. Skąd mógłby znać takie szczegóły, jak liczba moich pracowników, niektóre nazwiska, a nawet adresy, jeśli byłby gdzieś daleko i nieznany?

Obawiałam się zadać następne pytanie, bo wydawało mi się, że znam odpowiedź.

– Wingo, dotykałeś tego?

– Spróbowałem, żeby zobaczyć. – Głos mu się zatrzęsł i dostał napadu kaszlu. – Jak tu leżało. Wziąłem do ręki tylko raz. Pachniało różami.

– Kto jeszcze w twoim domu tego próbował?

– Nie wiem.

– Masz dopilnować, żeby nikt nie ruszał tego pojemnika. Rozumiesz?

– Tak. – Zaczął łkać.

– Przyślę do ciebie do domu jakichś ludzi, żeby to zabrali i zajęli się tobą i twoją rodziną, dobrze?

Za bardzo płakał, żeby odpowiedzieć.

Kiedy dojechałam do domu, było już po północy. Czułam się chora i rozbita, nie wiedziałam, co najpierw zrobić. Zadzwoiłam do Marina, Wesleya i Fujitsubo. Powiedziałam im wszystkim, co się wydarzyło, i że do Winga i jego rodziny muszą natychmiast wysłać jakąś ekipę. Odwzajemnili się równie złymi wiadomościami. Dziewczyna z Tangieru, która była chora, zmarła. A teraz jeszcze jakiś rybak zachorował. Byłam załamana i czułam się fatalnie. Sprawdziłam e-mail i oczywiście był tam *dokum*, na swój wredny sposób. Ucieszyłam się za to, że jego wiadomość nadeszła, gdy Keith Pleasants był w więzieniu.

zwierciadelko zwierciadelko powiedz przecie gdzie ty bylas – Ty draniu!
– wykrzyknęłam.

Ten dzień był zanadto męczący. Było już tego wszystkiego dla mnie za wiele, czułam się obolała, otumaniona i miałam wszystkiego dosyć. Nie powinnam była włączać się do tego programu konferencyjnego i czekać na niego, jakby wszystko było w porządku. Należało zostawić to na kiedy indziej. Ale zaznaczyłam swoją obecność i teraz w myśli przechadzałam się po pokoju, czekając, aż się ten potwór odezwie. Odezwał się.

DOKUM: mozoly i kłopoty SCARPETTA: Czego chcesz?

DOKUM: jesteśmy nie w humorze dzisiaj SCARPETTA: Tak, jesteśmy.

DOKUM: dlaczego się przejmujesz tymi prostymi rybakami i ich prostymi rodzinami i tymi niezdolnymi SCARPETTA: Skończ z tym. Czego chcesz, żeby z tym skończyć?

DOKUM: już za późno szkody wyrządzone na długo przed tym
SCARPETTA: Co ci zrobiono?

Ale nie odpowiedział. Ciekawe, że nie opuścił linii konferencyjnej, ale nie odpowiadał na żadne moje dalsze pytania. Pomyślałam o Brygadzie Dziewiętnastej i modliłam się, żeby słuchali i zdążyli go namierzyć w jego kryjówce. Minęło pół godziny. Rozłączyłam się i zadzwonił telefon.

– Jesteś genialna! – Lucy była tak podniecona, że krzyczała mi prosto w ucho. – Jak, do diabła, udało ci się przetrzymać go tak długo?

– A o co chodzi? – spytałam, zdumiona.

– Jak na razie jedenaście minut. Wygrała pani nagrodę.

– Byłam z nim może przez dwie minuty. – Próbowałam ochłodzić sobie czoło wierzchem dłoni. – Nie wiem, o czym mówisz.

Ale ona nie słuchała.

– Namierzyliśmy skurwiela! – Była w siódmym niebie. – Kemping w Marylandzie. Agenci z Salisbury są już w drodze. My z Janet zaraz łapiemy samolot.



Nim wstałam następnego ranka, Światowa Organizacja Zdrowia wydała kolejne międzynarodowe oświadczenie na temat Vity, aromatyzowanego aerozolu do twarzy. Zapewniono ludzi, że wirus zostanie wyeliminowany, że trwają prace nad szczepionką i wkrótce będą zakończone. Jednak panika i tak się zaczęła.

Wirus, przewany przez prasę mutantosp, prezentowano na okładkach „Newsweeka” i „Time’a”, a Senat utworzył specjalną podkomisję, gdyż Biały Dom rozważał podjęcie środków nadzwyczajnych. Vita sprzedawana

była w Nowym Jorku, ale producent był francuski. Obawiano się, że *dokum* zamierza spełnić swą groźbę. Chociaż nie było jeszcze żadnych doniesień na temat zachorowań we Francji, stosunki ekonomiczne i dyplomatyczne były napięte, gdyż zmuszono do zamknięcia dużej fabrykę, a wzajemne oskarżenia, gdzie dokonano śmiertelnych manipulacji, krążyły między oboma krajami.

Rybacy starali się uciec z wyspy Tangier na łódkach, a Straż Przybrzeżna zwoływała posiłki ze strażnic nawet na Florydzie. Nie znałam szczegółów, ale z tego, co słyszałam, mogłam się domyślić, że siły porządkowe i Tangierczycy trzymali się od siebie z daleka w przystani Tangier Sound, a przycumowane łódki nigdzie się nie wybierały przy takich silnych, zimowych wiatrach.

W międzyczasie CDC wysłało do domu Winga ekipę izolującą, składającą się z lekarzy i pielęgniarek, i bomba pękła. Nagłówki krzyczały, ludzie zaczęli się ewakuować z miasta, które byłoby trudne, jeśli nie niemożliwe, do przeprowadzenia kwarantanny. Byłam tak przygnębiona i chora, jak nigdy w życiu, gdy tak siedziałam w szlafroku w piątkowy poranek. Gorączka dochodziła mi już do trzydziestu dziewięciu, a robitussin DM wcale nie działał, prócz tego, że wymiotowałam. Mięśnie karku i grzbietu bolały mnie tak, jakbym była piłką, odbijaną kijami. Ale nie mogłam iść do łóżka. Było za dużo do zrobienia. Zadzzwoniłam do człowieka od kaucji i dowiedziałam się niestety, że jedynym sposobem wydostania Keitha Pleasantsa z więzienia jest pojawienie się poręczającego i osobiste wpłacenie kaucji. Więc wsiadłam do samochodu tylko po to, aby po dziesięciu minutach jazdy zawrócić, bo zapomniałam książeczki czekowej.

– Boże, pomóż mi – szepnęłam, przyśpieszając.

Opony piszczały, gdy przejeżdżałam zbyt szybko przez moją okolicę i po chwili wracałam, objeżdżając róg Windsor Farms. Zastanawiałam się, co wydarzyło się nocą w Marylandzie, i martwiłam się o Lucy, dla której każda sprawa była przygodą. Chciała używać broni, chodzić na piesze pościgi, latać helikopterami i samolotami. Bałam się, że taki niespokojny duch może zostać zniszczony w kwiecie wieku, bo zbyt wiele wiedziałam o życiu i o tym, jak ono się kończy. Zastanawiałam się, czy schwytali *dokuma*, ale jeśli tak, chyba mnie zawiadomiono.



Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z facetem od kaucji, a ten, Vince Peeler, urzędował w warsztacie szewskim na Broad Street, wśród opuszczonych sklepów, które na wystawach nie miały niczego, prócz graffiti i kurzu. Był to niewysoki, drobny facet z wypomadowanymi czarnymi włosami, w skórzanym fartuchu. Siedział przy dużej, przemysłowej maszynie do szycia Singera i przyszywał nową podeszwę do buta. Gdy zamknęłam drzwi, spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem człowieka, który przyzwyczajony jest do kłopotów i umie je rozpoznawać – Pani jest doktor Scarpetta? – zapytał, nie przerywając szycia.

– Tak.

Wyjęłam książeczkę czekową i długopis, nie mając dla niego odrobiny życzliwości na myśl, ilu bandytom pomógł wyjść na wolność.

– To będzie pięćset trzydzieści dolarów – powiedział. – Jeżeli kartą kredytową, niech pani doda trzy procent.

Wstał i podszedł do zniszczonej lady, na której piętrzyły się buty i pudełka pasty Kiwi. Czulałam na sobie jego spojrzenie.

– Dziwne, myślałem, że pani jest znacznie starsza – stwierdził. – Wie pani, czyta się o ludziach i czasem człowiek wyrabia sobie zupełnie mylną opinię.

– Ma być dzisiaj wolny – brzmiało to jak rozkaz, który wydawałam, wrywając czek i wręczając mu.

– Och, na pewno – już patrzył na zegarek.

– Kiedy? – spytałam.

– Kiedy? – powtórzył jak echo.

– Tak. Kiedy będzie wolny?

Prztyknął palcami.

– Jak to.

– Dobra – powiedziałam i wydmuchałam nos. – Będę pilnować tego, żeby był wolny, jak to – teraz ja prztyknęłam. – A jeśli nie będzie, to niech pan zgadnie? Jestem też prawnikiem i to w gównianym nastroju. I dopadnę cię. Okay?

Uśmiechnął się do mnie, przełknął ślinę i zapytał: – Jakiego rodzaju prawnikiem?

– Takiego, że lepiej nie wiedzieć – odpowiedziałam, wychodząc.

Po jakichś piętnastu minutach byłam w swoim biurze, a kiedy siadłam za biurkiem, jednocześnie odezwał się pager i zadzwonił telefon. Zanim zdołałam cokolwiek zrobić, pojawiła się Rose, która wyglądała na niezwykle spiętą.

– Wszyscy pani szukają – powiedziała.

– Zawsze szukają. – Zdziwiłam się, patrząc na numer na ekraniku pagera. – Co to jest, do licha?

– Marino już tu jedzie. Przysyłają helikopter na lądowisko w MCV. USAMRIID już leci tutaj. Zawiadomili Biuro Koronera Baltimore, że

zajmie się tym specjalna ekipa i sekcja będzie musiała być przeprowadzona we Frederick.

Serce mi zamarło, gdy spojrzałam na nią.

– Sekcja?

– Podobno jest jakiś kemping, na którym FBI wyśledziło połączenie telefoniczne.

– Wiem o tym. – Byłam niecierpliwa. – W Marylandzie.

– Podejrzewają, że znaleźli przyczepę kempingową tego mordercy. Nie znam szczegółów, ale może to być coś w rodzaju laboratorium. A w środku ciało.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– Czyje ciało?

– Myślą, że jego. Podobno samobójstwo. Zastrzelony. – Zmierzyła mnie wzrokiem zza okularów i pokręciła głową. – Powinna pani być w domu, w łóżku, z kubkiem mojego rosołu.

Marino czekał na mnie przed biurem. Wsiadłam szybko do samochodu, bo wiatr hulał po mieście i łopotał flagami na urzędowych budynkach. Zorientowałam się zaraz, że jest zły, bo ruszył natychmiast, ledwo zamknęłam drzwi. I nic nie mówił.

– Dziękuję – powiedziałam i odpakowałam tabletkę od kaszlu.

– Wciąż jesteś chora. – Skręcił we Franklin Street.

– Niewątpliwie jestem. Dziękuję za zainteresowanie.

– Nie wiem, dlaczego to robię – powiedział. – Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to kręcić się w pobliżu jakiegoś cholernego laboratorium, gdzie ktoś robi wirusy.

– Będziesz miał specjalną ochronę – odpowiedziałam.

– Powinienem teraz mieć, w twoim towarzystwie.

– Mam grypę i już nie zarażam. Wierz mi. Znam się na tym. I nie wściekaj się na mnie, bo nie mam zamiaru tego znosić.

– Lepiej miej nadzieję, że to co masz, to jest grypa.

– Gdybym miała coś gorszego, czułabym się jeszcze gorzej, miała wyższą temperaturę i wysypkę.

– Taa, ale jak już jesteś chora, to nie łatwiej złapiesz coś innego? Tak samo nie wiem, po co ci ta wyprawa. Ja za cholere nie chcę być w to wciągnięty.

– To mnie wysadź i jedź w swoją stronę – powiedziałam. – Nawet nie myśl o wyplakiwaniu się teraz, kiedy cały świat mogą diabli wziąć.

– A jak Wingo? – spytał bardziej ugodowym tonem.

– Szczerze mówiąc, okropnie się o niego boję.

Przejechaliśmy przez teren Akademii Medycznej i skręciliśmy na lądowisko helikopterów, gdzie przywożono pacjentów i organy do przeszczepów. Helikopter z USAMRIID jeszcze nie przyleciał, ale po chwili usłyszeliśmy wielkiego blackhawka, a ludzie w samochodach i piesi zatrzymali się, żeby go zobaczyć. Niektórzy zjechali nawet z drogi, patrząc, jak potężna machina zasłania niebo, a potem ląduje, kosząc trawę i rozrzucając kamienie.

Drzwi się przesunęły i weszliśmy z Marinem do środka. Na miejscach dla załogi siedzieli już specjaliści z USAMRIID. Byliśmy otoczeni sprzętem ratowniczym, łącznie ze złożoną jak akordeon, przenośną izolatką. Wręczono mi hełm z mikrofonem, który najpierw sama założyłam, zapinając w pięciu miejscach, a potem pomogłam Marinowi, przykucniętemu na składanym siedzeniu, niezbyt odpowiednim dla osoby jego rozmiarów.

– Mam nadzieję, że reporterzy niczego nie zwietrzą – powiedział ktoś, gdy zatrzasnęły się ciężkie drzwi.

Włączyłam przewód od swego mikrofonu do gniazdka w suficie.

– Na pewno zwietrzą. Pewnie już im się udało.

Dokum lubił rozgłos. Nie mogłam uwierzyć w to, że opuściłby ten świat w ciszy lub bez przeprosin prezydenta. Nie, coś tam musiało być innego i nawet bałam się pomyśleć co. Podróż do Parku Stanowego Janes Island trwała mniej niż godzinę, ale komplikował ją fakt, że kemping był gęsto porośnięty sosną i nie było gdzie lądować.

Piloci wysadzili nas przy stacji Straży Przybrzeżnej w Crisfield, w przystani zwanej Somer's Cove, gdzie żaglówki i jachty, stacjonujące przez zimę, kołysały się na ciemnej, pomarszczonej wodzie rzeki Little Annemessex. Weszliśmy do ceglanego budynku stacji tylko po to, żeby założyć kombinezony i kamizelki ratunkowe, podczas gdy Martinez udzielał informacji.

– Mamy mnóstwo problemów jednocześnie – mówił, chodząc po pokoju, w którym się wszyscy zebraliśmy. – Po pierwsze, ludzie z Tangieru mają tu krewnych i musieliśmy ustawić uzbrojonych strażników przy drogach wylotowych z miasta, ponieważ teraz CDC nie chce, żeby ludzie z Crisfield gdziekolwiek wyjeżdżali.

– Ale przecież tu nikt nie zachorował – odezwał się Marino, mocując się z mankietami, zakładanymi na buty.

– Nie, ale obawiam się, że na początku tej całej historii niektórzy mogli się prześlizgnąć z wyspy tutaj. Nie oczekujcie tu przyjacielskiego traktowania.

– Kto jest na kempingu? – padło pytanie.

– W tej chwili agenci FBI, którzy odnaleźli ciało.

– A inni biwakowicze? – spytał Marino.

– Dowiedziałem się – opowiadał Martinez – że kiedy weszli tam agenci, znaleźli kilka przyczep, ale tylko jedną z gniazdkiem telefonicznym. Było

to na stanowisku szesnastym. Zaczęli walić w drzwi, a kiedy nie było reakcji, zajrzeli przez okienko i zobaczyli ciało na podłodze.

– Agenci nie weszli do środka? – spytałam.

– Nie. Zdawali sobie sprawę z tego, że teren może być skażony. Ale obawiam się, że jeden ze strażników parku wszedł.

– Dlaczego? – spytałam.

– Wie pani, jak to mówią. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Prawdopodobnie jeden z agentów poszedł na lądowisko po dwóch innych, coś w tym rodzaju. W każdym razie w którymś momencie nikt nie pilnował i strażnik wszedł, po czym wypadł jak oparzony. Powiedział, że jest tam jakiś potwór, jak ze Stephena Kinga. Nie wiem. – Wzruszył ramionami i wznosił oczy do nieba.

Popatrzyłam na ekipę USAMRIID.

– Zabierzemy go do nas – powiedział młody człowiek, kapitan, jak rozpoznałam jego rangę. – Nazywam się Clark. To moja drużyna – przedstawił się. – Zaopiekują się nim, przeprowadzą kwarantannę, będą pilnować.

– Stanowisko szesnaste – powiedział Marino. – Czy wiemy, kto je wynajmował?

– Tych szczegółów jeszcze nie znamy – poinformował Martinez. – Wszyscy ubrani? – Obejrzał nas i wyruszyliśmy.

Straż Przybrzeżna zabrała nas w dwóch łódkach wielorybnych, bo tam, dokąd płynęliśmy, było za płytko na kuter czy łódź patrolową. Naszą prowadził Martinez, z niezmaconym spokojem pędząc czterdzieści mil na godzinę po niespokojnej wodzie. Trzymałam się mocno barierki, ale i tak się bałam, że lada moment wyląduję za burtą. Było to jak jazda na mechanicznym byku, a pęd powietrza, wiejącego mi prosto w nos i w usta, prawie uniemożliwiał oddychanie.

Marino siedział naprzeciwko mnie i wyglądał, jakby mu było niedobrze. Staralam się coś powiedzieć, żeby mu dodać otuchy, ale patrzył na mnie nieprzytomnie, trzymając się siłą woli. W końcu wpłynęliśmy do zatoczki nazwanej Flat Cat, porośniętej trzcina i rżesą. Gdy zbliżaliśmy się do parku, pojawiły się napisy: NIE ZAKŁÓCAĆ SPOKOJU. Nie widziałam nic prócz sosen. Kiedy przy płynęliśmy bliżej, widać było ścieżki, łazienki, chatkę strażnika parku i tylko jedną przyczepę, prześwitującą między drzewami. Martinez dobił do pomostu, a tam inny strażnik przywiązał łódź do pala, gdy silnik umilkł.

– Zaraz zwymiotuję – powiedział mi do ucha Marino, gdy niezdarnie wydostawaliśmy się z łódki.

– Nie ma mowy – chwyciłam go pod rękę.

– Nie wejdę do tej przyczepy.

Obróciłam się i zobaczyłam jego bladą twarz.

– Masz rację, nie wejdiesz – powiedziałam. – To moja robota. Ale najpierw musimy znaleźć tego strażnika.

Marino odszedł sztywnym krokiem, nim przybiła druga motorówka, a ja patrzyłam przez las na przyczepę *dokuma*. Raczej stara, bez samochodu, który ją przyciągnął, stała możliwie najdalej od chatki strażnika, ukryta wśród sosen. Kiedy już wszyscy byli na brzegu, ekipa z USAMRIID rozdała znane mi już pomarańczowe kombinezony, pojemniki z powietrzem i zapasowe czterogodzinne baterijki.

Dowódca drużyny, nazwiskiem Clark, odezwał się w tym momencie: – Plan jest następujący. Ubieramy się i wyciągamy ciało.

– Chciałabym tam wejść pierwsza – powiedziałam. – Sama.

– Zgoda – skinął głową. – Potem zobaczymy, czy nie ma tam niczego groźnego, ale mamy nadzieję, że nie. Zabieramy ciało, a przyczepę odholujemy.

– To jest dowód – powiedziałam, patrząc na niego. – Nie możemy jej tak po prostu stąd odholować.

Wiedziałałam, co sobie myśli. Zabójca nie żyje, sprawa zamknięta. Przyczepa stanowi zagrożenie biologiczne i powinna zostać spalona.

– Nie – sprzeciwiłam się. – Tak szybko sprawy nie zamykamy. Nie możemy.

Zawahał się, zawiedziony, spoglądając na przyczepę.

– Wejdę tam – oznajmiłam. – Potem powiem panu, co trzeba będzie zrobić.

– Słusznie. – Znów uniósł głos. – Chłopaki? Idziemy. Nikt nie wchodzi do środka oprócz pani doktor, dopóki nie wydam komendy.

Szli za nami przez las, niosąc przenośną izolatkę, ten niesamowity keson, jak nie z tego świata. Igły sosen pod moimi stopami chrzęściły jak sieczka, a powietrze wydawało się czyste i ostre. Przyczepa była typu Dutchman, długa może na osiemnaście stóp, z rozwiniętą markizą w pomarańczowe pasy.

– Stara, najmarniej osiem lat – powiedział Marino, który się znał na takich rzeczach.

– A co mogłoby to przyciągnąć? – pytałam, gdy zakładaliśmy kombinezony.

– Pikap – powiedział. – Może mikrobus. Nie wymaga wielu koni mechanicznych. Co mamy z tym zrobić? Założyć na wszystko, co już mamy na sobie?

– Tak – odpowiedziałam, zasuważąc zamek błyskawiczny. – Chciałabym wiedzieć, co stało się z pojazdem, który to przyciągnął.

– Dobre pytanie – pochwalił mnie, sapiąc i walcząc z kombinezonem. – I gdzie jest tablica rejestracyjna?

Właśnie włączyłam dopływ powietrza, gdy spośród drzew wyłonił się młody człowiek w zielonym mundurze i brunatnym kapeluszu. Wydawał się dosyć oszołomiony widokiem tych dziwnych postaci w pomarańczowych kombinezonach i hełmach i czułam jego strach. Przedstawił nam się z daleka jako strażnik parku z nocnej zmiany. Pierwszy odezwał się do niego Marino.

– Widziałeś kiedyś osobę, która tu mieszkała?

– Nie – odpowiedział strażnik.

– A ci z innych zmian?

– Nikt nie pamięta, żeby kogoś stamtąd widział, tylko czasem wieczorem światło. Trudno powiedzieć. Jak widać, ta przyczepa jest daleko od naszej chaty. Można pójść pod natrysk czy gdzieś i nikt nie zobaczy.

– Nie ma tu żadnych innych turystów? – spytałam poprzez szum powietrza wewnątrz hełmu.

– Teraz już nie. Były może jeszcze ze trzy osoby, kiedy znalazłem ciało, ale poradziłem im, żeby wyjechali, bo to może być jakaś choroba.

– Czy przesłuchałeś ich przedtem? – spytał Marino i widziałam, jaki jest wściekły na chłopaka za to, że przepędził jedynych naszych świadków.

– Nikt nic nie widział, poza jedną osobą, która twierdzi, że chyba na niego wpadła. – Wskazał głową na przyczepę. – Przedwczoraj wieczorem. W łazience. Potężny facet z ciemnymi włosami i brodą.

– Brał prysznic? – spytałam.

– Nie, proszę pani. – Zawahał się. – Sikał.

– Czy w przyczepie nie ma łazienki?

– Naprawdę nie wiem. – Znów się zawahał. – Prawdę mówiąc, nie zatrzymałem się tam. Natychmiast, jak to zobaczyłem, już mnie nie było.

– I nie wiesz, jak ta przyczepa została przywieziona? – znów zapytał Marino.

Strażnik był wyraźnie zmieszany.

– O tej porze roku jest zwykle spokojnie i ciemno. Nie miałem powodu zapamiętać, do jakiego pojazdu była przyczepiona, i właściwie nie przypominam sobie, że w ogóle taki był.

– Ale masz zapisany numer tablicy rejestracyjnej? – Spojrzenie Marina zza hełmu było mało przyjazne.

– Jasne, że mam. – Strażnik z wyraźną ulgą wyjął z kieszeni kartkę papieru. – Tu mam jego numer. „Ken A. Perley, Norfolk, Wirginia”.

Wręczył kartkę Marinowi, który powiedział z ironią: – Doskonale. Nazwisko, które ten kretyn ukradł z karty kredytowej. Na pewno numer tablicy rejestracyjnej jest tak samo dobry. Jak płacił?

– Czekałem bankowym.

– Wręczał go komuś osobiście?

– Nie. Rezerwację zrobił pocztą. Nikt nigdy nic nie widział oprócz papierków. Jak mówiłem, jego też nikt nie widział.

– A co z kopertą, w której to przyszło? – pytał dalej Marino. – Zachowałeś ją może, żebyśmy chociaż mieli znaczek?

Strażnik pokręcił głową. Patrzył nerwowo na ubranych w kombinezony członków ekipy, słuchających każdego jego słowa. Spojrzał na przyczepę i oblizwał usta.

– Czy mogę się dowiedzieć, co tam jest? I co mi się może stać, jeżeli tam wszedłem? – Głos mu się załamał i wydawało się, że się rozpłacze.

– Przyczepa może być zakażona wirusem – wyjaśniłam. – Ale nie wiemy tego na pewno. Wszyscy tutaj się tobą zajmą.

– Powiedzieli, że mnie zamkną w jakimś pokoju, jak pustelnika. – Strach dodał mu sił, bo wykrzyknął. – Chcę szczegółowo wiedzieć, co tam jest i czego mogę dostać!

– Będziesz dokładnie tam, gdzie ja byłam w zeszłym tygodniu – zapewniłam go. – Miły pokój z miłymi pielęgniarkami. Na kilkudniową obserwację. To wszystko.

– Potraktuj to jak wakacje. To naprawdę nic takiego. Nie musisz od razu świrować, dlatego że ci ludzie są tak ubrani – pocieszał Marino, jakby to on był tu specjalistą.

Opowiadał dalej, jak specjalista od chorób zakaźnych, więc zostawiłam ich obu i poszłam w stronę przyczepy. Po lewej był lasek, a za nim rzeka, gdzie przycumowane były nasze łodzie. Na prawo, poprzez drzewa, słyszałam odgłosy autostrady. Przyczepa była zaparkowana na miękkim podłożu z sosnowych igieł. Podeszłam bliżej i ręką w rękawiczce poskrobałam głębokie nacięcia w aluminium, w miejscu gdzie powinien być wybity numer identyfikacyjny pojazdu. Wyżej, koło dachu, zauważyłam wypaloną plamę winylu i uznałam, że zapewne ktoś wypalił propanem drugie miejsce, w którym umieszczano numer identyfikacyjny. Obeszłam przyczepę dookoła.

Drzwi nie były zamknięte na żaden zamek, a nawet leciutko uchylone, bo ktoś próbował się do nich dostać jakimś narzędziem. Nerwy zaczęły mi grać, w głowie się przejaśniło i byłam absolutnie skupiona, jak zawsze gdy dowody opowiadały zupełnie inną historię, niż podawali świadkowie. Weszłam po metalowych schodkach i stanęłam nieruchomo w drzwiach, patrząc na scenę, która dla większości ludzi byłaby niezrozumiała, ale dla mnie stanowiła potwierdzenie koszmaru. Była to fabryka *dokuma*.

Po pierwsze, ogrzewanie nastawione było na maksimum i od razu je wyłączyłam. Przestraszyłam się, gdy pod nogami szurnęło mi jakieś nieszczęsne białe stworzonko. Aż podskoczyłam, gdy bezmyślnie rzuciło się na ścianę, ale potem siadło, drżąc i dysząc. Biedny króliczek doświadczalny miał wygolone placki w miejscach, na których został

zainfekowany i pojawiły się tam okropne, ciemne wypryski. Zauważyłam drucianą klatkę, która została zapewne zrzucona ze stołu i przy tej okazji otworzyły się drzwiczki.

– No, chodź. – Przykucnęłam i wyciągnęłam do niego rękę, a on patrzył oczkami w czerwonych obwódkach i strzygł długimi uszkami. Posunęłam się ostrożnie w jego stronę, bo przecież nie mogłam go zostawić. Był żywym źródłem zarazy. – Chodź, biedne maleństwo – powiedziałam do potwora, który wystraszył strażnika. – Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

Wzięłam go ostrożnie w rękę. Trząśił się i waliło mu serduszko. Wsadziłam go do klatki i poszłam na tył przyczepy. Przeszłam przez małe drzwiczki i natknęłam się na ciało, zajmujące prawie całą sypialnię. Mężczyzna leżał twarzą w wytartym złotawym dywaniku, poplamionym ciemną krwią. Miał kręcone, ciemne włosy, a kiedy go odwróciłam, zauważyłam, że stężenie pośmiertne już z niego zeszło. Przypominał mi drwała, w brudnej groszkowej kurtce i spodniach. Miał duże ręce z czarnymi paznokciami, zaniedbaną brodę i wąsy.

Rozebrałam go od pasa w górę, aby sprawdzić plamę pośmiertną. Twarz i pierś miały kolor czerwono-fioletowy, z jaśniejszymi miejscami, tam gdzie ciało dotykało podłogi. Nic nie wskazywało na to, żeby je ktoś ruszał po śmierci. Strzelono mu w pierś raz, z bliska, prawdopodobnie z dwulufowego remingtona, leżącego przy nim, obok lewej ręki. Rozrzut pocisków był nieduży, tworząc sporą dziurę o postrzępionych jak muszla brzegach na środku piersi. Resztki białej plastikowej przybitki z dubeltówki przylegały do ubrania i skóry, co znów nie wskazywało na styczność z raną. Nie wydawało mi się możliwe, żeby sięgnął do spustu, biorąc pod uwagę długość rąk i broni. Nie widziałam też żadnego urządzenia, które mogłoby mu pomóc. Sprawdziłam kieszenie, nie znalazłam żadnego portfela ani dowodu tożsamości, tylko nóż. Miał zadrapane i wygięte ostrze.

Nie przebywałam już dłużej w jego towarzystwie, tylko wyszłam na zewnątrz. Ekipa z USAMRIID czekała niecierpliwie, jakby się gdzieś wybierali i bali się spóźnić na samolot. Wpatrywali się we mnie, gdy schodziłam po metalowych schodkach. Marino stał dalej, niemal schowany wśród drzew, ze skrzyżowanymi na piersi pomarańczowymi rękami, a obok niego strażnik.

– Miejsce zbrodni jest kompletnie skażone – oświadczyłam. – Denat to mężczyzna rasy białej, niezidentyfikowany. Potrzebuję pomocy przy wynoszeniu ciała. Trzeba je szczelnie zabezpieczyć. – Popatrzyłam na kapitana.

– My je zabieramy – powiedział.

Skinęłam głową.

– Wasi ludzie mogą przeprowadzić sekcję. Może wziąć kogoś z biura koronera z Baltimore jako świadka. Przyczepa to osobny problem. Trzeba ją zawieźć gdzieś, gdzie można nad nią bezpiecznie pracować. Trzeba zebrać i odkazić dowody. Szczerze mówiąc, to już wykracza poza moje kompetencje. Jeżeli nie macie urządzenia, w którym można bezpiecznie zamknąć coś tak olbrzymiego, może lepiej przewieźć to do Utah.

– Do Dugway? – spytał niepewnie.

– Tak – odpowiedziałam. – Może pułkownikowi Fujitsubo uda się w tym pomóc.

Teren doświadczalny Dugway był głównym miejscem, w którym wojsko testowało obronę chemiczną i biologiczną. W przeciwieństwie do USAMRIID, które mieściło się w sercu zurbanizowanej Ameryki, Dugway posiadał olbrzymie tereny na pustyni Wielkiego Jeziora Słonego do testowania laserów, inteligentnych bomb, zadymiania i iluminacji. A przede wszystkim miał jedyną komorę testową, zdolną pomieścić coś o rozmiarach czołgu bojowego.

Kapitan myślał przez chwilę, wędrując spojrzeniem ode mnie do przyczepy, podejmował w tym czasie decyzję i układał plan.

– Frank, zadzwoń po ten ruchomy ASAP do osłony, a pułkownik będzie musiał z Siłami Powietrznymi załatwić transport, i to szybko, bo nie chcę, żeby ta przyczepa stała tutaj całą noc i będziemy potrzebowali jakiejś ciężarówki z płaską platformą.

– Powinno się udać zdobyć coś takiego tutaj, bo przecież tyle owoców morza transportują – powiedział Marino. – Zajmę się tym.

– Dobra – ciągnął kapitan. – Niech ktoś mi da trzy worki na zwłoki i przenośną izolatkę. Na pewno potrzebuje pani pomocy – zwrócił się do mnie.

– Oczywiście – odpowiedziałam i ruszyliśmy w stronę przyczepy.

Otworzyłam wygięte aluminiowe drzwi i wszedł za mną do środka. Szybko przeszliśmy na tył. Poznałam po oczach Clarka, że nigdy jeszcze nie widział nic takiego, ale ponieważ miał hełm i dopływ powietrza, nie czuł odoru psującego się ludzkiego ciała. Przyklęknął z jednej strony, ja z drugiej. Zwłoki były ciężkie, a pomieszczenie ciasne.

– Czy tu jest tak gorąco, czy to tylko mnie? – pytał głośno, gdy zmagaliśmy się z prawie gumowymi kończynami.

– Ktoś włączył ogrzewanie na maksimum. – Już mi brakło tchu. – Żeby przyśpieszyć zatrucie wirusem i rozkład. Znana metoda zacierania śladów w miejscu zbrodni. Dobra. Zamknij suwak. Będzie trudno, ale chyba damy radę.

Zaczęliśmy wpychać ciało do drugiego worka, ale mieliśmy już ręce i kombinezony śliskie od krwi. Włożenie go do izolatki zajęło nam prawie pół godziny i drżały mi mięśnie, gdy go wynosiliśmy. Serce mi waliło i oblewałam się potem. Gdy wyszliśmy, zostaliśmy dokładnie spłukani środkami chemicznymi, podobnie jak przenośna izolatka, którą

przetransportowano ciężarówką do Crisfield. Następnie ekipa zabrała się do pracy nad przyczepą.

Cała, prócz kół, miała być zawinięta w gruby, niebieski winyl z warstwą filtra HEPA. Z ulgą zdjęłam kombinezon i wróciłam do strażnicy, gdzie wyszorowałam twarz i ręce. Nerwy mi puszczały i oddałabym wszystko za to, żeby znaleźć się w łóżku, zażyć NyQuil i spać.

– Co za bajzel – powiedział Marino, wchodząc i wpuszczając zimne powietrze.

– Zamknij drzwi – powiedziałam, trzęsąc się.

– Co cię gryzie? – zapytał i usiadł z drugiej strony pokoju.

– Życie.

– Nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś tu, chociaż jesteś chora. Musiało ci paść na mózg.

– Dziękuję za słowa pociechy.

– No, dla mnie to też nie są wakacje. Jestem tu uziemiony, muszę przesłuchiwać ludzi, a nie mam żadnych czterech kółek. – Wyglądał na zmęczonego.

– Co masz zamiar zrobić?

– Coś znajdę. Mówią, że Lucy i Janet są w okolicy i mają jakiś pojazd.

– Gdzie? – poderwałam się.

– Spokojnie, starają się znaleźć jakichś ludzi, żeby ich przesłuchać.

Boże, muszę zapalić. Już prawie cały dzień nie paliłem.

– Nie tutaj – pokazałam na znak.

– Ludzie umierają na ospę, a ty marudzisz o papierosy.

Wyjęłam motrin i połknęłam trzy tabletki bez popijania.

– Więc co teraz będą robili ci wszyscy kosmici? – spytał.

– Niektórzy zostaną w tej okolicy, szukając ludzi, którzy mogli mieć kontakt z chorobą albo na Tangierze, albo tu na kempingu. Będą pracowali

na zmianę. Myślę, że też się będziesz z nimi kontaktował, gdybyś natrafił na kogoś, kto mógł się zarazić.

– Co? Mam cały tydzień chodzić w pomarańczowym kombinezonie? – ziewnęła i stuknęła się w kark. – Ale to kurestwo. Gorąco w tym jak diabli, poza hełmem. – W głębi ducha był bardzo dumny ze swego kombinezonu.

– Nie, nie będziesz chodził w kombinezonie.

– A co będzie, jak znajdę kogoś, kto mógł się zarazić?

– Nie całuj go.

– Nie uważam, że to było śmieszne. – Popatrzył na mnie.

– Absolutnie nie jest śmieszne.

– A co z tym zastrzelonym facetem? Spalą go, chociaż nie wiemy, kto to jest?

– Przeprowadzą sekcję rano – powiedziałam. – Przypuszczam, że będą przechowywać ciało tak długo, jak będą mogli.

– Wszystko to jest jakieś zwariowane. – Marino potarł twarz rękami. – I widziałaś tam komputer.

– Tak, laptopa. Ale bez drukarki ani skanera. Podejrzewam, że jest to czyjaś kryjówka. Drukarkę i skaner ma w domu.

– A co z telefonem?

Zastanowiłam się.

– Chyba nie widziałam.

– Od przyczepy do skrzynki rozdzielczej idzie linia telefoniczna. Zobaczymy, czy da się tu coś znaleźć, na przykład czyj to jest rachunek. Powiem Wesleyowi, co się dzieje.

– Jeżeli linia była używana tylko do poczty elektronicznej – odezwała się Lucy, wchodząc i zamykając drzwi – nie będzie żadnego rachunku telefonicznego. Jedyne rachunek będzie na America on-line i przysyłać go będą do Perleya, faceta, któremu ukradziono numer karty kredytowej.



Wyglądała różno, ale trochę nieporządnie w dżinsach i skórzanej kurtce. Usiadła obok mnie, obejrzała białka moich oczu i pomacała węzły chłonne na szyi.

– Pokaż język – powiedziała poważnie.
– Przestań – odepchnęłam ją, kaszłąc i śmiejąc się równocześnie.
– Jak się czujesz?
– Lepiej. Gdzie Janet?
– Rozmawia gdzieś tam na dworze. Jaki tam jest komputer?
– Nie miałam czasu mu się przyglądać. Nie zauważyłam żadnych szczegółów.

– Był włączony?
– Nie wiem, nie sprawdzałam.
– Muszę tam wejść.
– Co chcesz zrobić? – spytałam, patrząc na nią.
– Chyba muszę iść z tobą.
– Pozwolą ci to zrobić? – spytał Marino.
– A kto to, do cholery, są „oni”?
– Te palanty, dla których pracujesz – odpowiedział.
– Włączyli mnie do tej sprawy, mają nadzieję, że to rozwiążę.

Cały czas patrzyła na drzwi i okna. Lucy była zarażona pasją i była skłonna cierpieć w imię przestrzegania prawa. Pod kurtką nosiła pistolet Sig Sauer kaliber dziewięć milimetrów, z dodatkowymi magazynkami. W kieszeni miała prawdopodobnie mosiężny kastet. Spięła się, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł kolejny strażnik parku, z mokrymi jeszcze od kąpieli włosami, podniecony i zdenerwowany.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytał, zdejmując kurtkę.

– Taa – odpowiedział Marino, wstając z krzesła. – Jaki masz samochód?

Platforma już czekała, gdy przyjechaliśmy, z załadowaną nań przyczepą kempingową, szczelnie owiniętą lekko przezroczystą folią, błyszczącą nieziemskim błękitem w świetle gwiazd i księżyca. Wciąż była przyczepiona do pikapa. Zaparkowaliśmy nieopodal, na piaszczystej drodze na skraju pola, kiedy olbrzymi samolot przeleciał niepokojąco nisko nad naszymi głowami. Był głośniejszy niż normalny pasażerski odrzutowiec.

– Co jest, do cholery? – wykrzyknął Marino, otwierając drzwi dżipa strażnika parku.

– Wydaje mi się, że to nasz lot do Utah – powiedziała Lucy z tylnej kanapy, gdy obie zajęłyśmy tam miejsca.

Strażnik wpatrywał się w górę przez przednią szybę z niedowierzaniem, jak gdyby nastąpiło wniebowstąpienie.

– Cholera, zostaliśmy zaatakowani!

Pierwszy zszedł w dół wojskowy hummer, owinięty w tekturę falistą, na ciężkiej drewnianej platformie. Zabrzmiało to jak wybuch, gdy wylądował na ściernisku i był wleczony przez spadochrony, które złapały wiatr. Zielony nylon opadł na wielokołowy pojazd, gdy więcej ładunków rozkwitało w powietrzu i uderzało o ziemię. Za nimi pojawiali się spadochroniarze, zataczając w powietrzu dwa lub trzy kółka, zanim zwinnie lądowali na nogach i wyplątywali się z uprzęży. Zbierali z ziemi falujący nylon, gdy odgłos ich C-17 oddalał się w stronę księżyca.

Oddział zwiadowczy Sił Powietrznych z Charleston w Południowej Karolinie przybył dokładnie trzynaście minut po północy. Siedzieliśmy w dżipie i patrzyliśmy zafascynowani, jak żołnierze zaczynają sprawdzać zawartość gruntu pod to, co ma na nim wylądować, a waży wystarczająco dużo, by zniszczyć normalny pas startowy. Pomiary zostały

przeprowadzone i oddział rozstawił szesnaście zdalnie sterowanych reflektorów startowych, podczas gdy kobieta w panterce rozpakowała hummera, uruchomiła głośny silnik Diesla i zjechała z platformy, usuwając się z drogi.

– Muszę sobie załatwić jakiś nocleg, żeby tu zostać – powiedział Marino, gapiąc się na ten spektakl. – Jak, do diabła, oni mogą wylądować jakimś wielkim wojskowym samolotem na takim małym polu?

– Mogę ci to nieco wytłumaczyć – powiedziała Lucy, która nigdy nie czuła się zagubiona, jeśli chodzi o techniczne komentarze. – C-17 został tak zaprojektowany, żeby mógł lądować z ładunkiem na takich małych, nieprzygotowanych pasach, jak ten. Albo na wyschniętych dnach jezior. W Korei używali nawet autostrad.

– No to zaczynamy! – powiedział Marino ze swoim charakterystycznym sarkazmem.

– Jedyna inna maszyna, która potrafiłaby się zmieścić na tak małej przestrzeni, to C-30. A C-17 potrafi się jeszcze do tego cofnąć. Fajnie, no nie?

– Nie ma mowy, żeby towarowy samolot to zrobił – powiedział Marino.

– No cóż, to maleństwo potrafi – powiedziała to tak, jakby chciała zaadoptować samolot.

Marino zaczął się rozglądać.

– Jestem tak głodny, że zjadłbym oponę i oddał wypłatę za piwo. Opuszczę trochę szybę i zapalę.

Wyczułam, że strażnik nie chce, aby ktokolwiek palił w jego wypieszczonym samochodzie, ale krępował się to powiedzieć.

– Chodźmy na zewnątrz, Marino – powiedziałam. – Świeże powietrze dobrze nam robi.

Wygrzebaliśmy się z samochodu, a on zapalił marlboro i ssał go, jakby to była pierś matki. Członkowie ekipy USAMRIID, zajęci platformą i jej dziwnym ładunkiem, byli wciąż w kombinezonach ochronnych i trzymali się z dala od wszystkich. Zebrali się na piaszczystej drodze i obserwowali pracę żołnierzy na kawałku ziemi, który w cieplejszych miesiącach mógł zapewne służyć za boisko.

Ciemny nieoznakowany plymouth podjechał około drugiej rano i Lucy podbiegła do niego. Patrzyłam, jak rozmawia z Janet przez otwarte okno kierowcy. Później samochód odjechał.

– Jestem z powrotem – oznajmiła spokojnie Lucy, dotykając mojego ramienia.

– Wszystko w porządku? – spytałam. Wiedziałam, że ich wspólne życie musiało być ciężkie.

– Jak na razie – pod kontrolą.

– 007, miło, że pojawiłeś się i pomogłeś nam dzisiaj – powiedział Marino do Lucy, paląc tak intensywnie, jakby to był ostatni papieros w jego życiu.

– Wiesz, że brak szacunku w stosunku do agentów federalnych jest wykroczeniem – powiedziała. – A szczególnie do mniejszości włoskiego pochodzenia.

– Mam cholerną nadzieję, że jesteś w mniejszości. Nie chcę tutaj więcej takich jak ty – strząsnął popiół, gdy usłyszeliśmy w oddali samolot.

– Janet zostaje tutaj – powiedziała do niego Lucy. – To znaczy, że będziecie pracować razem. Nie pal w samochodzie, a jeżeli ją uderzysz – koniec z tobą.

– Cicho – powiedziałam do nich obojga.

Odrzutowiec powracał od strony północnej i staliśmy w ciszy, wpatrując się w niebo, gdy nagle zapłonęły reflektory. Utworzyły one świetlistą

punktowaną linię, oznaczając na zielono miejsce podejścia, na biało strefę lądowania i wreszcie na czerwono – koniec pasa. Pomyślałam, jak dziwnie musiałyby to wyglądać dla kogoś, kto akurat przejeżdżałby tędy, w czasie gdy samolot podchodził do lądowania. Widziałam jego czarny cień i błyskające światełka na skrzydłach, gdy zniżał się i hałas stał się przeraźliwy. Podwozie zostało wysunięte i szmaragdowe światło wylało się spod kół, kiedy C-17 zmierzał wprost na nas.

Miałam paralizujące uczucie, że oto doświadczam katastrofy, to znaczy, że ta straszliwa, szara maszyna o pionowych końcówkach skrzydeł i przysadzistym kształcie zaraz zaryje się w ziemię. Zabrzmiało to jak huragan, gdy przeleciała tuż nad naszymi głowami. Wcisnęliśmy palce do uszu, kiedy olbrzymie koła dotknęły ziemi, trawa i kurz latały w powietrzu, wielkie kawały, wylatujące z bruzd, utworzonych przez potężne koła oraz sto trzydzieści ton aluminium i stali. Kłapy były uniesione, silniki pracowały na wstecznym biegu, gdy odrzutowiec wył i zatrzymywał się na końcu pola, niewystarczającego nawet na boisko do piłki nożnej.

Wtedy piloci zaczęli go z hałasem cofać na wstecznym w naszym kierunku, tak aby było dosyć miejsca na ponowne wystartowanie. Kiedy ogon dosięgnął piaszczystej drogi, C-17 zatrzymał się, z dyszą silnika skierowaną daleko od nas. Tył uniósł się jak pysk rekina, metalowa rampa została opuszczona i komora ładunkowa była całkowicie otwarta, oświetlona i błyszcząca polerowanym metalem.

Przez chwilę patrzyliśmy na szefa załadunku i jego ekipę przy pracy. Założyli kombinezon przeciwchemiczny, czarne kaptury, gogle i czarne rękawice i wyglądali dosyć przerażająco, zwłaszcza w nocy. Szybko ściągnęli pikapa i przyczepę z platformy, rozłączyli je i wojskowy hummer wciągnął przyczepę do wnętrza C-17.

– No chodź – powiedziała Lucy, biorąc mnie pod ramię. – Nie chcemy chyba spóźnić się na nasz lot.

Poszliśmy przez pole i nie mogłam uwierzyć w natężenie ciśnienia i hałasu, gdy wchodziłyśmy na automatyczną rampę, torując sobie drogę wśród wbudowanych w metalową podłogę kółek i bloczków oraz kilometrów izolacji i kabli, zwisających tuż nad głową. Samolot wyglądał na wystarczająco duży, aby pomieścić kilka helikopterów, karettek, czołgów, i miał co najmniej pięćdziesiąt miejsc dla skoczków spadochronowych. Ale dzisiaj załoga była skromna, składała się z szefa załadunku, spadochroniarzy i, jak sędzę, przypisanej do nas pani porucznik o imieniu Laurel.

Była to atrakcyjna młoda kobieta, z krótkimi, ciemnymi włosami, przywitała się z nami i uśmiechnęła jak miła hostessa.

– Dobra wiadomość to ta, że nie siedzicie tutaj – powiedziała. – Będziemy na górze z pilotami. Następną dobrą wiadomość: mam kawę.

– To byłoby cudownie – powiedziałam, słysząc dzwonięcie metalu, gdy załoga zabezpieczała przyczepę i hummera, przymocowując je do podłogi za pomocą siatki i łańcuchów.

Na schodach prowadzących z luku na górę wymalowano imię samolotu, czyli w tym przypadku – Heavy Metal. Kabina pilotów była olbrzymia, z elektronicznym systemem kontroli lotu i wyświetlaczami takimi jak w myśliwcach. Sterowanie odbywało się za pomocą joysticków, a nie drążków, a cała aparatura była zupełnie onieśmiałająca.

Wdrapałam się na obrotowy fotel, za dwoma pilotami w zielonych kombinezonach, którzy byli zbyt zajęci, żeby zwracać na nas uwagę.

– Macie słuchawki z interkomem, żebyście mogli rozmawiać, ale proszę, nie wtedy kiedy mówią piloci – powiedziała nam Laurel. – Nie musicie ich zakładać, ale tutaj jest dosyć głośno.

Wpięłam się w pięciopunktową uprzęż i zauważyłam maski tlenowe wiszące przy każdym fotelu.

– Będę na dole i zajrzę do was od czasu do czasu – ciągnęła pani porucznik. – Do Utah są jakieś trzy godziny i lądowanie nie powinno być zbyt gwałtowne. Mają pas startowy wystarczający dla promu kosmicznego, albo przynajmniej tak twierdzą. Wiecie, jak wojsko się chwali.

Zeszła z powrotem na dół, podczas gdy piloci mówili żargonem i rzucali kody, które dla mnie nic nie znaczyły. Rozpoczęliśmy start.

– Jesteśmy w tej chwili na pasie – powiedział pilot. – Ładunek? – Domyśliłam się, że mówi do człowieka na dole, odpowiedzialnego za załadunek. – Czy wszystko jest zabezpieczone?

– Tak jest – zadzwieczał głos w słuchawkach.

– Czy lista jest kompletna?

– Tak.

– W porządku. Kołujemy.

Samolot ruszył do przodu, podskakując nad polem z siłą niepodobną do jakiegokolwiek startu, który przeżyłam do tej pory. Pruł ponad sto mil na godzinę, wzbijając się w powietrze pod takim kątem, że wgniotło mnie w fotel. Nagle niebo rozświetliły gwiazdy, a światła Marylandu wyglądały jak błyskająca siateczka.

– Lecimy z prędkością około dwustu węzłów – powiedział pilot. – Wieża maszyna 30601. Klapy w górę. Wykonać.

Obejrzałam się w stronę Lucy, która siedziała za drugim pilotem i próbowała zobaczyć, co on robi, słuchając każdego jego słowa i starając się je zapamiętać. Laurel wróciła z kubkami kawy, ale nic nie mogło mi pomóc. Pograżyłam się we śnie na wysokości dziesięciu tysięcy, kiedy samolot leciał na zachód z prędkością sześciuset mil na godzinę. Obudziłam się, gdy mówiła wieża.

Byliśmy nad Salt Lake City i zniżaliśmy się, ale Lucy nie zamierzała wrócić na ziemię, zasłuchana w rozmowy pilotów. Zauważyła, że na nią patrzę, ale nie miała ochoty się oderwać. Nigdy, w całym moim życiu nie spotkałam takiej osoby. Miała nienasyconą ciekawość wszystkiego, co da się złożyć, rozłożyć, zaprogramować i co, ogólnie mówiąc, zrobi to, co ona zechce. Ludzie to była jedyna rzecz, której nie mogła rozgryźć.

Centrum lotów w Clover przekazało nas centrum lotów obszaru Dugway i wtedy zaczęliśmy odbierać instrukcje, dotyczące lądowania. Pomimo tego, co nam powiedziano o długości pasa, wydawało się, że zostaniemy wydarci z foteli, kiedy silniki pracowały coraz głośniej nad pasem, migającym kilometrami światełek; powietrze uderzało w podniesione klapy. Zatrzymanie było tak gwałtowne, że nie wiedziałam, jak było w ogóle fizycznie możliwe, i zastanawiałam się, czy piloci kiedykolwiek to ćwiczyli.

– Hej siup – powiedział radośnie jeden z nich.

Dugway było wielkości Rhode Island, a w bazie mieszkało dwa tysiące osób. Jednak kiedy dotarliśmy tam o wpół do szóstej rano, nie widzieliśmy nic. Laurel przekazała nas żołnierzowi, który umieścił nas w ciężarówce i zawiózł gdzieś, gdzie mogliśmy odpocząć i odświeżyć się. Nie było czasu na spanie. Samolot miał odlecieć tego samego dnia i musieliśmy na niego zdążyć.

Lucy i ja zostałyśmy umieszczone w hoteliku Antelope Inn, naprzeciwko klubu. Dostałyśmy pokój z dwoma łózkami na pierwszym piętrze, urządzone w jasnym dębie, w którym wszystko, łącznie z wykładziną dywanową, było niebieskie. Rozciągał się z niego widok na baraki za pasem zieleni, w których zaczynały się już powoli pojawiać światła.

– Wiesz, właściwie nie ma co brać prysznic, skoro mamy włożyć te same brudne rzeczy – powiedziała Lucy, wyciągając się na łóżku.

– Masz świętą rację – zgodziłam się, zdejmując buty. – Mogę zgasić światło?

– Bardzo chętnie.

W pokoju zapanowała ciemność i nagle poczułam się głupio.

– To jak na imprezie z nocowaniem.

– Jakiejś piekielnej.

– Pamiętasz, jak przyjeżdżałaś do mnie, kiedy byłaś mała? – spytałam. – Czasem przesiedziałyśmy pół nocy. Nigdy nie chciałaś iść spać, tylko wciąż jeszcze miałam ci poczytać. Byłam przez ciebie wykończona.

– Ja pamiętam to zupełnie inaczej. Chciałam spać, a ty mi nie dawałaś spokoju.

– Nieprawda.

– Bo mnie rozpieszczałaś.

– Wcale nie. Z trudem tolerowałam czyjąś obecność w moim pokoju – powiedziałam. – Ale było mi ciebie żal i chciałam być miła.

W ciemności poszybowała poduszka i uderzyła mnie w głowę. Odrzuciłam ją. Wtedy Lucy wyskoczyła ze swojego łóżka, wskoczyła na moje, ale gdy się tam znalazła, nie bardzo wiedziała, co robić. Nie miała już dziesięciu lat ani ja nie byłam Janet. Wstała, wróciła do swojego łóżka i głośno uklepała poduszkę.

– Chyba znacznie lepiej się czujesz – powiedziała.

– Lepiej, ale nie znacznie. Będę żyła.

– Ciociu Kay, co masz zamiar zrobić z Bentonem? Już chyba nawet nie myślisz o nim.

– Och, myślę – odparłam. – Ale, delikatnie mówiąc, ostatnio sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Ludzie zawsze się tak tłumaczą. Mogłam to przewidzieć. Całe życie to słyszałam od mojej matki.

– Ale nie ode mnie.

– O to właśnie chodzi. Co chcesz z nim zrobić? Mogłabyś wyjść za mąż. Sama myśl mnie zdenerwowała.

– Chyba nie mogłabym tego zrobić, Lucy.

– Dlaczego nie?

– Może już za bardzo przywykłam do chodzenia swoimi drogami, mam swoje przyzwyczajenia... Tyle się ode mnie wymaga.

– Ale musisz też mieć życie prywatne.

– Wydaje mi się, że mam – odpowiedziałam – ale może nie takie, jakie zdaniem innych powinno być.

– Zawsze mi radziłaś – powiedziała. – Może teraz moja kolej. Nie uważam, że powinnaś wychodzić za mąż.

– Dlaczego? – Bardziej mnie to zdziwiło, niż zaskoczyło.

– Chyba nigdy naprawdę nie pochowałaś Marka. I póki tego nie zrobisz, nie powinnaś wychodzić za męża. Nie możecie żyć we trójkę.

Zrobiło mi się smutno i cieszyłam się, że mnie nie widzi w ciemności. Po raz pierwszy w życiu rozmawiałyśmy jak przyjaciółki.

– Nie przeszło mi po jego śmierci i prawdopodobnie nigdy nie przejdzie – powiedziałam. – Myślę, że był moją pierwszą miłością.

– Wiem dużo na ten temat – mówiła moja siostrzenica. – Ja też się martwię, że jeżeli coś się stanie, to też już nigdy nikogo takiego nie będę miała. I nie chciałabym dalej iść przez życie, nie mając tego, co mam teraz. Nie mając kogoś, z kim można porozmawiać o wszystkim, kogoś, kogo obchodzisz i jest czuły. – Zawahała się i przy tym, co powiedziała później, jej głos się łamał. – Kto nie jest zazdrosny i cię nie wykorzystuje.

– Lucy – powiedziałam. – Ring już w życiu nie przypnie odznaki detektywa, ale tylko ty możesz sprawić, żeby Carrie nie miała nad tobą władzy.

– Nie ma nade mną władzy – uniosła się.

– Oczywiście, że ma. I mogę to zrozumieć. Ja też jestem na nią wściekła.

Lucy na chwilę umilkła i powiedziała ciszej: – Ciociu, co się ze mną stanie?

– Nie wiem, Lucy – powiedziałam. – Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale mogę ci obiecać, że będę z tobą na każdym kroku.

Kręta ścieżka, która doprowadziła ją do Carrie, przywiodła nam na myśl matkę Lucy, moją siostrę. Wspominając wzloty i upadki moich lat dorostania, doszłam do mojego małżeństwa i szczerze rozmawiałam z Lucy o jej byłym wujku, Tonym. Mówiłam, jak się można czuć, kiedy się jest w moim wieku i wiem, że prawdopodobnie nie będę miała dzieci. Niebo zaczęło się rozjaśniać i należało zacząć nowy dzień. O dziewiątej czekał na

nas kierowca dowódcy, młody szeregowiec, który pewnie niedawno zaczął się golić.

– Tuż po paniach przyjechała jeszcze jedna osoba – powiedział, zakładając okulary ochronne. – Z Waszyngtonu, z FBI.

Bardzo mu to imponowało, na pewno nie miał pojęcia, kim jest Lucy. Nie zmienił wyrazu twarzy, gdy spytałam: – A co takiego robi w FBI?

– Jakiś naukowiec czy coś takiego, bardzo ważnego – odpowiedział, zerkając na Lucy, która prezentowała się bardzo atrakcyjnie mimo nieprzespanej nocy.

Naukowcem okazał się Nick Gallwey, szef Sztabu Antykryzysowego, znany ekspert sądowy. Znaliśmy się od wielu lat i kiedy wszedł do holu, uściskaliśmy się, a Lucy podała mu rękę.

– Miło mi panią poznać, agencie specjalny Farinelli. Dużo o pani słyszałem – powiedział. – A więc Kay i ja zabierzemy się do brudnej roboty, a pani będzie się bawiła komputerem.

– Tak jest – odpowiedziała słodko.

– Czy można gdzieś tu zjeść śniadanie? – zapytał szeregowca, który nagle bardzo się zmieszał i zawstydził.

Wiózł nas suburbanem dowódcy bazy, pod bezkresnym niebem. Z daleka, od zachodu otaczały nas łańcuchy niezamieszkanymi gór, przed nami pustynna roślinność, jak szałwia i skarłowaciałe z braku deszczów sosenki i świerki. Najbliższa szosa znajdowała się o czterdzieści mil od tego Domu Mustangów, jak nazywano bazę, z jej bunkrami z amunicją, bronią z drugiej wojny światowej i obszerną, choć ograniczoną przestrzenią powietrzną. Tu i ówdzie widać było ślady soli pozostałej z dawnych wód, i udało nam się dostrzec antylope i orła.

Naga Droga, jak ją słusznie nazwano, prowadziła nas do urządzeń testujących, oddalonych jakieś dziesięć mil od części mieszkalnej bazy. Po

drodze znajdowała się jadłodajnia Ditto, w której zatrzymaliśmy się, tylko żeby wypić kawę i zjeść kanapki z jajkiem, i ruszyliśmy dalej, do urządzeń testujących, mieszczących się w dużych, nowoczesnych budynkach za murem, uzbrojonym drutem kolczastym.

Wszędzie umieszczono ostrzeżenia, że nieupoważnionym wstęp wzbroniony i przebywanie grozi śmiercią. Kody na budynkach informowały, co znajduje się wewnątrz, i rozpoznałam symbole iperytu, Eboli, anthraxu i hantavirusa. Betonowe ściany, jak nas poinformował kierowca, były grube na kilkadziesiąt centymetrów, a lodówki wewnątrz odporne na wybuchy. Rutynowe działanie podobne było do tego, które już znałam. Strażnicy przeprowadzili nas przez urządzenia antytoksyczne, a następnie my z Lucy poszliśmy do damskiej szatni, a Gallwey do męskiej.

Rozebrałyśmy się i włożyłyśmy tutejsze zielone mundury, a na to panterki z kapturami i goglami oraz grube czarne gumowe rękawice i kalosze. Podobnie jak niebieskie kombinezony w CDC i USAMRIID, miały przewody powietrzne, przyłączone w komorze, która tutaj była z nierdzewnej stali od podłogi do sufitu. Był to system kompletnie zamknięty, z podwójnymi filtrami węglowymi, w którym zatrute pojazdy, na przykład czołgi, mogły być odkażane chemikaliami i parą. Zapewniono nas, że możemy pracować, jak długo chcemy, nie narażając nikogo na ryzyko.

Być może uda się nawet niektóre dowody odkazić i zachować. Na razie trudno było powiedzieć. Żadne z nas nie pracowało jeszcze przy takim przypadku. Zaczęliśmy od otwarcia drzwi i umieszczenia w środku świateł. Dziwnie się poruszało w tej komorze, a stalowa podłoga dźwięczała jak piła pod naszymi nogami. Nad nami pracownik naukowy wojska, siedząc w pomieszczeniu kontrolnym za szkłem, monitorował wszystko, co robiliśmy.

Znów weszłam pierwsza, bo chciałam dokładnie zbadać scenę zbrodni. Gallwey zaczął od fotografowania śladów narzędzi na drzwiach i

pobierania odcisków palców, a ja weszłam do środka i patrzyłam, jakbym widziała to po raz pierwszy. Część mieszkalna, w której normalnie stałaby kanapka i stół, była wypatroszona i przekształcona w laboratorium, którego skomplikowane wyposażenie nie było nowe, ale nie tanie.

Króliczek wciąż jeszcze żył, więc go nakarmiłam i postawiłam klatkę na blacie z dykty, starannie wykonanym i pomalowanym na czarno. Poniżej stała lodówka, w której znalazłam Vero i ludzkie zarodkowe komórki fibroblastyczne, których używa się rutynowo do odżywiania wirusów typu ospy, tak jak nawozów dla niektórych roślin. Aby utrzymać te kultury, szalony ogrodnik z tego laboratorium na kółkach miał spory zapas środka Eagle, uzupełniony dziesięcioprocentową surowicą z płodu cielęcego. To wszystko plus królik powiedziało mi, że *dokum* nie tylko zachowywał swój wirus, ale wciąż był na etapie reprodukcji go, kiedy nastąpiło tragiczne wydarzenie.

Przechowywał wirusa w zamrażarce z ciekłym azotem, której nie trzeba było włączać do sieci, tylko co kilka miesięcy uzupełniać. Wyglądała jak wielki termos ze stali nierdzewnej, a kiedy odkręciłam pokrywkę, wyjęłam siedem probówek, starych, zrobionych ze szkła, a nie z plastiku. Kody, które powinny identyfikować chorobę, były mi nieznane, ale widniała data 1978 i małutkimi literami, bardzo starannie wypisane atramentem: Birmingham, Anglia. Włożyłam z powrotem te probówki z żyjącym koszmarem do zamrażarki i jeszcze trochę poszperałam. Znalazłam dwadzieścia pojemniczków z próbkami sprayu Vita i strzykawki, których zabójca niewątpliwie używał do zakażania pojemników chorobą.

Poza tym były oczywiście pipety i gumowe bańki, różne naczynka i flaszeczki z zakrętkami, w których rósł wirus. Środkowy z nich był różowy. Gdyby zaczął zmieniać kolor na bladożółty, pH oznaczałoby produkty

zużycia, kwasowość, co wskazywałoby na to, że komórki z wirusem nie były od jakiegoś czasu odżywiane kulturą tkankową.

Zapamiętałam tyle ze studiów i szkolenia jako patologa, że jeśli się rozmnaża wirusa, komórki muszą być odżywiane. To robiono z różową pożywką, która musiała być co kilka dni dożywiana pipetą, kiedy składniki odżywcze były już zastępowane odpadami. Skoro pożywka wciąż była różowa, oznaczało to, że była dożywiana niedawno, co najmniej w ciągu ostatnich czterech dni. *Dokum* był akuraty, hodował śmierć z miłością i troską. Jednak na podłodze leżały dwie buteleczki, stłuczone być może przez skaczącego królika, który wyszedł z klatki przez przypadek. Nie czułam tu samobójstwa, tylko nieprzewidzianą katastrofę, która zmusiła *dokuma* do ucieczki.

Powoli przesuwalam się dalej, do kuchni, gdzie na ściereczce obok zlewu suszyły się, starannie ułożone, miseczka i widelec. Szafki też były uporządkowane, z rzędkiem podstawowych przypraw, pojemnikami z płatkami i ryżem, i puszkami z zupą jarzynową. W lodówce znajdowały się chude mleko, sok jabłkowy, cebula i marchewki, lecz nie było mięsa. Zamknęłam drzwi do lodówki i moje zaciekawienie wzrosło. Kim był? Co robił w tej przyczepie całymi dniami, prócz produkowania swej wirusowej bomby? Czy oglądał telewizję? Czytał?

Zaczęłam szukać ubrań, otwierałam szuflady, bez skutku. Jeśli spędzał tu tyle czasu, dlaczego nie miał nic do ubrania prócz tego, co na sobie? Dlaczego nie było tu żadnych zdjęć ani pamiątek osobistych? A co z książkami, katalogami, żeby zamawiać pożywki dla hodowli wirusów, podręcznikami chorób zakaźnych? Ale najważniejsze, co stało się z pojazdem, który przyciągnął przyczepę? Kto nim odjechał i kiedy?

Zatrzymałam się dłużej w sypialni, gdzie leżał dywan, czarny od krwi, której ślady znaczyły też inne pomieszczenia, gdy usunęliśmy ciało. Nie

czułam żadnych zapachów ani nie słyszałam niczego, prócz powietrza przepływającego w moim kombinezonie. Zatrzymałam się, żeby zmienić tę czterogodziną baterię. To pomieszczenie, jak i reszta, było jakieś bezosobowe. Odsunęłam z łóżka narzutę w kwiatki i zauważyłam zgniecenia na pościeli, świadczące o tym, że ktoś w niej spał. Znalazłam jeden siwy włos i zebrałam go pęsetą, pamiętając, że włosy zastrzelonego były dłuższe i czarne.

Na ścianie wisiała tania reprodukcja z widokiem nadmorskim, więc ją zdjęłam, żeby zobaczyć, gdzie była oprawiana. Spróbowałam też zbadać mały tapczanik, stojący pod oknem z drugiej strony łóżka. Pokryty był jasnozielonym winylem i stał na nim kaktus, jedyna żyjąca rzecz w tej przyczepie, prócz tego, co w klatce i zamrażarce. Sprawdziłam palcem, że ziemia nie była zbyt sucha, postawiłam roślinę na dywanie i otworzyłam tapczanik.

Sądząc po kurzu i pajęczynach, nikt tam nie zaglądał od lat. Znalazłam tam gumowego kotka, wyblakły niebieski kapelusz i zużytą fajkę z kolby kukurydzy. Czuję, że to wszystko nie należało do osoby, która obecnie tu mieszkała, chyba nawet tego nie zauważyła. Zastanawiałam się, czy kupiono używaną przyczepę, czy należała do rodziny przestępcy. Przeszukiwałam teraz pokój na czworakach, aż znalazłam łuskę od naboju i przybitkę. Zakleiłam je również w torebce z dowodami.

Wróciłam do części laboratoryjnej, w której siedziała Lucy przy laptopie.

– Podaj hasło ochrony – powiedziała do uruchamianego głosem mikrofonu.

– Miałam nadzieję, że natrafisz na coś trudnego – powiedziałam.

Wchodziła już do DOS-u. Znając ją, byłam przekonana, że za parę minut usunie hasło, jak to już nieraz robiła.

– Kay – usłyszałam w hełmie głos Gallweya. – Mam tu coś ciekawego.

Zeszłam po schodkach, uważając, żeby nie poplątać przewodu powietrza. Kucnął przed przyczepą, koło haka, skąd usunięto numer identyfikacyjny. Starł gładką metalową powierzchnię bardzo drobnym papierem ściernym, a teraz przecierał roztworem chlorku miedzi i kwasu chlorowodorowego, aby rozpuścić podrapany metal i odzyskać głęboko wybity numer, który zabójca chciał zlikwidować.

– Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak trudno jest pozbyć się czegoś takiego – usłyszałam jego głos.

– Chyba że są to zawodowi złodzieje samochodów – odpowiedziałam.

– W każdym razie ten, kto to zrobił, nie popisał się. – Znów robił zdjęcia. – Chyba mamy ten numer.

– Miejmy nadzieję, że przyczepa jest zarejestrowana.

– Kto wie? Może nam się poszczęści?

– A co z odciskami?

Drzwi i aluminium wokół nich wysmarowane były ciemnym proszkiem.

– Trochę jest, ale Bóg raczy wiedzieć czyje – powiedział, wstając i wyprostowując się. – Za chwilę przejrzę wnętrze.

Tymczasem Lucy rozpracowywała komputer, ale podobnie jak ja, nie znajdowała niczego, co mogłoby nam powiedzieć, kim jest *dokum*. Znalazła pliki z rozmów ze mną, które zapisał. Trochę to było makabryczne widzieć je na ekranie i zastanawiać się, ile razy je czytał. Były też dokładne notatki laboratoryjne, dokumentujące rozmnażanie komórek wirusa, i to było ciekawe. Wydaje się, że prace rozpoczęły się niedawno, niecałe dwa miesiące przed tym, jak znaleziono korpus.

Późnym popołudniem, kiedy już zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, nadal nie mieliśmy żadnych oszałamiających rezultatów. Znów wzięliśmy prysznic z chemikaliami, a przyczepa została potraktowana gazem

formalinowym. Zostałam w zielonym stroju wojskowym, bo nie chciałam wkładać mojego kostiumu po tym, co przeszedł.

– Trochę niekorzystne dla garderoby – zauważyła Lucy, gdy wychodziłyśmy z przebieralni. – Może powinnaś włożyć do tego jakieś perły, trochę przybrać.

– Czasem gadasz jak Marino – powiedziałam.



Dni biegły, aż nadszedł weekend, który znów minął bez żadnych rozwiązań, i można już było oszaleć. Zapomniałam o urodzinach mojej mamy. W ogóle mi to wyleciało z głowy.

– Co? Może masz Alzheimera? – spytała niezbyt grzecznie przez telefon. – Nie przyjeżdżasz tu. Teraz nawet nie zadasz sobie trudu, żeby zadzwonić. Przecież nie robię się coraz młodsza.

Zaczęła płakać i mnie też się chciało.

– Boże Narodzenie – powiedziałam, jak co roku. – Coś wykombinuję. Przywiozę Lucy. Obiecuję. To już nie tak długo.

Jechałam do miasta, ale miałam wszystkiego po dziurki w nosie, byłam wykończona. Lucy miała rację. Zabójca używał telefonu na kempingu tylko do połączeń z America on-line, co doprowadziło nas jedynie do karty kredytowej Perleya. *Dokum* już się więcej nie odzywał. Miałam już jakąś obsesję, co chwila sprawdzałam i czekałam, czy się odezwie, chociaż nie miałam pewności, czy FBI jeszcze to śledzi.

Zamrożone źródło wirusa, które znalazłam w przyczepie, pozostawało niezidentyfikowane. Trwały próby skopiowania jego DNA i naukowcy w CDC wiedzieli, czym się różni od ospy, ale nie wiedzieli, czym jest, i

wobec tego wszystkie zaszczepione człekokształtne były podatne na chorobę. Cztery inne osoby, łącznie z dwoma rybakami, którzy pojawili się w Crisfield, przeszli chorobę w łagodnej formie. Nikt inny nie zachorował, podczas gdy kontynuowano kwarantannę tej wioski rybackiej, chociaż jej gospodarka kulała. W Richmondzie zachorował tylko Wingo i jego wiotkie ciało i delikatna buzia pokryte były wysypką. Nie pozwalał mi na odwiedziny, chociaż wielokrotnie próbowałam.

Byłam przygnębiona i trudno mi było skupić się na innych przypadkach, ponieważ ten się nie zakończył. Wiedzieliśmy, że zastrzelony mężczyzna z przyczepy nie był *dokumem*. Odciski palców doprowadziły do włóczęgi po wieloletnich odsiadkach, głównie z powodu kradzieży i narkotyków, dwóch przypadków napadów i usiłowania gwałtu. Kiedy otwierał scyzorykiem przyczepę, był na warunkowym zwolnieniu i nikt nie miał wątpliwości, że śmierć nastąpiła w wyniku zabójstwa.

O ósmej piętnaście weszłam do biura i Rose natychmiast pojawiła się w drzwiach.

– Mam nadzieję, że pani trochę odpoczęła – powiedziała, martwiąc się o mnie jak jeszcze nigdy.

– Tak. Dziękuję. – Uśmiechnęłam się, a jej troska wywoływała u mnie poczucie winy i wstyd, jakbym zrobiła coś złego. – Jakieś nowe wiadomości?

– Nie w sprawie wyspy Tangier. – Widziałam niepokój w jej oczach. – Niech pani przestanie o tym myśleć, pani doktor. Mamy dzisiaj pięć nowych przypadków. Niech pani zobaczy na biurku, jeżeli je pani znajdzie. Mam co najmniej dwutygodniowe zaległości z korespondencją i sprawozdaniami, bo pani nie było, żeby mi podyktować.

– Rose, wiem, wiem – powiedziałam serdecznie. – Ale zacznijmy od najważniejszego. Spróbuj jeszcze raz skontaktować się z Phyllis. I jeżeli

znów powiedzą, że jej nie ma, bo jest chora, dowiedz się, pod jakim numerem można ją zastać. Już od kilku dni dzwonię na domowy numer bezskutecznie.

– A jeżeli znajdę, mam panią połączyć?

– Koniecznie.

Stało się to piętnaście minut później, kiedy miałam iść na zebranie pracowników. Rose miała na linii Phyllis Crowder.

– Gdzie ty jesteś, na miłość boską? I jak się czujesz? – spytałam.

– Cholerna grypa – odpowiedziała. – Nie złap jej czasem.

– Już złapałam i powoli się pozbywam. Próbowałam dodzwonić się do ciebie w Richmondzie.

– Och, jestem u mamy, w Newport News. Wiesz, pracuję cztery dni w tygodniu i od lat pozostałe trzy spędzam tutaj.

Nie wiedziałam o tym, ale nigdy nie byłyśmy na towarzyskiej stopie.

– Phyllis – powiedziałam – nie chciałabym ci zawracać głowy, skoro się źle czujesz, ale potrzebuję twojej pomocy. W 1978 roku był wypadek w laboratorium w Birmingham, w Anglii, gdzie kiedyś pracowałam. Robiłam, co mogłam, ale udało mi się tylko dowiedzieć, że fotografka medyczna pracowała bezpośrednio nad laboratorium z ospą...

– Tak, tak – przerwała mi. – Wiem wszystko na ten temat. Prawdopodobnie zaraziła się przez przewód wentylacyjny i umarła. Wirusolog popełnił samobójstwo. Ten przypadek jest przytaczany przez zwolenników zniszczenia wszystkich zamrożonych egzemplarzy wirusa.

– Czy pracowałam w tym laboratorium, gdy się to wydarzyło?

– Nie, dzięki Bogu. Odeszłam stamtąd kilka lat wcześniej. Wtedy byłam już w Stanach.

Rozczarowałam się, a ona zaczęła tak kaszleć, że z trudem mówiła.

– Przepraszam. – Zakaszłała. – W takich chwilach człowiek żałuje, że mieszka sam.

– Nie ma ci kto tam pomóc?

– Nie.

– A co z jedzeniem?

– Poradzę sobie.

– To może coś bym ci przywiozła.

– Mowy nie ma.

– Pomogę ci, jeśli ty mi pomożesz – dodałam. – Czy masz jakieś materiały na temat Birmingham? Związane z twoją pracą tam, coś takiego?

– Na pewno zakopane gdzieś w tym domu – powiedziała.

– To je odkop, a ja przywiozę gulasz.

Po pięciu minutach już byłam za drzwiami i biegłam do samochodu. Zajechałam do domu, zabrałam mój domowy gulasz z zamrażarki, po czym napełniłam bak do pełna i skierowałam się sześćdziesiątką czwórką na wschód. Z samochodu zadzwoniłam do Marina i powiedziałam, co robię.

– Teraz już naprawdę przegięłaś – wykrzyknął. – Jechać ponad sto mil, żeby zawieźć komuś jedzenie? Mogłaś zadzwonić do Domino's Pizza.

– Nie o to chodzi. Wierz mi, mam powód. – Założyłam okulary przeciwsłoneczne. – Tam coś może być, może wiedzieć coś, co nam pomoże.

– Dobra, daj mi znać – powiedział. – Pager masz włączony, tak?

– Tak.

O tej porze dnia ruch był nieduży, ale włączyłam regulator prędkości na sześćdziesiąt dziewięć mil, żeby nie płacić mandatu. Po niecałej godzinie mijałam Willimsburg, a dwadzieścia minut później, zgodnie z instrukcjami Phyllis Crowder, wjeżdżałam do Newport News. Okolica nazywała się Brandon Heights, status ekonomiczny mieszkańców był tu bardzo różny, a

ich domy były coraz większe w kierunku James River. Jej był skromny, dwukondygnacyjny, świeżo pomalowany na mleczny kolor, z dobrze utrzymanym ogródkiem.

Zaparkowałam za mikrobusem, wyjęłam z samochodu gulasz, torebkę i teczkę przewieszaną przez ramię. Phyllis Crowder podeszła do drzwi. Wyglądała strasznie, była blada, z oczyma płonącymi od gorączki. Ubrana była we flanelowy szlafrok i skórzane kapcie, które chyba kiedyś były męskie.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka miła – powiedziała, otwierając drzwi. – Albo jesteś szalona.

– Zależy, kogo spytasz.

Weszłam do środka i zatrzymałam się, oglądając oprawione w ramki fotografie, wiszące w holu z ciemną boazerią. Większość z nich przedstawiała ludzi wędrujących lub łowiących ryby i zrobiona była dawno temu. Zwróciłam uwagę na jedną, starszego pana w jasnoniebieskim kapeluszu, trzymającego kota, z fajką z kukurydzy w uśmiechniętych ustach.

– To mój ojciec – powiedziała Crowder. – Moi rodzice tam mieszkali, a przedtem rodzice mojej mamy. To oni – pokazała. – Kiedy interes mojego ojca szedł w Anglii coraz słabiej, przyjechali tutaj i wprowadzili się do jej rodziny.

– A ty? – spytałam.

– Ja zostałam, bo jeszcze byłam w szkole.

Spojrzałam na nią, ale nie wydała mi się taka stara, za jaką chciała przede mną uchodzić.

– Zawsze starasz się przedstawiać jako dinozaur w porównaniu ze mną, ale chyba tak nie jest.

– Może po prostu lepiej się trzymasz – spojrzała na mnie ciemnymi, rozgorączkowanymi oczyma.

– Czy ktoś z twojej rodziny jeszcze żyje? – Przyglądałam się badawczo pozostałym zdjęciom.

– Moi dziadkowie zmarli mniej więcej dziesięć lat temu, mój ojciec – pięć. Od tego czasu przyjeżdżałam tu co weekend, żeby się zająć matką. Trzymała się, jak długo mogła.

– Musiało to być trudne do połączenia z twoją wymagającą pracą – powiedziałam i popatrzyłam na jej zdjęcie z młodych lat, śmiejącej się na łódce, z tęczowym pstrągiem w dłoni.

– Może wejdiesz i usiądziesz? – spytała. – Zaniosę to do kuchni.

– Nie, nie, oszczędzaj siły. Pokaż mi tylko drogę.

Poprowadziła mnie przez jadalnię, która wydawała się od lat nieużywana. Z sufitu, nad zakurzonym stołem, zwieszały się kable po żyrandolu, zasłony zastąpiono żaluzjami. Kiedy wchodziłyśmy do dużej, staroświeckiej kuchni, zjeżyły mi się włosy na głowie i na karku, ale starałam się zachować spokój, stawiając gulasz na szafce.

– Herbaty? – zapytała.

Teraz prawie nie kaszłała i jeśli była chora, to nie z tego powodu była nieobecna w pracy.

– Nie, niczego – odpowiedziałam.

Uśmiechnęła się do mnie, ale patrzyła badawczo, i gdy usiadłyśmy przy stole kuchennym, usiłowałam nerwowo wymyślić, co zrobić. Czy to, co podejrzewałam, nie było prawdą, czy powinnam się była domyślić wcześniej? Byłyśmy koleżankami przez ponad piętnaście lat. Pracowałyśmy wspólnie nad wieloma przypadkami, dzieliłyśmy się informacjami, uzalałyśmy się po kobiecemu. W dawniejszych czasach piłyśmy razem kawę i paliłyśmy. Uważałam, że jest urocza, błyskotliwa i

nigdy nie wyczuwałam w niej zła. Ale tak właśnie ludzie mówią o seryjnych mordercach, mieszkających w sąsiedztwie. – molestujących dzieci czy o gwałcicielach.

– Więc porozmawiajmy o Birmingham – powiedziałam.

– Porozmawiajmy. – Teraz już się nie uśmiechała.

– Zamrożone źródło tej choroby zostało odnalezione – powiedziałam. – Fiolki mają nalepki, datowane 1978, Birmingham. Zastanawiam się, czy tamtejsze laboratorium mogło prowadzić jakieś badania mutantów ospy, coś, o czym wiedziałaś?

– Nie było mnie tam w 1978 – przerwała.

– A ja myślę, że byłaś, Phyllis.

– Nie ma znaczenia. – Wstała, żeby nastawić herbatę.

Nic nie mówiłam, czekając, aż znów usiądzie.

– Jestem chora i ty już też powinnaś być – powiedziała i wiedziałam, że nie ma na myśli grypy.

– Dziwię się, że nie stworzyłaś własnej szczepionki, nim to wszystko zaczęłaś – powiedziałam. – Była to nieostrożność ze strony kogoś tak dokładnego.

– Nie potrzebowałabym jej, gdyby ten drań się nie włamał i wszystkiego nie zniszczył – warknęła. – Obrzydliwa, brudna świnia. – Trzęsła się z wściekłości.

– Wtedy kiedy byłaś podłączona do AOL i rozmawiałaś ze mną – powiedziałam. – Nie wyłączyłaś się, bo zaczął otwierać drzwi. Zastrzeliłaś go i uciekłaś swoim mikrobusem. Myślę, że jeździłaś do Janes Island na swoje długie weekendy, żeby móc przenosić swoją uroczą chorobę do nowych fiolek, karmić kochane maleństwa.

Czułam, jak wzbiera we mnie wściekłość. Ona chyba się nie przejmowała, tylko dobrze bawiła.

– Czy po tych wszystkich latach w medycynie ludzie są dla ciebie niczym więcej, tylko szkiełkami i probówkami? Co stało się z ich twarzami, Phyllis? Ja widziałam ludzi, którym to zrobiłaś. – Zbliżyłam się do niej. – Stara kobieta, która umarła samotnie w brudnym łóżku i nikt nie słyszał nawet jej wołania o wodę. A teraz Wingo, który nie pozwala się nawet odwiedzić, miły, młody człowiek, umiera. Znasz go! Bywał w twoim laboratorium! Co on ci złego zrobił!

Siedziała nieporuszona, ale czuło się wzbierającą złość.

– Zostawiłaś spray Vita w jednej z przegródek, w których Lila Pruitt sprzedawała przepisy po dwadzieścia pięć centów. Powiedz, jeśli mówię nieprawdę. Myślała, że poczta pomyliła skrzynki, a może sąsiedzi to wrzucili. Taki miły drobiazg, i to za darmo, i spryskała sobie twarz. Miała to na nocnym stoliku, pewnie używała jeszcze wiele razy, gdy konała w bólach.

Moja koleżanka milczała, choć oczy miała błyszczące.

– Prawdopodobnie dostarczyłaś na Tangier wszystkie swoje małe bombki za jednym razem – ciągnęłam. – Potem podrzuciłaś te dla mnie i moich pracowników. A jaki potem miałaś plan? Cały świat?

– Może – powiedziała tylko.

– Dlaczego?

– Ludzie mi to zrobili pierwsi. Oko za oko.

– Kto zrobił ci coś chociaż w przybliżeniu równie strasznego? – Z największym trudem panowałam nad głosem.

– Byłam w Birmingham, kiedy się to zdarzyło. Ten wypadek. Sugerowano, że była to częściowo moja wina, i zmuszono mnie do odejścia. Zupełnie niesprawiedliwie, klęska dla mnie, młodej i samej. Przerażonej. Rodzice wyjechali do Stanów, żeby zamieszkać w tym domu. Lubili być na świeżym powietrzu. Biwaki, łowienie. Cała rodzina to lubiła.

– Przez dłuższą chwilę patrzyła jakby w przeszłość, w tamte czasy. – Ja się nie liczyłam. Pracowałam ciężko, znalazłam inną pracę, w Londynie, ale byłam o trzy stopnie niżej niż poprzednio. – Wpatrywała się teraz we mnie. – To było niesprawiedliwe. Wirusolog spowodował wypadek. Ale ponieważ ja tam byłam tego dnia, a on się szczęśliwie zabił, najłatwiej było obciążyć mnie. Poza tym byłam właściwie zupełną smarkulą.

– Więc odchodząc, ukradłaś źródłowy wirus – stwierdziłam.

Uśmiechnęła się zimno.

– I przechowałaś go przez tyle lat?

– To nietrudne, jeśli wszędzie, gdzie pracujesz, są zamrażarki z ciekłym azotem i zawsze jesteś chętna do czuwania nad inwentaryzacją – powiedziała z dumą. – Zachowałam go.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Uniosła głos. – To ja nad nim pracowałam, gdy zdarzył się wypadek. Był mój. Więc zadbałam o to, żeby on i część moich innych eksperymentów zabrać z sobą, kiedy odchodziłam. Dlaczego miałabym go im zostawiać? Nie byli dostatecznie bystrzy, żeby zrobić to co ja.

– Ale to nie jest ospa. Nie dokładnie – powiedziałam.

– No, to chyba gorzej, co? – Usta jej drżały, gdy przypominała sobie tamte chwile. – Połączyłam DNA małpiej ospy z genomem ospy. – Była coraz bardziej przejęta, ręce jej się trzęsły, gdy wycierała nos serwetką. – A teraz, na początku roku akademickiego, zostałam pominięta przy mianowaniu dyrektora wydziału – ciągnęła, a oczy błyszczały jej od łez wściekłości.

– Phyllis, to niesprawiedliwe...

– Zamknij się! – krzyknęła. – Za wszystko, co zrobiłam dla tej cholernej uczelni? Ja tu wszystkich wyuczyłam od podstaw, łącznie z tobą. Ale dali to

mężczyźnie, bo ja nie jestem lekarzem. Jestem tylko doktorem biologii –
wypluła z siebie.

– Dali to stanowisko patologowi, absolwentowi uniwersytetu Harvarda,
który miał wszelkie kwalifikacje, żeby je otrzymać – stwierdziłam
obojętnie. – Ale to nie ma znaczenia. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co
zrobiłaś. Przechowałaś wirusa tyle lat? Żeby to zrobić?

Czajnik zaczął przeraźliwie gwizdać, więc zgasłam palnik.

– Nie jest to jedyna egzotyczna choroba, jaką mam w moim archiwum
badawczym. Kolekcjonowałam je – powiedziała. – Myślałam nawet, że
kiedyś przeprowadzę ważne badania. Przestudiuję najstraszliwsze wirusy
na świecie i dowiem się czegoś o systemie immunologicznym człowieka,
co mogłoby nas uratować od takich plag, jak AIDS. Myślałam, że
mogłabym dostać Nagrodę Nobla. – Nagle ucichła, jakby zadowolona z
siebie. – Ale nie mogę powiedzieć, żeby w Birmingham moim zamiarem
było wywołanie kiedyś epidemii.

– Nie wywołałaś – odpowiedziałam.

Zmrużyła oczy ze złością, patrząc na mnie.

– Nie zachorował nikt, prócz ludzi, których podejrzewa się o użycie
sprayu do twarzy – powiedziałam. – Ja miałam kontakt z nimi wiele razy i
nic mi nie jest. Wirus, który stworzyłaś, działa tylko przez bezpośrednie
zakażenie. Nie występują zakażenia wtórne, nie ma epidemii.
Spowodowałaś tylko panikę, chorobę i śmierć kilku niewinnych ofiar. I
osłabiłaś gospodarkę rybną na wyspie pełnej ludzi, którzy nigdy pewnie
nawet nie słyszeli o Nagrodzie Nobla.

Oparłam się głębiej, badając ją wzrokiem, ale nie przejmowała się.

– Dlaczego przysyłałaś mi zdjęcia i wiadomości? – chciałam wiedzieć. –
Zdjęcia zrobione w twojej jadalni, na tamtym stole. Kto był twoim
królikiem doświadczalnym? Twoja stara i schorowana matka? Czy

spryskałaś ją wirusem, żeby sprawdzić, czy działa? A kiedy zadziałał, strzeliłaś jej w głowę. Potem ją pocięłaś piłą sekcyjną, żeby nikt nie skojarzył nigdy tej śmierci z twoim zatruciem sprayu?

– Myślisz, że jesteś taka sprytna – powiedziała jak *dokum*.

– Zamordowałaś własną matkę i zawinęłaś ją w narzutę, bo nie mogłaś na nią patrzeć, jak piłowałaś.

Odwróciła wzrok, gdy odezwał się mój pager. Wyciągnęłam go i odczytałam numer Marina. Wyjęłam telefon, nie spuszczając z niej wzroku.

– Tak – powiedziałam, gdy się odezwał.

– Trafiliśmy z przyczepą – zameldował. – Dotarliśmy do producenta, następnie do adresu w Newport News. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć. Agenci powinni zaraz tam być.

– Szkoda, że Biuro nie trafiło trochę wcześniej. Zaraz się z nimi spotkam przy drzwiach.

– Co powiedziałaś?

Wyłączyłam się.

– Kontaktowałam się z tobą, bo wiedziałam, że zwrócisz na to uwagę. – Mówiła coraz bardziej piskliwym głosem. – I chciałam, żebyś spróbowała się do tego wziąć i nareszcie raz przegrała. Słynna pani doktor. Słynny szef.

– Byłaś koleżanką, przyjaciółką.

– I mam do ciebie żal! – Twarz miała rozpaloną, piersi jej falowały ze wzburzenia. – Zawsze miałam! Ten system zawsze ciebie traktował lepiej, wszyscy na ciebie zwracali uwagę. Wielka doktor Scarpetta. Legenda. Ale proszę! Zobaczymy, kto wygrał. Przechytryłam cię, co? – Nie odzywałam się. – Pogoniłam cię trochę, co? – Patrzyła na mnie, sięgając po buteleczkę z aspiryną i wytrząsając z niej dwie tabletki. – Doprowadziłam cię prawie na skraj śmierci i trzymałam cię w oczekiwaniu w cyberprzestrzeni. Czekałaś na mnie! – wykrzyknęła triumfalnie.

Coś metalowego głośno zastukało do drzwi wejściowych. Odsunęłam krzesło.

– Co oni zrobią? Zastrzelą mnie? A może ty powinnaś. Założę się, że masz broń w którejś z tych toreb. – Zachowywała się coraz bardziej histerycznie. – Ja też mam, w tamtym pokoju, i zaraz ją przyniosę.

Wstała. Pukanie rozlegało się wciąż i jakiś głos zawołał: – Otwierać, FBI.

Złapałam ją za ramię.

– Nikt cię nie zastrzeli, Phyllis.

– Puść mnie!

Prowadziłam ją do drzwi.

– Puść mnie!

– Twoją karą będzie śmierć, taka jak twoich ofiar – ciągnęłam ją teraz.

– Nie! – krzyknęła, a w tym momencie otworzyły się drzwi, trzaskając o ścianę, aż pospadały zdjęcia w ramkach.

Weszli agenci FBI z wyciągniętymi pistoletami, a wśród nich Janet. Zakuli doktor Phyllis Crowder w kajdanki, gdy padła na ziemię. Karetka przewiozła ją do Szpitala Ogólnego Sentara, w Norfolk, gdzie dwadzieścia jeden dni później zmarła, przypięta do łóżka, pokryta pękającymi krostami. Miała czterdzieści cztery lata.

-EPILOG-

Nie mogłam podjąć decyzji od razu, ale odłożyłam ją do sylwestra, kiedy ludzie zwykle przeprowadzają jakieś zmiany, podejmują postanowienia, składają obietnice, których nigdy nie dotrzymają. Śnieg uderzał o dach, a my z Wesleyem siedzieliśmy na podłodze przed kominkiem, popijając szampana.

– Benton – powiedziałam. – Muszę gdzieś pojechać.

Nie bardzo zrozumiał, myślał, że zaraz, więc powiedział: – Chyba niewiele jest czynnych lokali, Kay.

– Nie, chodzi o wyjazd. Może w lutym. Do Londynu.

Zamilkł, wiedząc, o czym myślę. Odstawił kieliszek i wziął mnie za rękę.

– Miałem nadzieję, że tak zrobisz – powiedział. – Choćby to było nie wiem jak trudne, powinnaś. Żebyś zamknęła sprawę, odzyskała spokój ducha.

– Wątpię, czy kiedykolwiek odzyskam spokój ducha.

Wysunęłam rękę i odgarnęłam włosy. Dla niego też było to trudne. Musiało być.

– Musi ci go brakować – powiedziałam. – Nigdy o tym nie mówisz, ale był dla ciebie jak brat. Pamiętam, jak robiliśmy tyle rzeczy razem, we trójkę. Gotowaliśmy, oglądaliśmy filmy, siedzieliśmy i gadaliśmy o zakończonych sprawach, o wszystkich świństwach, jakie rząd nam robi. Zwolnieniach, podatkach, cięciach budżetowych.

Uśmiechnął się leciutko, patrząc w płomienie.

– A ja myślałem, jakie ma szczęście ten typek, że ma ciebie. Zastanawiałem się, jak to jest. Teraz wiem, że miałem rację. Miał szczęście jak cholera. Właściwie był chyba jedyną osobą, z którą rozmawiałem,

oprócz ciebie. Swoją drogą to dziwne, Mark był jednym z największych egoistów, jakich znałem. Jednym z tych diabelnie narcystycznych piękniśków. Ale był dobry. Był inteligentny. Chyba nigdy nie przestaje się tęsknić za kimś takim jak on.

Wesley ubrany był w biały sweter i kremowe sportowe spodnie i w świetle ognia prawie błyszczał.

– Jak dzisiaj wyjdiesz, to znikniesz – powiedziałam.

Zmarszczył się pytająco.

– No, tak ubrany, na śnieg. Wpadniesz do rowu i nikt cię nie zobaczy aż do wiosny. Powinieneś nosić coś ciemnego w taki wieczór. Wiesz, dla kontrastu.

– Kay, a może nastawiłbym kawę.

– Tak jak ci ludzie, którzy kupują samochód z napędem na cztery koła na zimę. Więc kupują biały. Powiedz, jaki to ma sens, jechać po białej drodze, nad tobą białe niebo i wszędzie pada to białe.

– O czym ty mówisz?

Skierował wzrok na mnie.

– Nie wiem.

Wyjęłam butelkę z kubelka. Kapała z niej woda, gdy napełniałam znów nasze kieliszki, a wypiałam już chyba dwa razy więcej od niego. Odtwarzacz CD był załadowany przebojami z lat siedemdziesiątych, z głośników w ścianach dochodziło „Three Dog Night”. Była to jedna z rzadkich okazji, kiedy mogłam się upić. Nie potrafiłam przestać o tym myśleć i wyobrażać sobie. Nie wiedziałam, póki nie znalazłam się w tym pokoju, z przewodami wystającymi z sufitu i nie zobaczyłam, gdzie ustawiono w rzędzie okrwawione odcięte ręce i stopy. Dopiero wtedy dotarła do mnie prawda. Nie mogłam sobie tego wybaczyć.

– Benton – powiedziałam cicho – powinnam była wiedzieć, że to ona. Powinnam była wiedzieć, zanim weszłam do jej domu, zobaczyłam te zdjęcia i ten pokój. Chyba jakaś część mnie wiedziała, tylko jej nie słuchałam.

Nie odpowiadał, więc potraktowałam to jak dalsze oskarżenie.

– Powinnam była wiedzieć, że to ona – mamrotałam. – Może ludzie by nie umarli.

– Zawsze łatwo powiedzieć „powinnam” po fakcie. – Mówił tonem łagodnym, ale stanowczym. – Ludzie, którzy mieszkają obok Gacych, Bundych i Dahmerów tego świata, zawsze domyślają się ostatni, Kay.

– I nie wiedzą tego, co ja wiem, Benton. – Popiłam szampana. – Ona zabiła Winga.

– Zrobiłaś, co mogłaś – przypomniał.

– Tęsknię za nim – westchnęłam. – Nie byłam nawet na grobie Winga.

– Może przerzucimy się na kawę? – znów zaproponował.

– Czy ja czasami nie mogę odjechać? – Nie chciałam być obecna.

Zaczął mi masować kark, a ja przymknęłam oczy.

– Dlaczego ja zawsze muszę być rozsądna? – mamrotałam dalej. – Precyzyjna w tym, dokładna w tamtym. „Zgodne z” i „charakterystyczne dla”. Takie słowa zimne i ostre jak noże, których używam. A co mi to da w sądzie? Kiedy tu chodzi o Lucy? Jej życie, jej karierę. Wszystko przez tego drania, Ringa. Ja, świadek ekspert. Kochająca ciocia. – Łza spłynęła mi po policzku. – Boże, Bentonie, jaka jestem zmęczona.

Posunął się, objął ramionami i przyciągnął do siebie, żebym mogła odchylić głowę.

– Pojadę z tobą – powiedział cicho w moje włosy.



Wzięliśmy czarną taksówkę, która zawiozła nas na dworzec Victoria w Londynie. Było to osiemnastego lutego, w kolejną rocznicę wybuchu bomby, która rozwaliała kubeł na śmieci, a następnie wejście do metra, knajpkę i bar kawowy. Gruz i rozbite szkło leciały z siłą pocisku. IRA nie zaatakowała Marka, jego śmierć nie miała nic wspólnego z pracą w FBI. Po prostu był w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, jak tyłu ludzi, którzy stają się ofiarami.

Stacja była zatłoczona, głównie dojeżdżającymi do pracy, którzy mnie omal nie przewrócili, gdy przeciskaliśmy się do środkowej części, gdzie zajęci kasjerzy sprzedawali bilety, a na ścianach wyświetlano terminy przyjazdów i odjazdów pociągów. W kioskach sprzedawano słodczyce i kwiaty, można było sobie zrobić zdjęcie paszportowe albo wymienić pieniądze. Kosze na śmieci umieszczono wewnątrz McDonalda i w podobnych miejscach, ale nie widziałam żadnego na zewnątrz.

Wesley zauważył to samo.

– Teraz nie ma tu dogodnego miejsca na schowanie bomby.

– Człowiek uczy się całe życie – powiedziałam, ale zaczęłam drżeć.

W milczeniu patrzyłam na gołębie, które latały nad naszymi głowami, a potem skakały wśród okruchów na ziemi. Wyjście do Grosvenor Hotel mieściło się obok Victoria Tavern i właśnie tu się wszystko wydarzyło.

Nikt nie wiedział na pewno, co Mark wtedy robił, ale przypuszczano, że siedział przy którymś z małych, wysokich stolików przed tawerną, gdy bomba wybuchła.

Wiedzieliśmy, że czekał na przyjazd pociągu z Brighton, bo miał się z kimś spotkać. Do dziś dnia nie wiedziałam z kim, bo ze względów bezpieczeństwa nie ujawniono personaliów tej osoby. Tak mi powiedziano. Nie rozumiałam wielu rzeczy, na przykład zbiegu okoliczności, czasu, nie wiedziałam, czy ta tajemnicza osoba też zginęła. Obejrzałam dach ze

stalowych dźwigarów i szkła, stary zegar na granitowej ścianie i sklepienie przejścia. Nie było już żadnych śladów po wybuchu. Były tylko w ludziach.

– Brighton to raczej dziwne miejsce na luty – zagadnęłam Wesleya niepewnym głosem. – Dlaczego ktoś miałby wracać o tej porze roku z nadmorskiego kurortu?

– Nie wiem – odpowiedział, rozglądając się. – Chodziło o terroryzm. Wiesz, że Mark nad tym pracował, więc nikt wiele nie mówił.

– Racja. Nad tym pracował i od tego zginął – powiedziałam. – I nikt nie przypuszcza, że to mogło mieć związek, że nie było przypadkowe.

Nie odpowiedział, a ja popatrzyłam na niego z ciężkim sercem, przepełnionym niezgłębioną tajemnicą. Ludzie, gołębie, nieustanne komunikaty przez głośniki połączyły się we wspólny, odległy gwar i na moment zrobiło się ciemno. Wesley złapał mnie, gdy się zachwiałam.

– Dobrze się czujesz?

– Chcę wiedzieć, z kim się wtedy spotykał – powiedziałam.

– Daj spokój, Kay – odpowiedział łagodnie. – Chodź, pójdziemy gdzieś usiąść.

– Chcę wiedzieć, czy bombę podłożono dlatego, że konkretny pociąg przyjeżdżał o konkretnej godzinie – upierałam się. – Chcę wiedzieć, czy to wszystko nie jest fikcją.

– Fikcją? – spytał.

Miałam w oczach łzy.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie jest to jakaś mistyfikacja, a on żyje i się ukrywa? Świadek chroniony, z nową twarzą i dokumentami.

– Nie – Wesley miał smutek na twarzy. – Chodźmy – wziął mnie za rękę. Ale ja nie chciałam się ruszyć.

– Muszę znać prawdę, jeżeli to się rzeczywiście zdarzyło. Z kim się spotykał i gdzie jest teraz ta osoba?

– Nie rób tego.

Ludzie kręcili się koło nas, nie zwracając uwagi. Ich stopy hałasowały jak fale uderzające o brzeg, dźwięczały układane przez robotników stalowe szyny.

– Nie wierzę, że kogoś miał spotkać. – Zadrżał mi głos i otarłam oczy. – Wierzę, że to jest jedno wielkie kłamstwo Biura.

– To nie jest kłamstwo, Kay – westchnął.

– Więc kto? Muszę wiedzieć! – krzyknęłam.

Teraz już ludzie zaczęli na nas patrzeć. Wesley odciągnął mnie w stronę peronu ósmego, z którego odchodził o 11.46 pociąg do Denmark Hill i Peckham Rye. Poprowadził mnie przez rampę z białymi i niebieskimi kafelkami do sali z ławkami i schowkami bagażowymi. Pochlipywałam i nie mogłam się opanować. Byłam otumaniona, a jednocześnie wściekła, gdy zaprowadził mnie w odległy kącik i usadził na ławce.

– Powiedz mi. Benton, proszę. Muszę wiedzieć. Nie mogę przejść przez resztę życia, nie wiedząc – krztusiłam się łzami.

Wziął mnie za rękę.

– Możesz to zostawić w spokoju. Mark nie żyje. Przysięgam. Naprawdę uważasz, że mógłbym się wdawać w romans z tobą, wiedząc, że on gdzieś tam żyje? – mówił z przejęciem. – Jezu, jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że coś takiego bym zrobił!

– Co stało się z osobą, z którą się spotkał? – upierałam się.

Zawahał się.

– Niestety, też nie żyje. Byli razem, gdy bomba wybuchła.

– Więc po co taka tajemnica wokół niego! – wykrzyknęłam. – To nie ma sensu.

Znów się zawahał, tym razem dłużej, i na moment zauważyłam w jego oczach coś jakby współczucie dla mnie. Wyglądał, jakby się miał

rozpłakać.

– Kay, to nie był on. Mark był z kobietą.

– Jakąś agentką. – Nie zrozumiałam.

– Nie.

– Co ty mówisz?

Długo trwało, nim sobie uświadomiłam, bo nie chciałam tego, ale kiedy milczał, zrozumiałam.

– Nie chciałem, żebyś wiedziała – powiedział. – Nie uważałem, że musisz wiedzieć, że był z inną kobietą, kiedy zginął. Wychodzili z hotelu Grosvenor, kiedy bomba wybuchła. Nie miało to nic wspólnego z nim. Po prostu tam był.

– Kim ona była? – odczuwałam jednocześnie ulgę i mdłości.

– Nazywała się Julie McFee. Miała trzydzieści jeden lat i była adwokatem z Londynu. Poznali się przy jakiejś sprawie, nad którą pracowali, a może przez innego agenta. Nie wiem dokładnie.

Spojrzałam mu w oczy.

– Od jak dawna o nich wiedziałeś?

– Od jakiegoś czasu. Mark miał zamiar ci to powiedzieć, ja nie mogłem tego robić. – Dotknął mojego policzka, ścierając łzy. – Przykro mi. Nie masz pojęcia, jak ja się teraz czuję. Jakbyś mało wycierpiała.

– Właściwie jest mi lżej – powiedziałam.

Jakiś nastolatek z kolczykami i irokezem na głowie zatrzasnął schowek. Zaczekaliśmy, aż się oddalił wraz z dziewczyną w czarnej skórce.

– Prawdę rzekłszy, to typowe dla naszego związku. – Czułam się wyczerpana i nie mogłam myśleć, gdy wstałam. – Nie mógł się związać, podjąć ryzyka. Nigdy by tego nie zrobił, dla nikogo. Bardzo dużo stracił z tego powodu i to jest najsmutniejsze.

Na dworze było zimno, wiał przejmujący wiatr, a rząd taksówek wokół stacji nie miał końca. Szliśmy, trzymając się za ręce, kupiliśmy sobie butelki z Hooper's Hooch, bo na ulicach w Anglii wolno pić alkoholizowaną lemoniadę. Policjanci na jabłkowitych koniach przeczłapali koło Pałacu Buckingham, a w St. James's Park maszerowała orkiestra gwardzistów w niedźwiedzich czapach i ludzie robili im zdjęcia. Szumiały drzewa i dźwięki werbli już prawie ucichły, gdy wracaliśmy do hotelu Athenaeum na Picadilly.

– Dziękuję ci. – Objęłam go – Kocham cię, Bentonie.